R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

DANES PICTA .COM

Colour Chart #13

3/Color Black

White

Magenta

Blue Cyan Green Yellow Red

Inches

Centimetres

CZYTELNIK

KRZYWICKI

WSPOMNIENIA

ŻYWOTY NIEUROJONE

• TOM 2 •

PROF. DR LUDWIK KRZYWICKI

WSPOMNIENIA

TOM PIERWSZY

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

LUDWIK KRZYWICKI W 1882 ROKU

LUDWIK KRZYWICKI

WSPOMNIENIA

PRZYGOTOWAŁ DO DRUKU
STANISŁAW STEMPOWSKI

TOM PIERWSZY
1859 — 1885

1947
·CZYTELNIK·
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

317/2

Wszelkie prawa zastrzeżone / All rights reserved
Printed in Poland

Nr • 200

Czerwiec • 1947

Drukarnia Narodowa w Krakowie
M-15933

O D W Y D A W C Y

Wspomnienia *niniejsze nie były pisane jednym ciągiem w tym układzie, w jakim obecnie zostają ogłoszone. Spisywał je Autor w ciągu szeregu lat różnymi czasy i dla różnych celów. Były to bądź samodzielne przyczynki ogłaszane w czasopismach, bądź okolicznościowe nekrologi; były to wstępy do życiorysów skreślonych przez kogoś innego lub utrwalone dla siebie sylwetki ludzi, z którymi się Autor spotykał lub współpracował w ciągu życia; były to wreszcie luźne, nie opracowane notatki. Spisywane na ćwiartkach papieru pismem maszynowym, częścią włączane były bez określonego porządku do segregatorów, częścią zdeponowane w bibliotekach — Publicznej i Szkoły Głównej Handlowej. Zamiast rzeczy już drukiem ogłoszonych wstawione były kartki ze wskazówkami, w jakim piśmie lub książce można je odnaleźć. Niekiedy Krzywicki opisywał na gorąco to, co widział, o czym świadczą jego opisy burd studenckich w latach 1937—1938.*

Nie można uważać niniejszych Wspomnień *za całość skończoną, gdyż jak to wiem i jak świadczy długoletnia sekretarka Zmarłego, p. Maria Solarska, w ostatnich czasach pracował nad obszernym wspomnieniem o Marcinie Kasprzaku. Niestety, nie dokończony ten rękopis zaginął wraz z materiałami, które przypadkowo miałem u siebie z archiwum Stanisława Mendelsona i których dostarczyłem Krzywickiemu. O tym, że Krzywicki pisał wspomnienia aż do ostatniego czasu, świadczy znaleziona jedyna luźna kartka, w której wspomina o zniszczeniu mieszkania, spowodowanym pociskami armatnimi w 1939 roku podczas walk o Warszawę. Reszty kartek nie dało się odnaleźć.*

W ogóle Wspomnienia *jak i cała puścizna rękopiśmienna Krzywickiego mają już swoją historię, ściśle związaną z ostatnimi chwilami jego życia, z dalszym losem opuszczonego mieszkania i wreszcie z katastrofą Warszawy. Przytoczenie tej historii będzie poniekąd uzupełnieniem tego, czego Krzywicki nie mógł sam napisać, oraz wyjaśni pewne braki w tych* Wspomnieniach.

W 1939 roku w domek przy ulicy Langiewicza nr 25, w którym mieszkał Krzywicki, trafiły dwa pociski: jeden przebił ścianę w gabinecie na piętrze, drugi zburzył kuchnię na parterze, przebił podłogę nad piwnicą i nadwerężył schody wewnętrzne, wiodące na piętro. Krzywicki podczas upadku do piwnicy poranił głowę, wywiązało się ciężkie zakażenie, które wymagało paromiesięcznej kuracji w lecznicy. Pozostała po ranie duża blizna, która oszpeciła piękne, gładkie czoło. Po wyjściu ze szpitala Krzywicki nie naprawiał gruntownie uszkodzeń domu w obawie niemieckich rekwizycji. Zamieszkał w jednym pokoju na piętrze, z którego prawie nie wychodził. W pracy jednak nie ustawał. Jeszcze w lecznicy zażądał przyniesienia maszyny do pisania i dyktował sekretarce. Spieszył z wykończeniem swej kapitalnej pracy o Hordzie pierwotnej, *rozpoczętej przed pięćdziesięciu laty. Dla odpoczynku dyktował o swych poszukiwaniach archeologicznych na Żmudzi oraz wspomnienia o Kasprzaku.*

Kiedy po powrocie do Warszawy latem 1940 roku odwiedziłem Krzywickiego, uderzył mnie widok ruiny i opuszczenia w tym zacisznym dawniej przybytku ładu i pogodnej pracy. Ogródek od frontu, uprawiany dawniej ręką gospodarza, zasypany był gruzem i porósł chwastami. Gabinet, w którym tyle razy radziliśmy nad sprawami Instytutu Gospodarstwa Społecznego, teraz z zalepioną prowizorycznie ścianą, zakurzony, ogołocony z pielęgnowanych przez gospodarza kwiatów, ział pustką. Nie rozbrzmiewało w mieszkaniu raźne szczebiotanie licznych kanarków swobodnie fruwających z pokoju do pokoju. Nie powitało mnie jak zwykle potężne szczekanie Zbója, który odgrywał w tym domu rolę dzwonka zapowiadającego przyjście gościa. — Zbója zabił pocisk.

Nieduży pokój na górze, w którym mieszkał Krzywicki, był zarazem sypialnią, jadalnią i pracownią. Stała tam szafa oszklona z zapasami spiżarnianymi zamiast książek, stały półki z segregatorami, stolik z maszyną do pisania, łóżko, a na środku piecyk szamotowy opalany torfem, na którym gospodarz grzał sobie śniadania i kolacje, obiady zaś przynoszono mu od sąsiadów, pp. Jakimowiczów.

Krzywicki miał odmrożone ręce, siedział w rękawiczkach, w czapce na głowie, ale nie ustawał w pracy i pędził, jak dawniej, systematyczny tryb życia. Spieszył, spieszył z porządkowaniem notat i dyktowaniem... Mówił, że potrzeba mu jeszcze ośmiu lat życia do wykończenia rozpoczętych dawniej prac, odłożonych obecnie dla Hordy pierwotnej. *Miały to być, o ile pamiętam:* Filozofia pierwotna, Antropologia typów zawodowych, Historia ruchów społecznych, Pilkalnie żmudzkie *oraz opraco-*

wanie historii Polski według szkicu nakreślonego przed czterdziestu laty w więzieniu.

Ten mus pośpiechu odczuwał Krzywicki nie tylko w ostatnim roku swego życia. Świadczy o tym jego list pisany w kwietniu 1938 roku. Przytaczam go w całości, gdyż rzuca on zarazem światło na metodę opracowania tematów. W odpowiedzi na propozycję napisania do czasopisma artykułu o Władysławie Grabskim Krzywicki pisze: „Sprawił mi Pan kłopot nie lada swą propozycją. K a ż d a m i n u t a j e s t m i o b e c n i e d r o g a. Chcę dokończyć rzeczy, nad którymi pracuję od lat kilkunastu. Od tej pracy staram się nie odrywać. Każda propozycja napisania czegoś poza tymi łożyskami mojej myśli wprawia mnie w diabelski humor: przynajmniej kilka dni złorzeczę sobie i tym, którzy mnie namówili — nic nie robię ani dla siebie, ani dla kogoś, po czym rozpoczyna się sprawa zbierania materiałów i pisanie". Zamiast artykułu o Grabskim obiecuje dać swe „rozważania o zaludnieniu w dawnej Polsce, ponieważ m a m t e r z e c z y n a p i s a n e o d d a w n a — j e d y n i e o c z e k u j ą p o g ł ę b i e n i a i o s t a t e c z n e g o o p r a c o w a n i a".

Warunki życia i pracy pod okupacją niemiecką stawały się coraz cięższe. Długoletnia sekretarka, której Krzywicki codziennie dyktował, nie mogła już przychodzić. Tak samo przerwała się komunikacja z synową i wnukami — obaj synowie byli poza krajem. Wreszcie odeszła była dawna gospodyni i tylko kobieta z domu naprzeciwko przynosiła obiady i załatwiała sprawunki na mieście. Tak długo trwać nie mogło, zwłaszcza że zdrowie osamotnionego starca jęło się psuć i wymagało troskliwej opieki. Wprawdzie niemal codziennie przyjeżdżał rowerem doktor Jan Rutkiewicz, lekarz i przyjaciel, ale potrzeba było mieć kogoś stale w domu. Najbliżsi sąsiedzi, pp. Konopkowie, polecili na taką opiekunkę niejaką Pielgrzymowską, kobietę starszą, energiczną, wykwalifikowaną pielęgniarkę.

I tu się zaczyna historia, która zatruła ostatnie dni Krzywickiego, a po jego śmierci przyczyniła się do katastrofy z jego puścizną rękopiśmienną i z jego księgozbiorem. Nowa gospodyni zamieszkała w pokoju na parterze i roztoczyła wprawdzie troskliwą opiekę nad profesorem, ale usadowiwszy się w domu na dobre i sprowadziwszy do stołowego pokoju swego dorosłego syna — okazała się Niemką najpodlejszego gatunku. Straszyła Niemcami, węszyła wszędzie Żydów. Krzywicki znalazł się pod kontrolą, czuł się otoczony wrogą atmosferą, rozmowy trzeba było prowadzić oględnie, przyciszonym głosem. Podejrzewał swą gospodynię o to, że denuncjowała jego synową, która zmuszona była wskutek tego zmienić miejsce swego pobytu. Oddalić podłą niemkinię przy ówcze-

snym bezprawiu było niepodobieństwem, nawet opiekun gospodarczy, energiczny Stanisław Kruszewski, nie mógł tu nic poradzić.

Taki stan rzeczy zastałem w lipcu 1940 roku. Na życzenie Krzywickiego odwiedzałem go prawie codziennie, samotny bowiem i chory łaknął snadź obecności kogoś bliskiego i „swego" — z żyjących byłem najdawniejszym „starym, arcystarym druhem", jak głosił napis na ofiarowanej mi ostatniej książce. Rano dyktował nowej sekretarce p. Czesławie Korzeniowskiej swoją Hordę, *a popołudnia należały do mnie. W rozmowach ze mną wciąż powracał do dawnych wspomnień. Niektóre z nich miał spisane różnymi czasy, chciał je teraz uporządkować i uzupełnić. Polecił mi więc pozbierać zdeponowane po bibliotekach odpisy, odnaleźć drukowane w pismach rzeczy, przeczytać i ułożyć w chronologicznym porządku. Tak powstało owych pięć segregatorów, które kazał mi przechować u siebie i które dzięki temu ocalały. Już wtedy, niestety, okazały się luki w niektórych wspomnieniach (np. o Prusie, o* Głosie), *których nie zdążyliśmy już uzupełnić.*

Coraz częstsze objawy niepokojące ze strony serca oraz zaburzenia wzrokowe spowodowały, że Krzywicki zmuszony był już nie opuszczać łóżka. Umysł wszakże miał świeży i jasny, usposobienie pogodne i — chociaż mu to było wzbronione — rozmawiał z ożywieniem. Panowanie w domu Niemki napawało go troską o los jego puścizny naukowej i literackiej oraz podręcznego księgozbioru. Na moje pytanie, co spośród mnóstwa segregatrów z materiałami do prac, z notatkami do wykładów i z korespondencją uważa za najpilniejsze do wyniesienia z domu, wskazał mi segregatory z napisem Horda *i osobną sporą paczkę własnoręcznie zapisanych kartek odnoszących się do tejże* Hordy. *Wyniosłem to ukradkiem przed wrogiem wewnętrznym.*

Nowa sekretarka przychodziła co dzień rano jak dawniej, a także i po obiedzie, ale już nie pisała, lecz w sąsiednim pokoju czuwała nad chorym. Gdy przychodziłem, chory mówił: „Połączcie mnie ze światem" — co oznaczało, żeby mu włożyć na nos okulary, leżące na stoliku. Wtedy prosił, żeby się ukazała we drzwiach „panna Celina" — jak nazywał panią Czesławę, twierdząc, że mu jej widok sprawia przyjemność. Była to zapewne wdzięczność za okazywaną mu bezinteresowną tkliwość niewieścią, jakiej mu brak było w jego otoczeniu.

Zmarł Krzywicki 10 czerwca 1941 roku na zawał mięśnia sercowego. Doktor Rutkiewicz, który był przy nim do ostatniej chwili, mówił mi, że chory umierał jak przyrodnik-badacz, udzielając mu co pewien czas swych spostrzeżeń nad tym, co się w jego organizmie dzieje i co czuje, np.: „Oto teraz przestałem widzieć..."

Zaraz po śmierci zebrała się nas garstka najbliższych — Stanisław Kruszewski (dziś nie żyjący), Tadeusz Szturm de Sztrem, Stanisław Rychliński (zastrzelony przez Niemców), Andrzej Grodek — by przed wkroczeniem Niemców uprzątnąć najważniejsze rękopisy i książki. Wskazówki dawała nam zawiadomiona o śmierci dawna sekretarka, p. Solarska. Niestety, wywiezione wtedy rzeczy tułały się z miejsca na miejsce i tak samo jak cały księgozbiór, wywieziony później przez Kruszewskiego do Państwowego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych (Poznańska 11), zginęły w pożarach po kapitulacji powstania.

Wychodząc z Warszawy 2 października 1944 roku złożyłem przechowywane u siebie segregatory ze Wspomnieniami *i* Hordą, *w piwnicy, skąd już po „wyszabrowaniu" moich rzeczy, z trudem zostały wydostane przez dyrektora Stanisława Lorentza i przewiezione do moich przyjaciół w Podkowie Leśnej. Dla ulżenia ciężaru i zmniejszenia objętości maszynopisy zostały wyjęte z segregatorów.* Wspomnienia *pomieszały się z* Hordą, *a że każdy rozdział miał swoją paginację, straszna była tedy robota, gdy przyszło te dwa dzieła rozłączać.*

Takie są dzieje niniejszych Wspomnień *i takie były niezwykłe warunki przygotowania ich do druku.*

St. St.

Warszawa, w maju 1947

CZĘŚĆ PIERWSZA

DZIECIŃSTWO

1859 — 1870

I

PIERWSZE LATA

Widzę — jak gdyby to było dzisiaj — jak dziadka mojego pakują do olbrzymiej beczki obalonej do poziomu i beczkę tę toczą po ulicy Więziennej w Płocku, w pobliżu miejsca, gdzie przecina się z Bielską. Wyobraźnia moja odtwarza z całą plastycznością płoty, które z jednej strony ciągnęły się wzdłuż tej ulicy, a w głębi, po stronie przeciwległej — wysoki, dwupiętrowy dom, sterczący samotnie w otoczeniu niższych budynków.

Upłynęło od czasu, kiedy obudziłem się ze snu omotany tymi widziadłami sennymi, lat przeszło siedemdziesiąt. A jednak te mary senne stoją wyraźne, wypukłe, wciąż przed oczami. Pierzchają pod dotknięciem myśli krytycznej, ale trzymają się jako obrazy, wbrew rozsądkowi wypływając z pamięci, ilekroć o nich pomyślę. A w dzieciństwie wżerały się w moją jaźń całą mocą jako rzeczywistość, kiedykolwiek wypadło mi wejść na ulicę Więzienną.

I nie tylko mary senne wieku dziecięcego w taki sposób kładły się na rzeczywistość mnie otaczającą, niemal wżerały się w nią i całkowicie ją zasłaniały. Przecie już kiedy liczyłem przeszło lat czterdzieści, widocznie śniłem razu jednego, iż jadę koleją do Petersburga i że, między innymi, pociąg musiał się zatrzymać w Kałkunach i my jadący przedostaliśmy się piechotą przez Dźwinę do Dyneburga. Obrazy, które przesunęły się w umyśle podczas snu, były tak silne i tak przyćmiły rzeczywistość, że przy najbliższej ponownej podróży do Petersburga ze zdziwieniem rozglądałem się po okolicy, nie znajdując ani promu, który nas przeprawił na drugi brzeg, ani parokilometrowej piaszczystej drogi pnącej się w górę. Przyglądałem się zdumiony równinie po drugiej stronie Dźwiny, tam gdzie według mnie winna była wznosić się wysoka góra, a na niej miasto z cerkwią na samym początku. Dopiero wtedy zrozumiałem moc snu i jego zwodniczość. A właściwie dopiero wtedy, w drodze

wnioskowania, odwołałem się do snu jako do źródła mego opętania i z nim powiązałem nie istniejące, obłędne obrazy Kałkun i drogi przez rzekę. I w późniejszych moich podróżach do Petersburga, już świadom, że nie dojrzę ani promu, ani góry, ani cerkwi, przecież przyglądałem się krajobrazowi, a w pamięci wciąż wypływały obrazy-mamidła...

W obu powyższych przypadkach wyłuskałem rzeczywistość spośród złudzeń, które w nią się wplotły i całkowicie ją przyćmiły. Naturalnie, z owej beczki zawsze uwolniłbym swoją wyobraźnię, ale gdybym nie odbywał później niektórych podróży do Petersburga, czy oswobodziłbym się od owego obrazu promu, góry, cerkwi? Pytanie to zadaję sobie obecnie, gdy imam się kreślenia swoich wspomnień. Czy nie wplotły się w nie także takie fałsze, w umyśle mym uchodzące za najwierniejszą prawdę? Że w latach podeszłych dopuszczam się przeinaczenia i fałszowania tego i owego z przeszłości — mam na to dowody. Najczęściej przekształcam nazwiska osób — parę razy złapałem siebie na tego rodzaju fałszowaniach rzeczywistości. Niekiedy cała sytuacja jakiegoś zdarzenia przedstawia mi się w ujęciu, które, jak przekonałem się dzięki korzystnemu zbiegowi okoliczności, np. istnieniu jego uczestników, nie odpowiadało rzeczywistości. Tego rodzaju zdarzenia pozwalają mi przypuszczać, że mogę popełniać tego samego rodzaju mylne oceny, plątać nazwiska, i to w całkowicie dobrej wierze, iż jestem w jak najlepszej zgodzie z rzeczywistością. I rzecz ciekawa, im obrazy przeszłości przypadają na późniejsze lata życia mojego, mam wrażenie, iż takie wtręty i wykoślawienia są częstsze. Największą ufność żywię względem wspomnień z dzieciństwa, a niekiedy z młodości; tak ostro utkwiły w pamięci, iż gdybym był rysownikiem — odtworzyłbym je drobiazgowo: oglądam ludzi, domy, drzewa, parkany, jak gdyby stały przede mną w postaci jakichś nieuchwytnych, falujących mgieł, ale pod które podsuwam obrazy dające się sformułować za pomocą słów. Może i tutaj niejednokrotnie płata mi psoty pamięć. Ale obrazy-mgły są tak zgodne z rzeczywistością, tak wolne od zarzutów, którymi mógłbym je obarczyć, w końcu tak żywe pomimo swojej powiewności wzrokowej, iż mam poczucie ich niewątpliwej wiarogodności. Jedynie obraz, który mogę w każdej chwili odtworzyć, nie daje się umieścić, a raczej nie umiem go umieścić w ramach rzeczywistości. Niski pokoik, którego ściany od góry do dołu pokryte są dywanami — jakaś świeca daje skąpe światło, a na łóżku ktoś leży i jakoś dziwnie na mnie spogląda. Matka moja, gdy

jej raz jeden i drugi opowiadałem o tym wspomnieniu, twierdziła, iż jest to obraz konającego ojca mego. Ale czy dziecko mające zaledwie półtora roku, gdy je na ręku przyniesiono do umierającego ojca, mogło to zapamiętać? Przecież nie uświadamiało sobie doniosłości tej chwili. Czy nie tkwi tu coś z tych wetkniętych w rzeczywistość złud dzieciństwa?

Natomiast pamiętam dobrze parę zdarzeń związanych z powstaniem 1863 r.

A więc pamiętam, jak matka moja, ciotki i ja w ich towarzystwie odprowadzaliśmy wuja Władysława, który ze swoim przyjacielem, niejakim Brandtem — nawet to nazwisko zapamiętałem dobrze, jak mi potem w czasach moich uniwersyteckich potwierdziła matka — ruszał w Sochaczewskie, gdzie przy udziale różnych starszego wieku kuzynów tworzyła się partia. Towarzyszyliśmy im do parowu i płynącej w nim a wpadającej do Wisły strugi, za którą leżą Winiary. Tam już sami spuścili się z góry na dół. Przy brzegu Wisły czekała na nich łódź, którą przeprawili się na drugi brzeg rzeki, a stamtąd lasami do posterunku pośredniczącego w Jarząbku, gdzie zamieszkiwał nadleśny Wilkowski. Zdaje się, że odjechali stamtąd wraz z synem Wilkowskich Henrykiem (?), który, ujęty później, był zesłany na Syberię. Jarząbek wraził się silnie w pamięć moją dziecięcą. Tam wciąż przebywały obie siostry matki mojej i z panną Wilkowską służyły w charakterze, jak obecnie powiedzielibyśmy, łączników, dowożąc bryczkami żywność, konno przenosząc zawiadomienia itd. O tym dowiedziałem się dopiero w latach późniejszych. I tam, bawiąc w Jarząbku z matką, widziałem po raz pierwszy i ostatni niewielki oddział konny powstańców. Przez krótką chwilę gościł on w Jarząbku, lecz mnie wyprowadzono, tak że nie wiem, co robił i jak długo się zatrzymał. Ujrzałem ich z okna — wybiegłem do ogrodu. Tam w zwyczajnym wiejskim płocie, pośrodku jego wysokości, tkwiła poziomo niewielka deska, obu końcami swymi opierająca się na pionowo wbitych w ziemię palach. Takie ułatwienia do przedostania się przez płot były w owych czasach na wsi w powszechnym użyciu. Przelazłem więc przez płot, lecz w tej chwili porwano mnie, wyprowadzono z domu, tak że nic nie wiem, co goście robili i jak długo bawili. I do tych obrazów ówczesnych doplątują się późniejsze, związane z losami owych młodych dziewcząt-łączników. Staję w obliczu zmian, z którymi pogodziłem się dopiero w latach dojrzałych jako ze zjawiskiem niestety częstym w życiu; panna Wanda, takie było bodaj imię Wilkowskiej — w parę lat po

powstaniu zakochała się na zabój w oficerze rosyjskim, a ponieważ rodzice sprzeciwiali się jej zamążpójściu, zaniemogła poważnie, z choroby wywiązała się blednica, która skończyła się jej śmiercią. Umarła u nas, przywieziona, by mieć lekarza tuż pod ręką. A ciotki moje? Nadaremnie w latach swoich akademickich poszukiwałem w ich psychice jakichkolwiek śladów, że i one były kiedyś faryskami... Zagadnięte przeze mnie o owe czasy, odpowiadały całkiem obojętnie, jak gdyby rzecz ich nie dotyczyła — nie z obawy, nie z niechęci, ale ponieważ rzecz wyszła zupełnie z torów ich życia, tak jak w niepamięć idzie lekki zawód uczuciowy z lat dziewczęcych. Moimi rozpytywaniami były kompletnie zdziwione. I ich mężowie, którzy w Sochaczewskiem znaleźli się w jednej partii z wujem Władysławem i przezeń trafili do naszego domu i żeniaczki, całym swoim postępowaniem bynajmniej nie dawali świadectwa temu, że i sami niegdyś tułali się po lasach pomiędzy Wisłą a Sochaczewem, że leli kule w zakątkach kościoła w Szymanowie lub w piwnicach plebanii w Kaskach. Jedynie wuj Władysław, pomimo że życie go ciężko doświadczyło, zachowywał się inaczej. Gdy zostałem wyrzucony z uniwersytetu i osadzony w Płocku, zagrożony w każdej chwili więzieniem — znalazłem u niego zrozumienie i schronienie, a w młodszych latach gdzieś na strychu w jego dworze wygrzebałem był zeszyt, zużyty od rąk ludzkich, z przepisanymi pieśniami patriotycznymi 1863 r.

Ale wracam do moich wspomnień z czasów samego powstania. Przytoczyłem wspomnienia najwyraźniejsze. Oto noc. Zajmowaliśmy w Płocku cały dom murowany na rogu ulic Królewieckiej i Bielskiej. W pobliżu, naprzeciwko kościoła reformatów, znajdował się Czarny Dwór, rezydencja Kozaków. Na ten Dwór którejś nocy uderzono zbrojnie. Następny dzień od świtu przyniósł moc wrażeń. Już w nocy słyszałem, jak matka klęczy i modli się prosząc Boga o zwycięstwo dla powstańców. Dnia następnego i ona, i ciotki mają oczy zapłakane, to ten, to ów wpada z nowinami lub po nowiny. To znowu przez rogatki Bielskie wyruszały oddziały wojska rosyjskiego. Tędy w nocy przewożono jeńców i rannych, a cały nasz dom przez szpary w okiennicach usiłował coś wypatrzyć. To znowu pewnego ranka cała ulica Bielska i pobliskie części Królewieckiej zapchane były wozami włościańskimi. Co to był za zjazd, nie wiem. Tylko obraz ten plącze się jakoś z obrazami innymi, a więc z nocnymi podglądaniami przez szpary, z postojami dwóch, trzech Kozaków w ciągu wielu tygodni w naszym domu — chodziło o wpłacenie jakichś pie-

niędzy — to znowu z pojawieniem się większej liczby żołnierzy, którzy czegoś u nas szukali. A w końcu jakaś wielka uroczystość na Starym Rynku: dużo wojsk, muzyka, nie znane mi szaty duchowieństwa rosyjskiego, jacyś dygnitarze wojskowi i żadnej publiczności polskiej, tylko tu i owdzie za szybami widać twarze, tylko ja z Marychną, córką naszej zrzędzącej starej sługi, w cukierni, do której poszliśmy po kupno przyobiecanych mi karmelków, przez szybę przyglądamy się uroczystości.

A z opowiadania matki wiem, że miałem i własną przygodę powstańczą. Szedłem w towarzystwie — obecnie powiedziano by... „bony", ale czynności Borkowskiej były rozleglejsze niż bony obecnej: była przełożoną nad kuchnią, rządziła po swojemu w całym gospodarstwie, a w końcu opiekowała się moją osobą, a przede wszystkim zrzędziła przy każdej okazji.

Szliśmy należytym trybem: Borkowska trzymała mnie za rękę, żebym czegoś nie spsocił, i ciągnęła gotowego zerknąć to tu, to tam; za nami o dziesięć kroków szła jej córka Marychna, starsza o parę lat ode mnie, w końcu taszczył się ulubieniec Borkowskiej, tak samo kulawy jak i jego właścicielka, Azorek, strofowany również w chwili, gdy chciał pokumać się z innym psem. Przechodził oficer rosyjski — schwyciłem jakiś patyk, wycelowałem do niego, wołając: „Paf!" Wystrzeliłem z patyka, jak się okazało, do przyzwoitego człowieka. Zatrzymał Borkowską i ostrzegł ją, aby na przyszłość nie pozwoliła robić dziecku takich rzeczy, bo ktoś inny może pociągnąć do odpowiedzialności zarówno ją, jako moją dozorczynię, jak i całą rodzinę, która swoimi rozmowami usposobiła dziecko do takich czynów. Borkowska najbardziej była niezadowolona: skarżyła się przed moją matką, iż trzymała mnie za rękę, a jednak umiałem gdzieś zaopatrzyć się w patyk.

Na tym kończą się wszystkie moje bezpośrednie wspomnienia o r. 1863 i wszystkie słyszane opowieści. Po zdławieniu powstania milczenie legło na usta ludzkie. Spoczęło i na ustach mojej rodziny. Matka moja ani słowem nie wspominała tych czasów — jedynie przechowywała w komodzie jakieś krucyfiksy robione z chleba, jakieś inne wyroby z takiego samego materiału, a pomiędzy nimi jakąś fotografię. Przedmioty z chleba były robione w więzieniu przez powstańców, fotografię odnalazłem w trzydzieści lat później i mam ją dotychczas — jest to fotografia Padlewskiego, rozstrzelanego w Płocku.

Niekiedy czyjeś nazwisko otacza legenda pełna fałszu i urojeń.

Taką legendę słyszałem o Padlewskim w końcu lat osiemdziesiątych w Płocku. Słyszałem od staruszka pijaka, bodaj Zagłoby płockiego w małym stylu. Chodziło o wykradzenie Padlewskiego z odwachu, nim, przewieziony do Płocka z miejsca, gdzie ranny dostał się do niewoli, będzie stawiony przed sądem. Inicjatywa miała spoczywać w rękach jakiejś niewiasty — nazwiska jej nie dowiedziałem się. A właściwie chodziło nie o wykradzenie, ale o zamianę Padlewskiego na innego jeńca. W Warszawie istniał jakiś eks-wojskowy bardzo podobny do Padlewskiego; miał dostać się do odwachu płockiego, swój paszport eks-wojskowy miał dać Padlewskiemu i umożliwić mu wyjście. Legenda wciąż się powtarzająca. Prawie identyczną słyszałem o Traugucie (jeszcze bardziej sztucznie skleconą), o L. Waryńskim, w końcu o Piłsudskim, gdy był w Magdeburgu. Miejsca były inne: Magdeburg zamiast Płocka, Kijów zamiast Warszawy, ale istota rzeczy była ta sama.

O wiele jeszcze później, gdy byłem aresztowany w r. 1899, matka opowiadała mojej żonie o manifestacyjnym pogrzebie, na którym była, kiedy chowano poległych na polu bitwy pod Ciechomicami w odległości paru mil od Płocka. O topielcach, których Wisła wyrzuciła pod Płockiem i którym wyprawiono pogrzeb manifestacyjny, jako ofiarom strzałów na placu Zamkowym — pięciu z nich spoczęło na Powązkach, innych, jak twierdzono w Płocku, rzucono do rzeki. I o tym, jak sama była aresztowana z powodu swojej żałobnej sukni, którą z początku nosiła po moim ojcu, a potem odkładała termin zdjęcia żałoby — jednak nie pociągnięto jej do dalszej odpowiedzialności. A kiedy, dowiedziawszy się o tych przejściach od żony mojej, po wyjściu z Cytadeli zagadnąłem matkę, dlaczego mi dotychczas nic o tym nie mówiła, odrzekła: dużo byłoby mówić o tych rzeczach, ale lepiej o nich nie wspominać, bo to są rzeczy bardzo smutne. Słyszałem jedynie jakieś opowiadania jeszcze później od staruszki, mojej wujenki — jak ją nazywałem, właściwie mojej babki matczynej. Zwłaszcza gdy zakomunikowała mi swój testament, którego byłem wykonawcą, i w nim zapisywała około 2000 rb. synowi niejakiego Rottermunda, z którym ją wiązały przyjacielskie stosunki z okresu powstania i który musiał z powodu czynnego w nim udziału emigrować. Był to ostatni hołd złożony przez nią wspomnieniom 1863 r. — żyła nimi. W ostatnich latach życia swego mieszkała z nami i kiedy w jej obecności aresztowano mnie w r. 1907, omal że nie rzuciła się na żandarmów. Jeden z nich zostawił przez zapomnienie dużą chustkę od nosa — czerwoną. Kazała ją spalić

jak zapowietrzoną. A kiedy właściciel przyszedł upominać się o swoją zgubę, wypaliła mu, iż żandarmom nie przystoi używać czerwonej barwy chustek — spalić ją kazała, „ażeby uchronić Was i siebie od Cytadeli!... A może Wy również rewolucjonista?“ A później, kiedy wyszedł z miną mocno niefortunną, miała się zanosić od śmiechu — nie byłem w domu obecny, z Korczakiem siedziałem wtedy w więzieniu na ul. Spokojnej. Była mocno czynna w powstaniu. W Sochaczewskiem kierowała pomocą dla powstańców, przygotowywaniem szarpi, dowozem żywności i laniem kul. Na moje prośby, tytułem próby, opisała swoją wycieczkę do partii, do której miała dowieźć żywność i przewieźć ekwipunek dla mojego wuja. Opowiadała z wielkim humorem. Co chwila wybuchał śmiech wśród słuchaczy. Lecz to, co napisała, jest niezdarną opowieścią. Była wyjątkową narratorką, lecz kiepską pisarką. Zresztą, gdy pisała, miała pod osiemdziesiąt lat. Przytaczam całą jej opowieść, bezkrytyczną, ale oddającą zarówno nieprzygotowanie powstańców jak i wynikający z tego stan rozprzężenia.

„Zdarzenie w roku 1863: wyprawa do partii. Kuzyn bliski mego męża wychodził do partii i w tym folwarku, do któregośmy pojechały, mieli dostać partyzanty konie i mundury, i tak dalej. Wchodzimy do środka tego folwarku z moją znajomą, aby dać bieliznę kuzynowi. Przedstawia nam się taki widok — musztra na koniach odbywa się w obecności dowódcy, przybranego w pióra na głowie. Koni było najwięcej 10 i ciągle czekali na transport koni, a żołnierze, którzy się musztrowali, byli bez butów. Patrzę, a tu przychodzą partyjni z lasu, tak z dziesięciu ludzi, wszyscy boso, z kijem w ręku. „Proszę pana dowódcy, my chcemy do partii — za Ojczyznę“. Bardzo to było rzewne, tak dowódca partii myśli: „Moi kochani, dobrze, ale czekamy na konie, co mają przyjść“, gdyż to miała być kawaleria ruchoma. A więc czekają na konie. Ja tu chcąc zdobyć dla mego kuzyna umundurowanie, dopytałam się, gdzie skład tych mundurów, który był w stodole — złapałam nareszcie parę, bo do tego była ogromna ciżba, i jestem zadowolona, że mój kuzyn ma mundur i konia od wożenia wody. Zdobyłam to wszystko i nareszcie mój kuzyn zaczyna umundurowanie w gorzelni — i czekam końca, a wtem od przeciwnej strony chłop wpada na spienionym koniu i: „proszę pana dowódcy, Kozaki jadą na naszych od strony lasu“. Taki rozkaz: „pani, proszę odjeżdżać“. Ja patrzę, a mój Władek na koniu. Mundur i na

ręce, i od dołu za długi na niego — ledwie nie *umrę od śmiechu*, patrząc na jego defiladę przede mną. Ale nie było co, bo Kozaki jadą — cała owa partia się gdzieś rozleciała, ani śladu, więc z moją znajomą idziemy do swoich koni, aby odjechać. Ledwieśmy znalazły i nareszcie jedziemy. Dojeżdżamy, na rogu karczma — stoi pikieta, zupełnie umundurowany, na koniu, tak lat 15 chłopak, a tu przychodzi dorosły chłop i tego małego ściągnął za nogi, a sam na konia i za partią poleciał. My nadjechały, on nam bez pytania wleciał na bryczkę i co z nim robić? Nareszcie jedziemy i on z nami. Patrzę dalej — jakiś się tuman wznosi na drodze. Piechota i konnica jedzie na nas. Ja żegnam się, Bogu duszę polecam. Co tu z tym chłopcem robić — zupełnie w mundurze i pałasz i rewolwer. Ale myślę, mam krynolinę dużą, to dobre schowanie będzie. „Właź, chłopcze, pod krynolinę — i cicho siedzieć!“ I jedziem dalej. Patrzymy, a tu bydło idzie z pola i ludzie razem, tak się zdawało, że piechota i konnica. Odetchnęłam trochę. „Wyłaź spod krynoliny!“ Ów partyzant pokazał się z ukrycia, a takie sobie był dobrał umundurowanie dopasowane, że aż zdziwiłam się. Ja nie mogłam dobrać tak zgrabnie. I pytam: „Skąd jesteś? — a to z Łowicza od szewca. — „Zaraz mi oddaj wszystko we wskazane miejsce, bo to krwawy grosz, a ty skrob kartofle swemu majstrowi, jeszcze na ciebie będzie czas!“ I kazałyśmy tu i tu wszystko oddać, a w tydzień już po partii ani śladu i nasz kuzynek uciekinier. A była to porządna partia — mieli broń, i mundury. Koni jeszcze nie było. Ani śladu tej partii nie widziałam nigdy na oczy. Strzelcy byli zuchowne, porządne było umundurowanie“.

Ta pierwsza próba tak ją zniechęciła, tak była poniżej tego, co opowiadała i co przyrzekła była napisać, iż nadaremnie tłumaczyłem jej, aby nie porzucała wspomnień. Przecież była czynna właśnie przy drobiazgach, w obrębie tyłów powstańczych. Ale zawzięła się: nie jestem od pisania, ale w razie powstania wezmę choćby miotłę i pójdę!

Żałuję mocno dzisiaj, że zamiast namawiać wujenkę do pracy, której z powodu wieku nie była w stanie podołać, nie wziąłem się do zapisywania jej wspomnień w toku jej opowiadania iskrzącego się od dowcipu, niekiedy rzewnego w drobiazgach, to znowu pełnego humoru i śmiechu. Nie pierwsza to była kobieta w moim dzieciństwie, której opowiadania chętnie bym utrwalił w druku, z tą tylko

różnicą, iż to z mojej winy wspomnienia wujenki zostały niezapisane. Natomiast gdy chodzi o panią Elechniewiczową, gospodynię u stryjka kanonika w Kaskach, która jako swoje dziecko adoptowała jego synka, z konieczności nieprawego, pozostały mi w pamięci jedynie niejasne sytuacje, budzące we mnie, dzieciaku siedmioletnim, dreszcze zgrozy. Rodzice jej bowiem mieszkali na Pradze w chwili wdarcia się wojsk Suworowa. Dziecko gdzieś ukryto w dole, bodaj pomiędzy rzepą a główkami kapusty. Staruszka sama płakała przy opowiadaniu, prawdopodobnie coś dodawała i przekręcała, bo innym razem, gdy znowu o tym samym opowiadała, ku mojej irytacji rzeczy wyglądały inaczej, jedynie łzy pozostały jako trwały składnik obrazów przeszłości. Natomiast gdy dotknęła innych czasów — rewolucji, głodów itd., jej opowieść była bardziej zwarta. Naturalnie, wszystko ograniczało się do przeżyć jej osobistych i najbliższych krewnych. Sądzę, że znowu wspomnienia zwykłej kobiety, jednak ocierającej się o to i owo, nie byłyby bez interesu — przynajmniej ja osobiście lubiłem jej słuchać i wypytywać się. I starsi chętnie przysłuchiwali się jej gawędom o przeszłości.

Jeszcze inaczej stoją rzeczy z panią Tomkiewiczową, żoną wójta na Kurpiach, wyposażonego w szerokie pełnomocnictwa może nie tyle przez prawo, ile przez stary zwyczaj puszczański i uległość ludności. Cała rzecz, iż nie pamiętam, czy to ona opowiadała, czy ktoś powtarzał jej opowieści. Cała moc obrazków rodzajowych odtwarzających zwyczaje w puszczy i tryb życia w okresie, gdy Kurpików jeszcze nie wzięła w karby nowoczesna administracja i władza leśna z ramienia rządu zaborczego. Utkwiła mi mocno w pamięci powtarzająca się opowieść o zapasach pana wójta w spiżarni: z wieprza domowego i dzika, z sarny po kilkanaście szynek w niej wiszących, beczki miodu naturalnego i gąsiory syconego, półgęski wędzone i ptactwo leśne w różnej postaci, a w garderobie niewieściej samodziały i płótna, zapaski i ręczniki — to kochane Kurpiki bądź z dobrej woli, bądź z musu znosili upominki swemu wielkorządcy-wójtowi. A chociaż pensja była niewielka, przecież konie były dorodne, obory pełne, a jadła i trunku w domu jak gdyby na przyjęcie paru tuzinów gości. Widocznie dobrze się żyło ludziskom, którzy piastowali godność wójta na puszczy...

Ale zawracamy znowu do przerwanego wątku o moim dzieciństwie. Usiłuję przypomnieć sobie czasy swego dzieciństwa i niewiele, przynajmniej gdy chodzi o rzeczy poważniejsze, mogę wydobyć z siebie.

Zarówno jesienią i zimą w Płocku jak i podczas lata na wsi pozostawiano mi jak największą swobodę. A dla harców miałem zawsze w latach dziecinnych dużo przestworu. W Płocku posiadłości dziadka i matki ciągnęły się niemal od ulicy Więziennej, przerzucały się przez ulicę Królewiecką i urywały się gdzieś na połowie pomiędzy tą ulicą i rogatkami Bielskimi. Były tam dwa domy: jedna duża, dwupiętrowa kamienica i drugi dom murowany parterowy z olbrzymią oficyną do niego równoległą, zagony pod warzywami, dwa ogrody owocowe, a w ogrodach — na wielką skalę zakrojone, niefortunne urządzenia pomysłu dziadka. A więc w ogrodzie ciągnącym się ku rogatkom — olbrzymi czworokątny staw, spuszczający się paru tarasami ku dołowi, gdzie dopiero ukazywała się woda. Woda w stawie znajdowała się dość głęboko, tak iż gdy trzeba było podlewać ogród, łatwiej ją było wydobywać ze studni znajdującej się w końcu ogrodu tuż przy sadzawce. Dziadek zamierzał tam, w stojącej wodzie sadzawki, hodować karpie na potrzeby domu spożywającego dość duże ilości ryb. Drugim takim arcydziełem praktyczności, ale już w innym ogrodzie, była altana. Altana nad altanami. Mierzyła z każdego boku około trzech metrów, ściany były masywne, zwarte, z desek gładko heblowanych i starannie spojonych. Od frontu prowadziły do niej drzwi z dwóch części złożone, a zamykane na klucz, z obu stron drzwi były okienka, z tej strony ciągnęły się podcienia utworzone przez wydłużenie dachu, którego krawędzie spoczywały na palach. Raczej domek jednorodzinny, w którym, postawiwszy piecyk, można było mieszkać nawet w porze zimowej. W suficie altany był duży otwór do wchodzenia po drabinie, a wszystko to było pokryte dachem z blachy. W jakim celu zbudowano tę landarę, doprawdy nie umiałbym powiedzieć. Podobno miała służyć w jesieni, między innymi, jako suszarnia owoców, choć wobec licznego domu, liczącego prócz służby i codziennych gości podczas obiadów jakieś siedem osób, już późną jesienią nie było owoców — zostały spożyte lub rozkradzione. Pomnę, że latem było tam przeraźliwie gorąco. Na jesieni suszyły się tam pęki różnych kwiatów i warzyw, celem otrzymania nasion. Sterczały szpadle, motyki, kije z hakami do zrywania owoców, drabiny i drabinki, sznury do mierzenia, słowem — cały skład rzeczy potrzebnych, a niekiedy zgoła niepotrzebnych.

Prócz ludzi przychodzących po te narzędzia albo przynoszących pęki kwiatów lub kłącze georginij i cebulki tulipanów — nikt altany nie odwiedzał: skwar każdego odstraszał. Byłem bodaj jedynym

mieszkańcem altany. W chwilach burz domowych, które od czasu do czasu zrywały się nad moją głową, a jeszcze częściej, ilekroć udawało mi się z szafki bibliotecznej dziadka ściągnąć książkę, o której powiadano, że jestem jeszcze za głupi, żeby ją czytać, chroniłem się tutaj, wdrapywałem po drabinie pod dach i drabinę potem odrzucałem, mając na górze gładki drąg, po którym w potrzebie zsuwałem się na dół, bezpieczny od wszystkich natrętów, a przede wszystkim od lekcji muzyki na fortepianie. Nikt w czytaniu mi nie przeszkadzał.

Nigdy nie zdarzyła mi się taka katastrofa jak w Kliczkach, dokąd dziadek, zabrnąwszy w interesy, przeniósł się dla oszczędności. I tam bez pytania pożyczyłem książki z zamkniętej na klucz biblioteki. Dobrałem się do *Żyda wiecznego tułacza* Eugeniusa Sue. Czytywałem go na jednej ze stert słomy stojących w pobliżu stodoły. I tam książkę chowałem, gdym schodził na dół. Pożerałem, pełen ciekawości, tom po tomie. Przy którymś z tomów środkowych zerwała się burza i stronice nieoprawnej książki rozrzuciła po dużym podwórzu, zaniosła do ogrodu i nawet parę kartek utopiła w Łydyni. Nazajutrz po burzy dziadek spostrzega tu i ówdzie leżące i pływające papiery, podnosi jeden, drugi, czyta i domyśla się, iż są to cząstki jakiejś książki, a jeszcze później, iż jest to *Żyd wieczny tułacz,* znalazł bowiem kartkę tytułową. Woła naturalnie Ludwika do pomocy i głośno rozmyśla, jakim cudem taka katastrofa dotknęła książkę, która powinna tkwić pomiędzy swymi siostrzycami w szafie. Milczę, lecz znalazłszy stronicę, do której doszedłem w czytaniu, zacząłem kartkę czytać i robię uwagę, że treść jest bardzo ciekawa, żeby dał mi całą rzecz do czytania. Dziadek odpowiada opryskliwie, przypuszczając, iż musiałem gdzieś znaleźć książkę i wywlokłem ją z domu, a zapomniawszy zostawiłem ją na dworze...

Byłem już wtedy wyrostkiem. Altana dawała mi większe bezpieczeństwo. Mogłem spokojnie siedzieć w swojej skrytce, nie dbając o cały świat, który również nie interesował się moją osobą, póki nie nadchodził czas sąkramentów domowych w postaci obiadów i podwieczorków. W ogrodzie miałem swój własny ogródek, w którym rosło i plątało się z sobą wszelkie ziele kwieciste i który był powodem wielkiego podziwu dla mojej osoby, katastrofy zaś dla pacholęcia w moim wieku, syna jakiegoś podpułkownika w czynnej służbie, Rosjanina. Prawdopodobnie liczyłem wtedy około siedmiu lat. Jak poznałem tego swego rówieśnika, nic a nic nie pamiętam. Ojciec jego mieszkał w świeżo zbudowanej, należącej do mojej matki ka-

mienicy, która była oddzielona od ogrodu i domu dziadka wysokim płotem. Niekiedy furtka prowadząca na podwórze domu matczynego bywała otwarta i mój rówieśnik wchodził w sposób normalny. Niekiedy, żeby dostać się do mnie, przełaził przez płot. Widywaliśmy się często. Porozumiewaliśmy się tylko w polskim języku. Razu jednego, gdyśmy byli zajęci pieleniem mojego ogródka, ręce zaś, a może i twarze — było to po deszczu — mieli umorusane ziemią, zjawił się znienacka nieproszony i niepotrzebny pan pułkownik tuż nad naszymi karkami. Mój towarzysz na dźwięk głosu ojcowskiego struchlał — stał się sztywnym automatem, pułkownik coś do niego mówił twardym głosem. Wyrazów nie rozumiałem, ale ruchy mojego towarzysza mówiły niedwuznacznie o treści napomnień ojcowskich. Rozkaz pierwszy widocznie brzmiał: „Spuszczaj spodnie“, inny: „Kładź się na ziemi“. I zamaszyście podniosła się ojcowska ręka zbrojna w szpicrutę...

Co było dalej, nie wiem, bom umknął. Z ofiarą nie znanych i niezrozumiałych mi zasad wychowawczych — mówię wychowawczych, bo w głosie pana pułkownika nie odczułem żadnego gniewu — było to tak spokojnie powiedziane, jak do mnie mówiono podczas podwieczorku: „Siadaj na swoje miejsce“ — zobaczyłem się dopiero po paru tygodniach; przelazł przez parkan, żeby dostać się do mnie. Zawiadomił, że ojca nie ma w Płocku, gdyż wyjechał na dni parę, bo inaczej bałby się przyjść. Nie wolno mu było nigdzie bywać bez opowiedzenia się ojcu. W ogóle często wypada mu spuszczać spodnie i dobrowolnie się kłaść, robi to natychmiast, gdyż w razie płaczu, próśb, tłumaczeń — dostaje porcję podwójną. Bodaj że było to nasze ostatnie widzenie. Zresztą, towarzyszów mi nie brakło. Nazwisk ich dzisiaj nie pamiętam. Z nimi zapuszczałem się het, daleko od domu: to kąpać się na księżych błotach pod kirkutem, to polować na bąki po górach wśród krzaków berberysu, to pluskać się w Wiśle i próbować ze strachem wypływać na miejsce, gdzie nie można było gruntować, zresztą obwarowane dokoła olbrzymimi głazami. Że z tych doświadczeń wyszedłem cały, dotychczas się temu dziwię. W Wiśle, właśnie w tym miejscu okolonym głazami, po raz pierwszy rzuciłem się z kamienia w wodę, nie wiedząc, że tutaj jest głęboko. Nogami nie mogłem dostać dna, lecz w strachu przypomniałem sobie radę wuja, że trzeba nabrać jak najwięcej powietrza w płuca i tłuc rękami i nogami o wodę. W ten sposób przepłynąłem 6—7 metrów do innego głazu. Wypadek ten mnie zachęcił, zacząłem się pomiędzy głazami czuć jak u siebie w domu, pewny, iż wypłynę cały.

Inne doświadczenie wiąże się z pobytem w Kaskach. Było to w porze letniej, za czasów srożącej się cholery (bodaj w roku 1866). Miałem w pasiece ulubione duże drzewo z gruszkami jedwabnicami. Było to moje bocianie gniazdo: wśród rozłożystych gałęzi nie bardzo byłem widoczny, a mogłem przewybornie obserwować duży sad, pasiekę, stawy i naturalnie wszystko, co się tam działo. Z apetytem zrywałem świeże gruszki i jadłem jedną po drugiej, a jednocześnie łzy płynęły mi po twarzy, bo takiego żarłoka owoców na pewno cholera nie ominie — więc lęk przed cholerą i pociąg do gruszek walczyły o lepsze. Grusza ta służyła mi w charakterze miejsca wywczasów i później. Mój kuzyn — nieprawego łoża — sadowił się na innym drzewie, a rozmawialiśmy dodając do każdej zgłoski dźwięk *nawa,* np. co*nawa* ty*nawa* mó*nawa*wisz — ku zdziwieniu gospodyni, służących, którzy nic z naszej rozmowy nie rozumieli.

Z Kaskami wiąże się cała moc wspomnień moich z pacholęctwa — bądź przyjemnych, bądź przykrych — choć czas starł przykrość i dzisiaj z uczuciem rzewnym odgrzebuję tę przeszłość. Rokrocznie w ciągu wielu lat spędzałem kilka miesięcy tutaj — pamięć odgrzebuje z zapomnienia różne zdarzenia smutne i komiczne, pełne płaczu dziecięcego i rozbrykania. Zwykłe zdarzenia w życiu pacholąt. Jedno z nich naprasza się pod pióro — bez głębszego powodu. Wiele innych mogłoby rościć sobie większe prawo do uwzględnienia ich w mojej opowieści. Może utkwiło tak mocno z powodu głębokiego zadowolenia, jakiego naówczas doznałem.

Było to, gdy liczyłem sześć, a może siedem lat. Naturalnie, lubiłem jeździć drabiniastymi wozami, którymi zwożono zboża z pola, i powracać leżąc na snopach lub na sianie na górze. Pewnego dnia, wyszedłszy po obiedzie, spostrzegłem wozy wyjeżdżające ze stodoły. Za ostatnim z nich pognałem. Ale nadaremnie wołałem na furmana. Na moje nieszczęście, na wozie znajdował się o parę lat starszy ode mnie chłopak, syn naturalny stryja, z którym bezpośrednio przed obiadem się pokłóciłem, a nawet pobiłem. Jakąś wiorstę gnałem za wozem, który jak gdyby naumyślnie wolno jechał, lecz trzymając się wciąż w tej samej odległości ode mnie. Potem, daleko od folwarku, furman zaciął konie i wóz zniknął mi w oddaleniu. Znalazłem się sam jeden na drodze polnej, zgrzany, spocony. W pobliżu malcy na świeżym ściernisku rozpalali ogień. Zaciekawiony podszedłem do nich. Dowiedziałem się, że mają zamiar piec kartofle. Naturalnie, wyraziłem gotowość przyłączenia się do nich. Dzisiaj pojmuję, że byłem dla nich pożądanym towarzyszem. Prze-

cież mogli bezkarnie wykopywać kartofle na polu stryja — obowiązek ten całkowicie spoczywał na mnie, a spełniałem go gorliwie. Tak samo chętnie zbierałem suche łajno po polach do ogniska — inne, a nie znane mi zajęcie.

Moi wspólnicy objaśnili mnie, że przy takim ogniu kartofle pieką się najlepiej. Od czasu do czasu razem z nimi zaganiałem prosiaki do gromady, gdyż malcy paśli trzodę chlewną. W ogóle byłem w siódmym niebie. Zachwycony byłem pieczeniem kartofli, zbieraniem łajna, bieganiem za prosiakami. Były to przecież takie doświadczenia, o jakich dotychczas nie słyszałem od żadnego z towarzyszy zabaw, a tym bardziej nie uczestniczyłem nigdy w takiej zabawie. Zdecydowałem się nawet, zupełnie automatycznie, naśladować swoich mistrzów w pieczeniu kartofli. Zrzuciłem kapelusz, zdjąłem ubranie, pozostałem jedynie w koszuli. Tylko z obuwiem nie rozstawałem się, gdyż ściernisko zanadto kłuło w bose nogi. Tak mijała godzina po godzinie, urozmaicona jedzeniem kartofli i nabywaniem doświadczenia, jak je należy brać do ręki, żeby się nie poparzyć. Choć bez szczypty soli, kartofle smakowały mi jak nigdy w życiu. Aż wreszcie słońce pochyliło się zupełnie ku zachodowi i moi towarzysze ruszyli z powrotem. I ja chętnie myślałem o czekającym mnie jedzeniu jeszcze czegoś poza kartoflami. Ani przez myśl mi nie przeszło, że tam we dworze z mego powodu powstał wielki niepokój i pełna troski bieganina. Zaczęło się to od podwieczorku, na który zawsze był miód, ogórki i owoce, co zwabiało mnie do stołu nawet za wcześnie. A tymczasem nie przyszedłem na te delicje. Po podwieczorku minęła jeszcze godzina, a mnie wciąż nie było. Zaczęto się z lekka niepokoić, gdzie mogłem się podziać. Ktoś szukał mnie po ogrodzie, ktoś inny pobiegł do stodół. Jedynie Franek, ów kuzyn mój z lewej ręki, niechcący przebąknął, że widział mnie zaraz po obiedzie biegnącego za wozem. Ale wozy już wszystkie wróciły, a mnie nie było. Ktoś pobiegł nad rzeczkę, gdzie niekiedy godzinami pluskałem się w wodzie, ktoś inny nad staw. Ani śladu... Już zmierzchało się, kiedy bryczką wyjechał szukać mnie ekonom, inni ludzie byli wysłani konno w różnych kierunkach. Bryczce ekonomskiej było sądzone przywieźć mnie do domu. Ale nie ekonom mnie odnalazł. Akurat wędrowałem wśród gromady prosiąt i cielaków — jeden z pastuszków miał na głowie mój kapelusz, inny czy inni nieśli moje ubranie i kamasze, a ja, bosy i w jednej koszulinie, umorusany, zakurzony, szedłem wśród dzieciaków i zwierząt, nieco zmęczony tylu wrażeniami, ale wesół i rad, że zaimponuję wszyst-

kim swoją wyprawą! Ekonom nie poznał mnie wśród innych dzieciaków. Zagadnął jedynie, czy nie widzieli panicza. W odpowiedzi, ku zdziwieniu ekonoma, jeden z umorusanych dzieciaków krzyknął: jestem — i podbiegł do bryczki zadowolony, że nie będzie szedł piechotą jeszcze jakieś pół wiorsty. Ekonom spojrzał na mnie nieswoim wzrokiem, pokiwał głową i przeżegnał się. Bąknął, że nie chciałby być w mojej skórze, gdy mnie podwiezie pod ganek. Nie wiedział, że marnotrawnych synów zawsze przyjmują radośnie — z otwartymi ramionami...

Jeszcze inne wspomnienie, wciąż żywe — niczym nie skrępowane korzystanie z biblioteki stryja kanonika. Wygodny tapczan pod oknem, gdzie można było w skrytkach schować całą rękę, a tym bardziej orzechy, słonecznik. Leżąc sobie, w wieku lat 10—11, przeczytałem tutaj całą historię powszechną Cezara Cantu, wielotomową, a przez księdza pisaną, w tłumaczeniu polskim historię templariuszów, różokrzyżowców, masonów, dalej historię rewolucji francuskiej parotomową, z drobiazgowym opisem dni wrześniowych. Mordy wrześniowe mi się nie podobały, choć utkwiło głęboko pytanie, czym winowajcy zgrzeszyli, iż spotkał ich tak krwawy obrachunek. Natomiast loże różne zaimponowały mi. Imponowały lat wiele, póki nie dojrzałem należycie pod względem społecznym — wielcy uwodziciele i bohaterowie mojej wyobraźni dziecięcej przedzierżgnęli się sami w dorosłe dzieci, które bawią się w różne przysięgi i tajemnice zamiast stanąć w szeregu jednej partii politycznej do walki o lepsze jutro społeczne.

W ogóle dzieciństwo moje upływało w warunkach dostatnich. Dom dziadka, u którego się chowałem, wsławił się swoją piwnicą i stołem. Nie krępowano mnie w niczym, zarówno w mieście zimą jak latem na wsi. „Chłopak, który nie nabił sobie dziesięciu guzów na łbie i nie miał drugie tyle siniaków na ciele, niewiele jest wart“ — powiedział dziadek do pań, które usiłowały poskromić nieco rozmiary moich wycieczek i wolności. Musiałem być posłuszny tylko jednemu przepisowi domowemu: być o swojej godzinie u stołu obiadowego i na podwieczorku. O ściągnięciu mnie na wieczerzę podczas lata nie było mowy. Zanadto byłem zalatany. Zwabiano mnie wtedy obietnicami różnych smakołyków. Natomiast gdy nie stawiłem się do innych rytuałów jedzeniowych, nie prawiono mi kazań i w ogóle nie mówiło się o mojej nieobecności. Ale nie dostawałem nic z obiadu i musiałem czekać do podwieczorku. Na to nie było rady! Jedynie babka coś po kryjomu wsuwała mi niekiedy gdzieś w kącie, lecz tak, żeby

nikt nie widział. Wałęsałem się więc sam po lasach. Urządzałem wyprawy zbiorowe po owoce przez parkan do ogrodu dziadka. Ta swoboda doznała ukrócenia, z chwilą gdy zacząłem czytać. Nie dlatego, żeby zrobiono jakiś zamach na moje wagary, ale ponieważ zaczęły pociągać mnie książki. Nie pamiętam żadnych elementarzy ani nauki czytania. Czytanie przyszło jakoś samo z siebie. Z zapalczywością rzuciłem się do pierwszych książek, które dostałem od wujenki, tej samej, która krzątała się w powstaniu. Były to: *Dwadzieścia cztery obrazki z historii Polski* Anczyca, z malowanymi rycinami, i jakieś wypisy, które wyszły, jak wnioskuję, w Galicji i miały niektóre stronice czernidłem cenzury pokryte. Z całą namiętnością jąłem się sylabizowania, a potem czytania *Obrazków* i uczenia się na pamięć tych wierszy z wypisów, które mi się podobały. Załaziłem gdzieś w ogrodzie pod krzaki i tam głośno uczyłem się utworów lub rozczytywałem w historii. Niekiedy dla rozmaitości kładłem się przed „swoimi“ mrowiskami — małych czarnych, wielkich brunatnych i bojaźliwych a nielicznych żółtych mrówek: rzucałem im kawałki ciasta, przyglądałem się ich ruchom, wynoszeniu poczwarek na słońce, napaściom, walkom i mordom. Wpatrzony, leżałem tak całymi godzinami.

Z nabyciem umiejętności czytania rozpoczyna się nowy okres w moim życiu. Kończy się pierwsza moja szkoła — rozmów z dziadkiem, i do swobód włóczęgowskich dołącza się wolność przestawania z myślami w druk zaklętymi.

II

DZIADEK

Ojciec mój był najmłodszym z czterech synów, z których jeden, w r. 1831 jako oficer wzięty do niewoli, był na lat kilkanaście pognany do Orenburga. Drugi zawieruszył się gdzieś w r. 1848, tak iż nie wiadomo, jaką śmiercią zginął, czy w łóżku podczas epidemii cholery, czy — jak przebąkiwano — w pojedynku. W kraju pozostał Franciszek, który po skończeniu wydziału matematycznego osiadł z konieczności z dala od matki, co wobec ówczesnych środków komunikacyjnych utrudniało bliższe stosunki z domem matczynym. Gdy go poznałem, był zajadłym duchińczykiem [1]. Żonaty był z córką pułkownika wojsk polskich, Wincentego Wolskiego. Żył w serdecznych stosunkach ze szwagrem swoim Leonem Rzeczniowskim, autorem monografii o Łomży, pociąganym do odpowiedzialności z powodu wypadków 1863 r. Córka jedynaczka zmarła w wieku bardzo młodym. Przeglądając świeżo jego dokumenty znalazłem paszport wydany w roku 1845 na przejazd z Moskwy do Płocka: na warszawskim meldunku policyjnym wyznaczono nawet, przez jakie rogatki ma jechać. Opieka policyjna była bardzo drobiazgowa. Jako nauczyciel gimnazjalny, zależny od posady, był nieobecny w domu u matki.

Utraciwszy dwóch synów i nie mając przy sobie trzeciego, pod żadnym pozorem nie chciała puścić w świat najmłodszego, gdy ojciec mój skończył gimnazjum w Płocku i zaczął marzyć o wyfrunięciu z gniazda rodzinnego. Ojciec jego, a mój dziad, pan Józef, wielki *bon vivant* — według tradycji rodzinnej — mogący sam jeden wysączyć cały antałek wina na jednym posiedzeniu i pozostać trzeźwym, od dawna już nie żył. Pieniądze nie trzymały się go — jedynie przepływały przez jego ręce. Po nim pozostała rodzinie jedyna puścizna — bóle nerwowe lewej ręki i w okolicach serca. Że majątek nie rozlazł się doszczętnie, rodzina zawdzięczała to jego żonie, kobiecie mądrej, zdolnej, gospodarnej i dobrej. Znana była ze swej do-

broczynności: bywało, iż zaszedłszy do izby płockich nędzarzy wracała w szatach zwierzchnich, lecz bez spódniczki i koszuli. Ocaliła duży dom murowany na rogu Bielskiej i Zduńskiej, a kiedy dzierżawca założył tam hotel i w ciągu lat przestał wypłacać należność, wzięła dom w swoje ręce i prowadziła przy pomocy rządcy, którego umiała dobrze dobrać i upilnować. Wszyscy wnukowie odziedziczyli po niej kompleksję fizyczną: okrągłą czaszkę, jasne włosy do lat 20—30 i niebieskie oczy, a także bodaj uzdolnienia umysłowe. Dziadek przekazał mi jedynie nieco żyłki włóczęgowskiej. Babka oczekiwała z niecierpliwością moich narodzin, lecz umarła na kilka tygodni przed nimi. Zdarzyło się tak, iż nikt z rodziny Krzywickich nie był wtedy w Płocku — czekał na nią jedynie rodzinny grób na cmentarzu.

Ale wracam do ojca. Poddał się woli matczynej. Ciężko mu było opuszczać kobietę weń zapatrzoną, dobrą i rozsądną, ile że sam żywił dla niej tkliwe i silne uczucie. Ale pozostawszy był jak ptak w klatce: uzdolniony pod wielu względami i bez wytkniętego celu, bo o taki trudno było w Płocku, zwolna przekształcił się w dyletanta, który przerzucał się z jednego zamiłowania do drugiego. Dziesięć srok ciągnął za ogon — jak powiada przysłowie; malował — jeszcze obecnie u mnie na ścianie wisi jego obraz: głowa starca olejnymi farbami na płótnie. Z dzieciństwa pamiętam całą moc portretów i obrazów rodzajowych, a nawet historycznych. Z nich utkwił mi w pamięci obraz bodaj z czasów wojen krzyżowych. Utkwił dla prostej przyczyny: obraz ten zabrali wujostwo. Pewnego razu bawiła u nich siostra wuja. Konkurent do jej ręki oświadczając się uklęknął i, powołując się na ten obraz wiszący przed nimi, przysięgał, że ją szczerze pokochał. Po jego odejściu dziewczyna uradowana nie omieszkała tego powtórzyć wszystkim obecnym przy obiedzie. Głośnym śmiechem przyjęto jej opowieść: „Przecież na obrazie nie ma świętych, jacyś Arabowie nacierają na rycerzy mających na tarczach krzyże, ale nie ma tam żadnych innych świętości“. Zdaje się, były to kopie albo ze sztychów, jakie dostały się do rąk ojca, albo z obrazów widzianych. Malarze, którym twarz starca pokazywałem, orzekli, że widać w tym talent samorodny, lecz nie kształcony. To znów ojciec siadywał nad projektami technicznymi, nad wyrobem różnych ozdobnych przedmiotów, które w ciągu lat wielu znikały z domu, rozdarowywane lub zepsute. Próbował pisać poezje. Znalazłem w papierach jego kartki z utworami, które komuś wysyłał. Ale, niestety, uważałem, że nie mam prawa odczytywać cudzych listów i papie-

rów i... rzuciłem je do kosza. Ulubionym zajęciem ojca była matematyka, zwłaszcza geometria. Zaznaczyć muszę, że jeden ze stryjów studiował matematykę w Moskwie, ja również wstąpiłem na matematykę i ukończyłem ją z prawem do starania się o tytuł magistra; syn mój starszy, który skończył politechnikę w Leśnem pod Petersburgiem, miał propozycję habilitowania się jako matematyk. Akurat w chwili gdy wojna wybuchła, otrzymałem odeń rozprawę matematyczną z dziedziny teorii elastyczności — tego przedmiotu, którego wykład proponowano mu później na politechnice warszawskiej. Młodszy kończył prawo w Petersburgu, ale przez cały pobyt na uniwersytecie uczęszczał systematycznie na wykłady matematyki, a wróciwszy do Warszawy, w ciągu paru lat należał do Koła Matematyków i w domu rozwiązywał zadania z zakresu różniczek i całek z większym zamiłowaniem, niż przykładał się do studiów prawniczych. Mimochodem zaznaczę, iż starszy wnuk stryja Bonifacego wyróżniał się dużymi zdolnościami matematycznymi i konstrukcyjnymi i jako inżynier wojskowy budował forty pod Łomżą. Otóż i ojciec mój uciekał od życia do swojej matematyki. Już po ożenku zamykał się całymi dniami, żeby mu nie przeszkadzano w jego rozważaniach natury geometrycznej. Jedynie starszy brat matki bywał dopuszczany do tego sanktuarium i do końca życia swego z przyjemnością wspominał te chwile, pełen uwielbienia dla mistrza swego i szwagra zarazem. Ojciec miał zamiar zakładać jakieś fabryki, bodaj młyn parowy. Podejrzewam, że rok 1863 pociągnąłby go za sobą, jak pociągnął jego przyjaciela, Dydyńskiego, który musiał emigrować, oraz Stablewskiego, który pozostał cały — ten założył księgarnię w Płocku wraz z czytelnią i, wierny ideałom swej młodości, usiłował oddziaływać na młodzież, z którą się stykał. Stosław Łaguna w imię przyjaźni dla ojca oblewał mnie zimną wodą w ciągu lat wielu. I podobnie trudno było ojcu uporać się ze sprawą uczuć swoich: miał parę narzeczonych. Z jedną rozszedł się już prawie od ołtarza: z panną Dąbrowską, przyszłą panią Olszewską, matką Franciszka, późniejszego redaktora Kuriera Warszawskiego. I raczej ożenił się nie tyle z głębokiego uczucia, co na przekór tej swojej narzeczonej, dla której bodaj żywił silne uczucie — powody rozejścia się pozostały mi nie znane. Wiem jedynie, że przed samym skonem uproszono w jego imieniu starego Dąbrowskiego, ażeby ten zechciał go odwiedzić. Rozmowa odbyła się przy zamkniętych drzwiach — staruszek, niedoszły teść, wyszedł po jakiejś godzinie cały zapłakany.

Nie sądzę, żeby matka była z ojcem zbytnio szczęśliwa. W każdym razie przyszedłem na świat dopiero w końcu trzeciego roku od daty ślubu. W warunkach ówczesnych życie rodzinne nie mogło mu dać pełni zaspokojenia. Biedny liść miotany wiatrem we wszystkie strony... I to wewnętrzne niezaspokojenie, brak czegoś, czemu mógłby oddać wszystkie swoje siły, i wynikająca stąd pustka — niewątpliwie przyczyniły się do wczesnej jego śmierci. Choroba serca i choroba nerek.

Zresztą, na skutek tego wczesnego odumarcia, prócz stryja Franciszka, którego poznałem dopiero po skończeniu gimnazjum, nikogo z krewnych nie widziałem, a nawet o żadnym prócz Bonifacego nie słyszałem i dlatego nic nie mogę powiedzieć o dalszych krewnych. Rodzice matki sprowadzili się do Płocka na krótko przed jej małżeństwem, ona zaś niedługo żyła z ojcem i nie mogła czy też nie umiała zasięgnąć odeń żadnych informacji. Jedynie słyszała o jakimś Janie Krzywickim, który, osadzony — ale kiedy? — na odwachu wojskowym w Płocku celem przekazania do dalszego śledztwa politycznego, umiał w nocy ulotnić się spod opieki warty bez pozostawienia śladu ani wówczas, ani w latach późniejszych. Z najbliższych krewnych poznałem jedynie w r. 1906 wnuków stryja Bonifacego. Jeden był kapitanem-inżynierem, drugi porucznikiem w jednym z pułków gwardii. Ten drugi zginął podczas Wielkiej Wojny w niefortunnej kampanii wojsk rosyjskich w Prusach Wschodnich, gdzieś w okolicy jezior mazurskich. Starszy, z przekonań eserowiec, będąc w wojsku, które rezydowało w Królestwie, miał odwagę na łamach urzędowego pisma „Warszawskij Dniewnik“, wychodzącego w języku rosyjskim, zdemaskować wszechwładnego wtedy żandarma Uthofa. Napisał, że zamach nań, urządzony niby przez rewolucjonistów polskich, był raczej dziełem prowokatorów ochrany warszawskiej; kuzyn dawał do zrozumienia, iż próba ta wyszła z bezpośredniego otoczenia pana szefa, który zapragnął odegrać rolę męczennika wobec rządu.

Bonifacy miał i córkę, matkę ówczesnego (1905) docenta uniwersytetu kazańskiego — nazwiska, o brzmieniu chyba polskim, nie pamiętam. Wyjazd stryja do kraju był swego rodzaju przejściem. Poznał był w Orenburgu niejakiego majora Kryłowa, który, znalazłszy się dawniej w Płocku, doznał dużej pomocy od mojej babki. Odwdzięczając się za to, przytulił zesłańca. Stryj ożenił się z jego córką. Ale kiedy w pierwszej połowie lat czterdziestych stał się możliwy jego powrót do kraju, pomimo oporu żony wyjechał uwożąc syna.

Żona zwróciła się do ówczesnego generał-gubernatora orenburskiego, Perowskiego. Posłano za zbiegami specjalną ekspedycję, która przywiozła ich z powrotem. Stawiony przed tym satrapą, oświadczył, iż zabrał tylko syna, malca około lat dziewięciu, i zostawił żonie córkę. Syn udał się z nim chętnie. Zapytany, dlaczego chciał jechać z ojcem, odrzekł: „Bo tam rosną jabłka i gruszki". Perowski roześmiał się i pozwolił ojcu zabrać syna. Małżonkowie więcej się nie widzieli. Bonifacy wracał obłąkany — niby z rozpaczy, iż zakochawszy się w Polce nie mógł poślubić umiłowanej! Syn jego, z konieczności prawosławny, odznaczył się wciąż nowymi wybrykami, a babka musiała go wykupywać. Mawiała, iż tyle ją kosztował, ile poszłoby złota na jego wagę. Za jakiś wybryk władze umieściły go w szkole junkierskiej. Spadek po babce przegrał w karty w ciągu jednego wieczora. Kochał się w jednej z moich ciotek i na dowód swojego uczucia zaproponował jej, aby trzymała w ręku swoje buciki a on odstrzeli z nich obcasy. Dostawszy odkosza zniknął: znalazł się nad Wołgą.

Jeszcze jedno uzupełnienie do stosunków rodzinnych.

Według słów stryja, kiedy doręczał mi papiery heraldyczne (osobiście wpisał mnie do ksiąg heraldycznych — był to jedyny dowód jego troskliwości o mnie, gdy byłem jeszcze pacholęciem), żyły wtedy w Piotrkowie (na początku lat dziewięćdziesiątych w. XIX) bardzo dalekie kuzynki nasze, Emilia i Felicja, stare panny, poważane w całym mieście i okolicy z powodu swego obywatelskiego zachowania się. Kiedyś w młodości należały one do zastępu „entuzjastek", bracia ich odpokutowali w końcu lat czterdziestych swój zapał patriotyczny więzieniem i zesłaniem na Syberię a nawet przedwczesną śmiercią. Ojciec, Feliks, pułkownik wojsk polskich, zginął śmiercią tragiczną.

Oto i wszystkie moje wiadomości o własnej rodzinie.

Wychowywałem się u dziadka, Franciszka Ksawerego Iwanickiego, przy którym po śmierci męża matka zamieszkała. Swego czasu skończył dziadek szkoły w Łomży, bodaj oo. pijarów — w każdym razie odpowiadające prawami późniejszym gimnazjom, po czym udał się do Warszawy w nadziei kariery urzędniczej. Tam pozostawał w przyjacielskich stosunkach z K. Wł. Wóycickim i musiał mieć jakąś styczność z plotkami świata literackiego, gdyż opowiadał mi o krasomówczych wykładach Ludwika Osińskiego, na których bywała cała inteligencja warszawska, o spoliczkowaniu na jednym z wykładów Zygmunta Krasińskiego za grzechy jego ojca. Ale przede wszystkim rozwodził się nad rokiem 1830—1831. Sam w nocy 30 li-

stopada zapisał się do tworzących się wojskowych zastępów, złożył zaś broń, kiedy ostatnie siły zbrojne polskie pod dowództwem Ramorina poddały się. Swego czasu pamiętałem po kolei nazwiska wszystkich na pamięć wierszyk, który opiewał czyny i zawierał charakterystykę siedmiu „dyktatorów" od Chłopickiego do Krukowieckiego, umiałem dość ostrą kolejnych tych dowódców. Dziadek nie obwijał słów w bawełnę. Traktował Krukowieckiego jako zdrajcę, Chłopickiego jako starego niedołęgę, wyróżniał jedynie w sposób dodatni generała Prądzyńskiego, który miał być dobrym strategikiem, i generała Skrzyneckiego, którego całym nieszczęściem było, że późno go powołano na główne dowództwo. Zresztą te oceny mniej mnie zajmowały, większą zaś uwagą i przejęciem darzyłem opowieści o zebraniach u Honoratki, o zachowaniu się tam gości. Dreszczem przejmowała mnie opowieść, iż dziadek jakąś noc przespał na cmentarzu, dzisiaj nie pamiętam, w jakiej miejscowości. Niewiele wiedział, co działo się w Warszawie, od kiedy wyruszył. Zresztą, te opowiadania nie wyczerpały wiedzy, jakiej nabywałem od niego. Byłem malcem ciekawym. Opowieści te przypadały na czas, kiedy na swoją rękę nauczyłem się bazgrać litery we „francuskich zeszycikach" — były to niezmiernie wykwintne składane kartki w postaci pieroga, jaki Napoleon wkładał na swoją głowę. Interesowały mnie zwłaszcza góry. Dowiedziałem się wtedy o Świętokrzyskich i Łysej Górze, o Karpatach. Zapisywałem te nazwy do swojej kartoteki francuskiej.

Jeszcze drugi przedmiot opowieści dziadka pociągał mnie niezmiernie — była to epopeja napoleońska, również związana z osobistymi przeżyciami. Opowiadał, jak pewnego dnia rozniosła się po okolicach Łomży wiadomość, że Napoleon będzie przejeżdżał przez miasto w odwrocie spod Moskwy. Istotnie przejeżdżał. Usiłowano go zobaczyć, pocieszyć. Z tych zamiarów nic nie wyszło — Napoleon przemknął się, bodaj nie zatrzymując się wcale. Po odwrocie Napoleona spod Moskwy i przejeździe przez Łomżę zgromadziła się cała moja rodzina. Wśród niej był i 12-letni malec, mój dziadek. Dziadek, przygotowany szlochaniem pań, oburzeniem panów, w sposób zgoła naturalny współczuł z twierdzeniami, że tylko ustrój republikański może ocalić Francję. Ten dzień nałożył pieczęć na całe jego życie: hasłu tam głoszonemu nie sprzeniewierzył się w ciągu lat blisko siedemdziesięciu, to jest do swojej śmierci. Zgrzybiały starzec z zanikającą pamięcią mógł jednak wymieniać nazwiska wyższych wojskowych, których darzył wtedy sympatią. Byli to: Józef Poniatowski, Ney, Murat, natomiast nienawidził Bernadotte'a, a później Davousta,

zdaje się w związku z donacjami, które ten dostał w Księstwie Warszawskim, i popełnionymi tam wywłaszczeniami. Bodaj jeszcze żywszą niechęcią obdarzał Metternicha. Nie umiał powiedzieć, jak do tej niechęci doszedł. (Z dziadkiem wtedy prowadziłem pogawędki jak równy z równym). A także nie lubił Burbonów — ich nazwisko przejmowało go żywą nienawiścią. Tych zresztą i dawniej nie cierpiał na podstawie opowiadań o tym, jak zachowywali się emigranci-rojaliści francuscy w stosunku do idei Kościuszkowskiej. Do śmierci nie mógł pogodzić się z klęskami ówczesnych Francuzów. A kiedy doszło do rokowań pokojowych po bitwie pod Waterloo, do warunków haniebnych, na które Francja musiała przystać, mścił się na grudach śniegu, puszczając je w ruch silnym uderzeniem nogi. Reprezentowały Anglików! A skoro ukazała się wiadomość, że Bonaparte wylądował, że tłumy chwyciły za broń, był całkowicie po ich stronie. Może odpłacą Anglikom!

Dzięki tym pogawędkom przed wstąpieniem do szkół niezgorzej orientowałem się w wydarzeniach naszej historii od insurekcji Kościuszkowskiej do 1831 r., przy czym przy okazji mogłem zawadzić o Napoleona, Elbę i św. Helenę, Książka Anczyca *Dwadzieścia cztery obrazki* dostarczyła mi niewyczerpanego źródła do wciąż nowych zapytań: od Krakusa i Wandy do Sobieskiego. Nie wiem jaką drogą dostałem wypisy polskie z mnóstwem utworów poetyckich, których z własnej chęci się uczyłem. Jeszcze później znalazłem się w posiadaniu *Śpiewów historycznych* Niemcewicza. Miałem w czym przebierać...

Taki był wpływ starca na moją umysłowość. Zresztą, wpływ ten był o wiele rozleglejszy. Całe postępowanie dziadka przyuczało mnie do samodzielności, tj. do posiadania własnej woli i swobody czynu, naturalnie w obrębie, w jakim dziecko mogło mieć tę swobodę. Również z domu dziadka nie wyniosłem żadnych uprzedzeń. Dziadek był wolnomyślicielem osobliwego rodzaju, a właściwie katolikiem, który obowiązki religijne traktował z odrębnego punktu widzenia — nie lubił uczęszczać w niedzielę do kościoła, przecież Pan Bóg jest w każdym miejscu! Chętnie opowiadał przypowiastkę, jak jakiś półgłupek się modlił: Przeskakiwał szeroki rów, jeżeli przeskoczył go, wołał: to dla ciebie, Boże, a gdy zwalił się na dno, powiadał: to dla mnie. Kpiono zeń, lecz w końcu okazało się, iż modlitwę jego mile przyjęto w niebie: była szczera, z serca idąca... W święta jedynie dziadek rozkładał Pismo święte i odczytywał sobie z ewangelii ustęp przypadający na dany dzień. (Ja, korzystając z obecności Biblii w domu, naturalnie nie omieszkałem się w niej rozczytywać). Był

bodaj przeciwnikiem celibatu księży, a przynajmniej żadnemu z nich nie czynił zarzutu, jeśli w jego domu znajdowała się dorzeczna gospodyni i jedno lub parę przychówku — naturalnie jej, ale niewiadomego ojca.

Nie pamiętam, aby jakikolwiek świecki duchowny bywał u nas z wyjątkiem kanonika Waśniewskiego Regimina w Ciechanowskiem, kiedy dziadek zamieszkiwał u swego syna w pobliskich Kliczkach. Natomiast częstymi gośćmi bywali u nas niedobitki z klasztoru oo. reformatów. Ale nie pamiętam, żeby wtrącali się do mnie i dopytywali się o odmawiane pacierze. Prowadzili rozmowy ze starszymi w przedmiocie obowiązków religijnych i straszyli mnie „ogórkami", którymi kończyły się ich pasy. Zwłaszcza z gwardianem dziadek był w bardzo zażyłych stosunkach, ja zaś z jego celą, dokąd ciągnęła mnie *Wielka Encyklopedia,* której tomy mi wypożyczał, oraz owoce i słodycze, którymi mnie częstował. W ogóle stosunki nasze z tym klasztorem były bliskie: po śmierci ojca matka oddała do niego dużo dywanów, dziadek ulokował tam stworzone przez siebie towarzystwo muzyczne jako orkiestrę amatorską na dni świąteczne.

Z dzieciństwa nie wyniosłem również żadnych uprzedzeń rasowych. Mówiąc to mam głównie na myśli Żydów. Byli starozakonni, którzy bywali u dziadka nie dla prowadzenia jakichś interesów, ale dla rozmów politycznych i towarzyskich. Zresztą, u Żyda Szczygielskiego, właściciela sklepu z winem i różnymi towarami kolonialnymi, wieczorem zbierało się towarzystwo starszych panów, głównie sądowników — toczyły się tam „ciche rodaków rozmowy", w których uczestniczył właściciel i uważał zawsze za swój obowiązek mieć na pogotowiu nowiny dotyczące stosunków zarówno wewnętrznych jak i zagranicznych. Panowie spożywali tam kolację, ile że Szczygielski sławił się umiejętnością przyrządzania ryb, wypijali butelkę wina i gawędzili parę godzin. Że rybka była smaczna i porter silny, przekonałem się o tym osobiście, kiedy wypadło mi z Warszawy przyjechać do Płocka, żeby być obecnym przy akcie usamowolnienia mnie przed dojściem do pełnoletności. Dziadek zaciągnął mnie na rybkę i utyskiwał, że dawne towarzystwo, z którym się zżył w ciągu wielu, wielu lat, prawie całe wymarło.

Ale wracam do metod wychowawczych dziadka, o ile można w ten sposób nazwać postępowanie jego względem mnie. Następujące zdarzenie przewybornie je uprzytomni. Miałem pewno lat jakieś osiem albo dziewięć. Coś grubo przeskrobałem, choć co — tego zgoła nie pamiętam. Czekała mnie kara, coś w rodzaju chłosty, drugiej w moim

życiu. Dziadek zawołał mnie do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz i wziął do ręki narzędzie kary. Widząc to porwałem ze ściany wiszącą szpadę i stanąłem w pozie obronnej. Ujrzawszy mnie w takim pogotowiu, dziadek stanął, patrzył na mnie pewien czas, wreszcie wybuchnął serdecznym śmiechem. Na koniec odezwał się: „Kładę swoje narzędzie, ty połóż szpadę; mam nadzieję, że na drugi raz nie popełnisz takiej psoty. A teraz pokój między nami.“ Dopiero potem od służącej dowiedziałem się, że dziadek śmiejąc się opowiadał tę historię swojemu zięciowi. Miał rzec: ma duże poczucie godności — dziadek rozumiał tę godność i uszanował. Ale w tę atmosferę pogawędek, przyjęć i preferansów, dobrego humoru, zabarwionego różnymi żartami, wkradał się coraz większy zgrzyt. Znikał powoli dawny dostatek, i to z winy dziadka. Naturalnie, klub u Szczygielskiego pochłaniał niewiele. Huczne wesela córek i obchody imienin dziadkowych kosztowały dużo, ale jeszcze nie nadwerężyłyby dawnego dobrobytu. Działała za to w sposób groźny jego pasja do budowania czegoś: opowiadałem już o altanie. Przybywszy do Płocka, resztę majątku, która pozostała po konfiskacie jego folwarku Czapli (podwładny dziadka, kasjer, dokonał dużej malwersacji; dziadek za karę, że go nie dopilnował, musiał pokryć niedobór), obrócił na wybudowanie na rogu Bielskiej i Królewieckiej parterowego, wygodnego domu, mieszczącego na dole, prócz olbrzymiej kuchni, cztery pokoje przyzwoitej wielkości, na górze zaś mieszkanka po jednym dużym pokoju i dwóch małych. Kiedyś to wszystko sam jeden zajmował. Nadto zakupił parę morgów gruntów miejskich z obu stron domu i na nich założył ogrody. Wszystko to kosztowało, dochodu zaś nie dawało. Płoty od ulicy i od podwórza były z wygiętych dachówek, w przecięciu dających łuk, a ułożonych jedna na drugiej w linii poziomej, prostopadle do ulicy — wyglądało to bardzo pięknie, ale było niepraktyczne i drogie, a przede wszystkim umożliwiało najścia na ogród rzeszy uliczników po owoce i kwiaty. Już za mojej pamięci dobudowano oficynę równoległą do domu, ze schodami, zamiast w środku, na zewnątrz z boku; z górnego ich końca ciągnęła się wzdłuż pierwszego piętra galeria, z której prowadziły drzwi do kuchni i do pokojów tam się znajdujących. Po paru latach zaczęto wznosić kamienicę mojej matki, dwupiętrową. Jeszcze w parę lat później postawiono oficynę do kamienicy matki, również budowaną w sposób rozrzutny. Nie mówię już o murowanych drwalniach i składach dołączanych do każdego lokalu ani o suterenach i piwnicach. Wszystko to było masywne,

obliczone na pokolenie jedno i drugie, i trzecie, ale pochłaniało moc pieniędzy, mnożyło się długi, dochód zaś w stosunku do długów malał, aż przyszły czasy, gdy trzeba było sprzedawać część gruntów i dom przy ulicy Królewieckiej, opuścić Płock i wynieść się na wieś do syna. Byłem wtedy w czwartej klasie. Z dziadkiem widywać się miałem jedynie podczas wakacji i ferii świątecznych.

Dziadek budował gwoli uczynienia zadość żyłce budowlanej. I nie tylko dziadek miał taką namiętność. To samo robił mój ojczym, choć nieco inaczej. Był bowiem do szpiku kości spekulantem, ale niefortunnym, do którego można by zastosować powiedzenie: mieniał się stryjek — za siekierkę kijek. Kiedy Łomżę zrobiono miastem gubernialnym, władze musiały zakrzątnąć się około budowy domów urzędowych, w mieście bowiem nie było odpowiednich gmachów. Ojczym sprzedał wtedy majątek Grzymki gdzieś pod Czyżewem i złożył ofertę, iż gotów pod danymi warunkami jąć się budowy. Istotnie, wszystkie gmachy urzędowe położone przy dawnym Rynku zostały przezeń zbudowane. Wyszedł jak Zabłocki na mydle! Usadowił się pod Łomżą w donacyjnym majątku Skowronki, z którego płacił niewielką tenutę. Całe gospodarstwo polegało na wydzierżawianiu kawałków łąki włościanom i podmiejskim rolnikom lub Żydom pod cebulę i warzywa. Jeszcze coś zamienił, co, nie wiem, na dom w Warszawie przy ulicy Brzozowej. W długach był po uszy. Pierwsza żona, spokrewniona z Mleczkami, wymagała odpowiednio wystawnego prowadzenia domu, przy synu był guwerner, ojczym również umiał wydawać pieniądze.

Po śmierci pierwszej swojej żony, w lat kilka później, zajął się interesami swojej kuzynki, mojej matki, zakłopotanej swoją sytuacją majątkową. Sama nie była w stanie prowadzić gospodarstwa w Petrykozach pod Mławą. Ufając, iż kuzyn wyprowadzi ją z tarapatów, poślubiła go — natychmiast zamienił majątek ziemski na jakieś rudery w Łomży, mój kapitał, gotówką złożony przez matkę w jego ręce, umieścił na hipotece tej rudery, którą zdążył przez parę miesięcy obdłużyć tak, iż znalazłem się na numerze wykluczającym możność odebrania kiedykolwiek swojego kapitału, i wszystko to puścił ufając, że stary Wnorowski, podobno jeden z ostatnich żyjących jeszcze starościców, zapisze swoje fundusze jego córce. W rok po ślubie na folwarku w Skowronkach skradziono ładne konie cugowe. Puścił się w pogoń trzydniową za nimi aż na puszczę Zieloną. Po cichu mówiono — i wierzę w to — iż obawiając się żalów

mojej matki, gdyby ich się pozbył, kazał je w nocy wyprowadzić i po cichu sprzedał...

Wyzuto go ze Skowronek, później z kamienicy w Warszawie przy ulicy Brzozowej — również rudery. Znalazł się bez jakichkolwiek dochodów. Na szczęście, już tyle zarabiałem, że mogłem wziąć do siebie matkę, również ogołoconą ze swego majątku.

Syn ojczyma nie ukończył prawa — lata uniwersyteckie spędzał na szulerce w karty. Zeszedł się z jakąś szwaczką w Warszawie, miał z nią dwoje czy troje dzieci. Jedno zrobił przyzwoicie: poślubił ją przed samym skonem.

Córkę ułomną wydał ojczym za jakiegoś urzędniczynę — do późnej starości pracowała jako nauczycielka, dając lekcje francuskiego i muzyki. Rozstałem się z nim w r. 1883. Umarł w kilkanaście lat później. Zbankrutowawszy twierdził, iż źle pokierował synem, zamiast trzymać guwernerów i łożyć na uniwersytet, powinien był oddać go na praktykę do Żydów. Był wielkim antysemitą i jednocześnie pobożnym człowiekiem...

III

PŁOCK

Obrazy dalekiej przeszłości układają się w perspektywie równocześnie, choć w rzeczywistości przedzielał zdarzenia niekiedy okres czasu przynajmniej kilkuletni. Wśród tej przeszłości zatartej i zagmatwanej zarysowuje się wyraźnie tylko jej rama. Jest to Płock w porze jesiennej i zimowej, a nawet wczesnej wiosennej. Nie ma co mówić o tym, iż rama ta była powabna. Powabniejsza niż ta, jaką oglądałem podczas swojej parokrotnej bytności po r. 1905, a zwłaszcza po roku 1920. Pod ten Płock późniejszy, mocno zaniedbany, opuszczony zwłaszcza w pierwszych czasach Niepodległej Polski, podkładam pełne uroku wspomnienia lat dziecinnych i chłopięcych. Bynajmniej nie wyczuwam w sobie chęci idealizowania owych czasów. Wyraźnie uświadamiam sobie, że w ciągu lat ubiegłych miastu przybyły nowe ogniska życia: biblioteki, Towarzystwo Naukowe; że myśl ludzka nabrała nieznanego ongi napięcia. Ale piękna miastu nie przybyło. Przeciwnie, na jego krańcach, gdzie ongi ciągnęły się wał i fosa oraz po ich stronie wewnętrznej, dookoła całego miasta, urocza aleja, rozsiadły się drewniane domki uboższej ludności, w nieładzie zupełnym. W tym zamęcie zanikł jeden i drugi folwark miejski, co tutaj się był ulokował ze swoimi zabudowaniami. Jechałem umyślnie przez aleję od ulicy Warszawskiej do Bielskiej, nadaremnie poszukując dawnego przestworza i dawnego powabu. Jedynie pocieszyła mnie pamięć Zarządu Miejskiego o Bolesławie Zdziarskim — jego nazwiskiem ochrzczono jedną z nowych ulic, idącą od alei w kierunku południowym ku dawnej osadzie Mulsona (?), a właściwie ku osiedlu, które pan Bolesław powołał do istnienia umieszczając w nim biedotę płocką. Jednak środkowe dzielnice miasta nie uległy zmianie — te same kamienice i bodaj te same sklepy, lecz pod inną firmą. Nawet dwie kamieniczki na Starym Rynku, pochodzące z końca w. XVIII, pozostały nietknięte i kształtami górnej części swojego frontu od-

skakują od całego Rynku. Zmieniono tylko nazwy niektórych ulic. Plac Floriański, najstarszy ze skwerów, nosi nazwę placu Piłsudskiego. Część ulicy Warszawskiej, od dawnego Rynku Kanonicznego do dawnego placu Floriańskiego, stała się ulicą Kościuszki. Tak samo część ulicy Kolegialnej zowie się ulicą Polskiej Organizacji Wojskowej. Na krawędzi bezimienna dawniej aleja otrzymała w różnych swoich częściach odmienne nazwy. Od ogrodu Blombergów do Królewieckiej jest Aleja Kilińskiego, od tej do Bielskiej — Aleja Jachowicza i w końcu, w ostatniej swej części, najlepiej zachowanej, od Bielskiej do cmentarza, zamianowana została Aleją Króla Kazimierza Wielkiego. Ulica Szeroka, zaludniona przez ludność starozakonną, otrzymała nazwę ulicy Józefa Kwiatka, przy tym na domu, w którym się urodził, wmurowano tablicę:

JÓZEF KWIATEK
1874-1910

Przywódca mas robotniczych PPS. Bohater rewolucji 1905—1907 r. Więzień — zesłaniec — myśliciel. Pisarz — bojownik o Niepodległą Polskę Socjalistyczną. Lata dzieciństwa spędził w tym domu, w swym mieście rodzinnym Płocku.
W 25-lecie Jego zgonu Płocki OKRPPS tablicę tę wmurował.

28 kwietnia 1935 roku.

Wmurowanie tablicy nie odbyło się bez walki. Sfery klerykalne (ksiądz Ogończyk) rozpoczęły kampanię przeciwko nadaniu jednej z ulic nazwiska działacza-Żyda. Wtedy w Radzie Miejskiej radny Kempczyński wygłosił mowę o zachowaniu się niepatriotycznym kleru podczas walk o niepodległość. A nadto wniesiono propozycję przemianowania placu Kolegialnego na plac Gabriela Narutowicza. Bodaj że to przemianowanie wywołało wśród duchowieństwa jeszcze większą opozycję. Biskup swoimi wpływami miał sprawić, że w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zatwierdzenie tej nazwy na razie odłożono, nowy zaś zarząd Rady Miejskiej częściowo zatarł napis farbą, ale nie skasował nazwy dawnej — plac więc nosi dzisiaj dwa zawołania: placu Gabriela Narutowicza i placu Kolegialnego.

W śródmieściu jest zieleni więcej niż za moich lat sztubackich. Nikłe za owych czasów skwery na rynkach Starym i Kanonicznym,

obsadzone wtedy młodymi, wątłymi drzewkami, wypiękniały niezmiernie właśnie dzięki rozrosłej zieloności. Kule po potyczkach z 1920 r., tkwiące w kamienicach na Grodzkiej, w przejściu prowadzącym z ulicy, na której znajdowało się gimnazjum, do placu Kanonicznego, przyozdobiły stary Płock nowym pięknem duchowej tężyzny. Przecież stary ten gród wykazał dużo odwagi w tych ciężkich dniach. Nieprzyjaciel nadciągnął do Płocka od Płońska, od Dobrzynia. Nieliczna garstka piechoty usiłowała stawiać czoło wrogowi na polu gdzieś w pobliżu kirkutu, póki nie została w pień wycięta.

Tym bardziej kilku czy kilkunastu rannych żołnierzy leżących w szpitalu nie mogło osłonić miasta — wszystkich ich wymordowano. Oddział wojska pod dowództwem pułkownika Mościckiego nadszedł, kiedy walka w samym Płocku była już w całym napięciu. Nieprzyjaciel zajął ulicę Dobrzyńskiego, przedostał się na Stary Rynek nie spotykając oporu. Nawet zawędrował już, nie wiem którędy, na ulicę Warszawską do znajdującego się tam szpitala, gdzie dokonał rzezi rannych żołnierzy polskich. Na szczęście dla Płocczan nie kwapili się do boju, ufni, że nikt im się nie będzie opierał, wpadali do domów rabując, co się dało, i gwałcąc kobiety, nawet mające po lat sześćdziesiąt. (W pierwszych dniach było bardzo głośno o tych gwałtach, ale gdy po paru latach odwiedziłem Płock, nie zdołałem w tym względzie wydobyć żadnego faktu — mieszkańcy mieli jak gdyby zamurowane usta i, choć darzyli mnie wielu opowieściami, w tym wypadku zbywali mnie milczeniem lub wykrętną odpowiedzią). A tymczasem na rynku Kanonicznym, w części przyległej do parku dokoła Katedry, zgromadziło się nieco łobuziaków, nieco publiczności, w tej liczbie panna Landsberg spośród szlachty polsko-inflanckiej, która za swymi krówkami w ciągu wielu dni wędrowała od wschodnich kresów, ażeby znaleźć się w Płocku jako w bezpiecznym przytułku. Łobuziaki mieli nieco rewolwerów, w ręku zaś Landsberżanki znalazł się karabinek przez kogoś jej podsunięty. Drżąc cała, wystrzeliła zeń do gromadki wrogów, co pojawiła się u wejścia na Rynek. Ta nieoczekiwana zaczepka wstrzymała pochód nieprzyjaciół, idących w rozproszeniu i węszących, gdzie można byłoby się pożywić cudzym mieniem. I oto rozpoczyna się pasmo wydarzeń tak żywiołowe, tak szybkie i tak trudne do odtworzenia dzięki temu, że uczestnicy sami byli niemal nieprzytomni w swoim animuszu obronnym. Wszystko odbywało się samorzutnie, bez kierowników, bez zdawania sobie sprawy z postępków poszczególnych: tłum podniecony działał, zatracały się w nim indywidualności. Pozostały więc

w opowieści tylko zbiorowe czyny. A więc wzniesiono barykady, a za barykadami uwijała się gromada wyrostków różnej kondycji społecznej, nieco dojrzalszej publiczności, wśród której przeważały w ogóle kobiety i znajdowała się w końcu Landsberżanka, która drżała ze wzruszenia i z gotowości do walki. Wieść o tym, że wyrostki zbudowali barykady i bronią się spoza nich, rozniosła się po mieście lotem błyskawicy. Barykady rozrosły się w liczbie, przyplątali się mężczyźni i kobiety, dziewczęta, zwłaszcza spośród służby domowej, rwały się do strzelania i — ze strachem — strzelały, panie skubały szarpie. Płock przekształcił się w obóz. Zatrzymano napastników, którzy nie mogli się połapać, kto tak niespodziewanie wystąpił przeciwko nim. Niewątpliwie po pewnym czasie zorientowaliby się, że mają przeciwko sobie przede wszystkim kobiety i dzieciaki, lecz odsiecz nadeszła w krótkim czasie. Oddział pod dowództwem pułkownika Mościckiego czołgał się po mieście, żeby nie być wziętym w obstrzał nieprzyjacielski. Aż doczołgał się z Radziwia na brzeg płocki.

Podczas bytności mojej w Płocku w dwa lata po tych wypadkach opowieści o bohaterstwie dzieciaków, o odwadze kobiet, o zażartości służących sypały się jak z rogu obfitości. Niestety, nie zapisałem ich z ust narratorów, dzisiaj zaś nie pamiętam szczegółów. Utkwiło tylko w pamięci opowiadanie o malcu w wieku lat 12—13, który z jakąś bronią wyszedł na zwiady. Napastnicy złapali go gdzieś za rogatkami Dobrzyńskimi. Jeńca przyprowadzono przed komendanta tej części wojsk, która znajdowała się w tamtej okolicy. Rozmowy, którą mi podawano, znowu nie przypominam sobie; tej treść była taka, że malec, zapytany, kim jest, odrzekł: jestem Polakiem i bronię swojej ojczyzny — a jeśli mu grożą śmiercią, to pokaże, iż umie umrzeć odważnie. Komendant wypuścił go na wolność oświadczając swemu otoczeniu: „Bohaterów nie rozstrzeliwują.“ W świadomości płocczan „baby i smarkacze“ obronili Płock.

Na zakończenie Landsberżanka znalazła męża wśród oficerów oddziału, który był nadciągnął z odsieczą, niejakiego Rościszewskiego, lecz to uwieńczenie ostateczne dni płockich odbyło się już po skończonej kampanii...

Ale ani powiększona zieloność skwerów, ani legendy o dniach zmagań się bohaterskich nie przeszkodziły mi podczas paru wizyt w latach 1923—1930 szukać w obecnym obrazie starego Płocka tego ongi cichego miasta, gdzie dzieciaki na wszystkich niemal ulicach mogły się zabawiać nie obawiając się, że dostaną się pod konie lub

że spotka je inna katastrofa. Ruchliwsze były ulice: Grodzka, idące od niej przejście na ulicę Szeroką, zaludnione przez Żydów, i wreszcie Szeroka, również dzielnica ludności żydowskiej, wszystkie jak na Płock pełne gwaru. Z wyjątkiem środkowej dzielnicy miasta wszystko tonęło w zieleni. Tuż pod dawnym Płockiem ulokowały się folwarki lub dwory szlachty podmiejskiej, tworząc całość z miastem, spięte wałem idącym dokoła niego. Do moich czasów dotrwał jedynie folwark Ujazdowskich, po innych pozostały olbrzymie ogrody, mierzące, jeżeli mnie wyobraźnia nie zawodzi, niekiedy przestrzeń większą od ogrodu Saskiego. Takim był ogród olbrzymi Kwasieborskich; nie mniejszy, lecz w innej stronie miasta położony ogród Słupeckich, jeszcze w innej, od Wyszogrodu — Zaleskich, a naprzeciwko ich ogrodu niezmiernie starannie utrzymana czyjaś posiadłość — nazwiska właściciela nie pamiętam. Nad Wisłą, od drogi Warszawskiej, ciągnął się świetnie prowadzony ogród owocowy Blombergów oraz pomniejsze Holtzów i innych, mające wyjście na ulicę Warszawską, a opadające tarasami ku ulicy Mostowej. Z drugiej strony, na ulicy Dobrzyńskiej i za rogatkami Dobrzyńskimi nad Wisłą, szły sady za sadami. Wszystkie te ogrody (o mnóstwie pomniejszych nie wspominam) były przedsiębiorstwami dochodowymi. Był w nich huk owoców, nieraz doborowych. Wszystkie stały otworem dla publiczności. Dla mnie i moich kolegów zwłaszcza ogród Zaleskich służył jako spokojne miejsce spotkań, raczenia się kwaśnym mlekiem, pogawędek, fechtunków, wiosłowania — tutaj nie zaglądało oko kontroli szkolnej. Można było się w nich przygotowywać przed egzaminami, rozłożyć się na trawie. I właśnie podczas moich bytności po r. 1920 cała ta oprawa uległa znacznemu nadszarpnięciu. Ogród Kwasieborskich, zdaje się, został zakupiony przez seminarium duchowne i częściowo wzięty pod budynki. Na posiadłościach Kowalewskich rozsiadły się gmachy mariawickie — Słupeckich i Zaleskich uległy częściowej parcelacji. Naturalnie te ogrody, zwłaszcza większe, położone na krańcach miasta, znane były tylko stałym jego mieszkańcom, przede wszystkim młodemu pokoleniu. Starsze panie niekiedy zaglądały tutaj po owoce, starsi panowie przychodzili na zsiadłe mleko, a wojskowi rosyjscy spotykali się z paniami z towarzystwa rosyjskiego.

Przybyszom Płock pokazywał tylko część swojej oprawy: a więc olbrzymi skwer, na którego brzegu zbudowano cerkiew i który już za moich czasów uczniowskich miał wzdłuż alei tak rozrosłe drzewa, iż podczas skwarów letnich wchodziło się w nie jak w chłodne i nieco

ciemnawe korytarze. Niby dalszy ciąg skweru, ciągnął się ku ulicy Mostowej i Wiśle Park Niemiecki zbiegający w dół, sięgając niemal jednym krańcem swoim po most. Po drugiej stronie ulicy Mostowej krętą, wygodną, bo szeroką i niezbyt stromą ścieżką dostać się było można na plac Tumski, otaczający katedrę i otwierający przepiękny widok na rozległy, niski brzeg Wisły. Wszystkie rozszerzenia i upiększenia parku dokonywały się już za mojej pamięci. A więc ciągnął się przez dawny ogród biskupi aż do teatru, a poniżej ku Wiśle szły tarasy — jeden z piękniejszych widoków, jakie znam w obrębie Korony.

Natomiast to, co działo się w tej oprawie, zachowało w mojej pamięci postać mglistą i pogmatwaną. Dotyczy to przede wszystkim osób i ich postępowania.

Przez dom dziadka przesuwała się moc znajomych. Za mojego dzieciństwa do stołu siadało stale koło dziesięciu, a niekiedy i więcej osób — dwie ciotki, wuj, półrezydenci, przypadkowi goście itd. Na imieniny dziadka, 3 grudnia, liczba ta pęczniała, zamiast na półmiskach wnoszono ryby na specjalnie wyheblowanych deskach, ale nade wszystko otwierało się na oścież wejście do piwnicy, skąd płynęły różnego kształtu i wielkości butelki i butelczyny. Zresztą te przyjęcia nie były hałaśliwe — były złożone wyłącznie z mężczyzn. Panowie siedzieli przy stolikach nad preferansem i milczeli. Natomiast zebrania miłośników muzyki były nie tylko żarłoczniejsze, ale i hałaśliwsze. Ale ci wszyscy panowie od preferansa i od muzyki mało mnie interesowali — to był dla mnie świat całkowicie obcy i nudny. Zwłaszcza kiedy usiłował wtrącać się w nie swoje rzeczy, tj. dotykać mojej niepodległej osoby, nie skłonnej do brania morałów do serca. Zresztą, panowie mieli zawsze coś pilniejszego do rozmowy pomiędzy sobą niż dokuczanie nieborakowi 6—7-letniemu. Natomiast baby, iż użyję ulubionego wyrażenia dziadka, tj. panie, były gorsze. Zwłaszcza dalekie dwie kuzynki babki Krzywickiej, jedna o pięknym imieniu Pulcherii, drugiej imienia nie pamiętam, choć z dziadkiem nazywaliśmy ją po cichu Hermenegildą. Były to mocno leciwe, stare panny Kwasiborskie, spośród szlachty siedzącej pod miastem lub na folwarkach miejskich. Prawie nie wychodziły z naszego domu. Przeszły od babki w charakterze półrezydentek jako puścizna rodzinna. Uważały, że za dużo pozostawiano mi swobody, że nie dość jestem grzeczny — uporczywie nie chciałem całować ich w rękę! W ogóle cokolwiek robiłem, robiłem źle. Bodaj są to jedyne postacie, które tak wyraźnie zapamiętałem. Utkwiło mi w pamięci tylko parę

nazwisk, choć samych osób nie pamiętam. A więc pamiętam nazwisko cieśli Jurgensa. Parterowy czy może jednopiętrowy domek jego leżał przy ulicy Królewieckiej, po swojej stronie sam jeden na całej jej przestrzeni od ulicy Bielskiej aż do końca Królewieckiej, tj. do płotu klasztoru księży reformatów. Nie wiem, z jakich powodów, ale często zaglądałem na podwórze jego domu. Zdaje się mieszkał tam mój przyjaciel — rówieśnik, Marian Wilczyński, bawiący tylko chwilowo w Płocku z powodu choroby kogoś z rodziny. Psociliśmy panu Jurgensowi właściwie bez zamiarów wyrządzania mu kawałów. Jako ciekawi i ruchliwi malcy właziliśmy w różne kąty jego posiadłości, a właściciel z naszego powodu głośno zrzędził w łamanej polszczyźnie. Dopiero w wiele lat później dowiedziałem się, że był ojcem powieszonego w Warszawie jednego z naczelników powstania i że, chociaż cieśla, lubił siadywać nad książką techniczną i nawet matematyczną.

Drugim był sędzia „farmazon“ [2] Makowski, zajmujący lokal złożony z 4 pokoi na parterze dużej kamienicy matczynej. W domu (tj. z ust domowników) nigdy nie słyszałem jego przydomka „farmazon“. Jedynie obijał się on o moje uszy podczas wizyty różnych starszych panów i od ich rezonansu domowego — starej Borkowskiej. Jednego razu zwróciłem się do dziadka z zapytaniem, co znaczy ten wyraz. Dostałem odpowiedź, że jestem jeszcze dzieciakiem, który takich rzeczy nie zdoła zrozumieć, oraz że sędzia Makowski jest mądrzejszy i lepszy od tych, którzy o nim plotkują. Zwłaszcza często obijało się o moje uszy imię jego wychowanki, panny Klementyny, i niejakiego bodaj że Czachowskiego. Rzecz ciekawa, jak zarówno to imię jak i nazwisko utkwiły w mojej pamięci, może dlatego że wymawiane zawsze z mocnym przekąsem. Dowód, że je często musiałem słyszeć tak uwydatnione. Sędzia Makowski, zdaje się, nigdy nie posiadał żony lub był może wdowcem. Panna Klementyna była jego siostrzenicą czy synowicą, niezdarną kaleką, jedynie ze szczątkami palców, które utraciła podczas pożaru. Było to pono stworzenie zahukane, lękliwe i niezbyt młode, którym zaopiekował się stary emeryt. Jakem zaznaczył, słyszałem jej imię, nazwisko jej opiekuna i nazwisko owego pana Czachowskiego zawsze wypowiadane z oburzeniem i miną pogardliwą. Nie bardzo rozumiałem wtedy, co się dzieje u Makowskiego. Dopiero w lat kilkanaście później, kiedy z powodu przedwczesngo usamowolnienia mojej osoby zarówno ja z Warszawy jak i dziadek z Kliczek przybyliśmy do Płocka i odwiedziliśmy kamienicę matki, zagadnąłem o Makow-

skich. Dowiedziałem się, że Czachowski, niefortunny małżonek opuszczony przez żonę i kompletny niedołęga, znalazł przytułek również u starego Makowskiego, żył z Klementyną, a stary sędzia to tolerował. Dziadek przy tym zrobił uwagę: dziobali ich wszyscy, choć nikomu krzywdy nie zrobili, a sobie dostarczyli nieco szczęścia w swoim dość ciężkim życiu.

I jeszcze jedna postać wypływa przede mną z owych czasów. Jest to policjant niskiej rangi, co najwyżej odpowiadający naszemu dzisiejszemu dzielnicowemu, mocno otyły, o twarzy czerwonej i o nosie zabarwionym; chodził ciężkimi krokami. Ponieważ do swego mieszkania musiał przechodzić wzdłuż naszego ogrodu i domu, rysy jego pozostały mi w pamięci, gdyż niejednokrotnie z ciekawością i nienawiścią przyglądałem się temu niecnocie, którym mi Borkowska często groziła. Był postrachem tej dzielnicy Płocka, w której mieszkaliśmy, a może i innych. Szpieg codzienny, popowstaniowy lub raczej powstaniowy, który trwał dalej na swoim stanowisku w pierwszych latach lęku popowstaniowego. Załaził na podwórza, zawadzał o każdy szczegół, bez ceremonii i publicznie dopytywał się służby domowej o różne rzeczy, notował, ile świec pali się w każdym oknie podczas galówek i czy są to świece lepsze, czy gorsze, może łojówki. Stawał u drzwi kościoła, w którym urzędnicy Polacy obowiązkowo musieli być obecni podczas obchodów natury urzędowej, i notował nieobecnych, wtrącał się, czy pieróg (osobliwej formy trójkątny kapelusz), w którym paradowali, jest nieposzlakowanej doskonałości, czy szpada wisi u boku — i o każdym zaniedbaniu, o każdym powiedzeniu nielojalnym zdawał sprawę władzom. Nawet nie czynił tego, ażeby zmuszać kogokolwiek do dawania mu łapówki. Zresztą, opływał w liczne upominki od mieszkańców, którzy o nim pamiętali, jak gdyby w drodze zaliczki na przyszłe swoje grzechy i ich wczesne odkupienie. Uprawiał sztukę dla sztuki i stwarzał ludziom moc nieprzyjemności. Dlatego jego ukazanie się na podwórku lub zatrzymanie przed którymś domem już rodziły niepokój. A nuż spostrzegł coś nielojalnego, zoczył jakąś poszlakę nieprawomyślności. Ludziska drżeli przed nim. Pojmował dobrze tę swoją potęgę i, o ile mogę wnioskować, upajał się swoją władzą. Psu domowemu nie pozwalano wybiec na ulicę z podwórza, bo Mąkierski może go dostrzec i zadenuncjować jako objaw systematycznego nieposłuszeństwa władzom; wystrzegano się wywiesić w ogrodzie obok sztuk białej bielizny jakiejś czerwonej sukienki lub dziewczynce przewiązać włosy w ten sposób, iżby w swoim skojarzeniu przypominały barwy sztandaru

narodowego, gdyż mogło to świadczyć o sympatiach dla stłumionego powstania. Policjant zaczepiał dzieciaki na ulicy, pytając o członków rodziny, w ten lub inny sposób podejrzanych o sympatie dla powstania, ażeby z wyznań, a niekiedy bełkotu dziatwy ukuć treść nowej denuncjacji.

Tyle i tak często mówiono o nim u nas w domu, tyle razy z różnymi nowinami przybywała Borkowska, tyle opowiadały osoby postronne, które zaszły na chwilkę bądź w gościnę, bądź za interesami lub z jakąś prośbą, iż Mąkierski w mojej wyobraźni dziecięcej urastał na wszechpotężnego potwora, na jakiegoś nowoczesnego Heroda, a może coś gorszego od Heroda z szopki, bo ten kazał jedynie dzieciom obcinać głowy, Mąkierski zaś łaknął, żeby każdemu obywatelowi spadła głowa. Wszystkie drobne opowiadania, wszystkie plotki zrastały się w jakiś utwór zwarty, przeraźliwy. A było to w moim wczesnym dzieciństwie. Sądząc z różnych szczegółów, jeszcze nie interesowałem się żadną książką, nawet elementarzem, a więc musiałem liczyć około pięciu, najwyżej sześciu lat, kiedy Borkowska wpadła do pokoju rozpromieniona, a przede wszystkim naładowana plotkami, które pragnęła wszystkim zakomunikować: głosem tryumfującym oświadczyła, że Mąkierski, czyszcząc swoją fuzję, przez nieostrożność zastrzelił się — diabeł zabrał swoją zdobycz. Jeszcze raz powtarzam — musiało to być w bardzo wczesnym moim dzieciństwie. Przecież nie wypuszczano mnie jeszcze z domu samopas ani nie przywłaszczyłem sobie prawa wybiegania na ulicę bez opowiedzenia się. Mąkierski mieszkał tuż przy rogatce Bielskiej. Tłumy wędrowały na miejsce wypadku — służące, wyrobnicy, handlująca biedota żydowska, której zwłaszcza Mąkierski dawał się we znaki, wszystko to szło, żeby przekonać się naocznie, że Mąkierski nie żyje. Powędrował od nas stróż domu, cała ludność mała i dorosła z suteren i oficyny. Naturalnie powlekła się i Borkowska, za nią Marysia i nieodłączny Azor. Lecz zakazano Borkowskiej brać mnie z sobą. Choć byłem w pobliżu miejsca, w którym zakończył życie Mąkierski, może pół kilometra, może nieco więcej, moja noga nie miała postać za rogatką ani moja osoba uczestniczyć w tak pociągającym pochodzie tłumów! Nie ma jednak trudnej ani ciężkiej drogi do swej niebogi. Z mieszkania naszego prowadziły liczne drzwi bądź na podwórze, bądź do korytarza, z którego było wyjście na ulicę — nigdzie w domu nie postawiono żadnego posterunku — sądzono bowiem, że Ludwik uszanuje zdanie starszych, iż niepotrzebny jest na miejscu samobójstwa, i nie przekroczy zakazu. Ale Borkowska nie-

daleko jeszcze była odeszła od domu z córką swoją i psem, gdy do niej przyłączył się i Ludwik. Zamierzała mnie odprowadzić natychmiast z powrotem, ale spragniona uzbierania na miejscu mnóstwa plotek odłożyła tę groźbę; jedynie dla uspokojenia sumienia nie przestawała powtarzać pogróżki, pozwalając mi jednak iść z sobą zrzędząc ciągle. Mąkierski mieszkał w parterowym domku, tuż przy rogatkach Bielskich. W drodze ciągle przystawaliśmy, bo pomiędzy powracającymi Borkowska znajdowała dużo znajomych i od nich otrzymywała wciąż nowiny, którymi miała się popisać po powrocie do domu. Około rogatek tłumy rozproszyły się na drobniejsze gromadki, żywo rozmawiające i gestykulujące. W pierwszych chwilach puszczano przechodniów do izby, w której leżał otyły, a nawet opasły policjant, później zamknięto wejście. Borkowska była w swoim żywiole. Kulejąc przechodziła od gromadki do gromadki, dowiadywała się czegoś nowego lub od siebie coś dodawała, trzymając jedną ręką swoją Marychnę, drugą mnie, coraz bardziej zniecierpliwionego tą jednostajnością. Pogrzebu nie pamiętam. Gdy odgrzebuję te czasy, w umyśle moim panuje zupełna pustka w tym względzie. Jak gdyby żadnego pogrzebu nie było...

I jeszcze jedno nazwisko wypływa z pamięci — Kampenhauzena, już z czasów późniejszych, gdym znalazł się w gimnazjum.

Zdaje się, że kolegowałem z Kampenhauzenem, malcem o usposobieniu raczej łobuzerskim, zawadiackim, a może była między nami różnica jednej klasy, i bliższa znajomość polegała na wspólnym uczestnictwie w grach w piłkę lub skręcaniu się w węża. Rodzice jego mieli ładny domek przy ulicy Kolegialnej poza skwerem cerkiewnym. Tam na podwórzu lub w ogrodzie spędziłem niejedno popołudnie. Nazwisko mnie pociągało. W szkicach Szajnochy czytałem o jakimś Kampenhauzenie, który za czasów saskich jako rycerski jeździec piastował wysokie dostojeństwa — wyróżnił się w jakiejś konnej prezentacji. Zwróciłem na to uwagę właśnie z powodu mojego koleżki. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy powiązać obu rodowodów jako ogniw w tym samym drzewie genealogicznym. Jakiś dygnitarz z jednej strony, a z drugiej kolega, niekiedy nie domyty, z łatami na spodniach, bodaj z winy nieotrzymania promocji nie uczęszczający do gimnazjum! Przecież nie jednemu psu Łysek. Aż pewnego dnia zrobiło się gwarno z powodu tego nazwiska. Stary Kampenhauzen umarł. Paru kolegów było na pogrzebie. Przynieśli wiadomość, iż ktoś z duchowieństwa wygłosił nad trumną wielką mowę ku czci domu Kampenhauzenów, między innymi sięgnął do pana wo-

jewody malborskiego, a od niego wyliczał różnych Kampenhauzenów, idących w prostej linii od tego dygnitarza aż do świeżo zmarłego. Jak mi się zdaje, najmniej tymi rodowodami był wzruszony żyjący potomek w osobie mego przyjaciela — nie poczuwał się do obowiązku sięgnięcia po jakiekolwiek zaszczyty z tego powodu. Raczej uważał, że właśnie on przynosi chlubę swoim pradziadom tym, że istnieje i łobuzuje się... W Płocku od czasu do czasu zdarzały się takie niespodzianki. Okazywało się, iż ktoś z zastępu kopciuszków przebywających w ciężkich warunkach może pochwalić się świetniejszą rolą swojego nazwiska w przeszłości, i to w czasach niezbyt odległych.

A spoza osób pojedynczych wypływa w pamięci wielka majówka „towarzystwa muzycznego". Piszę w cudzysłowie, gdyż była to spójnia nie ulegalizowana, grono osób, które ześrodkowało się dokoła amatorów muzyki i śpiewaków występujących w byłym kościele oo. reformatów. Działo się to około r. 1867—68, kiedy nie podobna było marzyć o otrzymaniu legalizacji dla jakichkolwiek stowarzyszeń. Przecież w latach późniejszych gubernator Janowicz (?) odmówił zatwierdzenia kooperatywy mleczarskiej, ponieważ może stać się ośrodkiem działalności antyrządowej. Ale wracam do owej majówki, w której urządzaniu dziadek mój odegrał dużą rolę. Już niemal o świcie ruszyły wozy: jedne naładowane wiktuałami i przysmakami, inne przepełnione uczestnikami. Majówka odbywała się wśród uroczej okolicy tuż w pobliżu Wisły, tam gdzie później rozsiadła się cukrownia Borowiczki. Tłumno było i gwarno: zabawiano się tańcami, śpiewami, deklamacjami, przechadzkami. Nawet deszcz rzęsisty, lecz krótki, nie zatamował zabawy. Zwłaszcza ku wieczorowi ludzie rozochocili się: trunki nieco oddziałały. Zaczęły się mowy, przeplatane toastami. Zapamiętałem jeden z tych toastów, choć wtedy nie rozumiałem go należycie: Jeszcze nasza nie zginęła!... Były deklamacje bodaj o charakterze niezbyt lojalnym, ponieważ w mojej obecności dziadek, jeden z inicjatorów majówki, polecił paru młodszym uczestnikom, żeby trzymali nieco język za zębami. I gdy mówię o majówce płockiej, mimo woli porównywam ją z majówką łomżyńskiej ochotniczej straży ogniowej, której byłem również uczestnikiem w kilkanaście lat później.

Ale żeby porównania te były zrozumialsze, należy pomówić nieco o obu tych miastach, Łomży i Płocku, będących wtedy jednakowo stolicami guberni. Porównanie to dotyczy lat 1881—1882. Płock był wtedy miastem dobrze zabudowanym, z licznymi, dobrze utrzy-

manymi ulicami, z licznymi i starannie pielęgnowanymi skwerami, z trzema księgarniami. Rosjanie, przedstawiciele wszelkiego rodzaju władzy, nie wysuwali się wśród ludności zbytnio naprzód. Istniał w mieście silny odłam obywatelskowiejski, ogniskujący się dokoła Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Siedzieli w Płocku różnego typu rentierzy-Polacy i liczna inteligencja wolnych zawodów. Pomimo atmosfery lojalizmu, a właściwie zalęknienia, polskość górowała w życiu umysłowym miasta, a tym bardziej w życiu codziennym, i wniwecz obracała wszelkie wpływy pochodzenia rosyjskiego. Jedynie na skwerze otaczającym cerkiew, zwłaszcza po nabożeństwie w święta i galówki, odczuwać się dawała obecność napływowego żywiołu rosyjskiego. Ale za to skwery dokoła Tumu w każdej porze dnia i w każdym dniu tygodnia rozbrzmiewały jedynie mową polską. I ten obraz po latach kilkunastu, gdy skończyłem uniwersytet, w gruncie rzeczy niezbyt się zmienił. Wprawdzie przybyło Rosjan, ale znowu poza skwerem dokoła cerkwi, który ochrzczono nazwą Floriańskiego, nie dawało się to odczuwać. A wśród Rosjan znajdowali się ludzie nie całkowicie skrojeni według rytuału rusyfikacyjnego. Takim był Romańko-Romanowski, wysoki dostojnik sądowy, bodaj prokurator albo prezes sądu apelacyjnego, ojciec młodego prawnika, który tłumaczył później parę moich rzeczy na język rosyjski. Któregoś wieczoru w towarzystwie polskim stary Romanowski siadł do fortepianu. Zagrał parę kawałków poważniejszych, a spostrzegłszy, że towarzystwo zasmakowało w jego muzyce i wywiązała się atmosfera serdeczniejsza, wydobył spod palców swoich melodię „Boże, coś Polskę". Ogólna konsternacja i milczenie. Romanowski zdziwiony rozgląda się po towarzystwie, w końcu zapytuje: „Sądzę, że panowie znają tę melodię?" Kłopotliwe milczenie. Po paru minutach Romanowski pożegnał towarzystwo. Podobno oświadczył gospodarzowi, iż doznał był podczas swojej wizyty wielkiej niespodzianki...

Tutaj także urzędował Bardowski[3]. W Płocku zadzierzgnęła się piewsza nitka jego łączności z przyszłym „Proletariatem", która zaprowadzić go miała na szubienicę: poznał Edmunda Płoskiego, który podczas lata praktykował w sądach płockich. Po upływie jakichś paru lat Płoski z Kunickim siedzieli w którejś cukierni warszawskiej. Wszedł Bardowski. Przywitał się z Płoskim i usiadł nieco opodal. Kunicki dowiedziawszy się, kim jest ów nieznajomy, prosił Edmunda, żeby go z nim poznajomił. Z tą chwilą los Bardowskiego został przesądzony...

Łomża przedstawiała się zgoła inaczej.

Kiepsko zabudowana w porównaniu z Płockiem, źle utrzymana, mająca gdzieś ogród spacerowy tylko co wytknięty poza obrębem właściwego miasta, była pozbawiona również tych imponderabiliów, jakimi rozporządzał Płock, posiadający w swoich murach osoby, które miały za sobą tradycje niejednego pokolenia, mieszczący w sobie liczne rodziny zamożne i obfitą inteligencję spośród wolnych zawodów. W takim pustkowiu żywioł rosyjski ujawniał się z większą mocą, przy czym znalazł tu i ówdzie naśladowców wśród sklepikarstwa. Gdy wchodziło się do takiego sklepiku, zdarzało się słyszeć mowę rosyjską, która ustępowała miejsca mowie polskiej, gdy sklepowa usłyszała zapytanie w tym języku. W ogóle Łomża, gdy ją dopiero poznałem, czyniła wrażenie czegoś mocno przesiąkłego wpływami Wschodu. Akurat przybyłem do niej po raz pierwszy wprost z Płocka i wypadło mi silnie odczuć tę różnicę. Otóż podczas owego pobytu zostałem zaproszony na majówkę, którą urządzała miejscowa straż ochotnicza. Zaciągnął mnie jeden z urzędników Izby Skarbowej, który ułatwiał mi korzystanie z dawnych materiałów złożonych w tym urzędzie.

Majówka odbywała się w lasku około Kraśnika. Wyróżniała się dużą wesołością i nieco prostackim zachowaniem się jej uczestników. Ale prawdziwa niespodzianka oczekiwała mnie dopiero w drodze powrotnej: mężczyźni ruszyli w ordynku pożarniczym, a było ich pod setkę. Na przodzie, zdaje się, szła orkiestra, grała marsza, potem drugiego i nagle ktoś spośród maszerujących intonuje, wprawdzie w polskim języku, ale ta okoliczność nie zmienia sytuacji: „Boże, cesarza chroń!“ Jakby ktoś uderzył mnie obuchem w głowę. Miałem po gardło majówki, a uczucie to przywarło do całej Łomży. Może z tego powodu jestem stronny i niesprawiedliwy w stosunku do niej, acz mam wrażenie, że w swoim opisie nie przesadziłem.

*

Potok życia w Płocku toczył się wolno, niemal w tym samym łożysku drobnych wypadków, tylko niekiedy wzmocniony jakimś skandalikiem. Z tego pasma przesuwających się nastrojów i zdarzeń pamiętam (choć niejasno i znowu lat podać nie mogę) stany przygnębienia, o których wieść często gęsto przedostawała się do naszego domu i tam wywoływała rozmowy przy obiedzie lub kolacji. A więc że ktoś musiał sprzedać swój majątek, nabywca-spekulant zaś sprze-

dażą lasu na ścięcie, a gruntu spod niego na parcelację — okupił cenę zapłaconą, dwór, zabudowania i pola orne były czystym zyskiem. To znowu ktoś inny wyzbyć się musiał majątku, ocenianego od dziadów i pradziadów na tyle to włók. Nabywca kazał pomierzyć grunt w celach parcelacji i, zamiast dwudziestu, znalazł włók trzydzieści. I zawsze w tych opowieściach wetkane pojęcia musu: musiał, był zmuszony...

Z nowinami o takich przejściach majątków do innych rąk szły opowieści o losie dawnych dziedziców, o tym, jak właścicielka marzy o otwarciu w Płocku stancji dla uczniów i o znalezieniu w ten sposób utrzymania dla siebie i rodziny.

Jeszcze liczniejsze były opowieści o urzędnikach Polakach, których usuwano, a którzy zostawali na bruku bez środków do życia prócz niewielkiej emerytury. Na ich miejsce przybywali Rosjanie. Ci naturalnie otrzymywali inne uposażenie, niż wynosiły dawne pensje Polaków, przekazywane bez zmiany od dziesiątków lat. W jednym wypadku Polak, mając za sobą kilkadziesiąt lat służby, otrzymywał pensji niespełna 60 rubli, a jako emeryt ledwie około 30 miesięcznie, jego zaś następca Rosjanin pobierał około 150 — olbrzymie uposażenie jak na Płock, gdzie za ładne mieszkanie czteropokojowe w nowym domu płacono miesięcznie 20—25 rubli.

Tworzył się zastęp wykolejeńców, niekiedy mocno podeszłych w lata. Ciężar utrzymania rodzin spadał na kobiety, które na ogół, jeśli moje wrażenie mnie nie myli, wykazały hart i energię większą niż mężowie. Na tych przejściach najgorzej wychodziły dzieci w wieku szkolnym: bez pomocy korepetytora nie mogły przepchnąć się wyżej ponad dwie, trzy klasy i szły do terminowania w warsztatach rzemieślniczych.

A na tle tych nastrojów troski i przygnębienia wypływa w mojej pamięci zdarzenie, którego powodów ani istoty nie umiem wypowiedzieć — byłem jeszcze bardzo małym, acz wrażliwym bębnem. A mianowicie pewnego dnia już pod wieczór przybyło do nas dwóch starszych wiekiem panów. Wprowadzono ich do salonu, gdzie było parę osób, w tej liczbie sterczałem i ja gdzieś w kącie. Ze strony przychodniów pada pytanie, czy u państwa nie ma na stancji uczniów gimnazjalnych. U nas nigdy nie było tego rodzaju obywateli, odpowiedź więc była przecząca i krótka. Ale swoją drogą wywiązała się dłuższa rozmowa. Po wyjściu dziadek odezwał się: — Spraszają uczniów, ażeby wracali do szkół. — Dla mnie dzisiaj rzecz jasna: z jakichś powodów młodzież przestała uczęszczać do szkół i nauczy-

ciele z polecenia władz szkolnych odbywali wędrówki po mieszkaniach, chcąc zgarnąć malców z powrotem do murów gimnazjalnych. Zdarzenie to stanęło w pamięci przede mną w r. 1905, kiedy młodzież szkolna opuściła rosyjskie zakłady średnie. Ale kiedy to było? Mieszkaliśmy wtedy na rogu Bielskiej i Królewieckiej. Do żadnej szkółki nie uczęszczałem, więc co najwyżej mogłem mieć lat około sześciu; możliwe, że wizyta mogła przypaść o rok i nawet parę lat wcześniej. Możliwe, że ten bojkot szkolny pozostawał w bezpośrednim związku z powstaniem. Ale jest rzeczą wykluczoną, by zaszedł dopiero z powodu pierwszych prób rusyfikacji szkolnictwa. O wspomnienie tego zdarzenia nie otarłem się nigdy w swoim życiu późniejszym. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy to się zdarzyło. W wieku starszym miałem moc przeróżnych zainteresowań, o wizycie owych panów zupełnie zapomniałem. W ogóle o rzeczach będących w związku z powstaniem panowało powszechne milczenie. Pod tym względem jak gdyby na usta ludzi nałożono jakąś pieczęć. Zresztą, przewrót warunków bytu idący w parze z ruiną dawnej zamożności, z wykolejeniem całych rodzin, był tak gwałtowny, iż odsuwał gdzieś na plan dalszy wszystkie inne zainteresowania. Społeczeństwo popadało w przygnębienie coraz cięższe i wolało nie wspominać o zawiedzionych nadziejach. Dopiero dzisiaj zrozumiałem, jakie zasługi położył pozytywizm mimo swojego lojalizmu politycznego, za który moje pokolenie — i w tej liczbie ja również — około r. 1878—80 zaczęło na nim psy wieszać: w atmosferę apatii i lęku wniósł on pierwiastki jakiejś walki, jakiegoś rwania się naprzód. Nie chodzi o to, jaki był cel tego rwania się, tylko o jego skutki bezpośrednie, tj. wyjście z wegetowania bez myśli o przyszłości.

*

Około dziesiątego roku życia zaskoczyły mnie zdarzenia o znacznie większej doniosłości niż jakiekolwiek dotychczas. Pozostały w mojej pamięci w całej mocy, choć pozbawione szczegółów. Była to wojna niemiecko-francuska z jej konsekwencjami.

O przewidywaniach i projektach różnych wojen nasłuchałem się niemało w swoim dzieciństwie. Rzecz znamienna, wszystkie te wywody wiążą się z pobytem moim na wsi. Czy to w Kaskach, czy podczas parodniowych wizyt w Szymanowie, gdzie mój dziad ze strony matczynej (brat mojej babki) trzymał był folwark na plebanii w dzierżawie, bądź podczas wizyt w dalszym sąsiedztwie, zawsze pa-

nowie lokowali się na ganku i tworzyli gromadkę roztrząsającą, kto z kim i kiedy weźmie się za czuby w Europie. Niekiedy pojawiały się nawet mapy na stole: dzielono Europę bez ceremonii, a zawsze tak, ażeby Polsce coś się okroiło. Gdy dzisiaj uprzytamniam sobie te dyskusje, a niekiedy rosnące spory, te nadzieje pokładane w Turcji, która zbije „Mochów na kwaśne jabłko", te nazwiska zbawców, jak Garibaldi, Napoleon III — ci panowie wyglądają na gromadkę dzieciaków; pragnienia swoje brali za rzeczywistość i nie umieli ani połapać się w sile różnych państw, ani w interesach i koniecznościach polityki państwowej.

I oto wybucha prawdziwa wojna. A wybucha niemal nieoczekiwanie. Przykuła do siebie od razu uwagę inteligencji płockiej. Panowie zatrzymywali się na ulicy, rozmawiali z sobą nie tylko o wojnie, ale i roztrząsali różne możliwości, ciężarne wielkimi nadziejami. Ponieważ towarzyszyłem często dziadkowi w jego przechadzkach, nie byłem zbyt zadowolony z tego, że ten gawędzi po drodze z jednym, z drugim znajomym, a ja muszę wyczekiwać w bezczynności na koniec rozmowy — przyglądać się, jak częstują się wzajemnie tabaką lub cygarami, świadczą sobie różne grzeczności, a za każdym razem powtarzają to, co przed chwilą już słyszałem. Jak gdybym nie istniał na świecie! Co najwyżej dziadek, rozumiejąc moje męki, po rozstaniu pokpiwał ze mnie: biedny Jowisz! Ale wojna zainteresowała mnie bardzo od pierwszego dnia. Prenumerowano u nas Gazetę Polską. Trzeba było chodzić po nią na pocztę, a chociaż zazwyczaj nie byłem skory do załatwiania czegoś na mieście, tym razem chętnie sam z siebie biegłem po gazetę. Niekiedy przychodziłem za wcześnie — spóźnienia ze strony poczty były na porządku dziennym — i musiałem wyczekiwać na rozpakowanie transportu. Otrzymawszy gazetę wędrowałem na pobliski skwer (około cerkwi) lub szedłem spokojnie ulicą Królewiecką i czytałem wiadomości, w ostateczności zaś, gdy deszcz padał lub inne okoliczności zmuszały mnie do rychłego powrotu, prześlizgiwałem się pod domem naszym do ogrodu i gdzieś w gąszczach lub ukryty w altanie delektowałem się nowinami, świadom, że gdybym przyniósł gazetę wprost do domu, nie dostałaby się do moich rąk. Rozczarowania szły w szybkim tempie po rozczarowaniach. „Nasi", tj. Francuzi, wciąż ustępowali, „Szwabi" wciąż byli zwycięzcami. Tworzyło to u nas w domu atmosferę markotną, przygnębioną. Aż doczekaliśmy się katastrofy. Wyjechałem z matką na dni parę do Wilkowskich, którzy na starość osiedlili się w Radziwiu, mieli tam spory domek — willę — powiedzie-

libyśmy dzisiaj — duży ogród, konie i w ogóle gospodarstwo. Była to bodaj niedziela lub jakieś święto. Z Płocka przybyło nieco gości, w ich liczbie pamiętam profesora gimnazjalnego, starego Dembickiego — był on przyjacielem obu Wilkowskich. Jeden czy obaj bracia byli kiedyś nadleśnymi. Sądząc z ich biblioteki i atmosfery domowej, nie trzymali się ongi z dala od żywszych prądów umysłowych. Cała *Wielka Encyklopedia Orgelbranda,* liczne książki historyczne, rzędy czasopisma Sylwan i jakichś pamiętników czy roczników zajmowały olbrzymią szafę. Dembicki przybył spóźniony tylko po to, żeby swoim przyjaciołom zakomunikować hiobową wieść: Napoleon III poddał się i złożył szpadę swoją w ręce zwycięskich Niemców, a wraz z nim cała armia dostała się pod Sedanem do niewoli.

W pierwszej chwili wszyscy osłupieli, tak ta wiadomość była niespodziewana i zwłaszcza bolesna. Po chwili rozległ się jakiś lekki szloch. Któraś ze starszych pań, biorąca gorąco do serca wypadki 1863 roku, odpowiedziała w taki sposób na przykrą nowinę. Łzy ukazały się i w oczach innych pań, a towarzyszyły im ciche, spazmatyczne łkania. Była to jak gdyby przygrywka do wybuchu. Zachowanie się ich gwałtowne obfitowało w krótkie, lecz mocne wyrazy, pełne głębokiego uczucia, jak wszystko, co jest szczere i płynie z serca. Byłem zasłuchany w to wszystko: chwytałem każdy gest, każdy wybuch oburzenia. Jeden z przemawiających widocznie orientował się zarówno w zamachu dokonanym przez Napoleona III, w przybliżeniu przed laty dwudziestu, jak i w zastępach jego popleczników i w zgniliźnie, która szła od dworu i robiła spustoszenie moralne w wojsku i wśród wyższej biurokracji. Com wtedy usłyszał i zapamiętał, odżyło w całej pełni w kilka lat później, gdym rozczytywał się w jakimś parotomowym utworze powieściowym z czasów zamachu, bodaj Gaboriau, i później, gdym zaznajomił się z historią III Cesarstwa. Rozmowy toczyły się do późnej godziny, a właściwie do odejścia lub rozjechania się gości.

Z tym dniem rozpoczyna się tym namiętniejsze rozczytywanie się w Gazecie Polskiej. I to zainteresowanie przeniosło się na zrewoltowany Paryż.

Nie pojmowałem, czego chce Paryż, ale ze stałą namiętnością śledziłem wydarzenia tamtejsze. Obecność polskich nazwisk w Paryżu jedynie powiększała moje zainteresowanie i wzmagała sympatię. Tych nazwisk nie zapamiętałem wówczas i dopiero po upływie lat dziesięciu dobrałem się do nich, a jeszcze parę lat później poznałem przedstawiciela jednego z nich — Walerego Wróblewskiego.

Dni ostatnie grozy, kiedy Paryż był cały w ogniu, walki zaś toczyły się na ulicach, acz niezrozumiałe dla mnie pod względem pobudek, wabiły jednak jakimś urokiem mocy i namiętności. Jeszcze raz powtarzam, nie rozumiałem ich, ale coś mnie ku nim pociągało. Nie ku sprawcom pożarów, ale ku ginącym! Zresztą muszę dodać, że korespondencje o wypadkach paryskich w Gazecie Polskiej tonem swoim rodziły poczucie jakiegoś współczucia dla ginącego Paryża. W późniejszych latach kilka razy zamierzałem zajrzeć do starych roczników tego pisma, żeby przekonać się, czy moje posądzenie Gazety Polskiej o pewną życzliwość dla zbuntowanego Paryża, a przynajmniej zrozumienie jego pobudek, były słuszne. Ale jakoś nigdy nie udało mi się czynem poprzeć swoich marzeń. Postanowienie takie z całą mocą przemówiło w r. 1885, kiedy w towarzystwie Francuzów zwiedzałem zabytki Paryża z owych czasów wojny.

*

Stałem przed murem cmentarza Père Lachaise, dokąd schroniły się lub były spędzane niedobitki Komuny i wersalczycy rozstrzeliwali ich masowo z kartaczownic. Stałem na placyku około dzwonnicy Saint Jacques, gdzie rzucano ofiary krwawej sprawiedliwości, z lekka przyprószone warstwą ziemi, a na drugi dzień sterczało z niej wiele zastygłych rąk. Obchodziliśmy miejsca, gdzie rozstrzelano lub gdzie zginął ten lub inny z wybitniejszych uczestników rokoszu. Przede mną zmartwychwstawał krwawiący się przed laty kilkunastu Paryż. Jeszcze później poznałem paru uczestników tej nielitościwej rozprawy, w tej liczbie Jacquelarda, żonatego z siostrą Zofii Kowalewskiej [4], bliskiej przyjaciółki Marii Jankowskiej [5] — bywał u niej częstym gościem. Wspomnieniom nie było końca. Szły opowieści o tym, jak damy w Wersalu rzucały się z parasolkami na prowadzone pod konwojem gromady uwięzionych komunardów, złorzecząc im, plując w twarz, a nawet usiłując wykłuć oczy parasolkami. Jak Gallifet, głównodowodzący wersalski, przyglądał się tym zastępom jeńców i wybierał z miny i postawy spośród nich ofiary krwawego sądu: a więc hardych wyrostków, żeby zapobiec z ich strony wywołaniu po raz drugi zbrojnego oporu robociarzy, oraz starszych wiekiem, ponieważ są już niepoprawnymi łotrami. Takim dowcipem i ironią okraszał czyn swojej samowoli.

I w końcu wypadało mi być na pogrzebie Vallèsa [6]. Pogrzeb oddziałał silnie na moją uczuciowość, a właściwie podczas swojej

bytności w Paryżu byłem świadkiem dwóch pogrzebów: Wiktora Hugo i Vallèsa. Pogrzebowi Wiktora Hugo przyglądałem się z okien pokoju na pierwszym piętrze, na bulwarze Saint Germain, w pozycji bardzo wygodnej, u Chełmońskich, dokąd mnie wprowadził mój znajomy, malarz Ferencowicz. Pochód pogrzebowy przesuwał się w ciągu paru godzin: szły delegacje po delegacjach, organizacje po organizacjach, widok był interesujący, ale mnie nie rozpalił pod względem uczuciowym — zaciekawił, lecz pozostawałem obojętny. Inaczej było z pogrzebem Vallèsa, członka samej Komuny, a więc organizacji zarządzającej Paryżem podczas dni krwawej walki. Vallès wrócił zaledwie przed paru laty z Anglii do Paryża i stanął na czele gazety „Cri du Peuple".

Pogrzeb ruszał gdzieś z pobliża ogrodu Luksemburskiego. Posuwaliśmy się wolno, młodzież uniwersytecka zgromadzona na chodnikach wygrażała pięściami i kijami, wymyślała i złorzeczyła, a czasami intonowała „Marsyliankę", na którą orszak pogrzebowy odpowiadał śpiewem „Międzynarodówki". Było nas około 30 000. Gdyśmy wkroczyli na przedmieście Saint Antoine, oczekiwało nas drugie trzydzieści i witało okrzykami na cześć komunardów. Pojawiło się wojsko, gdzieś było widać w oddaleniu bagnety piechoty. Była obawa, że konnica przypuści szarżę na tłumy. Te gromadziły się około sztachet żelaznych i wyrywały je celem użycia jako oręża obronnego. Wyrywano kamienie z bruku. Podniecenie było silne. Nie wątpię, że w razie nieostrożnego kroku ze strony władz wojskowych tłum na napaść odpowiedziałby namiętną obroną. Lecz wojsko ukazało się tylko po to, ażeby przypomnieć uczestnikom pogrzebu, iż jest obecne i w pogotowiu, ale pochowało się tak, iżeśmy całkowicie później go nie widzieli. Na cmentarz Père-Lachaise puszczono tylko trumnę i niewielką liczbę odpowiedzialnych, że tak powiem, osób. Tłumy pozostały przed bramą cmentarną. Po raz pierwszy doznałem wchłonięcia przez gromadę, zatarcia swojej indywidualności w upojeniu zbiorowym. Zresztą, upojenie to rozpoczęło się już było na bulwarze Saint Michel i urastało w moc na długiej drodze od ogrodu Luksemburskiego po wrota Père-Lachaise.

Wszystkie te opowiadania Mendelsona podczas zwiedzania Paryża, wspomnienia Jacquelarda, pogrzeb Vallèsa — odnawiały w pamięci mojej moją własną przeszłość — obrazy, które kiedyś powstały w moim umyśle po pochłanianiu artykułów i korespondencji Gazety Polskiej w r. 1871. A między innymi wypadło mi poznać

osobiście obywatela Walerego Wróblewskiego. Spotkanie było krótkie, jakiś kwadrans i drugi. Przyjechałem wtedy na dni parę z Berna do Genewy. Mieszkałem w hotelu, ale dużo czasu spędzałem w drukarni, gdzie odbijano Walkę Klas i Przedświt. Wpadały tam co chwila różne osobistości spośród emigracji polskiej i rosyjskiej. Wpadł i Wróblewski. Dopytywał się Mendelsona o różne rzeczy bieżące, mnie zaś o wiadomości z kraju. Wyglądał na człowieka zdecydowanego.

POCZĄTKI SZKOLNE

Wybiegłem nieco naprzód, powracam więc do przerwanej nici przeszłości, ażeby dotknąć swojej kariery szkolnej.

Nie będę zatrzymywał się nad tym, kiedy i jak nauczyłem się czytać. Przede wszystkim dlatego, że nic a nic nie pamiętam. Umiejętność ta przyszła bodaj sama z siebie. Podobno zacząłem dopytywać się dorosłych, co znaczy ten lub inny znak (litera) w książkach i na szyldach. Niekiedy podczas obiadu odtwarzałem z widelców i noży kształty interesującej mnie litery — to była czynność bardziej mnie zajmująca niż słuchanie gawęd o pieleniu ogrodów, o froterowaniu podłogi lub przekomarzanie się z powodu drobiazgów gospodarskich. Później jąłem się układania całych wyrazów. I znowu nie pamiętam, jak przeskoczyłem przez sylabizowanie. Zaznaczam, iż wdrażano wtedy dzieci w umiejętność sylabizowania w sposób zupełnie odmienny od tego, w jaki moje dzieci np. dochodziły do sztuki czytania. Mówię o tym nie z osobistego doświadczenia, lecz z obserwowania, jak uczono moich rówieśników u Czajkowskiej i u Bachurskiego. A zatem spółgłoski nie występowały jako dźwięki czyste, lecz malec musiał wiedzieć, że z dźwięków: *be, er* i *a* powstaje *bra,* iż zespół dźwięków: *zet, wu, y* brzmi jak *zwy*. A z chwilą gdy osiągnąłem jaką taką umiejętność odczytywania wyrazów, pogrążyłem się w lekturze. Niewiele było wtedy książek przeznaczonych dla dzieci, ja zaś wcale nie byłem w nie zaopatrzony. Odczytywałem więc *24 Obrazki* Anczyca, pierwszą książkę, jaką dostałem na własność; uczyłem się na pamięć wierszyków, które mi się podobały, z jakichś wypisów poetyckich mocno ocenzurowanych, bo całe strony były czernidłem zamazane; siadywałem nad starymi rocznikami pisma K m i o t e k. Wszystko to niezbyt mnie zadowalało, jąłem się więc dobierać do biblioteki dziadka. I tam niewiele dla mnie było prócz jakiejś drobiazgowej botaniki, opisującej drzewo po-

drzewie, i powieści Kraszewskiego, inne musiały czekać lat parę, zanim je jako tako zrozumiałem. Z powieści pamiętam coś o Częstochowie i Kordeckim. Dopiero gdy miałem osiem, a może dziewięć lat, zamiast choinki i zwykłych upominków, które na gwiazdkę przynosił Mikołaj — zresztą nie cieszący się u mnie najmniejszą powagą, bo babka po cichu zdradziła już dawno, przed laty paru, tajemnicę, że to jeden z wujów przebiera się za rozdawcę upominków — dostałem stos książek, obficie uposażonych w obrazki. Było to wielkie moje ucztowanie z książką. Musiało dostarczyć mi dużej przyjemności, jeśli odtąd zacząłem odkładać swoje drobne fundusze do skarbonki — takiej bani glinianej, okrągławej, płaskiej u dołu, z otworem na wypukłym grzbiecie do wrzucania groszaków — i to w tym celu, żeby nabyć książki wymienione na okładkach upominku wigilijnego. Zacząłem wertować K ł o s y i inne rzeczy, ale już naówczas uczęszczałem do szkoły — chodziło o położenie kresu mojej samotności i obcowaniu z dziećmi, które hałasowały na podwórzach, oraz wykradaniu się na ulicę. Uważano, że nabieram przyzwyczajeń niewłaściwych: przełażenia przez płoty do sadu dziadka, i to nie pojedynczo, ale na czele zgrai łobuzów, zwłaszcza w okresie dojrzewania owoców; że bez opowiadania się wybiegam na ulicę, gdzie wściekły pies — ten stały postrach mojego dzieciństwa, jedyny, którym mnie straszono — może mnie pokąsać lub koń rozbiegany najechać. Przypisywano moją dzikość i moje „wybryki“ brakowi odpowiednich towarzyszy — łobuzów z podwórza jednogłośnie nie uważano za właściwe otoczenie. Nie rozumiano istoty moich wybryków. Wiedząc, że Karpaty można z bardzo daleka widzieć, wlazłem na belki tylko co wmurowane nad drugim piętrem budującej się kamienicy matczynej — nie chciano pojąć takiej prostej rzeczy, iż wdrapałem się tam nie z łobuzerstwa, lecz dla głębszych powodów. Ta eskapada w podniebie rozstrzygnęła o moich losach: poszedłem do szkoły. Na ulicy Królewieckiej miała pensję koeducacyjną, bodaj tajną — dzisiaj rzeklibyśmy: prowadziła „komplety“ — niejaka pani Czajkowska, wdowa. Po paru miesiącach przeniosła się na róg ulicy Tumskiej i Więziennej na drugie piętro, gdzie zamiast zwykłych okien były w dachu olbrzymie tafle szklane. Dochód od jakiegoś dziesiątka chłopczyków i dziewcząteк w wieku od lat 7 do 9 był głównym źródłem utrzymania rodziny. Czajkowska miała trzech synów, wszystkich w gimnazjum. Szkoła na ul. Więziennej zajmowała dwa duże pokoje, zresztą bez żadnych ław i urządzeń szkolnych, jeden z wielkim stołem okrągłym przy kanapie, raczej sto-

łowy, drugi jak gdyby z pretensjami do saloniku, wszystko bez odrobiny kurzu, czyściutkie. Tak samo na synach ubranie, świadczące swoim wyglądem o długim użyciu, a więc wytarte i z łatami, było również czyściutkie. Wybrano Czajkowską, ponieważ jej szkółka mieściła się niedaleko od nas. Zaprowadziły mnie panie — dziadek z pogardą odzywał się o tym zakładzie „babskim". Szkółka pociągnęła mnie swoją dobrą, ciepłą atmosferą. Matce w chwilach wolnych pomagali dwaj młodsi synowie, Sabin i Piotr, i zabawiali dzieciarnię swymi od ręki robionymi rysunkami. Poza tym wciąż zajęci, wciąż kujący lekcję. Do domu nam nic nie zadawano. Każde dziecko po kolei sylabizowało i czytało z panią Czajkowską, robiło z nią na tabliczce dodawanie i odejmowanie, kuło słówka francuskie, „wydawało" katechizm, i to bez żadnego krzyku z jej strony. W ogóle Czajkowska była urodzoną wychowawczynią. Działała łagodnością, rozśmieszała i wstydziła jakąś opowieścią lub dowcipem, a gdy czuła, że dziecko jest zmęczone, wypuszczała je do drugiego pokoju, żeby tam odpoczęło wśród kolegów i koleżanek, a inny wychowanek zajmował jego miejsce. Po jakimś czasie znowu dawny delikwent był wołany i rozpoczynał z nią nowy przedmiot. Jedynie kaligrafia odbywała się zbiorowo, tak samo i rysowanie. Prócz stawiania w kącie nie pamiętam jakiejkolwiek kary. W ogóle była niesłychanie cierpliwa: mazurzyłem co się zowie, przekształcałem liczne dźwięki — nie mogłem wymówić *ł* — kazała mi po parę razy za nią powtarzać dźwięk, niekiedy opowiadała, jak trzeba trzymać język. O jej przeszłości nic nie wiem. Mam tylko wrażenie, że wypadki wykoleiły ją z sytuacji dostatniejszej. Żyła myślą o synach, którzy wysiadywali godzinami nad książką. Ale starszy nie wydostał się poza klasę piątą, szóstą, drugi nie doszedł nawet tak wysoko, trzeci zaś, uczniak będący dla mnie wyrocznią, doczekał się chwili, gdy dopędziwszy go w klasie piątej, stałem się taką samą wyrocznią dla niego, jaką był kiedyś dla mnie: czułem się zobowiązany pomagać mu w matematyce, w ćwiczeniach łacińskich, on zaś chwytał wszystko uchem, okiem, ale nic nie wychodziło. Cichy, sforny, właściwie zdatny do tego, żeby po nim jeżdżono bezkarnie i ciosano mu kołki na głowie, ale bez uzdolnień jako tako średnich do nauki, choć zapalony do rysunków i o silnym poczuciu kształtów. Pozostawiłem go w piątej klasie, a właściwie rozstałem się z nim, on zaś, jako nie promowany, po dwóch latach musiał opuścić gimnazjum. Losów dalszych tej rodziny nie znam. W lat parę później opuściłem Płock, matka z dziadkiem przenieśli się do Petrykoz pod Mławę.

Uczęszczałem do koedukacyjnego zakładu pani Czajkowskiej jakiś rok lub dwa. Nie pamiętam nazwiska żadnego z moich towarzyszy, ani chłopców, ani dziewcząt, prócz braci Bogusławskich i Mani Zaborowskiej. Matka Mani, właścicielka majątku ziemskiego, mieszkała w jednym z naszych domów. Gdy przeszedłem przez wstępną tresurę u pani Czajkowskiej i pogodziłem się rzekomo z wymaganiami karności szkolnej (choć o jakiejkolwiek karności u niej nie było mowy, czułem się bowiem tam jak w rodzinie), oddano mnie do prawdziwej szkoły, a więc takiej, w której podczas godzin trzeba było cicho siedzieć na ławce, gdzie istniały kary, nie tylko stanie w kącie, ale klęczenie i ośla czapka, a nawet „łapy", które wymierzał pan dyrektor silną ręką, posługując się linijką szkolną, a niekiedy swoim cybuchem. Nie wolno było się roześmiać nie w porę, uprawiać rozmów z sąsiadem ani kopać go nogą pod ławką. Poprowadził mnie dziadek, który tę szkołę traktował poważnie. W przededniu zakomunikował mi wielkie przykazanie życia szkolnego: „Choćby cię smażono, gotowano w smole, nie powiadaj, pacholę, co się dzieje w szkole — tak, panie Jowiszu, musisz się nauczyć trzymać przed babami język za zębami". Już i nazajutrz przekonałem się, iż malcy umieją wdrażać nowych przybyszów do obowiązków koleżeńskich. Jakiś nowicjusz, otrzymawszy byka po głowie, poskarżył się. Na przerwie otoczyli go inni i przedrzeźniali: „Skarżycielu, będziesz w niebie, a basista koło ciebie, cymbalista jeszcze dalej, bo w cymbały dobrze wali". I jeszcze jedną przestrogę otrzymałem na wychodnym od dziadka. Zagadnął, czy pamiętam, jak „król Jagiełło bił Krzyżaki i pan Krupa chciał być taki". A gdy przytaknąłem, dał radę: „Nie rzucaj się na kolegów z wyższej klasy, bo cię potłuką. Bierz się za bary tylko ze swymi rówieśnikami. A pamiętaj o tym, żeś nie za pieniądze ze swojej skarbonki kupił sobie bluzkę, koszulę i spodnie. To były pieniądze matki. Więc poradź koledze — ciągnął śmiejąc się — ażeby rozebrał się, zrób to samo i wtedy bijcie jeden drugiego ile się zmieści, lecz nigdy nie uderzaj po głowie. Skóra jest wasza, możesz mieć na niej siniaki wszelkiego rodzaju"... Na siniaki dziadek patrzał pobłażliwym okiem: chłopak bez guzów i siniaków niewiele wart!

Zaprowadzono mnie więc do prawdziwej szkoły. Była to szkoła dwuklasowa, utrzymywana przez niejakiego Bachurskiego, który nadto miał u siebie stancję dla uczniów z zamożniejszych domów obywatelskich. Dziadek przyjrzał się był tej szkole, gdyż mieściła się w jego domu. Uznał, że jest prowadzona niezgorzej. I w lat parę,

gdy Bachurski przeprowadził się na ulicę Więzienną, oddał mnie do niego. Naturalnie zakres nauk był rozleglejszy niż u pani Czajkowskiej. Ćwiczenia domowe z polskiego i arytmetyki, język rosyjski i, najprzyjemniejsze z godzin szkolnych, półśpiewane godziny kaligrafii. Prócz Bachurskiego nie było innych nauczycieli, miał jednak kilku pomocników. W ich liczbie niebawem znalazłem się i ja: wyznaczeni koledzy musieli odczytywać przede mną zadane im miejsca z wypisów polskich, póki nie dokonali tego bez błędu, a wtedy popisywali się przed Bachurskim. Również ze mną robili dodawanie, odejmowanie i mnożenie. Szkoła miała dobrą markę w mieście. Nie wyniosłem z niej żadnych szczególnych wspomnień prócz widoku oślej czapki i razów wymierzanych linijką niesfornym lub opieszałym uczniom. Pamiętam ławy, tablicę, jak gdyby przez mgłę. Jeszcze większą mgłą pokryty jest stołek, na którym rozkładano wyjątkowych winowajców i karano ich doraźnie. Ale obraz jest tak niewyraźny, iż niemal powątpiewam o jego rzeczywistości. Może wyobraźnia moja stworzyła coś nie istniejącego. Za to zachowałem w swej pamięci wspomnienie białych, czystych ścian izby szkolnej oraz bardzo niskiego sufitu. A jeszcze bardziej grę w zbijanego i różne gonitwy na podwórzu podczas wielkiej pauzy. Słowem, jeszcze mniej obrazów niż z uczęszczania do zakładu pani Czajkowskiej. Po nim zachowałem do dnia dzisiejszego wyczucie jakiejś ciepłej, serdecznej atmosfery, po Bachurskim zaś — obraz zimnego, urzędowego otoczenia. A kiedy Bachurski skończył się w moim życiu, musiałem gdzieś i czegoś się uczyć, a mianowicie przygotowywać się do egzaminu do gimnazjum. Ale prócz tego, że nauka odbywała się w domu, nic nie pamiętam. Natomiast wyryły się, niewyraźne co do szczegółów, ale pamiętne swoim ogólnym charakterem chwile egzaminu. Znalazłem się, wpuszczony do gimnazjum, wśród bardzo licznej gromady wyrostków, na ogół starszych ode mnie o rok lub dwa. Szedłem zastraszony opowiadaniami o tym, jak nauczyciele pastwią się nad dziećmi, jak zadają im podstępne pytania, żeby je zbić z tropu, jak dobierają umyślnie niecodziennych wyrazów rosyjskich. Wskazano mi drzwi do sali, w której będę zdawał. Przez szybę w górnej części drzwi mogłem dojrzeć kilku rówieśników: ten przed tablicą na coś czekał, inny w innym miejscu pisał na papierze. któryś przy stole czytał przed nauczycielem itd. Miny malców nie ośmielały mnie, a ci, którzy wychodzili, wyglądali na całkowicie przybitych — „wyprasowanych“, „wymaglowanych“, w żargonie uczniowskim. A między obrazkami jeden świadczący o zdenerwowa-

niu: przy którejś tablicy malec, do którego nauczyciel coś mówił czy o coś się dopytywał — nagle chwycił się za deskę, jak gdyby przerażony w najwyższym stopniu, a po chwili u nóg jego powstało jezioro... Przyszła i na mnie kolej: wędrowałem — jak się to mówi — od Annasza do Kajfasza; nie bardzo rozumiałem, o co mnie pytano w języku rosyjskim, nic nie wiem, jak odpowiadałem. Pamiętam tylko ostateczny wynik: nie zdałem. Doprawdy znowu nie pamiętam, czy wróciłem do domu zmartwiony, czy może w radosnym usposobieniu ducha, iż wyrwałem się z tych katuszy. W rok później przekonałem się, iż w obrazie egzaminów znalazła się moc przesadnych subiektywnych pierwiastków. Zastraszające opowieści które słyszałem o znęcaniu się nad malcami, spotęgowane na wsi podczas lata wynurzeniami na ten temat starszego mego kuzyna, pierwsze w życiu tego rodzaju doświadczenie bez żadnej znajomej twarzy w pobliżu, i to przy słabej znajomości języka rosyjskiego, przypatrywanie się towarzyszom niedoli i ich zastraszonym minom — wszystko to wpłynęło na ponure zabarwienie pierwszego mojego zetknięcia się z wymaganiami gimnazjum. W rok później przystąpiłem ponownie do egzaminów. Zdawałem do trzeciej klasy. Korepetytorem moim był jeden z uczniów wyższych klas, niejaki Sawicki. Podobno nauki szły mu w gimnazjum jak po grudzie. Ostatecznie nie zdołał się z nimi uporać, bo nie skończył gimnazjum. Ale był dobrym korepetytorem. Przede wszystkim umiał rozproszyć obawy i nie dopuścić do tego, żeby ogarnął mnie lęk przy wejściu do murów gimnazjalnych. Był przy mnie do ostatniej chwili, a kiedy znalazłem się już w pokoju egzaminacyjnym, przyglądał się moim ruchom z podwórza przez otwarte okno i ja jakoś bez strachu wędrowałem od jednego nauczyciela do drugiego. Gdy nie mogłem się zdobyć na odpowiedź w języku rosyjskim, odpowiadałem po polsku i nawet sam zaczepiłem wychodzącego z sali starego nauczyciela Tołwińskiego, że jeszcze mnie nie egzaminował z przyrodoznawstwa. Wprawdzie nie dostałem się do trzeciej klasy, wiek mój na to nie pozwalał, ale drugą miałem murowaną. Zostałem uczniem gimnazjum. Po powrocie do domu czekała mnie bardzo „pocieszająca“ nowina: oto o godzinie 5 przyjdzie, od paru miesięcy z powodu mojego pobytu na wsi nie oglądany, metr muzyki, bodaj Szmacierzyński (o ile to nazwisko nie jest mojego pomysłu, czym wyraziłbym całą swoją ówczesną pogardę dla nauki muzyki i jej metra). Te lekcje muzyki już miały za sobą historię paru lat. Dziadek z matką uroili sobie, iż trzeba Ludwika uczyć grać na fortepianie. Fortepian był wtedy

sprzętem nieodłącznym od wykształcenia dobrze wychowanej panienki, jako też i władanie językiem francuskim. Że francuszczyzna miała akcent i wymowę z mławska ciechanowską, że po latach kształcenia panienka w okresie, gdy różni panowie starali się o jej rękę, mogła zagrać jakiegoś walca, „Modlitwę dziewicy“ lub „Przebudzenie lwa“, a po zamążpójściu zapominała o istnieniu na świecie fortepianu — wszystkie te okoliczności były stale lekceważone przez rodziców. A ponieważ u nas w rodzinie nie było żadnej dziewczynki, wszystko skrupiło się na biednym Jowiszu, jak podrwiwał ze mnie dziadek. Od 7 roku życia sterczał on trzy razy tygodniowo przy fortepianie, a nadto powinien był odrabiać różne ćwiczenia palców w postaci gam itd. Z lekcji samych nie odnosiłem żadnego pożytku, lecz te przygotowywania się do nich stały się źródłem bezwstydnej frymarki z mojej strony: babka kupowała te ćwiczenia płacąc karmelkami i innymi smakołykami za wprawianie się moje na fortepianie. Poznałem tę jej słabość i po raz pierwszy w życiu nauczyłem się o coś targować. Po wstąpieniu do gimnazjum nauka ciągnęła się jeszcze jakieś trzy, cztery lata, aż póki nie skończyła się katastrofą: stary Szmacierzyński umarł. Niechętnie siadałem do fortepianu, ale lubiłem staruszka i, żeby mu zbytnio nie dokuczać, zdobywałem się na staranność. Po jego skonie dostałem bez porównania lepszego nauczyciela, ale pedanta, który mi dokuczał na wszystkie sposoby, chcąc ze mnie wykrzesać to, czego nie posiadałem: zamiłowanie do muzyki, a właściwie do lekcyj muzyki, bo muzykę bądź co bądź lubiłem. Do tego przyłączyło się jeszcze wyprowadzenie się matki i dziadków do Kliczek. Interesy majątkowe były już wtedy mocno zagmatwane, zamieszkali więc przy wuju na wsi, sądząc, że poważnie zredukują swoje wydatki. Pozostałem sam jeden w obliczu nowego nauczyciela, aż podczas jednej z lekcyj, zirytowany już od przestąpienia progu pokoju, zaczął mnie bić po rękach. Nie przyzwyczajony do takich poufałości, zerwałem się, rzuciłem nań całą stertę nut, które leżały na fortepianie, i uciekłem. Ku memu zadowoleniu skończyła się moja kariera artysty-muzyka. Pan metr, obrażony, zrzekł się dawania lekcyj; a jednak muzykę lubiłem, choć nie każdą. Gdy dziadek wieczorami improwizował na skrzypcach, wtulałem się w kąt sofy i słuchałem. A rzecz odbywała się zawsze bez światła, co nadawało osobliwy urok temu obcowaniu z melodiami, które swoim charakterem przypominają mi najmocniej utwory Schumanna. Uchwytywałem rytm utworów muzykalnych, niektóre z nich, te zwłaszcza, które wyróżniały się swoją melodyjno-

ścią, mogłem w ciągu wielu lat pamiętać, choć — jeżeli mam prawdę powiedzieć — niewiele ich mogę naliczyć. Ale ani krzty nie miałem słuchu. Podobno ojciec mój śpiewał, choć nie jestem tego całkowicie pewny. Matki głos pamiętam, kiedy coś nuciła po cichu dla siebie. Jej bracia grywali całymi godzinami, odtwarzając słyszane melodie, lub coś sami improwizując. Nie odziedziczyłem tych zdolności. Swego czasu sprawa ta mnie zgoła nie interesowała. A dzisiaj nie ma ani jednego ze świadków przeszłych czasów i trudno mi rozstrzygnąć, czy moja niezdolność była dziedziczna w jakiejś linii ojcowskiej, czy nabyta w życiu moim indywidualnym. Albowiem w młodym wieku, gdy miałem około półtora roku, spotkała mnie przygoda, która nałożyła swoje piętno na całe moje życie. Niańka moja w dobrą godzinę po obiedzie miała pójść ze mną na spacer, lecz po drodze zaszła na pogawędkę do kuchni. Izba kuchenna była olbrzymia, można byłoby z niej w Warszawie wykroić dwa pokoje z kuchnią, utrzymana w niezgorszej czystości przez starą Borkowską, która zresztą wyręczała się do takich robót młodym drabem, pół lokajczukiem, pół ogrodnikiem, sterczącym przy niej do cięższych posług. Po obiedzie wszystko lśniło wymyte, kuchnia była sprzątnięta, ale zaledwie przed chwilą skończyła się ceremonia poobiednia gotowania na niej wody w saganie. Była rozpalona niemal do czerwoności, lecz gęsto posypana piaskiem. Niańka widząc wszystko posprzątane, chcąc mi dopiąć trzewiczki, w jednej koszuli posadziła mnie na płycie kuchennej. Podniosłem wrzask, Borkowska straciła głowę i także wrzeszczała, a niańka nic nie rozumiała i bodaj dlatego jeszcze głośniejszym wrzaskiem nam wtórowała. Na odgłos tych krzyków nadbiegła matka. Od razu domyśliła się, o co chodzi, i pierwsza porwała mnie z rozżarzonej płyty. Byłem mocno oparzony. Już wtedy zaczynałem mówić, lecz po tym doświadczeniu zaniemówiłem na lat parę. Dopiero ku schyłkowi czwartego roku życia począłem odzyskiwać utraconą mowę.

Mówiłem dużo, lecz z trudnością można mnie było zrozumieć, jak gdybym miał „kluski w gębie“. Niektórych dźwięków nie mogłem wymówić, np. *ł*. Lecz zwłaszcza *z, s, sz, cz* itd. brzmiały niewłaściwie. Miało to pozory mazurzenia. To mazurzenie było fazą początkową w wymowie wielu dzieci we dworach. Np. moja mała kuzynka ku utrapieniu swojej Francuzki mazurzyła — *sur* brzmiało *sziur*. Mazurzyła niańka, mazurzyła Maryśka, niekiedy grzeszyła stara Borkowska, która w obawie takiej wymowy wpadała w „szadzenie“. Choć sam nie mówiłem, rozumiałem, co do mnie mówią, i niewątpli-

wie chwytałem to mazurzenie służby. Ale właściwie tylko z pozoru byłem przesiąknięty wymową gwarową. Miałem własną, odrębną wymowę, o której mi potem opowiadano, np. mówiłem *s* zamiast *z*, a więc „s nami", „s nimi", miękczyłem *c* i *cz*, i *sz*, itd.

Mówiono często o zwróceniu się do lekarza, który by mi poprawił wymowę, ale takiego nie można było znaleźć w Płocku. W wieku nieco starszym doszedłem do świadomości, iż nie zawsze inni rozumieją, co chcę powiedzieć. Słyszałem o jakimś Greku (był to Demostenes), który tak samo źle mówił; mając kamyki w ustach usiłował przekrzyczeć szum fali morskiej. Dlatego z własnego popędu, bez wtajemniczenia starszych, około roku dziesiątego, a może wcześniej, uczyłem się na pamięć mnóstwa wierszy i gdzieś w ogrodzie lub na wsi na łąkach, z dala od świadków, lub w lesie deklamowałem je co starczyło głosu, ażeby pozbyć się wadliwej wymowy. Ale niepewność pozostała na całe lata. Mogłem przemawiać do tłumów podniecony, np. podczas wieców, i w ogóle nie odczuwałem nigdy żadnej tremy, ale wszelka rozmowa w niewielkim gronie toczyła się dla mnie jak po grudzie. Wymowa moja odbiła się i na moim opanowaniu obcych języków, tym bardziej iż dotknięty został z lekka organ słuchu. Opuszczając gimnazjum, prócz polskiego i rosyjskiego czytałem dość swobodnie po niemiecku i francusku, jeszcze później przyswoiłem sobie angielski, włoski i nieco holenderski. Konstrukcja obcych języków nie nastręczała mi szczególnych trudności, ale, prócz niemieckiego, wymowa moja mocno szwankowała. Jeszcze gorzej było z rozumieniem, gdy do mnie zwracano się w obcym języku. W niemieckim mogłem się swobodnie porozumiewać: słuchałem wykładów w Lipsku i Zurychu, byłem tam uczestnikiem paru towarzystw naukowych studenckich, miewałem nawet referaty w tym języku. Ale angielski, chyba że ktoś mówił powoli i bez domieszki *cockney*'a, pozostawał zawsze dla mnie zbiorem dźwięków, z których trudno mi było wydobyć pojedyncze wyrazy. Te właściwości zaczęły silniej występować, w miarę jak posuwałem się bardziej w podeszłe lata.

W r. 1894 podczas pobytu w Londynie łatwiej mi było porozumiewać się z Anglikami niż w r. 1926, a w tym znowu łatwiej niż w latach późniejszych, pomimo iż wciąż i niemal jedynie miałem do czynienia z pracami w tym języku. Częściowo może dlatego, iż angielszczyznę przyswoiłem sobie bez pomocy żywej mowy. Często zdarzało się, iż, zamiast mówić, pisałem, o co mi chodziło. Nadto z biegiem lat słuch ulegał przytępieniu, wrastałem w głuchotę i gdy przekro-

czyłem siedemdziesiątkę, doszło do tego, że podczas zajęć w seminarium nie uchwytywałem tego, co mówił do mnie słuchacz. Ta trudność wysłowienia się w obcych językach zaciążyła na moich stosunkach z przedstawicielami innych narodowości. Na zjazdach międzynarodowych byłem właściwie tylko słuchaczem, nigdy referentem, a jeśli, jak w Chicago, wypadło mi wygłosić referaty, odczytywał je kto inny. W dyskusjach nie uczestniczyłem.

I tutaj przede mną staje pytanie, które już poprzednio podniosłem: a mianowicie, w jakim stopniu te wady mojej wymowy i słuchu były nabytkiem moim osobistym, w jakim zaś pochodziły z obciążenia dziedzicznego lub może z pewnej dozy tego obciążenia, spotęgowanego przejściami osobistymi.

To pytanie nasuwa mi sprawa słuchu moich synów.

Jednego z nich, młodszego, na jego własne żądanie, w ciągu lat wielu uczono muzyki. Początkowo garnął się do niej chętnie, potem czuł coraz większą niechęć, a po jakichś latach pięciu, sześciu siedzenia nad fortepianem chyba nie zrobił większych postępów ode mnie po tyluż latach. W końcu porzucił muzykę i w ogóle zaczął wykazywać dla niej zupełną obojętność. Starszy chwytał niektóre melodie, acz nieliczne. Tutaj warto wspomnieć o jednej ciekawej okoliczności: byliśmy podczas lata we Wrogocinie[7], w komunie tamtejszej. Malec liczył bez paru miesięcy dwa lata, włóczył się sam jeden po parku, odważnie wojował z kogutami i nawet z gąsiorami, z Władkiem Płoskim chodził po polach i znosił godzinami kamienie na kupę. Ale nic nie mówił — ani wyrazu! Pewnego dnia powracałem z przechadzki z kijem w ręku, który sam wystrugałem z leszczyny. A moja pociecha akurat stoi pośrodku drożyny w parku; gdy podchodzę, powiada do mnie wyciągając rękę: „daj mi kij". Wypowiedział to niezmiernie cicho, ale wyraźnie. Idziemy razem z nim do dworu, żeby zwiastować żonie tę dobrą nowinę, iż Bob przemówił. Ale ten milczał po dawnemu. Zaczęto mi robić zarzuty, żem się przesłyszał. Syn nie mówił i w trzecim roku. Dopiero w czwartym podczas pobytu w Szawelszczyźnie inżynier Pietrasiewicz, kierownik fabryki folwarcznej wyrobów żelaznych, który codziennie bywał we dworze na obiedzie, nauczył go paru wyrazów. Malec strasznie przekształcał pierwsze słowa, ale niebawem, po roku, dobrze i poprawnie zaczął mówić. Właśnie z okazji jego dochodzenia do mowy robiłem notatki, jak którąś z pierwszych przez siebie użytych pogwarek stosował do oznaczenia różnych skojarzeń. Zwłaszcza losy dźwięku „nana" były dla mnie wysoce znamienne. Po raz pierwszy

użył go w mojej obecności, stanąwszy nad stawem, po którym pływały kaczki. Po paru dniach okazało się, że kury, kaczki, w ogóle drób, wszystko to było „nana“, zwłaszcza najczęściej widząc kury barwy pstro-żółtej delektował się wykrzykiwaniem „nana“ i pokazywaniem na to ptactwo. Mówię o barwie, ponieważ niebawem wszystkie papiery żółtej barwy zostały ochrzczone także nazwą „nana“. Można by mniemać, iż uchwycił na stawie całość obrazu, przeniósł nazwę na kaczki, gdy wydobywały się z całości i wychodziły na brzeg, a później na kury i w końcu od kur na żółty papier i żółtą tekturę. To różnorodne stosowanie wyrazu wiązało się z sobą. Ale co ciekawsze, gdyśmy wracali ze wsi do Warszawy i jechali mostem przez Wisłę, z całą energią pokazywał na wodę i wykrzykiwał „nana“ — widocznie sprawiała mu przyjemność możność popisywania się zastosowaniem tej nazwy do wciąż nowych składników pierwotnego obrazu. W końcu po ulewach warszawskich, skutkiem których wezbrana woda płynęła rynsztokami, zastosował do nich nazwę „nana“, a jeszcze później stworzył dodatkowe skojarzenie: mostki na rynsztokach i w Łazienkach zostały „nana“. Należy wnioskować, że nazwą „nana“ objął pierwotnie cały obraz, jaki miał przed okiem: a więc staw, znajdującą się w nim wodę, kaczki, które po niej pływały, a potem stosował ów termin do skojarzeń, jednych mających punkt wyjścia od ptaków i drugich związanych z wodą. I tutaj nastręcza się pytanie tym ciekawsze, że żona wyróżniała się dobrym słuchem muzykalnym: czy obciążenie dziedziczne, choć w formie łagodniejszej i każdorazowo innej, przeszło ode mnie na synów, czy też (co mi trudno przypuścić) skutki mojego oparzenia okazały się dziedziczne i dotknęły w większym stopniu jednego, w mniejszym drugiego syna.

I tutaj, po rozejrzeniu się w tym całokształcie zdarzeń, nastręcza się wciąż pytanie o dziedziczności cech. Ojciec i jego starszy brat mieli zamiłowanie do matematyki: ten przykładał się do niej w uniwersytecie moskiewskim, tamten, nie puszczony przez matkę w świat na studia i zmuszony poprzestać na gimnazjum, już jako trzydziestoletni mężczyzna siadywał nad matematyką, zwłaszcza nad geometrią. Ja skończyłem wydział fizyko-matematyczny. Ale już na drugim roku matematyka przestała mnie entuzjazmować, ustępując miejsca innym pociągom, zwłaszcza potrzebie czynnej działalności społecznej. Lecz nie porzucałem swego wydziału: zaniedbywałem go, lecz skończyłem należąc do liczby 3—4 kolegów spośród paru dziesiątków, którzy razem ze mną wstąpili do uniwersytetu i przebyli

go w najkrótszym, według wymagań ustawy, czasie. Dziedziczność pociągu i — co za tym idzie — uzdolnień matematycznych jest wyraźna, lecz jednocześnie zbywa na czymś, co by zaprzęgło do dociekań dożywotnich nad tym przedmiotem.

Czy jakiejś wady słuchu, wyraźnej u mnie, lecz kładzionej na karb oparzenia, czy późnego dojścia przez syna starszego do mowy nie należałoby poszukiwać w puściźnie, która na mnie spadła po Krzywickich? Niestety, o ich muzykalności nic a nic nie wiem — stryj, jedyny krewny, który dożył czasów późniejszych, z krótkiego z nim obcowania zrobił na mnie wrażenie człowieka systematycznego, logicznego: opowiadał o swoich podróżach, o rozrywkach, lecz ani razu nie wspomniał o śpiewie, muzyce. A rzecz wtedy mnie nie obchodziła: nie starałem się o jej wyjaśnienie. Z drugiej strony, nie mam wrażenia, ażeby rodzina matki lgnęła do matematyki, raczej podejrzewam ją o bardzo mierne w tym względzie uzdolnienia. Była natomiast muzykalna, lecz nie przekazała mi swoich zdolności. Żona lubiła muzykę, miała dobry słuch i z moich nieudolnych bełkotań rytmicznych zdołała odtworzyć melodie dawnych pieśni studenckich. Ale nic znowu nie przekazała od siebie starszemu synowi, a bardzo niewiele młodszemu.

CZĘŚĆ DRUGA

LATA SZKOLNE

1871 — 1877

I

W PŁOCKIM GIMNAZJUM[1]

Na przestrzeni od Płocka do Łomży, pomiędzy Wisłą, dolną Narwią i granicą pruską, a więc w obrębie ówczesnej guberni płockiej i łomżyńskiej, istniały wszystkiego 3 średnie zakłady szkolne. Były to gimnazja klasyczne w Płocku i Łomży oraz szkoła realna we Włocławku. Niekiedy rodzice ucznia zamieszkiwali w odległości 14—20 mil od szkoły. Na tym obszarze kolei nie było. Pierwsza powstała Nadwiślańska, gdy byłem już w wyższych klasach. Na święta i wakacje do domu trzeba było jechać wózkiem. Bądź rodzice przysyłali bryczkę, bądź jechało się różnymi budami żydowskimi (duże wozy kryte u góry płótnem), a miejscami trzeba było donajmować furmanki od rolników miejskich lub od włościan. Latem podróż taka miała w sobie dużo uroku. Zwykle, jeżeli chodzi o odleglejsze okolice, jak np. Ciechanowskie, Mławskie, kilka dworów sąsiadujących z sobą ustanawiało kolejkę, w jakiej dadzą bryczkę lub wóz, niekiedy jechał cały dziesiątek uczniaków. Wyruszano zwykle wieczorem. Gdy chodziło o podróż przez piaski gąbińskie, konie w chłodzie nocnym nie tak się męczyły, jak gdy ciągnęły wóz w czasie skwarów dziennych. W lasach i piaskach gąbińskich, w „Syberii“ (piaszczytej pustyni około Sochocina), schodziło się z wozów, myszkowało po lesie i dużo krzyczało. Taka podróż, urozmaicona pieczonymi kurczętami lub innym jadłem z domu przysłanym a spożywanym pod otwartym niebem, była pełna uroków. Podróż budą żydowską była mniej przyjemna. W takiej budzie jechało kilkanaście osób, niekiedy paru pasażerów szło nadto piechotą, zadowolonych, że ich kosze lub walizki są na wozie. Po przejściu jakiejś mili siadali na wóz, a ich miejsce zajmowali inni pasażerowie, jadący pod warunkiem odbywania części drogi piechotą. Jadąc własnym wozem malec wyczekiwał popasu w karczmie, gdzie mógłby wyprostować nogi i znaleźć jakąś rozmaitość, zjeść jajecznicę i popić piwem. Nato-

miast podróż na święta Bożego Narodzenia i nieraz na wczesną Wielkanoc nie przedstawiała tych pociągających stron. Mróz sięgał niekiedy dziesięciu i więcej stopni, to znowu zadymka towarzyszyła podróży i sztubak wzdychał, kiedy będzie karczma, gdzie mógłby coś gorącego zjeść i troszkę ogrzać się, lub by zajechać do jakiegoś zaprzyjaźnionego dworu po drodze i tam zanocować. Starsi uczniacy jakoś radzili sobie. Gorzej było z malcami z klas najniższych.

Wózki i bryczki, a w wyjątkowych wypadkach jakaś stara kareta, wyruszały na bruk płocki i w drugiej połowie sierpnia wyrzucały tych najmniejszych, którzy dopiero zdawać mieli egzamin do gimnazjum, zwykle do pierwszej lub drugiej klasy (wstępnej jeszcze nie było w r. 1872). Uczniowie rzeczywiści wracający z wakacji przyjeżdżali o jakiś tydzień później. Roiło się od dzieciaków z Ciechanowskiego i Mławskiego, Sierpeckiego, Płońskiego i Wyszogrodzkiego, których oczekiwały egzaminy wstępne. Do nich dołączała się gromada dziatwy, prawie równa pod względem liczby, której rodzice przebywali w Płocku. Jakaś setka jedna i druga, a może i trzecia szturmowała do gimnazjum. A dostać się do niego nie było rzeczą łatwą. Nie było jeszcze w zwyczaju prowadzić w niższych klasach po dwa oddziały równocześnie, na to nie było na razie miejsca w starym gmachu pojezuickim, gdzie mieściło się gimnazjum. Gdym wstępował do niego, liczba wakansów zależała od tego, ile pomieścić może największa klasa, oddawana zwykle na klasę pierwszą i drugą, a więc około 80—100 głów. Zaledwie co drugi, a nawet co trzeci spomiędzy kandydatów mógł się spodziewać, że znajdzie się wśród przyjętych. Rodzice zdawali sobie sprawę z trudności ulokowania dziecka w gimnazjum, i to nie tylko z braku miejsc, ale także z powodu wielorakich przeszkód.

Wobec trudności dróg zwykłych usiłowano dotrzeć do gimnazjum w sposób okólny. Łapówki były mocno w użyciu. Gimnazjum lubelskie z osławionym dyrektorem Siengalewiczem trzymało prym w tym względzie. Jaką łapówki odgrywały rolę w Płocku, nie wiem. Raczej były konieczne w klasach dalszych, gdy chodziło o usunięcie złego stopnia z jakiegoś przedmiotu, żeby nie przeszkadzał w promocji. Udawano się wtedy do odpowiedniego nauczyciela z prośbą o dawanie lekcji malcowi, gdzieś we wspólnym znajomym domu przegrywano do niego w karty większą kwotę, niekiedy umieszczano u nauczyciela dziecko na stancji. Słyszałem o tych różnych sposobach w latach późniejszych, kiedy zaś dostawałem się do gimnazjum, uciekano się do tych forteli bardzo rzadko. Nauczycielami byli Po-

lacy na wychodnym, ludzie przyzwoici; nielitościwym obcinaniem malców grzeszyli Rosjanie, pełni animuszu wojującego. W ogóle za moich czasów tylko dwóch nauczycieli miało u siebie stancje dla uczniów: Szulc i Masłowski. Pierwszy miał liczną rodzinę, potrzebował dodatkowych funduszów na jej utrzymanie. Sam odrabiał z uczniami lekcje na dzień następny lub powierzał to zaufanemu korepetytorowi. Z dzieciarnią swoją chadzał na przechadzki i na łyżwy. Inaczej zachowywał się Nojter-Masłowski — tak zwany z powodu wymowy z niemiecka łacińskiego wyrazu *neuter*: chodziło mu o zebranie kapitału. Wyraźnie forytował tych, którzy stali u niego na stancji, ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, iż także umiał dopilnować, żeby malcy odrobili w domu wszystkie lekcje na dzień następny. Dużo wpływała ta okoliczność, iż stancje u nauczycieli-Polaków były pod bacznym okiem i obstrzałem kolegów-Rosjan. Na innych stancjach różnie bywało. W Płocku liczne rodziny żyły wyłącznie z trzymania uczniów na stancji. Jedne były droższe, jak np. u Cisowskich, gdzie malcy z zamożnych dworów dobrze płacili, gospodarze dbali o posiadanie sumiennych i troskliwych korepetytorów oraz gdzie miewano baczne oko na malców. Były inne, liczące po kilkunastu uczniów, raczej dbające o pieniądze lub warzywa ze wsi, którymi częściowo rodzice płacili, a natomiast dające dużą swobodę dla swawoli malcom. U takich np. Kalinowskich szulerka w karty była na porządku dziennym. I nie tylko szulerka. Tak się zdarzało, że niektóre służące bywały zbyt pochopne do udzielania swych wdzięków nawet malcom. Stancje te były źródłem utrzymania wielu wdów i zbankrutowanych obywateli. Już przy czterech, pięciu malcach gospodyni, jeżeli miała niewiele dzieci, mogła wyżywić swoją gromadkę. Jedyną kontrolą nad stancjami były wizyty gospodarzy klasowych. W czasach późniejszych tę rolę odgrywali nauczyciele wstępnej klasy, polujący przede wszystkim na książki polskie, ale lubiący się popisywać i innymi spostrzeżeniami. Dlatego stancje stworzyły całą organizację pomocy wzajemnej. Niektóre leżały bardzo blisko siebie i gdy rewident zjawił się na jednej, wtedy ktoś biegł cichaczem na następną uprzedzić o możliwej wizycie. Na większych stancjach znajdowali się tak zwani korepetytorzy, tj. uczniowie z którejś wyższej klasy, którzy otrzymywali wikt i mieszkanie, a niekiedy skromną dopłatę, i obowiązani byli dopilnować młodszej braci szkolnej, czy przygotowała lekcje na dzień następny, pomóc jej w rozwiązywaniu zadań arytmetycznych, tłumaczeń łacińskich itp. Na tańszych stancjach zazwyczaj i sami korepetytorzy

pozostawiali wiele do życzenia pod względem znajomości przedmiotów. Byli to zwykle ubożsi uczniowie. Nie znam ani jednego z nich, który by celował w swojej klasie pod względem stopni. Żądano od nich raczej silnej ręki. Może źle się wyraziłem. Nie słyszałem nigdy, aby taki mistrz wymierzał jakąkolwiek karę cielesną. Chodziło raczej o to, żeby swoim całym charakterem, zwłaszcza systematycznością i stanowczością, zdobył powagę wśród malców, nad którymi roztaczał pieczę. Jeżeli stancja była sporych rozmiarów, takiemu kierownikowi zejść musiało codziennie po parę godzin na te jego obowiązki. Niewiele jemu samemu pozostawało czasu na przygotowanie się do lekcyj na dzień następny. Czy były jakiekolwiek formalności przy godzeniu takiego korepetytora przez właścicielkę stancji, a więc uzyskiwanie zgody ze strony władz szkolnych, nie pamiętam. Podczas mojego pobytu w niższych klasach stosunki układały się w sposób mocno patriarchalny pod tym względem: władze szkolne nie wtrącały się w życie wewnętrzne stancji, przynajmniej gdy chodziło o to, kogo gospodyni powołała na korepetytora. I w ogóle nie wtrącały się do całej tej sprawy. Dopiero w czasach późniejszych, gdy wymagania pod względem języka rosyjskiego wzrosły niepomiernie, inspektor Argiejew, a przede wszystkim nauczyciel języka rosyjskiego, osławiony Spirydion Elmanowicz, zaczęli narzucać korepetytorów pod pozorem lepszego opanowania języka rosyjskiego przez malców. Zbyteczne nadmieniać, że uczeń nieprędko uporał się z taką zawiłą rzeczą jak zmienny akcent, właściwy językowi rosyjskiemu. Zwykle polecano rodzicom malca, który grzeszył wymową lub nieuctwem, żeby na korepetytora powoływali ucznia, którego przyślą. Niekiedy był to Polak, gdy chodziło o matematykę i łacinę, ale zwykle Rosjanin, skoro zahaczało o rosyjski. I trzeba zaznaczyć, że przeważnie nie chodziło tutaj o sprawy natury finansowej. Znam parę wypadków, kiedy na odpowiedź ucznia, iż rodzice są ubodzy i nie mogą płacić korepetytorowi, radzono mu, żeby zawarł przyjaźń z takim a takim kolegą Rosjaninem i z nim poza obrębem szkoły prowadził rozmowy w jego języku. Naturalnie temu drugiemu uczniowi dawano dość stanowcze wskazówki, iż nie wolno mu odmówić tej pomocy szwankującemu koledze. W ogóle rzadko który z malców mógł się obyć bez korepetytora. I znowu w tym względzie rozstrzygał język rosyjski. Nawet urzędnicy Polacy kiepsko władali tym językiem. Mówili z polska po rosyjsku: zamiast zdarza się — *zdarzajet sja,* jak żartowano z tego rodzaju znawców języka rosyjskiego — wyraz polski „zdarza“ i końcówka rosyjska; niektórzy

z nich, bliscy emerytury, uczyli się rosyjskiego z szyldów nad sklepami. Zapotrzebowanie na korepetytorów było duże. Zarobek wprawdzie niewielki: już trzy ruble miesięcznie za codzienne wysiadywanie po godzinie nad malcem uchodziło za dobre wynagrodzenie. Dawaniem takich lekcji trudnili się i zamożniejsi uczniowie. Zarobić parę rubli miesięcznie było dla każdego z nich rzeczą pożądaną. Cukiernik Semadeni wprowadził przewrót w tym względzie, gdy założył cukiernię w Płocku i sam tu osiadł. Za dwóch synów płacił korepetytorowi 15 rubli miesięcznie. Jednak naśladowców pomiędzy rodzicami w Płocku nie znalazł. Jedynie tu i ówdzie od zamożniejszych obywateli wiejskich korepetytorzy mający dobrą markę odważali się żądać pięciu rubli. Przy okazji zaznaczę, iż niekiedy kiepscy uczniowie byli bardzo dobrymi korepetytorami — mówię z własnego doświadczenia, gdyż mój Sawicki nie zdołał przebrnąć gimnazjum, a jednak dobrze mną kierował. Natomiast wzorowi uczniowie nie umieli się wywiązać częstokroć jako tako ze swoich obowiązków.

Rozpocząłem mój żywot gimnazjalny od klasy drugiej, w drugiej połowie 1871 roku.

Dostałem się od razu pomiędzy liczną gromadę około stu — chciałem powiedzieć: rówieśników, ale cofam czym prędzej tę nazwę, gdyż czuję całą jej niewłaściwość. Przecież obok malców 11—12-letnich, do których rzędu sam należałem, siedzieli tam na ławie szkolnej tacy, którym już puszczały się wąsy. Niewielu wprawdzie ich było, ale ciągnęli za sobą długi zastęp wyrostków 14—16-letnich.

Nieprzygotowany znalazłem się wśród gromady mającej swój tryb postępowania nabyty w ciągu rocznego przebywania po społu, przyuczonej do solidarności, a przede wszystkim zaznajomionej z fortelami wrogiego sobie obozu. Obóz ten składał się z osób różnego stanowiska: od pedeli aż do nauczycieli, inspektora i dyrektora.

Znajomość tych forteli była koniecznością dla uczniaka. Odczułem to na własnej skórze. Pierwsze dwa stopnie, które otrzymałem, były knotami najdoskonalszymi. Wywołany przed katedrę do łaciny przez Kondratowicza, człowieka lękliwego i poprzestającego na tym, iż uczeń recytował lekcję sam z siebie i wykrztusiwszy ją wracał na miejsce — stanąłem oczekując zapytania. Milczał Kondratowicz, milczałem i ja. Po paru minutach takiego świadczenia sobie nawzajem godności w milczeniu, otrzymałem polecenie odejścia na miejsce... W parę dni potem wywołał mnie ksiądz Ołdakowski. Nauczony doświadczeniem, nie czekałem zapytań, lecz sam mówić zacząłem. Strapiony jedynie byłem dolatującymi do mnie szeptami kolegów:

całuuj! Nieprzywykły do całowania w rękę mężczyzn, pozostałem głuchy na te życzliwe rady. Zaledwie skończyłem, otrzymałem polecenie, iż za parę dni mam o godzinie 7 rano służyć księdzu prefektowi do mszy. — Nie umiem! — Niech obywatel idzie na miejsce!

Wyraz „obywatel“ był z całą mocą i zarazem przekąsem podkreślony. Bodaj przymówka do rzekomej zamożności mojej rodziny. W wyniku ostatecznym knot za lekceważenie szkolnego sakramentu całowania prefekta w rękę. Było to pierwsze nieporozumienie, a raczej początek nieporozumień nieustających między mną a prefektem, które nabrały zwłaszcza w klasach wyższych fatalnego dla mnie napięcia. W ciągu wielu lat musiałem mieć się na baczności, żeby „wyrwany“ móc odpowiedzieć na żądania księdza Ołdakowskiego. A gdy odpowiadałem, nie słuchał tego, co było zadane, lecz jeździł nie tylko po całym roku obecnym, lecz i po poprzednich. Dzięki temu po kilku dziesiątkach lat od owych czasów o każdej porze dnia i nocy mogę wyrecytować formułę podającą wszystkie sobory powszechne w ich kolejności. A więc NI-Co-E-CHAL-Co-CO itd.[2]. Wykuwałem dobrze tego rodzaju rzeczy i prefekt nigdy nie zdołał mnie złapać na nie przygotowanej odpowiedzi. Co do jednego — nigdy sobie ze mną nie dał rady: służyłem mu tylko raz jeden do mszy w klasie II. Ale okazałem wtedy tyle niezgrabności, tyle naknociłem, iż dał za wygraną. A jeśli przyszła na mnie kolejka, zawsze znalazłem chętnego kolegę, który mnie w tej pańszczyźnie wyręczył.

Znajomość zwyczajów obozu wrogiego była więc koniecznością. Od niej zależała jeśli nie trójka, to przynajmniej dwójka (stawiano wtedy trzy stopnie: jedynka była stopniem złym, trójka celującym, z przedmiotu, a także ze sprawowania). Użyłem powiedzenia „obóz wrogi“. Zaprawdę trudno mi znaleźć wyraz odpowiedniejszy. Klasa odpłacała nauczycielom nieprzejednaną wrogością. Oddychała nią. Lubowała się w niej. Każdy z nauczycieli obdarzony został przezwiskiem, niekiedy bardzo dosadnym, a im dosadniejsze, tym pogardliwszym wypowiadane było tonem. Najmniejsze ruchy nauczycieli, gesty były podpatrzone i ku uciesze ogółu naśladowane przez małoletnich mistrzów umiejętności przedrzeźniania. Każdy niemiły przypadek, który ich spotkał, w rodzaju pośliźnięcia się na gołoledzi, witany był z satysfakcją. Malcy mścili się na nauczycielu za to, że szkoła była dla nich swego rodzaju więzieniem. Owa rzesza stu chłopców była gromadą niesforną, rozhukaną: małe miasto jak Płock ówczesny, ze swymi górami, z Wisłą, ze spokojem i ciszą na ulicach, przyzwyczajało malców do znacznej swobody ruchów. Uczniowie

z dworów i dworków wiejskich byli jeszcze bardziej zbałamuceni, a przede wszystkim w imię szkoły oderwani od domu i czynności, które ich pociągały, a więc od koni, psów, od ogrodu owocowego. Szkoła ukrócała tę swobodę. Wprawdzie nie obciążano nas zbytnio w klasie II nadmierną ilością robót domowych. I to samo było w III, IV klasie. Dopiero w V nastały czasy cięższe w następstwie dokonanej reformy szkolnej. Lekcje ciągnęły się w dawnym ustroju od 8 do 12 rano i od 2 do 4 po południu w poniedziałki, środy i piątki, w pozostałe dni po dwunastej nie wracano już do sztuby. Były to tak zwane rekreacje. Dzięki tym trzem popołudniom wolnym od siedzenia w szkole mogliśmy odpowiednio do pory roku spędzić cały czas na świeżym powietrzu wśród zabaw i gier. Z tym nieprzyjaźniejszym uczuciem myślano o dniach, kiedy trzeba było i po południu odsiadywać w szkole. Siedzenie w zamkniętym, niezbyt jasnym i niezbyt czystym pokoju, który niczym nie przemawiał do wyobraźni dziecka, było poniekąd męką. Zdrowe, krewkie bębny całym swoim jestestwem protestowały przeciwko tej niewoli. Nie powątpiewam ani chwili, że i w przyszłości będą zachowywały się tak samo, póki szkoła nie stanie się, jak za Atlantykiem, rozszerzonym domem rodzinnym. Tam oglądałem na ścianach obrazki, które malec wieszał, doniczki z kwiatami trzymane na oknie, a w ogródku szkolnym wydzielone grządki pod kwiaty, rzodkiewki, słowem pod to, na co miał ochotę. Przeglądałem kajety szkolne: zadania arytmetyczne były przyozdobione rysunkami w związku z treścią zadania. Opowiadania z nalepionym kwiatkiem, pod którym był napis: dostałem od mojej ukochanej koleżanki (imię i nazwisko). Rozbiór zdania był ujęty w schemat rysunkowy, niezmiernie ułatwiający malcowi zrozumienie zależności wzajemnej pomiędzy poszczególnymi częściami zdania. Te obrazki, rysunki, wzmianki o ulubionej dziewczynie wywarły na mnie, wychowanku gimnazjum płockiego, silne wrażenie. Odtworzyłem te swoje doświadczenia w serii artykułów w Przeglądzie Pedagogicznym, a jak ja tam na miejscu przejmowałem się wzorami zamorskimi, tak samo Bolesław Prus, wrażliwy na te rzeczy, zachwycał się na podstawie mojej opowieści.

Ale wracam do Płocka.

W rozumieniu malców winowajcami szkolnej niewoli byli nauczyciele. Byli winowajcami i wtedy, gdy stawiali złe stopnie, gdy sadzali do kozy i niemrawemu lub leniwemu uczniowi zatrzymywali promocję. Ku nim skierowywały się wszystkie żale. Skarżono się na nich, gdy chwytali nie umytych lub nie uczesanych sztubaków, a na

takich nie zbywało, lub gdy żądali, aby nie brakowało guzików przy mundurze lub żeby ten nie był zawalany. Istnieli po to, żeby innym dokuczać. Taka była w głębi duszy pacholęcej naiwna, a jednak szczera filozofia stosunków szkolnych. Malec mścił się za to, że szkoła przeciwstawiała się całą mocą jego życiu pozaszkolnemu. A pomiędzy jednym i drugim nie było żadnego pomostu. Mścił się za wiele rzeczy: za to, że w tej sztubie, brudnawej, z gołymi ścianami — jak śledzie w beczce stłoczono około stu istnień pacholęcych, żądnych ruchu, powietrza, słońca, uśmiechu; że długą godzinę natężonej uwagi kończono pięciominutową przerwą, kiedy podczas wiosennych miesięcy i wczesną jesienią można było nieco pobrykać na świeżym powietrzu, zimą zaś wychodzono co najwyżej na korytarz; w końcu i za to, że w budzie szafowano hojnie słówkami niemieckimi i francuskimi, deklinacjami łacińskimi, nazwami botanicznymi, ale nie umiano niczym zaciekawić młodego umysłu ani nie odwoływano się do jego twórczości. Niekiedy cały stosunek malca do pracy szkolnej polegał na tym, że umiał się wyuczyć na pamięć jakiejś geografii lub botaniki od takiego miejsca do takiego i, wyrwany, recytował to możliwie dosłownie. Słowem, nauczyciele byli osobistościami powołanymi na swoje stanowiska, aby dokuczać dzieciakowi. I malec odwzajemniał się im: względem nich nie znał litości. Najgorszych, to znaczy będących energicznym a żywym wcieleniem grzechów ustroju szkolnego, zazwyczaj się bał i dlatego względem nich zachowywał się powściągliwie. Ale jak koza na pochyłe drzewo, tak skakał na kark każdego nauczyciela o słabej ręce. A przypadek chciał, a może nawet nie przypadek, iż byli to najpoczciwsi z nauczycieli, najpobłażliwsi, najbardziej wyrozumiali. A zatem los Kondratowicza, człowieka cichego, całkowicie zahukanego, wyrozumiałego nawet na wrzawę malców, był nie do pozazdroszczenia. Na co tylko wpaść zdołała wyobraźnia złośliwością ułomna, wszystkiego próbowano: odkręcano mu nogi od fotela, pomazywano atramentem katedrę. Tołwińskiemu, przyrodnikowi, filozoficznie przyglądającemu się wędrówkom malców po klasie podczas wykładów i tak samo spokojnie przysłuchującemu się krzykom i wyciom i tylko od czasu do czasu chwytającemu któregoś łobuza za czuprynę, robiono „muzykę“ na końcu wykładu. A ponieważ wykładał botanikę, przynoszono mu do określenia uszkodzone zręcznie kwiaty. Rzeklibyśmy dzisiaj — brano go na kawał.

W III klasie przybył do nas świeżo, bodaj wprost z ławy uniwer-

syteckiej, młody nauczyciel Łuczycki i objął wykłady geografii. Nieśmiały, cicho mówiący, od pierwszej lekcji stał się ofiarą malców. Kompletnie pastwiono się nad nim. Witano go, gdy wchodził do klasy, „muzyką“: stopy uczniaków uderzały o podłogę, łokciami przesuwano po górnej desce ławek dobrze powoskowanej, wykrzykiwano jego przezwisko „czeladnik“, a kiedy po kilku miesiącach zaręczył się z córką jednego z aptekarzy płockich, na różne tony wykrzykiwano imię narzeczonej. Gdy odtwarzam w wyobraźni te sceny, odczuwam jeszcze dzisiaj przykrość. Natomiast Waligórski, śledziennik skończony, cieszył się podczas lekcji swojej spokojem jak największym. W klasie było cicho jak makiem posiał. Obawiano się go. Obawiano się pałek, którymi sypał na poczekaniu za jedno słowo lub gest nawet. Obawiano się kozy, którą tym chętniej szafował, im piękniejsza była pogoda. Ale przede wszystkim obawiano się jego języka, tj. szyderstw i kpin. Wykładał u nas w klasie II język rosyjski, w III i bodaj w IV historię powszechną. (Rosjan jeszcze brakło i te przedmioty, przez nich później całkowicie zmonopolizowane, powierzono Polakowi). Niekiedy kompletnie znęcał się nad malcem. Pamiętam, jeden z uczniów, chętny i zdolny, na jakieś pytanie Waligórskiego odpowiedział: *Adin* (zamiast *odin,* tj. jeden). Co za adin? — pyta się Waligórski. Malec nie wyczuwając uchem ducha akcentów rosyjskich powtarza, co był powiedział. Parę słów wyjaśnienia — i malec nie popełniłby nigdy tego rodzaju błędu, a może wielu innych w tym rodzaju. Zamiast tego Waligórski zaczyna w różnej tonacji powtarzać nieszczęsny wyraz. Dochodzi sam niemal do szału, malec zaś beczy i tym bardziej nie może zrozumieć, o co chodzi. Trwało to dobry kwadrans. Za ciężką rękę i cięte żarty Waligórskiego mszczono się najniesłuszniej na Kondratowiczu lub Łuczyckim, a w wyższych klasach na Bucelskim. Tak, obawiano się Waligórskiego w naszej klasie. Jego i Audita. Audit! Ciekawa postać i znamienne sposoby pedagogiczne. Audit był naszym kolegą starozakonnym, wyrostkiem lat szesnastu, a może osiemnastu. Siedział w ostatniej ławie. Był wielkim „osłem“ i najwyższego wzrostu w klasie — tym swoim wzrostem i siłą nakazywał szacunek. Na przerwach zwykle wpadał do klasy ówczesny pomocnik inspektora, człowiek mocno niezrównoważony, i głosem tubalnym pytał Audita: kto dokazywał w klasie? I Audit rozpoczynał swoją litanię: ci się pobili, tamci dawali sobie w ławce „sera“, ów wrzeszczał lub śpiewał, a ktoś na zrobioną przezeń uwagę pokazał mu język. Podczas przerwy pięciominutowej Audit pilnował, żeby panowała w klasie

taka sama cisza jak podczas wykładów. W kilka lat później może przybyłaby jeszcze jedna adnotacja na liście naszych grzechów u Audita: taki to mówił po polsku. Ale rok 1871—1872 nie posunął się w Płocku jeszcze tak daleko w zapędach rusyfikacyjnych. Argiejew wymierzał karę winowajcom według tego, na co zasłużyli, a nawet nie zasłużyli: adnotacje w dzienniku szkolnym, kozę... Ale niekiedy i Audit pomimo chęci najszczerszych nie mógł wymienić żadnego nazwiska. Było to, kiedy na przerwie pięciominutowej urządzano muzykę: sto par nóg bębniło po podłodze i sto par łokci ślizgało się po nawoskowanej górnej powierzchni ławek...

Oto takie obrazy wypływają w pamięci mojej, gdy myślą swoją cofnę się do wrażeń szkolnych w pierwszym roku nauki gimnazjalnej. Jako nowicjusz zostałem zepchnięty do ostatnich ławek. Tam usadowiła się najgorsza łobuzeria klasy, żeby być jak najdalej od oka nauczyciela. Jeden z tych łobuzów a mój sąsiad bezpośredni, niejaki Słupecki, syn zamożnego obywatela ziemskiego, marzył o tym, żeby po dwóch latach siedzenia w drugiej klasie udało mu się nie otrzymać promocji. Wyrzucony z gimnazjum, wróciłby na zawsze do domu!... Dzięki takiemu sąsiedztwu, a w następstwie tego dzięki bliższemu obcowaniu z gromadą łobuzów, odtworzone przeze mnie powyżej strony życia szkolnego zostały w wyobraźni mojej może zanadto wyjaskrawione. W każdym razie one jedne pozostały mi w pamięci.

Było nas około setki. Lecz dzisiaj zdołałbym z nazwiska wymienić co najwyżej kilkunastu kolegów ówczesnych. Najpierw tych, z którymi wspólnie z roku na rok przechodziłem z klasy do klasy, aż póki wraz z nimi nie otrzymałem świadectwa dojrzałości. Następnie paru innych, których nazwiska otrzymały rozgłos zbyt wielki, choć niezaszczytny, lub z którymi wypadło mi się zetknąć w czasach późniejszych: jakiś uczestnik mordu dokonanego w Płocku na zdziwaczałym starym kawalerze, noszącym przy sobie w listach zastawnych cały swój majątek; jakiś agent rosyjskiej tajnej policji, niepomny tego, iż brat jego musiał uciekać za granicę — w klasie drugiej wygrzmocił mnie był porządnie, a w późniejszych śledził mnie z obowiązku służbowego; jakiś nauczyciel ludowy, co zwracał się do mnie kilkakrotnie o pomoc w różnych czasach i w takich okazjach, iż mogłem był podejrzewać, że jako narzędzie spełnia polecenie poprzedniego. Jeszcze parę nazwisk, w tej liczbie tego, który pragnął, żeby czym prędzej ze szkół go wydalono — i oto wszystko! Tak samo z pamięci wypadły różne zdarzenia, które każdemu opowiadaniu nadają jego barwność.

Atmosfera w trzeciej klasie była taka sama jak w drugiej: wprawdzie ubyło kilkunastu największych łobuzów, ale na ich miejsce przybyli tacy sami koleżkowie w osobach tych, którzy pozostali na rok drugi. Dobrze nie pamiętam, czy w trzeciej klasie zastałem w liczbie nowych kolegów wysokiego dryblasa, podobno bardzo dzielnego w palancie, ale gorzej popisującego się w nauce. Zdaje się, około niego kuso było z funduszami, bo wyrósł z mundurka dobrze wytartego na łokciach. Po roku czy dwóch rozstałem się z nim. Pozostał na drugi rok i niebawem zniknął z gimnazjum. Był to Leon Bielecki, późniejszy robociarz, należący do grona pierwszych socjalistów Warszawy. W tym późniejszym okresie nie spotkałem się z nim, tylko słyszałem, iż cieszył się dużym poważaniem w swoim otoczeniu, jako uczynny i dzielny towarzysz. Co z nim się stało po procesie, nie wiem. Zresztą nie był jedynym dryblasem w klasie. Pod względem liczby było ich więcej i starszych niż w II klasie. Tylko w stosunku do mnie w trzeciej klasie sytuacja uległa poważnej zmianie. Ni stąd, ni zowąd zacząłem uchodzić za dobrego ucznia, a renoma ta podniosła się w czwartej klasie, gdy wprowadzono ćwiczenia klasowe. Spostrzeżono, że jestem krótkowidzem. Nadto, jako jeden z najmłodszych, nie mogłem równać się wzrostem z 17—18-letnimi kolegami. Inspektor więc przesadził mnie do pierwszej ławki. Byłem z jednej strony zadowolony, bo to było swego rodzaju wyróżnieniem, lecz z drugiej — utraciłem dawne swobody: trzymania książek pod ławką i ich czytania. Ale zdarzenia, których widownią były te dwie klasy, III i IV, pomieszały się z sobą w pamięci mojej i dzisiaj nie podobna mi rozgraniczyć, co przypada na jedną, a co na drugą. Wiem, że wtedy zaciążyły dwa skandale nad gimnazjum. Jeden, którego uczestnicy w liczbie dwóch czy trzech zostali bezzwłocznie wydaleni: oberżnęli scyzorykiem kozie wymiona. Drugi skandal w klasie o jedną wyżej — to wydobycie przez Stróżeckiego podczas kłótni dużego scyzoryka czy noża i uderzenie ostrzem Artura Oraczewskiego w ramię. Stróżecki, brat stryjeczny Jana, który zapisał swoje nazwisko w historii naszych ruchów społecznych, wyrostek krewki i bardzo uzdolniony, musiał opuścić gimnazjum. Może do tych zdarzeń warto dodać jeszcze trzecie, chociaż jest mi niezmiernie trudno ustalić jego kolejność w stosunku do innych. Był to początek jesieni, gdy starozakonni świętowali uroczystość „kuczek". Paru uczniaków zaczęło bombardować szałas kamieniami. Zawiadomiono o tym władze gimnazjalne. Do klasy wtargnął inspektor Jezierski. Wyłożył nam całą rzecz dodając, że religia każdego człowieka powinna być dla innych

przedmiotem zasługującym na poważanie. Wywołał jednego z kolegów i kazał mu iść za sobą. Kolega już tego dnia nie zjawił się w klasie. Nazajutrz przybył z miną niekoniecznie bohaterską, jaką miewali koledzy po odsiedzianej kozie lub strofowaniu w kancelarii. Podobno dostał rózgami. Przynajmniej takie chodziły pogłoski, lecz winowajca na pytania nic nie odpowiadał, a niekiedy rzucał się do bójki. Najważniejsza jednak była awantura, wychodząca już poza ramy figlów szkolnych; mógłbym ustalić bliżej jej datę poszperawszy nieco w rozporządzeniach rządowych, gdyż sprawa ta wiąże się z ówczesnymi reformami szkolnymi. A mianowicie, zniesiono wówczas egzaminy roczne, a wprowadzono w zamian wypracowania piśmienne w klasie u schyłku roku szkolnego. Egzaminy ustne pozostawiono jedynie w klasie IV i VI oraz mającej powstać klasie VIII. Byliśmy pełni trwogi przed tymi ćwiczeniami, zwłaszcza gdy terminy ich nadeszły. I nie dziw. Alarmujące pogłoski szły zwłaszcza z klasy ostatniej, siódmej, która odtąd w roku przyszłym miała przestać być ostatnią. Spośród kilkunastu uczni wypuszczono paru tylko z dyplomami. I słusznie lęk ten nas trapił. Wypracowania piśmienne wypadły fatalnie. Klasa trzecia została przetrzebiona do połowy, a może nawet obcięta jeszcze bardziej. Jednak czwarta, do której przeszliśmy, wciąż jeszcze istniała w dawnej wspaniałej liczebności, bo znowu liczyła 80—100 uczniów. Przy końcu jednak roku szkolnego w czwartej spadło na nas nowe „oczyszczenie“ i w piątej znaleźliśmy się w liczbie trzydziestu kolegów.

Jeszcze raz zaznaczam, że dat nie pamiętam, a wśród nich i daty zmiany programu szkolnego, a więc usunięcia z liczby przedmiotów wykładanych dotychczas — nauk przyrodniczych i rysunków, a także i języka polskiego (zdaje mi się, że było to jesienią w klasie IV, a więc w r. 1874)! Pamiętam jednak samorzutny odruch malców, wywołany nieobecnością w planie języka polskiego. Na ostatniej godzinie danego dnia dyktowano stały na przyszłość plan lekcyj. Poniedziałek, wtorek, środa — malcy spokojnie wpisują dyktowane przedmioty, czwartek — wciąż nie ma języka polskiego. Gdzieś ciche zapytanie: A gdzie polski? Za nim jeszcze kilka innych głosów zdziwionych, ale nie wychodzących poza ton normalny. Na to żadnej odpowiedzi. Piątek — także nie ma polskiego. Pytania lecą z różnych stron, a w nich już czuć nerwowe podniecenie. Sobota — podyktowano ostatnią godzinę, nie ma polskiego. Zrywa się wrzawa: bębnienie nogami, pocierania łokciami po nawoskowanej ławce (zdaje się ostatnie ławki zawsze miały w przygotowaniu woskowane pulpity)

i krzyki: polski, polski! Mieściliśmy się wtedy na dole, w lewym korytarzu od wejścia, ostatnia izba. Wpada zirytowany inspektor, stary Jezierski, cały drżący, z peruką wykrzywioną. Jak nieprzytomny krzyczy głosem podniesionym: rózgi, rózgi! W końcu chwyta jednego z uczniów, Prusiewicza czy Pruszewicza — nie jestem pewny nazwiska — i uprowadzając go jako jeńca opuszcza milczącą i zastraszoną klasę. Nie wiem, co spotkało winowajcę, nie wiem, czy dostał owe rózgi. A raczej o tym powątpiewam. W ogóle nie pamiętam, żeby podczas całego mojego pobytu w gimnazjum płockim zdarzyło się coś w rodzaju rózeg, może prócz jednego wypadku, o którym była już mowa. Zwykle wydalano z gimnazjum sprawców większego przestępstwa. Jak na zniesienie języka polskiego zareagowały inne klasy, nie pamiętam. Sądzę, że nie byliśmy jedyni. Zirytowanie Jezierskiego świadczy o tym. Przywrócono język [3] polski dopiero w klasie VI jako przedmiot nieobowiązujący, a w niższych klasach jako pomocniczy do wykładów języka rosyjskiego. Zdaje się, tak samo żywiołowo wybuchły protesty w innych miastach. Ofiarą jednego z nich był Henryk Dulęba.

*

Zdarzenia poszczególne z czasów mojego pobytu w gimnazjum ulotniły się z pamięci. Pozostały jednak zarysy zasadnicze stosunków, jakie panowały w murach gimnazjalnych. A zatem stosunek do nauczycieli.

Owa wrogość względem nauczycieli, która była przesycała atmosferę mojego otoczenia szkolnego w klasie drugiej, już osłabła w trzeciej, złagodniała jeszcze bardziej w czwartej, aż w końcu ustąpiła całkowicie miejsca zachowaniu się racjonalniejszemu. Byliśmy starsi i z natury rzeczy głębiej mogliśmy się połapać w wymaganiach życia. A przede wszystkim byliśmy mocno przetrzebieni. Ubyły żywioły zbyt leniwe, zbyt swawolne, a nawet rozpieszczone, którym rygor szkolny i nauka ciążyły najbardziej.

Jednak jakiejś serdeczności głębszej pomiędzy nami a nauczycielami nigdy nie było — dla jednych żywiliśmy niechęć trzymaną w karbach właściwych, względem innych obojętność, w końcu poważanie dla paru. Niewątpliwie takim poważaniem cieszyli się: Dębicki, Dylewski, Szulc. Dębicki, który wykładał matematykę, był bodaj najbardziej lubiany. Sprawiedliwy, wyrozumiały, choć niekiedy wybuchający, wykładał przywołując do tablicy zdolniejszych uczniów do przerobienia twierdzeń, które przypadały na następny wykład.

Dylewski, także matematyk, wykładał u nas w wyższych klasach fizykę. Oschły, nie tak przystępny jak Dębicki, był przez nas nie tyle lubiany, ile poważany. W końcu Szulc, wykładający nam w ciągu lat wielu grekę i w charakterze tak zwanego gospodarza klasowego mający baczniejsze oko na nas, systematyczniej niż obaj poprzedni ścigał nasze wybryki, ale czynił to w sposób, który świadczył dodatnio o jego umiejętności wychowawczej. Jeżeli sprawca jakiegoś wybryku był niewiadomy, Szulc zwracał się do całej klasy, wzywając winowajcę, ażeby miał odwagę przyznać się do winy. A gdy przyznał się, Szulc popatrzył nieco na grzesznika, niekiedy powiedział słów parę, nie tyle go strofujących, ile wyjaśniających niewłaściwość postępku. Ale wielu wolałoby karę surową niż to potępienie odwołujące się do honoru ucznia! Mam wrażenie, że spośród naszych nauczycieli jeden Szulc był właściwym pedagogiem, nauczycielem o wielkim takcie, wymagającym, a przecież wyrozumiałym. W stosunku do tych trzech nauczycieli było wiadomo, że każdy z nas na cenzurze półrocznej otrzyma stopień, na jaki rzeczywiście zasłużył; nie było tam poprzestawania na pierwszym wrażeniu ani działania pod wpływem chwilowej irytacji, ani nieusprawiedliwicnego uprzedzenia względem ucznia i chęci zastraszenia. Na irytację niekiedy pozwalał sobie Dębicki, zwłaszcza gdy zabrakło gąbki i kredy przy tablicy: „Ani pilności nie znacie, ani nie dbacie o kredę!“ Ale irytacja ta była skierowana ku bezimiennej gromadzie, która dopiero wtedy szukała gąbki lub szła do woźnego po kredę, gdy wykład już się był rozpoczął. A przede wszystkim byliśmy pewni, że ci trzej nauczyciele będą umieli zachować się z godnością czy to na radzie pedagogicznej, czy w jakiejkolwiek innej sytuacji i że każdego z nas będą bronili, gdyby któremuś miała być wyrządzona krzywda. Niestety, nie o wszystkich nauczycielach tak myśleliśmy.

Ale oprócz poważania nawet ci trzej nie pozostawili nic więcej w mojej pamięci. W ogóle nic nie zawdzięczaliśmy szkole — zgoła nic! Ani jakiejkolwiek zachęty wyjścia poza ciasną rutynę przedmiotów szkolnych, ani umiłowania nauki, ani entuzjazmu, z jakim wielu z nas wzięło się za bary z istniejącą podówczas rzeczywistością społeczną i polityczną. Albowiem blisko trzecia część spośród tych, którzy w r. 1878 ukończyli gimnazjum płockie, przebyła Cytadelę lub musiała przed nią uchodzić za granicę, i to w czasach, kiedy opinia publiczna patrzyła na nasze poglądy i na naszą działalność jako na postępki niemal zbrodnicze.

Nawet wykład przedmiotów szkolnych stał na poziomie bardzo

miernym. Fizyka odbywała się bez doświadczeń, choć jakaś pracownia istniała z dawnych czasów — zapomniana i zaniedbana. Myślę, że dopuszczeniu nas do pracowni stała na przeszkodzie obawa, iż język polski, tak wyrzucany ze szkoły, zacznie znowu rozbrzmiewać w murach szkolnych podczas doświadczeń. Przynajmniej takie wrażenie odniosłem, gdy w latach 1886—88, przebywając przymusowo w Płocku, w rozmowie z jednym z nauczycieli podniosłem sprawę pracowni: starzec czuł, że nie będzie miał odwagi przeciwstawienia się rozmowom w języku polskim, a wiedział, iż mury szkolne słyszą wiele, iż notują nie tylko sprawowanie uczniów, ale i nauczycieli... W ogóle uczyliśmy się fizyki z książki, bez wyjaśnień jakichkolwiek. I zetknąwszy się w Warszawie z wychowankami Hertza zrozumiałem, jak po macoszemu traktowano matematykę w gimnazjum naszym. Ale takie to były czasy! Wstąpiliśmy — mówię o swoich rówieśnikach — do gimnazjum będącego pod pewnymi względami na wymarciu. A mianowicie pozwolono wymierać, a raczej dosługiwać się emerytury w ciągu jeszcze lat kilkunastu garstce Polaków. Bucelski, Dylewski, Dębicki, Szulc, Tołwiński — wszystko to byli ludzie u schyłku swojej działalności nauczycielskiej. Z nich Szulc i Dębicki są podpisani już na świadectwie dojrzałości mojego ojca. W parę lat po ukończeniu przeze mnie gimnazjum ani jeden już nie wykładał. Niektórzy z tych starców utrzymywali się wyłącznie z pobieranej pensji, nie mając ani grosza w kieszeni na nieprzewidziane wydatki i niezdolni do spełniania jakiejkolwiek innej pracy zarobkowej. Wobec napierającej coraz silniej, coraz bezczelniej polityki rusyfikacyjnej marzyli o jednym — by bez przeszkód osiągnąć liczbę lat potrzebną do pobierania emerytury. Nawet gdyby byli młodsi, ta okoliczność powstrzymywałaby ich od jakiegokolwiek systematycznego oddziaływania na młodzież. Byli za uczciwi, żeby iść na rękę zamiarom rządu, jak ów nasz wieloletni prefekt, który podjął się wykładów religii w języku rosyjskim i tłumaczył się bezwstydnie przed wychowańcami, iż za to pobiera o wiele wyższą pensję. Ale nie mogli się także zdobyć na rzucenie do dusz młodocianych innego, żywszego posiewu — obawiali się o swoją starość. Szkoda, iż byli tacy. Ale innymi być nie mogli w ówczesnym przygnębieniu opinii publicznej! O roku 1863 można powtórzyć słowa M. Konopnickiej: „Wielkich klęsk wielkie serca przyczyną!“ Otóż wielkie serca w owym poruszeniu wyginęły lub, wyrzucone, znalazły się w dalekiej obczyźnie. Dreszcz trwogi wstrząsnął społeczeństwem, a potulność podniesiono do zasady dogmatu politycznego. Dopiero rok 1877—78 zapeł-

nił Cytadelę nowego znaku bojownikami, „schodka“ Apuchtinowska w r. 1883 będzie pierwszym od r. 1863 publicznym protestem przeciw polityce rusyfikacyjnej, a szubienice, na których zawiśli członkowie partii „Proletariat“ — tak samo pierwszymi szubienicami od owego roku entuzjazmu i klęski. W tym ocknięciu się śpiącej polskiej irredenty wychowańcy Płocka szli nie w ostatnim zastępie. Ale gdy byli na ławach szkolnych, przygnębienie i bierne poddawanie się wszystkim próbom rusyfikacyjnym było zasadą: przecież cała polityka rusyfikacyjna dojrzewała nie w Petersburgu, lecz w Warszawie, i tylko dlatego, że inicjatorzy nie spotykali żadnego oporu! Klęska na razie wydarła z dusz ludzkich doszczętnie wszelkie pierwiastki głośnego protestu, wytępiła wszelki entuzjazm i wszelką wiarę. Ci, którzy przeszli katastrofę i po niej się spodlili, milczeli w zwątpieniu: obawiali się dla młodzieży nawet samego zapału bez jakiejkolwiek treści, jako zapowiedzi nowego poruszenia i nowej klęski. Przecież w przededniu „schodki“ Apuchtinowskiej jeden z zacniejszych Polaków profesorów Uniwersytetu Warszawskiego mówił do mnie ironicznie: „Oto masz mur, rozwalaj go swym łbem!“ I niemal tymi samymi słowy przemówił do mnie jeden ze starych pedagogów, nauczyciel języka niemieckiego, także pono farys z r. 1863, gdym w latach 1886—88 znalazł się na „rekolekcjach“ przymusowych w Płocku. Może Dębicki był spośród nauczycieli jeszcze najmniej wyziębiony. W każdym razie zawdzięczam swój republikanizm od r. 1870 jego wybuchowi oburzenia po katastrofie sedańskiej i jego gorącemu powitaniu Rzeczypospolitej Francuskiej. Ale w szkole zachowywał powściągliwość jak największą. Czasami tylko jakaś uwaga ironiczna wybiegała z jego ust: nie dziwił się temu, iż Jozue zatrzymał modlitwą słońce, ale temu, że pod działaniem siły odśrodkowej świat cały nie zapadł się w chaosie.

Taka sama bierność względem nas tkwiła w całym otoczeniu. Prócz świadectwa dojrzałości gimnazjum niczym nas nie obdarzyło na drogę życia i Płock sam, to jest otoczenie żywe, nic nam nie dał. A przecież w Płocku zawsze tliły się iskierki inne: tak było w latach czterdziestych, kiedy wśród młodzieży płockiej panował kult Lamennais'go [4]. Iskierki te pozostały i po r. 1863. Żył, i to nie spośród najgorszych przedstawicieli tego roku, aptekarz Liebchen, księgarz Stablewski. Obaj nie odbiegli od dawnych swoich ideałów, choć entuzjazm odbiegł od nich. Ale o nich dowiedziałem się dopiero w latach 1886—88. Nie brakło w Płocku osób wykształconych, wśród emerytów sędziowskich zwłaszcza. Ale pomiędzy nimi a młodzieżą

nie było żadnej spójni, żadnego oddziaływania. Jedynie oddziaływanie szło od domu bodaj rosyjskiego, a może półrosyjskiego, niejakiego Malczewskiego, naczelnika akcyzy, poprzez jednego z kolegów, który tam za korepetycje miał mieszkanie: stamtąd przywędrowały do nas dzieła Pisarewa, które zresztą nie pozostawiły żadnego wrażenia. I sam pośrednik, ów nasz kolega jednoroczny, nie budził w nas entuzjazmu.

Sami zdobywaliśmy wszystko, kompletnie wszystko, aż do dróg prowadzących do X pawilonu w Cytadeli. Krzesaliśmy sami z siebie zapał do wiedzy, który bez doświadczonej ręki starszego doradcy szedł manowcami, przerzucał się z przedmiotu na przedmiot, niekiedy chwytał się rzeczy, które nie wzbogacały umysłu, nie podnosiły serca. A przede wszystkim chwytał wskazówki — że tak rzekę — z powietrza. Pociągały nauki przyrodnicze, a właściwie darwinizm, sprawa budowy świata, astronomia, fizyka, a nade wszystko zagadnienia psychologiczne. Czytaliśmy dużo. Dotarliśmy do P r z e g l ą d u T y g o d n i o w e g o i do jego wydawnictw, nie zawsze fortunnie opracowanych. To życie umysłowe rozpoczęło się w klasie czwartej od dyskusji nad zagadnieniami duszy, zwykle w kącie poza tablicą. Dyskusje opierały się aż nazbyt często o prefekta, dopóki ten nie poczuł pewnej ironii, a niekiedy pułapki zawartej w pytaniach i nie przestał odpowiadać. W ogóle zainteresowanie zagadnieniami naukowymi było znaczne, ale zaspokojenie łaknień było chaotyczne, przypadkowe, dyletanckie.

Były nawet próby stworzenia jakiejś organizacji: zebranie wstępne odbyło się w mieszkaniu kolegi, syna dra Kurowskiego przy ul. Warszawskiej, na którym było nas kilkunastu, w tej liczbie Franciszek Olszewski z klasy wyższej i Al. Sokołowski z niższej. Projektodawcą był Ludomir Grendyszyński, innych nazwisk nie pamiętam. Ale w życiu ówczesnym młodzieży nie nastały jeszcze czasy na jakiekolwiek stałe organizacje. Skończyło się wszystko na zakupie od czasu do czasu droższych książek i ich losowaniu. Na pierwszy ogień poszły wytwornie wydane *Śpiewy Historyczne*. Wygrałem je i dlatego pamiętam sam zwyczaj zakupów. Nie będę jednak kreślił dróg tego rozwoju umysłowego i osiągniętych wyników. Zaznaczę tylko, iż w klasie VII i częściowo w VIII zaczęły wychodzić dwa pisemka ręcznie w jednym egzemplarzu pisane: J u t r z e n k a, wydawana przez L. Grendyszyńskiego, w której popełniłem pierwszy grzech na polu poezji i powieści przedhistorycznej, oraz nieco później rozpoczęta P r a c a, która spoczywała na moich barkach. Pono do-

chowało się parę numerów Jutrzenki, warto by je wydać z komentarzami, jako przyczynek do procesu budzenia się ducha wśród młodzieży w najcięższych chwilach kraju. Co do Pracy zrozumiałem jej dążność dopiero w wiele lat później. Był to niezmiernie naiwny, nieusystematyzowany saint-simonizm — bez znajomości Saint-Simona i saint-simonistów. Ale rzecz ta daje się wyjaśnić w sposób prosty. Pozytywizm warszawski z jego hasłami pracy organicznej pożyczył od Comte'a bardzo wiele. Comte zaś był uczniem Saint-Simona, wprawdzie wyrzekającym się mistrza i przyodziewającym jego wywody w szaty nieco filisterskie, ale swoją drogą popularyzującym wiele jego założeń. Położenie nacisku na parę punktów z programu pracy organicznej, zlekceważenie paru innych — i oto mój naiwny saint-simonizm! Przy okazji zaznaczę, że nie tylko Saint-Simonowi przytrafiło się, iż jego hasła pracy (organicznej — ale w innym znaczeniu niż u pozytywistów) przybrały w naszej publicystyce ówczesnej częściowo szatę ideologii robigroszów. Los taki sam przypadł biednemu Świdzińskiemu, a właściwie jednemu z jego utworów poetyckich. Piotr Chmielowski w swoim szkicu o walce pozytywistów ze starym pokoleniem opowiada, iż młodzież pozytywistyczna, tak trzeźwa pod względem politycznym — wzięła ten utwór za swoją pieśń bojową. Śpiew o pracy stał się pobudką do „pracy organicznej" pozytywistów! A tymczasem autor, bodaj siostrzeniec Jarosława Dąbrowskiego, uczestnik Komuny r. 1871, na starość zamieszkały w Stanisławowie, wydobył z siebie hymn ku czci pracy robotników, nie zaś pracy robigroszów...

*

Wstąpiłem do gimnazjum w okresie poczynającej się dopiero rusyfikacji. Działacze rosyjcy byli nieliczni i jeszcze niepewni siebie. Nie wiedzieli, jak daleko bierność społeczeństwa polskiego pozwoli im zajść w polityce wynaradawiania młodzieży. Polityka ta dosięgła największego swego napięcia dopiero za czasów Apuchtina i Hurki, w latach osiemdziesiątych i w pierwszej połowie dziewięćdziesiątych.

Jednakowoż z chwilą gdy znalazłem się w murach szkolnych, na całym szkolnictwie spoczywał już mocny pokost rosyjski; egzaminy wstępne, będące postrachem malców, odbywały się w języku rosyjskim, tak samo jak wykłady, a w Płocku nawet religię wykładano po rosyjsku. Litera *jat'*, obecnie usunięta z pisowni rosyjskiej, jako rzecz niepotrzebna, niejednemu zamykała już wtedy drogę do promocji i dalszego kształcenia się. Ale na straży tego pokostu w r. 1871 stał jedynie pomocnik inspektora Argiejew (inspektorem aż do mego

przyjścia do klasy V był Polak) oraz nauczyciel języka rosyjskiego Elmanowicz — o dyrektorze ówczesnym nie mówię, bo dla nas malców był istotą niewidzialną, istniejącą ponad światem szkolnym i nim rządzącą, ale w nim nieobecną, oraz jeden z dwóch pomocników gospodarzy klasowych, coś w rodzaju starszego pedela, a właściwie najniższego rzędu siły nauczycielskiej, który buszował po stancjach, odwiedzając je od czasu do czasu, ale który był bez wpływu i znaczenia. Niedostateczność sił nauczycielskich spośród Rosjan była tak wielka, iż w klasie II wykładał język rosyjski Polak Waligórski, który w klasach następnych wtajemniczał nas także w historię powszechną, a raczej w anegdoty z nią związane.

Warto przyjrzeć się tym dwu Rosjanom, na których barkach spoczęła polityka rusyfikacyjna.

Właściwie politykę tę w sposób systematyczny prowadził tylko Elmanowicz, Argiejew był na to zbyt niezrównoważony. Przeczył często sobie, a nawet Elmanowiczowi: jeden mówił „K o z a k i, P o l a k i“ (akcentując zgłoskę ostatnią), drugi „Kozáki, Poláki“. Argiejew przyczepiał się do drobiazgów, a nie dostrzegał ważniejszych rzeczy, jako pomocnik inspektora a później inspektor; w charakterze nauczyciela zadawał od tej stronicy do tej bez jakichkolwiek wyjaśnień i w ten sposób jako historyk zrzekał się jednego ze sposobów oddziaływania na umysły. Nie wymagał, żebyśmy według podręcznika wierzyli, że Jagiełło pod Grunwaldem, a Sobieski pod Wiedniem zwyciężyli dzięki obecności Rosjan. Zdaje się, że w co sam nie wierzył, tego od nas nie żądał. Ale za to trapił nas jazdami po Rosji, z jarmarku na jarmark: na każdym wykładzie geografii Rosji jeździliśmy kanałami i kolejami żelaznymi, dajmy na to z Petersburga do Astrachania, i zdążaliśmy w ten sposób na różne dni jarmarczne. Kto umiał odbywać te podróże i na czas trafić na jarmark, mógł być pewny dobrych stopni ze wszystkich przedmiotów wykładanych przez Argiejewa. Podczas lekcji wszyscy musieliśmy rysować mapy Rosji europejskiej, Syberii, Europy, Azji, z wyznaczeniem głównych miast, portów, miejscowości historycznych, a wymagania szły tak daleko, że jeszcze dzisiaj z pamięci mogę niezgorzej wyrysować mapę Europy, a zwłaszcza Bałtyku i Morza Czarnego. Z całym przejęciem, jak gdyby odprawiał jakiś sakrament, obwieszczał, iż jutro będzie galówka lub inny obchód uroczysty: głos jego rozbrzmiewał natchnieniem, wysoka postać stawała się jeszcze wyższą. Ta postawa natchniona ukazywała się nam niekiedy podczas wykładów, gdy np. objaśniał, co to są nihiliści. Powiadają oni: „Co twoje — to moje, ale

co moje — to moje!“ U kogo w takich chwilach dostrzegłby uśmiech nie dostrojony do jego natchnienia, tego malca stawał się wrogiem zawziętym. Dzięki tubalnemu głosowi był postrachem malców, w gruncie rzeczy był jedynie fantastą, i to fantastą niezdolnym do systematycznej pracy rusyfikacyjnej i tak samo do systematycznego znęcania się nad uczniakami. Miewał jedynie okresy upojenia władzą: wtedy krzyczał, sadzał do kozy. Już po moim wyjściu z gimnazjum w obronie honoru żony swojej, która bodaj o tym honorze niezbyt pamiętała, miał zajście publiczne, zamiast innego oręża posługując się w bójce dużymi kluczami, z innym nauczycielem, również Rosjaninem. Usunięty, wykładał język rosyjski na pensjach prywatnych w Warszawie i tutaj wsławił się jako „dobry Moskal“, tj. taki, który nie chciał widzieć wielu rzeczy grzesznych z punktu widzenia rządu i nie donosił o nich do wyższej władzy.

Innego typu człowiekiem był Elmanowicz *vulgo* Lisiczka. Systematyczny, cierpliwy, pełen taktu, a jednocześnie dość sprawiedliwy, gdy chodziło o stopnie, i troszczący się wszelkimi sposobami o to, żeby uczeń słaby w rosyjskim zdołał się poprawić, był za moich czasów duszą polityki rusyfikacyjnej, polityki tym szkodliwszej, iż zręcznej. Gdy chodziło o ucznia słabego w języku rosyjskim, nastręczał mu korepetytora wśród Rosjan, o ile tacy istnieli (dopiero gdy byłem w klasach wyższych, Rosjanie zaczęli liczniej zamieszkiwać w Płocku). Niekiedy z dobrotliwością ojcowską doradzał malcowi, żeby znalazł przyjaciela mówiącego dobrze po rosyjsku i dla rozmaitości rozmawiał z nim poza murami szkoły w tym języku. Opowiadał mi jeden z młodszych uczniów, któremu dawałem korepetycje, iż Elmanowicz miał mu powiedzieć: — „Jesteś Polakiem, naturalnie nie możesz mieć dobrego akcentu rosyjskiego, a tymczasem szkoła tego wymaga, dlatego spróbuj z kolegami Rosjanami mówić zawsze po rosyjsku“. Gdyby mi ktoś dodał, że Elmanowicz, udzielając tej rady, z ojcowskiej pieczołowitości o malca miał łezkę w oku, szczegół ten dostrajałby się przewybornie do postaci Lisiczki, jak go nazywano.

Niekiedy, jeśli któryś z nauczycieli był nieobecny, urządzał głośne czytanki w klasie w języku rosyjskim, urządzał je też nieraz ekstra, poza zwykłymi zajęciami. Wyboru dokonywał Elmanowicz umiejętnie: pamiętam, z jaką ciekawością ja i moi sąsiedzi słuchaliśmy głośno czytanego dużego utworu o wojnie pomiędzy szczurami a kotami. Ale największą uroczystością dla Elmanowicza były popisy urządzane co miesiąc w dni świąteczne. W największej klasie zbierali się nauczy-

ciele Rosjanie z rodzinami, bywali także panowie i panie ze świata rosyjskiego. Wobec takiej publiczności uczniowie odczytywali swoje wypracowania, deklamowali wiersze rosyjskie itd. Niekiedy winszowano malcowi, któraś z dam wołała go ku sobie i mówiła komplementy. Przynajmniej tak było w klasach niższych; gdy chodzi o czas pobytu w klasach wyższych, jakoś nie przypominam sobie „rekreacji Elmanowiczowskich" — nazwa ich w naszym żargonie uczniowskim. Wszystko to były sidła i pułapki, zastawiane z umiejętnością, prowadzące do lepszych stopni, do nagród, a przynajmniej do promocji, choć chybiające głównego celu — rusyfikacji. Patrzono na uroczystości jako na swego rodzaju lekcję dodatkową. To dobre dla Papierniów, mówiono. (Papiernia czy Papierna — rodzina starozakonnego wykładającego religię wyznania mojżeszowego, popisująca się ostentacyjnie na każdym miejscu. Papiernię umyślnie sprowadzono do Płocka jako Żyda-Rosjanina, ale przykład jego nie znajdował naśladowców wśród ludności starozakonnej).

Elmanowicz nie poprzestawał na oplątywaniu malców i wyrostków. Usiłował wywrzeć wpływ i na ciało nauczycielskie. Niekiedy jako ćwiczenia z łaciny zadawano nam przekład z Cezara lub Cycerona na język rosyjski z zaznaczeniem, iż Elmanowicz będzie je przeglądał i traktował jako ćwiczenie ze swego przedmiotu. W tym wypadku była to także kontrola nad tak zwanym Nojtrem, który od IV klasy aż do VII włącznie wtajemniczał nas w formalną stronę łaciny i który, sprowadzony z Wrocławia, nie zawsze umiał uporać się szczęśliwie z językiem rosyjskim. Mówię o Nojtrze-Masłowskim. Nie pamiętam, aby coś podobnego zdarzyło się z Szulcem. Niewątpliwie Elmanowicz nie pogardzałby i Szulcem jako też każdym innym, ale widocznie nie wszyscy szli mu na rękę. W każdym razie słyszałem, iż pod pozorem, że ćwiczenia piśmienne na świadectwo dojrzałości mogą się znaleźć u kuratora, przeglądał je wszystkie z punktu widzenia języka rosyjskiego i prawdopodobnie wpływał na postawiony ostatecznie stopień. Wiem także o kontroli, którą rozciągał po przywróceniu w gimnazjum języka polskiego, rad wykładom jego w klasach niższych, uważając, że lekcje polszczyzny winny być nową okazją ćwiczenia się w języku rosyjskim.

W ciągu całego mojego pobytu w gimnazjum — spośród Rosjan stykałem się jedynie z Elmanowiczem i Argiejewem oraz, w ostatniej bodaj klasie, z dyrektorem Fedyńskim, pochodzącym z unitów galicyjskich, o którym powszechnie fama głosiła, iż był człowiekiem przyzwoitym. Ale w klasach niższych odbywał się ciągły przewrót.

Nauczycieli Rosjan wciąż przybywało, pojawiał się któryś z klanu Maziukiewiczów, grasujących po różnych miastach jako nieprzejednani, brutalni rusyfikatorzy — taki Liwotow, Kriwaksin, a znikali Polacy. Wymagania pod względem języka rosyjskiego stawały się coraz większe, na podwórzu milkły podczas gry w piłkę dźwięki: raz — dwa — trzy... maj! — taktyka rusyfikacyjna była coraz natarczywsza, coraz bezwstydniejsza, a szkoła jęła się przekształcać w coś w rodzaju specjalnego oddziału cyrkułu policyjnego. A właściwie i nas starszych brano w karby coraz ciaśniejsze, ale ponieważ odbywało się to z roku na rok drobniejszymi porcjami, nie odczuwaliśmy tak silnie tego, iż stosunki szkolne ulegały znacznemu pogorszeniu. Ale dopiero po moim wyjściu rosyjskość w Płocku rozpanoszyła się na dobre: „pisze po rosyjsku, ale myśli po polsku", pisano na ocenie ćwiczeń. Nawet Elmanowicz porzucił zbyt daleko idącą ostrożność i ostrzej rozprawiał się z duszą polską dziecka. Nastawały czasy Apuchtinów. Ale także czasy tajnych organizacji, tajnych bibliotek i żywiołowych protestów: pójścia zbiorowego na nabożeństwo w dniu trzeciego maja, ucieczki z kościoła podczas jakiejś galówki. Za moich czasów nie było jeszcze zaczątków tego zorganizowanego oporu.

Nie umiem też określić czasu, kiedy zaczęto powoływać na nauczycieli gimnazjalnych Polaków — ale już ludzi innego poziomu umysłowego i innej odwagi niż dawni nauczyciele Polacy. W tej liczbie znalazł się mój kolega uniwersytecki, współuczestnik niektórych wykładów, matematyk Stodołkiewicz. Była to wybitna siła naukowa, stały współpracownik wydawnictw krakowskiej Akademii Umiejętności w dziale matematycznym. W innych warunkach objąłby katedrę w uniwersytecie. Zresztą, ceniłem go tylko jako matematyka. Jak wielu matematyków, był dziwnie naiwny poza sferą swojej specjalności. Innym zupełnie typem, pełnym energii, był nauczyciel Rutski, którego pamiętam również z uniwersytetu, wychodzącego podczas zimy w pledzie. A właściwie Weniamin-Rutskij, a więc nazwisko rdzennie rosyjskie; w dodatku był to potomek wielkiego dygnitarza Kościoła prawosławnego w Kijowie. Wiedział on o tym, wiedzieli Rosjanie w Płocku. I otóż ów potomek jednej z czołowych postaci prawosławia był nie tylko katolikiem, ale nieugiętym Polakiem. Nazwisko robiło swoje: pomimo całej jego działalności i poglądów, których nie ukrywał, nie ruszono go. A Rutski wraz z żoną byli wielkimi pionierami kultury umysłowej w Płocku. Oddali wszystkie swoje siły założonemu w tym mieście Towarzystwu Nau-

kowemu i istniejącej przy nim bibliotece. Za ich przykładem poszły władze duchowne, które wyciągnęły co miały z zakurzonych archiwów do muzeum diecezjalnego i do biblioteki seminaryjnej. Znalazła się tam cała moc druków z bardzo wczesnego okresu kunsztu drukarskiego. Były i pergaminy, a w którymś z nich jeden wiersz polski z jakiegoś utworu religijnego — jeden z najwcześniejszych znanych nam okazów języka polskiego. Z różnych kościołów wyciągnięto stare rzeźby Matki Boskiej i Chrystusa, leżące w skarbcu pasy i szaty. Ale przede wszystkim pęczniała biblioteka Towarzystwa Naukowego. Urastała z ciągłych darów, które wlewały się do niej małymi dopływami, ale zdarzały się i wielkich rozmiarów potoki. Taką była książnica Zielińskich ze Skempego. Zwłaszcza dobrze reprezentowana była literatura francuska XVIII wieku. Płocczanie studiujący języki romańskie w uniwersytecie warszawskim zjeżdżali na kilka miesięcy do Płocka, żeby pisać tu swoje rozprawy magisterskie. A wśród starych druków znalazła się książka, której obecność w Płocku zdziwiła nuncjusza Rattiego, późniejszego papieża Piusa XI. Przeglądając tamtejsze „skarby“ wyraził swój podziw, iż w takiej mieścinie, leżącej poza uczęszczanymi traktami, znajduje się tyle cennych dzieł, a między nimi książka, o której sądził, że istnieje na świecie tylko w liczbie 3 okazów. Obecnie w Płocku przybył czwarty. Wszystkie te muzea, biblioteki są plonem, pod który pierwsze ziarno rzucili małżonkowie Rutscy.

A obok Stodołkiewicza i Rutskiego warto paru słowami wspomnieć o Z. Nauczyciel ten nie był ani wybitnym specjalistą, ani działaczem społecznym. Nie wychylał się poza ściany swojego mieszkania, w którym jednak zawsze było rojno i gwarno. Lubił młodzież, której wszelkimi sposobami pomagał: pieniędzmi w potrzebie i radą swoją, a w końcu pomocą nauczycielską. Wielu uczniów płockich wstępowało do uniwersytetu warszawskiego wspieranych systematycznie przezeń lub całkowicie utrzymywanych. Wszyscy płocczanie, którzy uczęszczali do szkół za jego czasów, mówili o nim z jak najcieplejszym uczuciem. Niestety, dzisiaj, pisząc swoje wspomnienia, spostrzegam, że nic nie wiem o przedmiocie, który wykładał, ani nawet o latach, w ciągu których ogrzewał ciepłem swojej serdeczności ubogich uczniaków lub otuchę wlewał w gromadkę strapionych swoich gości. Jego wychowankowie nie dorównali mu ani hojnością, ani miłosierdziem. Pozostała siostra. Znalazła się po śmierci brata w bardzo ciężkiej sytuacji materialnej. Żaden z tych, co korzystał ze skarbonki zmarłego, nie zatroszczył się o nią.

Jeszcze komuś należy się parę słów. Mam na myśli Wieczór-Szczerbowicza. Byłem w VI klasie, gdy Aleksander Sokołowski i bodaj Henryk Kurowski spotkawszy mnie na Rynku Kanonicznym zaczęli opowiadać o Angliku, który pojawił się na bruku płockim. W ciągu paru godzin szli za nim krok w krok. Spuścił się na dół ku Wiśle, przeszedł przez most, zawrócił i potem przez skwer Niemiecki powędrował ulicą Warszawską. W kapeluszu miękkim, dużym, na kapeluszu mały termometr, pomimo pogody wrześniowej kalosze na nogach i w ręku parasol, ubiór kraciasty, angielski, palto. Tym Anglikiem był nauczyciel Wieczór-Szczerbowicz, mający w naszym gimnazjum odtąd wykładać języki starożytne. Zresztą na ulicach ukazywał się nie tylko sam. Towarzyszyła mu Angielka, tak samo wysoka, sztywna, czarno ubrana. Była to jego matka. Szczerbowicz kochał swój przedmiot. Niestety był w położeniu dziada, który mówił do obrazu, obraz zaś nie odwzajemnił mu się ani razu. Wysilał swoje krasomówstwo, w zapale roztaczał obrazy świata antycznego, unosił się nad pięknością stylu, uczniowie zaś odpowiadali mu ziewaniem. Był to okres mocnego zżymania się ideologów pozytywizmu na przedmioty w rodzaju łaciny i greki, jako na balast niepotrzebny w średnim zakładzie naukowym. Dla ludzi nauki, którzy muszą znać te języki — mówiono — starczy wykładów w uniwersytetach i samodzielnej pracy w domu. Jedyny wpływ, jaki wywarł Wieczór-Szczerbowicz, polegał na tym, że parodiowano jego wykłady, jego gesty zwolna przechodziły podczas przerw między godzinami w ruchy kankana pod wtór śpiewu:

Młodzież się klasycyzmu zrzekła,
Poszedł w kąt helleński tan,
Lecz kankana rodem z piekła
Tańczy wszelki stan...

Offenbach operetką swoją przeciwstawił się nauczycielowi płockiemu. A jednak dzisiaj, gdy odgrzebuję w pamięci swojej opowiadania kolegów o Szczerbowiczu, nie mogę się otrząsnąć z wrażenia, że wykłady jego — w innym otoczeniu i pozbawione gestów, min, jakimi uzupełniał je i psuł ten człowiek będący bądź co bądź karykaturą w każdym szczególe swojego zachowania i ubioru — powinny były oddziałać silnie na słuchaczy. Z ust kolegów dowiedziałem się, że zadane na pamięć kawałki Odysei lub Eneidy odczytuje im według trybu starożytnego, tj. skanduje. Przy skandowaniu cały promienieje entuzjazmem i muszę przyznać, że deklamacje jego odtwarzane

przez kolegów nadawały zupełnie inny urok starym utworom, z których wydłubywaliśmy liczby, rodzaje, przypadki, osoby, czasy i tryby. Było w tych deklamacjach coś żywego. Treść, opisy i technika każdego wiersza służyły jako odskocznia nauczycielowi, który roztaczał przed ziewającymi uczniakami obrazy dawnej kultury i w ogóle dawnego trybu życia. Ale wszelką możliwość oddziaływania niszczył Szczerbowicz swoimi dziwactwami. Uczniowie nie brali go poważnie i cały sposób jego wykładania uchodził za dziwactwo — niezrównoważonym nauczycielem był bowiem Szczerbowicz. Niewątpliwie musiał tracić cierpliwość, gdy przerywając natchnione swoje skandowanie spostrzegał naokoło siebie twarze znudzone lub ironicznie się uśmiechające. Mścił się. A był bardzo mściwy. Naturalnie, tym też nie pociągał ku sobie słuchaczy. A przy tym mścił się często nie za rzeczywiste sprzeciwy, ale za urojone przez siebie. Doznaną urazę pamiętał po paru latach. Stefan Demby w VII klasie odezwał się z lekceważeniem o Szczerbowiczu, który to słyszał. Pamiętał przez pozostałe miesiące VII klasy i całą ósmą. A gdy przyszło do ćwiczeń i egzaminów maturalnych, postawił mu ze swoich przedmiotów stopień niedostateczny. Rada pedagogiczna czuła niesprawiedliwość tego stopnia, usiłowała przekonać mściwego nauczyciela, ale żadne argumenty nie działały. Demby pozostał na rok drugi. A kiedy po wielu, wielu latach pozyskał imię jako bibliofil i zbieracz materiałów biograficznych i bibliograficznych, Szczerbowicz zjawił się u niego w mieszkaniu. Powziął wiadomość, że Demby ma pisać o nim drobną notatkę w którejś encyklopedii. Przyszedł prosić o dobrą wzmiankę. Niemal błagał jak dzieciak. A bodaj zawsze był dużym dzieciakiem, łaknącym uśmiechu dla siebie od tych, do których przemawiał. Zamiast uśmiechu spotykał wyraz ironii lub tępoty umysłowej.

II

ŻYCIE KOLEŻEŃSKIE

My malcy byliśmy pozostawieni całkowicie samym sobie. Nie było żadnych organizacji harcerskich lub jakichkolwiek innych. Nikt nie rozciągał nad nami opieki prócz gospodarzy klasowych, którzy odwiedzali stancje i węszyli, czy nie odkryją tam polskich książek. W ogóle nie było żadnej ręki, która by ku nam się wyciągnęła. Włóczyliśmy się więc w niższych klasach samopas nad Wisłą, kąpaliśmy się w łazienkach, jeszcze chętniej za miastem pod otwartym niebem, tam gdzie rosły w wodzie tataraki. Czekaliśmy na przyjazd statków lub przyglądali się spuszczaniu ze spichlerzy zboża do berlinek: szła z desek rura drewniana, w przecięciu kwadratowa, zboże zsuwające się łapano na dole w worki i odnoszono na berlinki. Uwijaliśmy się po górach zarośniętych gęsto berberysem i polowaliśmy na bąki, którym wyrywaliśmy pęcherzyk z miodem i spożywaliśmy go; inni zabawiali się gołębiarstwem i wybieraniem piskląt z gniazd.

Udawaliśmy się do „parowu“ po glinkę tamtejszą, która szła warstwami na oberwisku płaskowyżu i dawała się krajać nożem jak twarde masło. Odwiedzaliśmy ogrody owocowe, a więc ogród Kwasiborskich, Blomberga, Słupeckich, Zaleskich. Niekiedy docieraliśmy do Mulsona — tak nazywał się właściciel posiadłości zamiejskiej, zaopatrzonej w huśtawkę i wydającej gościom mleko zarówno słodkie jak kwaśne. Rzadziej wędrowaliśmy do Radziwia lub Niegłosów, bardzo rzadko do Jeziora Łąckiego. Włóczyć się po mieście, jak to robili uczniowie wyższych klas, nie mieliśmy najmniejszej ochoty. Duże podwórza przy domach, liczne mniejsze ogrody prywatne dawały nam dosyć przytułku dla gier i zabaw. Zwłaszcza gry w piłkę były ulubionym sposobem spędzania czasu. Graliśmy w „zbijanego“, a dwóch już wystarczyło: jeden stał przy płocie lub przy murze, drugi rzucał weń piłką — jeśli nie trafił, szedł pod mur. Naturalnie, w „zbijanego“ mogła się bawić większa gromada malców podzielona na dwie partie, każda ze swoim własnym „ojcem“. Inną odmianą

zbijanego była „extra", kiedy ktoś znajdował się pośrodku, a inni tworzyli koło. „Ojciec" rzucał piłkę tym, którzy byli na obwodzie koła, i gdy powiedział „trzy", ten, który piłkę dostał, mierzył w stojącego pośrodku, a jeśli nie trafił, zajmował jego miejsce. Niekiedy „ojciec" zwodził: rzekłszy „trzy", dodawał później „maj" — trzymaj piłkę, którą ci rzucam. Koledzy nie grający przyglądali się, niekiedy przygadując: skuś, babo, licho! Ale ulubioną grą był palant. Jedna partia stała na stanowisku, podbijając piłkę palantem, druga usiłowała chwytać ją w powietrzu lub trafić w członków pierwszej, którzy po odbiciu piłki musieli przebiec przestrzeń od mety do mety i wrócić z powrotem od razu lub partiami, uważając, ażeby piłka będąca w ręku partii zdobywającej nie trafiła w kogoś z nich. Rozmiary podwórek były zbyt szczupłe na palanta. Wybierano nań aleje, a przede wszystkim olbrzymi plac Płoński, na którym kiedyś rozstrzelano Padlewskiego. Tutaj też na tym placu skręcaliśmy węża: braliśmy się za ręce, niekiedy w liczbie setki głów, po obu końcach stawali najsilniejsi i skręcali węża w różnych kierunkach, niekiedy tak silnie i obcesowo, że kilku lub kilkunastu kładło się na ziemię. Ale plac Płoński był piaszczysty i wychodziło się bez szwanku z tej zabawy, co najwyżej z jakimś podrzędnym siniakiem lub dziurą w ubraniu. Inną zabawą było wbijanie silnego kołka w góry wybrzeżne nad Wisłą. Do kołka był przywiązany długi sznur i trzymając się go rzucało się teraz z góry po największej spadzistości na złamanie karku. Tych ćwiczeń chętnie próbowano podczas wielkich pauz w gimnazjum, z którego furtka prowadziła na ulicę Piekarską i na góry. Pamiętam, któregoś dnia rozdarłem mundur na całą długość na plecach, od rozporu pomiędzy fałdami tylnymi aż do kołnierza.

W ogóle kręciliśmy się w okolicach podmiejskich lub na podwórzach śródmieścia, graliśmy w piłkę, ale nie uprawialiśmy żadnych bardziej pociągających sportów. Nie mieliśmy nawet o nich żadnych wiadomości. Słyszeliśmy, że ktoś jeździ na łyżwach po Wiśle, zwłaszcza dobrym łyżwiarzem miał być nauczyciel, stary Szulc, który, trzymając paru uczniaków na stancji, prowadził ze sobą swoją gromadkę. Ale wielu z nas łyżew nie widziało na oczy. Gdy późną zimą wylały wody przy ulicy Bielskiej, a potem zamarzły tworząc na kilkadziesiąt metrów długą ślizgawicę, lecz bardzo płytką, co sprawiało, iż rodzice nie wtrącali się do tej zabawy jako dającej rękojmię bezpieczeństwa, zbierały się nas gromady. Niekiedy sznurem jechaliśmy jeden za drugim, w liczbie kilkunastu i więcej, naturalnie

nie mając żadnych łyżew. A jeżeli ktoś miał sprzęt, to pożal się Boże jaki. Z drzewa zrobiona podeszwa, mająca w przecięciu poprzeczny półowal, a wzdłuż najwyższego jej grzbietu ciągnął się gruby drut, mający około 2 mm średnicy. Przypasowywało się to narzędzie do nóg, a jeszcze częściej do jednej nogi, prawej, gdyż drugiej łyżwy nie było. Dopiero gdy znalazłem się na uniwersytecie i ujrzałem stalowe łyżwy przykręcone do obuwia, gdym zaznajomił się z różnymi „holendrami“ i w ogóle z urozmaiconymi sposobami popisu łyżwiarskiego, zrozumiałem, jakie były śmieszne moje ambicje, acz uchodziłem w Płocku za dobrego łyżwiarza, a w rzeczy samej byłem najpospolitszym partaczem. Z całą namiętnością jąłem się tego sportu, przesiadywałem na Dynasach i na innych stawach po pięć, sześć godzin dziennie. W ogóle dwie zimy: jedną na pierwszym, drugą na drugim kursie, zmarnowałem na łyżwach i na grze w szachy w cukierni Paravicciniego za Żelazną Bramą, tuż przy Saskim Ogrodzie, po lewej stronie, gdy wychodziło się z ogrodu. Po paru latach wziąłem rozbrat z łyżwami, szachami bawiłem się dłużej i nawet bodaj w r. 1894 na jakimś konkursie w Warszawie, naturalnie tych drugorzędnych szachistów, otrzymałem nagrodę. Otóż tego sportu łyżwiarskiego, który roztacza przed łyżwiarzem tyle powabu, tyle dostarcza przyjemności i wreszcie tak sprzyja ćwiczeniu ciała, w Płocku nie uprawiano. Może, między innymi, z powodu drożyzny łyżew. Na wydatek kilkurublowy dla malca nie mogła sobie pozwolić większość rodziców.

Kwitła za to gra w stalówki, a właściwie namiętna szulerka. Jak rodzice zbierali się na wista, tak ich pociechy na stalówki. Były dwa sposoby gry: po kolei wszyscy obecni, niekiedy kilkunastu, składali po stalówce do rąk trzymającego bank, ten te stalówki podrzucał do góry. Spadające, jedne kładły się grzbietami do góry, inne zagłębieniem. Rzucający brał wszystkie stalówki grzbietem sterczące, po czym będący na porządku kolejnym itd. przejmował bank. Druga gra była bardziej zindywidualizowana: uderzeniem o kant stołu rzucało się stalówkę na jego powierzchnię, drugi gracz czynił to samo. Jeśli powiodło mu się, iż jego stalówka siadła na poprzednią, brał obie, jeśli nie — przeciwnik jego przywłaszczał je sobie. Grywaliśmy podczas przerw w klasie, na stancjach w każdej chwili, kiedy można się było jąć tej zabawy, w domach prywatnych, jeżeli przyszedł z odwiedzinami jeden lub dwóch kolegów. Każdy z nas chciał mieć jak najwięcej stalówek — był to przedmiot powszechnie pożądany i powszechnie przyjmowany. A z namiętnością szu-

lerki szła jako jej następstwo chęć zgromadzenia skarbu w postaci stalówek. Na ławie szkolnej byli koledzy posiadający po paręset stalówek, a podobno istniał krezus, który liczył swój majątek na parę tysięcy. A stawszy się przedmiotem powszechnie pożądanym, stalówka spełniała zadanie narzędzia obiegu. W klasie istniał przecież zawsze rynek na różne przedmioty, niekiedy tak liche jak etykiety od butelek, lecz niekiedy pełne powabu — jak chrabąszcze, rzadkie w śródmieściu, częste zaś na przedmieściach. Przecież chrabąszcze można było puścić wieczorem do pokoju sióstr i nawet w klasie wywołać całą awanturę podczas wykładu z powodu latających owadów i przeszkodzić nauczycielowi w „wyrwaniu“ nas. Trafiały na rynek różne pisklęta, nawet młode kanarki, obrazki zwierząt, niekiedy owoce, a także można było za stalówki kupić u lichwiarzy szkolnych napisanie ćwiczenia i otrzymać rozwiązanie zadania lub tłumaczenie. Posiadanie stalówek było źródłem wielu korzyści: według nich oceniano wartość posiadanych towarów. Te doświadczenia szkolne w przyszłości miały mi posłużyć jako przykład obrazujący rodowody pieniędzy. Przecież stalówki spełniały wszystkie zadania pieniądza w naszym życiu szkolnym!

W miarę jak podrastaliśmy, rozrywki wieku chłopięcego ustępowały miejsca innym. Z tamtych najdłużej przetrwał palant, choć w klasie może jakiejś szóstej ustąpił miejsca palcatom. Czy fechtunek był bardzo rozpowszechniony, nie umiałbym dzisiaj powiedzieć. W naszej klasie dał do palcatów pobudkę Grendyszyński, do naszego kółka należało i paru z siódmej klasy. Fechtunek odbywał się w zacisznym i zamkniętym dla jakiegokolwiek oka ogrodzie Kampenhauzenów. Gromadka nasza była nieliczna, około siedmiu. Założyciele przywłaszczyli sobie pseudonimy z utworów Dumasa (ojca). Był więc Atos, Portos, Aramis i d'Artagnan. D'Artagnanem był Grendyszyński, Aramisem — Słupecki, cichy milczek i „jezuita“. Jednakże palcaty po miesiącach wiosennych zniknęły. — Zresztą mówiąc o szóstej klasie trudno rozrywki podciągnąć pod ten sam strychulec dla całego ogółu. Pozostawała dawna solidarność klasowa wobec nauczycieli, ale koledzy jęli wyzwalać się spod jednostajnego szablonu rozrywek, który był zasadą w niższych klasach.

Wieczorami, w porze zakazanej, lubiłem spacerować. Powstało niebawem całe grono i najmilszym miejscem naszych wędrówek był cmentarz na ulicy Dobrzyńskiej. Ani żywej duszy na znacznej przestrzeni, na której się rozsiadł! Cisza.

Cmentarz był jak gdyby zbiorem starych pamiątek po czasach od

jakichś lat osiemdziesięciu. Gdy ze szpalt książek znikły nazwiska różnych kapitanów i pułkowników związane z r. 1812, tutaj na cmentarzu dotrwały. Odczytywaliśmy je chętnie przy świetle zapałek lub przyniesionej małej latarki. Między innymi był nagrobek Józefa Pałczyńskiego, byłego kapitana wojsk polskich, który zmarł w r. 1864 w wieku lat siedemdziesięciu trzech. Za moich uczniowskich czasów mówiono, że był farmazonem, i tę samą wiadomość usłyszałem w r. 1934 z ust innego wychowańca ziemi płockiej, młodszego o jakieś lat trzydzieści ode mnie, gdyśmy na zjeździe koleżeńskim poszli odwiedzić groby paru nauczycieli. Tradycja więc długo się utrzymała. Napis na nagrobku, zresztą już w 1934 zupełnie zarośnięty mchem, nie zadawał kłamu temu twierdzeniu. Brzmiał: „Śmierć ma imię Śmierć, które spół jest śmiercią, śmiercią spół w śmierci jest i w niej spółczyni uczynki swoje“ [5].

Naturalnie nie zgłębialiśmy tego, co napis ten miał znaczyć. Gromadka nasza była zanadto trzeźwa na to. W każdym razie nie natchnęło to nas ani poważaniem dla mądrości autora, ani nawet dla masonerii. Sądzę, że podówczas zaczęła się dla mnie niechęć do tego rodzaju organizacji-igraszek [6]. W ciągu całego życia pozostałem jej wierny. Natomiast pomnik z jego sentencją o śmierci był punktem wyjścia dla długich naszych dyskusji cmentarnych. Gdyby nasze spacery odbywały się o dziesięć lat później, niewątpliwie treścią ich byłyby sprawy społeczne. Ale w r. 1878 nie słyszano jeszcze w Płocku o tym zagadnieniu. Żyliśmy pod ożywczym tchnieniem filozofii wychodzącej z założeń nauk przyrodniczych, które wtedy cieszyły się tak bujnym rozkwitem. Interesowała więc nas sprawa życia i śmierci w ogóle i związana z tym inna, wyglądająca bardziej metafizycznie — duszy. A w dalszym ciągu sprawa niezniszczalności materii i energii, nieskończoności świata w czasie i przestrzeni. Zagadnienia te roznamiętniały nas, czasami spieraliśmy się, ale rozmowy nasze raczej były nie tyle dyskusjami, ile krótkimi, lirycznymi wynurzeniami tego lub innego z uczestników.

To lub owo znajdowało żywy oddźwięk u innych i dawało powód do takich samych wynurzeń liryczno-uczuciowych.

Po jednej z takich wycieczek, gdy sam jeden uliczkami-zakątkami przekradałem się do domu, odżyła na ustach moich modlitwa lat dziecinnych. A właściwie nie modlitwa. Noc była piękna, gwiazdy świeciły rzęsiście. Zdjęło mnie głębokie uczucie uwielbienia dla tego ogromu wszechświata, dla jego złożoności i bądź co bądź tajemniczości, i te uczucia swoje ująłem w proste słowa jakiegoś hymnu ku

czci jestestwa przyrody. Zbyteczne mówić, iż wycieczki na cmentarz nie cieszyły się zbytnią popularnością w klasie. Po pierwsze dlatego, że o nich mało wiedziano; zrażeni pierwszym przyjęciem woleliśmy milczeć, a po wtóre, ponieważ ci, którzy nie uczestniczyli, byli zanadto „realni", ażeby zajmować się takimi — gdyby mieli odwagę, rzekliby „głupstwami", lecz mówili „filozofiami". Byli zwykłymi „pozytywistami", sprawa dochodów i uposażenia tkwiła im już silnie w mózgach, my zaś tworzyliśmy ideologię tego ruchu, która zasypała kraj uczonymi i publicystami, ideologię już szukającą innych bogów — w tym właśnie zakresie tworzyłem własną teorię, którą po latach kilkunastu odnalazłem lepiej wyłożoną u Saint-Simona.

Zresztą wyraźnie się już klasa nasza różnicowała: pod szablonem jednostajności szkolnej zarysowywały się odłamy inaczej formułujące swoje pojęcie o obowiązku, o przyjemności i w ogóle o szczęściu. My chadzaliśmy nocną porą pustymi alejami i na cmentarze, część inna za to skrupulatnie po godzin 3—4 dziennie szlifowała bruki w mieście. Rynek Kanoniczny, ulica Warszawska, stamtąd wzdłuż skweru cerkiewnego na Kolegialną, Tumską powracano na Rynek Kanoniczny i znów zapuszczano się na skwer Katedralny — taka była droga, a właściwie wciąż powtarzany deptak codziennych spacerów popołudniowych. Uczestniczyłem w tych przechadzkach od czasu do czasu. Naturalnie, byłyby niezmiernie nudne, gdyby nie istniały specjalne pobudki. Były nimi dorastające panienki mniej więcej w naszym wieku. Zgoła niewinne flirty. Młodzieniec ubrany szykownie — tym trudniła się złota młodzież klas wyższych, wolna od dawania wielkiej liczby korepetycji — upatrzył sobie jakieś dziewczę i teraz spacerował po ulicach z gromadką 2—3 kolegów, tam gdzie spodziewał się ją spotkać lub spotkawszy szedł za nią w przyzwoitej odległości po drugim chodniku. Zwłaszcza pożądane były procesje Bożego Ciała i nabożeństwa majowe u reformatów, pod gołym niebem. Prędzej czy później z takich spotkań wywiązywały się przychylne spojrzenia, uśmiechy, niekiedy wielbiciel ośmielał się na ukłon i poszukiwał zetknięcia się ze swoim ideałem gdzieś na wieczorku tańcującym. Akurat tak się zdarzyło, że wszystkie afekty kolegów szły w kierunku ograniczonej liczby bogdanek, które mieszkały w obrębie ich spacerów lub w pobliżu. Jak rzekłem, były to flirty natury całkowicie niewinnej. Niejednemu nigdy nie wypadło osobiście rozmawiać ze swoim ideałem, choć w takim niewielkim mieście jak Płock obie strony wszystko wiedziały o sobie, a więc

swoje nazwiska, sytuację w domu. W każdym razie była to rozrywka nieszkodliwa, nie tak jak karty, albowiem z owej szulerki stalówkami wywiązała się inna szulerka w wyższych klasach. Miało to miejsce na różnych stancjach, zwłaszcza zaś tych, gdzie mieszkała starsza młodzież i gdzie nie było żadnej opieki nad nią ze strony osoby prowadzącej. Taka między innymi była stancja Kalinowskich na ulicy Więziennej w małym budynku podwórzowym, częściowo ukrytym w ogrodzie, gdzie namiętnie szulerowano. Z gier bardziej myślących cieszył się wzięciem preferans, z hazardowych — stukułka, pochodzenia i nazwy rosyjskiej. I ja spędziłem niejeden wieczór na grze w karty, tylko w innym otoczeniu. Było to kółko 6—7 kolegów z klasy siódmej lub ósmej. Wszystko to była młodzież mieszkająca przy rodzicach, z wyjątkiem jednego Dyskiego, który zresztą był jak gdyby na odwodzie, niezbyt przez wszystkich lubiany, nie tyle zapraszany, ile sam się zapraszający. Zbieraliśmy się nie częściej niż raz na tydzień. My młodzi graliśmy w poważnego wista, a zdarzało się, że w sąsiednim pokoju starsze pokolenie tak samo siedziało przy zielonym stoliku i również uprawiało tę samą grę. Byliśmy dobrze zabezpieczeni u Słupeckich, gdyż w liczbie owych starszego wieku graczy stale znajdował się ksiądz prefekt gimnazjalny. O dziesiątej godzinie siadaliśmy do gorącej kolacji, gdzie indziej przysyłano nam do naszego pokoju herbatę, przekąski, owoce. Po jedenastej wstawaliśmy od zielonego stolika jednocześnie ze starszymi panami i z nimi wędrowaliśmy do domu. Ani słowa! Te wisty wdrażały nas w lojalne usposobienie ducha, zawczasu przyzwyczajały do pantofli domowych, do nieodbiegania myślą poza tory życia, jakie prowadziło starsze pokolenie, złożone z Polaków dygnitarzy rządu gubernialnego, inżynierów, lekarzy, a jak u Sokołowskich — z ziemian. Naturalnie, w tym błogim spokoju, jaki otaczał stół kolacyjny, przy którym siedzieliśmy obok starszych panów, nie brakło aluzji pod adresem naszych „przyjaciół". Ale było to przysłowiowe kiwanie palcem w bucie, że tak powiem, lekkie oddanie czegoś, co się należy Bogu, nie zapominając na chwilę o tym, co się należy cezarowi. Zwolna wyrastaliśmy na „organiczników", i to najlojalniejszego i zarazem najpodlejszego rodzaju. Wypadło mi zostać odszczepieńcem — z niektórymi bliższe stosunki z chwilą pójścia do uniwersytetu się zerwały, jeden znalazł się w liczbie tych studentów, którzy żądali mojego wydalenia z uniwersytetu, jako burzyciela spokoju...

Starsi panowie mieli mi także to i owo do zarzucenia. Ksiądz Ołda-

kowski nie zasypiał gruszek w popiele. Był to okres życia najbardziej odchylający się od przeszłych i przyszłych dróg życia mojego. Nieco czasu spędzałem na już omawianym deptaku — miałem po temu specjalną „pobudkę“ w postaci hożej Reginy Ordonówny, lecz po pół roku miałem dosyć i jej, i spacerów. Bywałem na wieczorkach tańcujących urządzanych przez młodzież szkolną oraz na balach, gdzie my uczniacy byliśmy jako papier, którym zalepia się szyby w braku szkła — do obtańcowywania nie tyle panienek, ile dam. Przez te dwa lata i pierwszy rok w uniwersytecie posiadałem frak, nieodzowny na wieczorkach i balach. W uniwersytecie na drugim roku już mi był niepotrzebny, wypożyczył go Mieczysław Szmidt. Poznałem wtedy jeden z jego zwyczajów — niezwracania pożyczonych rzeczy. Nie miałem o to pretensji — były to czasy, kiedy raczej wyparłbym się, iż mogę paradować we fraku, niż przyznałbym się do niego. I pierwszy rok na uniwersytecie upłynął poza książką — na szachach, łyżwach i bywaniu w towarzystwie. Ale choć mało czytałem, myśl wolna od balastu książkowego pracowała szukając własnych dróg i pracowała właśnie dlatego, iż mało czytałem. Nocami i podczas samotnych przechadzek dorabiałem się własnego poglądu na świat, własnej filozofii, własnego programu społecznego. W klasie VII wydawałem P r a c ę — w jednym egzemplarzu pisaną, sprowadziłem *Filozofię pozytywną* Comte'a i zacząłem tłumaczyć tom pierwszy. A jak Comte przywłaszczył sobie poglądy Saint-Simona, ażeby je sfilistrzyć, tak samo przy pomocy pozytywizmu naszych postępowych organiczników, idealizujących jednakowo pracę przedsiębiorcy i robotnika, odtwarzałem — podczas wczasów, które pozostawały od tańców i łyżew — założenia saintsimonizmu jako ówczesne moje wyznania wiary, a właściwie dorabiałem się do nich nieświadom ich istnienia.

III

NIEWINNE FLIRTY

Niewinne flirty!

Jasno świadczyły, że w młodzieży odezwał się instynkt, który dotychczas milczał albo objawiał się słabo. Te flirty, polegające na rzucaniu wymownych spojrzeń, na ukłonach i rozmowach podczas tańców, były swego rodzaju nadbudową nad instynktami silniej przemawiającymi, lecz nie korzystającymi z flirtów jako sposobu swego zaspokojenia. W każdym razie zmuszają nas do poruszenia innej sprawy, zwykle przemilczanej — życia płciowego wśród dorastającej młodzieży gimnazjalnej.

Okoliczność, że 18—20-letnie dryblasy siedziały w klasie II i III, że niektórzy spośród nich musieli szukać realniejszych sposobów uczynienia zadość swoim żądzom, ile że często byli to zamożni chłopcy, okoliczność ta nasuwa podejrzenie, że przykładem swoim mogli ujemnie oddziaływać na młodszych kolegów. Istotnie, zdarzały się niekiedy skandale w gimnazjum. Np. kiedy matka dziewczyny, która niebawem miała powić dziecko, przyszła do inspektora gimnazjalnego ze skargą, że ojciec nie chce o przyszłym dziecku nic słyszeć. Był to uczeń klasy IV, liczący nie więcej nad lat 15. Ale napięcie tego oddziaływania dryblasów na młodsze pokolenie uczniów kształtowało się bardzo odmiennie, zwłaszcza wobec odosobnienia nawet pomiędzy bliskimi sobie klasami. Pomiędzy uczniem klasy VIII a VI rzadko kiedy istniała jakaś zażyłość, tak samo jak pomiędzy uczniami klasy I i V — uczniowie wyższych klas uważali za ujmę utrzymywanie bliższych stosunków z uczniami klas niższych. I tak zachowywały się „stare konie“ względem młodszych kolegów w tej samej klasie. Zresztą, co się działo w innych klasach, nie mogę mówić, gdyż swego czasu nic a nic o tym nie wiedziałem. Na ogół jednak sądzę, że różnice pod tym względem były nieznaczne, o tym rozstrzygała obecność w tej lub innej klasie paru chłopców przed-

wcześnie rozbudzonych. W każdym razie wśród moich kolegów z tej samej klasy nie pamiętam faktu rozpasania płciowego, ujawniającego się między innymi w tłustych anegdotach. Nie było u nas ani gawędziarzy, ani smakoszów. W żadnym wypadku nie rozkoszowaliśmy się tego rodzaju opowieściami ani w klasach podczas pauz, ani w przyjacielskich spotkaniach poza obrębem gimnazjum. A co najważniejsza, nie było wśród nas przedwcześnie rozwiniętych kolegów o silnym parciu instynktów — a zwłaszcza takich, którzy pragnęli być mistrzami zapóźnionych na tej drodze.

Wiem z obserwacji, jaką nie tylko zakałą, ale jak wielkim wprost szkodnikiem mógł być taki kolega zwłaszcza w niższych klasach. Zdarzyło się w Szkole Handlowej Zgromadzenia Kupców m. st. Warszawy, iż w jednej z najniższych klas znalazł się taki przedwczesny lubieżnik. Przykładem swoim i doświadczeniami świadomie i systematycznie pociągał kolegów i wtajemniczał ich w arkana miłosne, tak iż zwróciło to uwagę władz szkolnych. Smarkacza wypadło wydalić oraz paru z najbliższego jego otoczenia. Dryblasy nasze, zwłaszcza podczas wakacji letnich we dworze, nie odmawiali sobie namacalniejszych umizgów do dziewczyn, ale zachowywali tajemnicę dla siebie. O jednym wiem, iż stojąc na stancji, gdzie była bardzo łasa na chłopców służąca, odciągał zbyt młodych współtowarzyszy od odwiedzania jej i nawet zagroził dziewczynie, iż jeżeli będzie ściągała dzieciaków, zawiadomi o tym właścicielkę stancji. Zresztą większość naszych dryblasów w niższych klasach zbyt zapamiętale zajmowała się gołębiami, skręcaniem węża na placu Płońskim i palantem, aby miała zajmować się wprowadzaniem młodszych kolegów w sztukę *amandi*. Pamiętam jednego z nich, Leona Bieleckiego, którego zastałem w IV klasie i w której go jako drugorocznego, co nie został promowany, opuściłem. Należał do pierwszego grona robotników polskich, którzy otaczali Ludwika Waryńskiego. Podczas pobytu w gimnazjum, a więc na lat cztery, pięć przed jego udziałem w organizacji robotniczej, był to chłop wyższy od każdego z kolegów w klasie, silny, ale niezgrabny; acz niezastąpiony „ojciec“ podczas palantów i skręcania węża, jednak niezdolny uporać się z przekładem najłatwiejszego zdania łacińskiego. O usposobieniu naszej klasy pod tym względem daje pojęcie awantura, która rozegrała się w klasie VI lub VII. Był pomiędzy nami kolega bodaj włościańskiego pochodzenia, liczący wtedy dwadzieścia parę lat, spokojny, pełen taktu, powszechnie lubiany. Otóż pewnego dnia okazało się, że ta cicha woda również umie rwać brzegi. Doszła wiadomość do

Grendyszyńskiego, że widziano go z innym kolegą, niejakim O., wielkim a bardzo wczesnym miłośnikiem kobiet, w domu publicznym. Grendyszyński wywnioskował dorywczo, że O. zaciągnął tam swego towarzysza. Na przerwie pomiędzy wykładami wystąpił publicznie przed klasą z zarzutami, że oto on wprowadził niewinnego młodzieńca o kilka lat od siebie młodszego do podejrzanego lokalu. Nie tylko sam nadużywa uciech tego rodzaju, ale jeszcze innych uczy do nich się przykładać. Zarzuty były wygłoszone z wielką namiętnością. Oskarżyciel żądał od klasy wypowiedzenia się w sprawie takiego zachowania się jednego z kolegów, będącego kusicielem. Klasa przyjęła to przedłożenie spokojnie, jedni podzielali pogląd Grendyszyńskiego, inni byli bardziej tolerancyjni. Rzecz już podczas przerwy się wyjaśniła. Okazało się, że rzekoma ofiara bynajmniej nie była ofiarą. Obaj spotkali się przypadkowo przy wejściu do owego domu i dotrzymali sobie już nadal towarzystwa podczas całego pobytu. Wytoczenie tej sprawy i bardzo poważne zachowanie się całej klasy świadczyły, iż pomiędzy nami nie było typów wyuzdanych. Bądź co bądź, przynajmniej czwarta część klasy, a jeśli odrzucić świeżych przybyszów, może trzecia, zbliżyła się do kobiety dopiero po wyjściu z gimnazjum. Naturalnie byli tacy, którzy wcześnie weszli na tę drogę. Do ich liczby należał pewien blagier, syn lekarza. Padł ofiarą, o ile wolno tak o nim mówić, jednej z wybitniejszych aktorek spośród bawiącej wtedy w Płocku trupy teatralnej. Przyjaciółka pani doktorowej upodobała sobie młodego, czternastoletniego chłopca i oddała mu się (o ile znowu można mówić o oddaniu się tam, gdzie właściwie ona była czynna) pod otwartym niebem podczas przechadzki. Dwaj inni koledzy, po społu mieszkający, znaleźli dziewczynę — tuż przed ostatecznymi egzaminami, a jednak nadużywali uciech miłosnych, tak iż jeden z nich zemdlał w katedrze podczas nabożeństwa szkolnego. Najgorzej na tym wyszła Bronka, takie było imię dziewczyny, która zaznawszy nowych wrażeń „puściła się“ na całego i zaczęła się oddawać każdemu za pieniądze. Ale zwłaszcza zasługuje na uwagę przeszłość tego kolegi, którego Grendyszyński oskarżał o gorszenie innych. W ogóle warto pomówić o całej jego rodzinie. Ojciec, inżynier gubernialny, zajmujący dobrze płatną i dochodową posadę, przystojny, mocny brunet, był pono — przynajmniej podejrzewano go o to — wielkim wielbicielem płci pięknej. Jego żona, brunetka, także dużej urody, dbała niezmiernie o jej pielęgnowanie: fama głosiła, iż żeby zachować subtelną cerę, na noc okładała twarz świeżą cielęciną, a była tak przejęta

sprawami miłosnymi, że rada była, gdy jej synowie, od 11- do 17-letniego, flirtowali na całego. Mieszkali na dole, w kamienicy mojej matki! Obok nich zajmował lokal urzędnik administracyjny o dobrym także uposażeniu, a wśród jego licznej dziatwy było akurat tyle córek i w odpowiednim wieku, że każdy z synów naszej damy, od 11- do 17-letniego, mógł dobrać sobie do swego wieku towarzyszkę. Od godziny jakiej 4 do późnego wieczora wiosną i latem wszystko to stało na ganku prowadzącym na podwórze i flirtowało. Flirtowało w naszej kamienicy i prawdopodobnie nie poprzestawało na flirtach tego rodzaju, lecz starsi szukali zaspokojenia gdzieś dalej i niszczyli młode siły przedwczesnym wysiłkiem. Matka pławiła się w zachwytach nad powodzeniem swoich synów, nad ich kawalerską wytwornością.

Niestety, koniec był mniej pomyślny. Obaj starsi synowie nie zdołali skończyć gimnazjum: najstarszy obciął się przy ostatecznych egzaminach na maturze, średni stał się ofiarą krwawego porachunku, kiedy zdolny bardzo młodzieniec podczas sporu uderzył go w klasie scyzorykiem i głęboko zranił. Nie przebrnął bodaj 5—6 klas i, wyniósłszy się do Warszawy, wśród zastępów złotej młodzieży trwonił młode lata. Najmłodszy, Wiktor, mój kolega i nawet jeden z moich bliższych kolegów szkolnych, wciąż się w kimś kochał, wciąż spacerował po ulicy Warszawskiej, ochładzał swoje bezsilne uniesienia wdziękami służących u siebie w domu lub odwiedzinami w domu publicznym. Pewnego razu, będąc w numerze hotelowym, usłyszał gruchania w sąsiednim pokoju przypominające mu jakiś głos bardzo znajomy: niebawem upewnił się, że wdzięczy się do dziewczyny ksiądz prefekt Ołdakowski. Postanowił poczekać na jego wyjście, wtedy i sam wyszedł, podszedł ku niemu, zapalił zapałkę przed jego twarzą i rzekł: „Mocno przepraszam księdza prefekta, że spotkałem go w takiej niefortunnej chwili...“

Gdy mi opowiadał tę przygodę, śmiał się do rozpuku z miny Ołdakowskiego, z którym co parę tygodni spotykaliśmy się na wiście u Słupeckich. Rzecz ciekawa: nie było w nim żadnej lubieżności słownej, nie lubił opowiadać o dziewczynach i swoich amorach, zarówno platonicznych jak i realniejszych, ani słuchać sprośnych anegdot. Skończył akademię medyczną w Petersburgu, poświęcił się chorobom dziecinnym, ożenił się z panienką ze dworu, u której wspólnie kiedyś bywaliśmy na różnych wieczorkach, dla mnie dość niesympatyczną. Uczynił to dla posagu, tak samo jak i ona wyszła za niego z wyrachowania. Po kilku latach wystąpił lues, którego na-

bawił się w „Pitrze“. Przystojny, niezmiernie gładki, przechodził z rąk do rąk pań rosyjskich spośród wyższych sfer biurokratycznych. Dotknięty paraliżem postępującym zidiociał i całymi dniami przesiadywał na parkanie przed dworem w majątku żony lub na schodach ganku na słońcu. Bracia jego zmarli tak samo wcześnie. Pozostała jedynie matka, sama jedna na świecie. Parę razy spotkałem ją w Warszawie. Żyła stawianiem synom dużego grobowca na Powązkach — z napisem „Śreniawici“. Po swojemu, lecz silnie miłowała synów. W grobowcu zogniskowało się całe jej przywiązanie do wcześnie zmarłych dzieci. Dbała o grobowiec niepomiernie, jego wzniesienie uszczupliło poważnie jej dochody. Żywot jej potoczył się pomiędzy mieszkaniem a cmentarzem. Mogłaby może znaleźć żywszy przedmiot dla swoich uczuć w synku, który pozostał po Wiktorze, ale czy udało się jej dostać wnuka w swoje ręce,— nie wiem, a przynajmniej o tym nie słyszałem. Zresztą, jakiekolwiek było życie jej najmłodszego syna, nie mogę mu zarzucić ani jednego czynu niehonorowego w stosunku do kobiet.

Inni koledzy ze swej strony wypełnili zobowiązania, które powzięli na ławie szkolnej. Grendyszyński obabił się bardzo wcześnie, bo na drugim roku prawa, ze szkodą dla całej swojej przyszłości. Inny poślubił swoją narzeczoną dopiero po skończeniu uniwersytetu i został domowym wołem roboczym, na co go z góry teściowie przeznaczali. Inaczej stało się z owym blagierem uwiedzionym przez aktorkę. W ciągu lat czterech — pięciu flirtował z młodym dziewczęciem, córką inżyniera, miłą i inteligentną panienką, pomimo niechęci jej rodziców; umiał korzystać z każdej ich nieobecności, ażeby odwiedzać ją w ich mieszkaniu, a późnym wieczorem zwabiał ją do ogrodów prywatnych. Powszechnie wiedziano o nich w mieście i mówiono, a stosunku zgoła nie traktowano jako zbyt niewinnego. Powszechnie uważano, że pobiorą się ze sobą w krótkim czasie, i przebaczano. Ale on, gdy wyszedł z gimnazjum i znalazł się na medycynie w Moskwie, zerwał z nią stosunki.

Takie było mniej więcej oblicze naszej klasy w ostatnim roku, gdy chodzi o stosunek do kobiet. Chłopcy byli zdrowi, nie należeli do rzędu rozpustników i poważnie spoglądali na zaciągnięte obowiązki. Był jednak wyjątek od tej zasady. Znalazł się pomiędzy nami w VII, a może w VIII dopiero klasie. Przywędrował gdzieś z Łomży czy Suwałk. Inteligentny, ale swego rodzaju młoda kanalia. Przyniósł nam wiadomość o paru pisarzach rosyjskich, przede wszystkim o Pisarewie, będącym dlań wyrocznią. Lecz nie ten Pisarew, który rzu-

cał zdrowe myśli w społeczeństwo rosyjskie i przeorywał je swoim krytycyzmem, lecz ów jego sobowtór, co poza negacją nic nie widział w stosunku do wszystkiego, co nie godziło się z jego młodzieńczymi zasadami — był bowiem jeszcze młodzieńcem na dobrą sprawę — i miał w osobie Bazarowa[7] jedną tylko radę: *naplewat'!* Otóż nasz kolega zasmakował jedynie w tym pluciu na wszystko i na wszystkich. Sądzę, że Pisarew pierwszy odżegnałby się od takich wielbicieli. Nie nawrócił nas na swoją wiarę. Pisarz rosyjski okazał się dla nas człowiekiem zbyt uproszczonym, skorym do otwierania wszystkich zamków tym samym kluczykiem. W tej negacji nasz kolega znajdował uzasadnienie dla swego stosunku do okupantów rosyjskich: obcy zupełnie bólom i nadziejom społeczeństwa miejscowego, był guwernerem u wysokiego urzędnika akcyzy w Płocku, którego wszyscy uważaliśmy za Rosjanina, choć gdy otrzymał był emeryturę, okazało się, iż jest Polakiem. I, zdaje się, z jego poręki trudnił się sprzedażą biletów w teatrze, gdy do Płocka przybyła trupa rosyjska. Karciarz skończony i tak samo złajdaczony w stosunku do kobiet. Chwalił się swymi powodzeniami. Między innymi przy wiście opowiadał, jak był na kondycji u młodego małżeństwa rosyjskiego, mocno w sobie zakochanego. Mąż musiał wyjechać w sprawach urzędowych na parę tygodni; z powodu rozstania z nim żona tonęła we łzach. Nasz kolega przysiadł się do niej, zaczął ją pocieszać. Ta pochyliła się bezradnie i oparła się na nim. — Przyjdę do Ciebie dzisiaj w nocy — rzekł do niej. Przychodził co noc. Obrazek ten z ówczesnych obyczajów płciowych nie był w owych czasach czymś niezwykłym. Oto inny. Teściowa jednego z lekarzy Rosjan w Tworkach, już nie tylko matka, ale i babka, wyjechała na pewien czas do Rosji. Po powrocie okazało się, że jest w ciąży. „Nieboraczce przytrafiło się nieszczęście" — jak ją córka uniewinniała. W wagonie kolejowym poznała jakiegoś mężczyznę, który z nią jechał kawał drogi i zaproponował w końcu odpoczynek w mieście, gdy noc nadchodziła. Zamieszkali razem w tym samym hotelu, co więcej, w tym samym numerze. I oto przytrafiło się jej, niebodze, nieszczęście...

Nawet nie znała nazwiska ojca swego przyszłego dziecka, które przyszło na świat jednocześnie z jednym z jej wnucząt.

SYLWETKI KOLEGÓW

Rozpocząłem swoje nauki w gimnazjum od klasy drugiej w otoczeniu około setki kolegów. Prawie w tej samej liczbie pozostawaliśmy w klasie III i IV, choć w innym składzie. W VIII było nas dwunastu, a wśród nich tylko siedmiu (a może sześciu), którzy od drugiej klasy szli jednym ciągiem ze sobą. Inni przyłączyli się już w klasach powyżej IV i znowu wśród nich aż trzech dopiero w siódmej i ósmej.

Byłoby rzeczą pouczającą zbadać, jacy z kolegów zostawali odrzuceni całkowicie już w niższych klasach, jacy zatrzymani w tej lub innej klasie, nieco wyższej, i ilu ostatecznie z nich otrzymało dyplom dojrzałości, naturalnie o parę lat później od nas, i to rozpatrzeć według stanu zamożności ich rodziców. Niestety, zbywa mi na materiałach w tym względzie. Wypada mi poprzestać na daniu ogólnego, mało wyczerpującego zarysu. Pomiędzy całkowicie lub częściowo odrzucanymi byli i mało zdolni, którzy pomimo wszelkich starań i pracowitości nie mogli podołać wymaganiom szkolnym, zwłaszcza wśród kolegów pochodzących z dworów. W II, III i IV klasie mieliśmy wąsali, co niebawem znikali z naszych widnokręgów i w ogóle z gimnazjum. A kiedyśmy byli w VII klasie, tamci już gospodarowali, jeździli nawet w konkury — tym nie podobna było odmówić uzdolnień, ale mieli w głowie co innego niż przykładanie się do przedmiotów szkolnych. Tęsknili do swobody, którą mieli u rodziców, do ruchu na świeżym powietrzu, do interesowania się sprawami gospodarstwa. Ofiarą braku zdolności padali odsetkowo daleko obficiej malcy pochodzący z Płocka, spośród zabiedzonych rodzin urzędniczych, a więc synowie różnych kancelistów, przepisywaczy, tj. najniższego szczebla funkcjonariuszów. W tej sferze dużą rolę odgrywało także małe zainteresowanie się sprawami umysłowymi. Rodzina żyła drobnymi, codziennymi zdarzeniami, malcowi mówiło się,

że musi się uczyć, jeżeli chce wyjść na człowieka. Ten, jeżeli był pracowity i sumienny, nie żałował wysiłków, ale przy małych zdolnościach, bez pomocy korepetytora, przepadał. Miałem kolegę, który doszedł do V klasy: tam go zastałem jako ucznia drugorocznego. Rodzina mocno podupadła, ale z rozleglejszymi aspiracjami. Nieborak przysiadywał fałdów nad książką, w niższych klasach ratował go rysunek i kaligrafia — był mistrzem w tych umiejętnościach, ale pomimo starań nie mógł podołać matematyce. I żaden z jego braci, których liczył jeszcze dwóch, pomimo pracowitości nie dobrnął tak wysoko nawet jak on. Matkę znałem — byłem u niej w komplecie — kobieta inteligentna i wykształcona. Widocznie to ojciec przekazał synom brak uzdolnień.

A jeszcze częściej brak było takiemu malcowi chęci do nauki. W tym względzie naśladował dziatwę pochodzącą ze dworów, z tą różnicą, iż inne rzeczy go obchodziły. Oto rodzina, gdzie — w pokoleniu trzecim osobiście mi znanym — spośród blisko dwudziestu członków jeden tylko ukończył gimnazjum. W jednej jej odnodze na przeszkodzie stanął brak uzdolnień, w innych wypadkach zwykle brak podniety wewnętrznej, zwłaszcza gdy chodziło o dziewczęta. Było jeszcze wtedy zasadą, że dziewczyna, jeżeli umie czytać, pisać i nieco rachować, liźnie nieco francuszczyzny i muzyki, to może na tym poprzestać. Przecież mąż nie będzie dopytywał się o takie rzeczy. Ale w jednej z gałęzi tej rodziny obserwowałem inne ciekawe zjawisko. Ojciec, człowiek bardzo sprytny, urzędnik, ale mało zdolny, urodzony przedstawiciel kołtunerii małomiasteczkowej, przekazał synowi duży spryt życiowy i zarazem swój brak uzdolnień, a przynajmniej zainteresowań umysłowych. Z czterech jego synów żaden nie dotarł do IV klasy, choć ojciec często wzywał do pomocy ów dar Ducha świętego, jakim była rózga, a właściwie dyscyplina. Najstarszego z synów jego znałem dobrze, często spóźniał się do klasy. Razu jednego zapytany, dlaczego tak mocno się spóźnił, odrzekł bez żadnej żenady: „Przypatrywałem się gołębiom“. Oj, te gołębie! Wśród wyrostków na krańcach miasta gołębiarstwo przybierało charakter wszechpożerającej namiętności.

Malec był pochłonięty całkowicie sprawami rasowości swych gołębi, umiejętnością zwabiania do gołębnika gołębi z innych podwórzy lub fikania koziołków w powietrzu. Przynajmniej nie znam ani jednego wypadku, żeby któryś z nich zdołał się wyzwolić ze swych namiętności.

Zresztą mniejsza o działające sprężyny, chodzi o sam fakt nie-

zmiernie energicznego doboru, a jednocześnie odboru: spośród 80 do 100 malców, siedzących obok siebie na ławie szkolnej w klasie drugiej, tylko siedmiu, a może nawet sześciu — bo co do jednego żywię pewne wątpliwości, czy nie przyłączył się do nas gdzieś w którejś klasie — doszło do matury w należytym czasie. I rzecz zasługująca na uwagę: oto jeżeli przypuścimy, że ów ktoś, syn ziemianina, szedł z nami od klasy drugiej, naówczas spośród dziatwy pochodzącej z dworów tylko jeden spośród drugorocznych przybyszów znalazłby się w naszym gronie późniejszych maturzystów, drugi zaś, co przyłączył się do nas jako drugoroczny w klasie V lub VI, przeniósł się do innego gimnazjum.

Warto przyjrzeć się pochodzeniu maturzystów. Spośród tych dwunastu trzech było przybyszów, którzy wstąpili do gimnazjum płockiego w klasie siódmej lub ósmej: jeden syn aptekarza z Warszawy, jeden — rejenta także ze stolicy i jeden — jakiegoś niskiego urzędniczyny gdzieś na prowincji północno-wschodniej Królestwa.

Spośród pozostałych dziewięciu przypadało na pochodzących spośród ziemiaństwa trzech, na dzieci urzędników również trzech (w tej liczbie dwóch, których rodzice piastowali wyższe stanowiska w rządzie gubernialnym), jeden syn lekarza, jeden właściciela nieruchomości i jeden syn włościanina czy drobnego procederzysty wioskowego; prócz tego ostatniego — wszyscy urodzeni płocczanie. W każdym razie uczniowie należący do rodzin usadowionych w Płocku wyszli zwycięsko w stosunku do ziemian i pochodzących z małych miasteczek — ci zupełnie przepadli.

I nastręcza się drugie pytanie — uzdolnienia maturzystów.

Na ogół poziom pod tym względem był dość wysoki, przeciętnie powyżej średniego. Było paru bardzo zdolnych. Przede wszystkim w ich liczbie wybitny matematyk i konstruktor-technik, Aleksander Dębski, który zresztą zamienił swoją matematykę i technikę na działalność socjalistyczną już na ławie uniwersyteckiej i kontynuował ją do samej śmierci jako senator Rzeczypospolitej Polskiej. Bardzo zdolny był Grendyszyński. Mówca pełen zapału, poeta, wydawca tajnego klasowego pisma Jutrzenka, rokował, iż zdobędzie w przyszłości imię w literaturze. Ale coś szwankowało w jego charakterze: leniuch w najwyższym stopniu, działający wybuchowo, a pomiędzy jednym a drugim wybuchem bezczynny. Pewien czas wydawał pismo naukowe Niwę, później utonął całkowicie w ugodowym Kraju petersburskim E. Piltza, a nareszcie w Warszawie w okresie okupacji uprawiał ugodę z Austrią i był jednym z fi-

larów ugrupowania znanego pod nazwą L. P. P., tj. Ligi Państwowości Polskiej. Ligę tę znano zazwyczaj pod nazwą: leć po posady, gdyż takie dążności przyświecały większości jej członków, a sam Grendyszyński nie zadał temu powiedzeniu kłamu. Pewnego razu wpadł do mnie z oświadczeniem, że jest pierwszym emerytem polskim. Poprzednio w ciągu kilku miesięcy piastował urząd, który odpowiadał utworzonemu później stanowisku kierownika biura Rady Ministrów. Niewątpliwie dał się tam niebawem poznać ze swojej niesystematyczności i niepunktualności. A ponieważ ówcześni przedstawiciele rządu byli bardzo dobrymi ludźmi, nie chcąc mu przeto robić przykrości rozstali się z nim proponując mu emeryturę. Cieszył się nią zaledwie kilka tygodni — atak sercowy obezwładnił go w dorożce. Przeniesiony do najbliższej apteki, skonał.

I Edmund Płoski, zdawało się, ma przed sobą rozleglejszą przyszłość, ale jako członek „Proletariatu“ został na lat kilkanaście zesłany na Sachalin, podczas okresu rewolucyjnego 1905—1908 udało mu się wyjechać do Małopolski, tam pracował w Limanowej w samorządzie, w niepodległej Polsce piastował stanowiska w sądownictwie, a na starość otrzymał rejenturę w Makowie. Poza współpracownictwem w organie „Proletariatu“ i artykułem w A t e n e u m nie zdążył łyknąć narkotyku pisarskiego. Wybitny prawnik, na starość nie rzucił jedynego upodobania, które wyniósł był z gimnazjum — gromadzenia książek.

Niewątpliwie do rzędu bardzo zdolnych należał przybysz do ósmej klasy, niejaki Dyski (Tyski?), lecz już w gimnazjum zapowiadał, że zejdzie na lichotę-karciarza, lowelasa itd. Zaliczyłbym go do Lombrosowskiej kategorii obłąkańców zmysłu moralnego — *moral fou*. O uzdolnieniach pozostałych kolegów trudno mi wyrokować coś stanowczego: nie mieli możności, a właściwie chęci zainteresowania się czymkolwiek, trwoniąc dzień za dniem na drobne sprawy i zachcianki. A bez takiej wewnętrznej pobudki zdolności nie mogły się ujawnić.

Ciekawą postacią był dla mnie Jan Gołębiowski. Syn bodaj włościanina, dostał się do gimnazjum przekroczywszy już mocno normę przeciętną wieku; tutaj własnym wysiłkiem owładnął dobrze językiem niemieckim i łaciną, tak iż w obu zdołał się porozumiewać.

Słaby matematyk, był tęgim lingwistą. Wydział filologiczny byłby dla niego odpowiednim miejscem studiów. Przeszkodziła temu niewiasta. Bardzo wcześnie dostał się na kondycję do właściciela jednej z aptek w Płocku. Państwo aptekarzostwo widząc, że jedna z córek

i Gołębiowski mają się ku sobie, zgodzili się na ich narzeczeństwo, ale zarówno rodzice jak i panna żądali, żeby wstąpił na medycynę. I Gołębiowski latał na wykłady, kuł anatomię i na odpoczynek wieczorami wydobywał z kuferka swojego Cycerona, Salustiusza lub Ksenofonta. Po pracy dziennej odpoczywał rozkoszując się tymi autorami. Po odsiedzeniu Cytadeli w związku ze sprawą „Proletariatu", w kilka miesięcy osiadł jako lekarz w Płocku. Niewątpliwie nie był genialnym lekarzem, lecz był dobrym, uczciwym doradcą chorych. Stał się lekarzem ubogich, poprzestając na groszowych honorariach. A jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, że żywot jego potoczyłby się zgoła inaczej, wśród większego zadowolenia, gdyby miał siłę oprzeć się nagabywaniom narzeczonej i nie porzucał swoich umiłowanych przedmiotów.

A wśród tej gromadki mniej lub więcej uzdolnionej młodzieży było zaledwie dwóch czy trzech, którzy odbijali od poziomu szkolnego niższym poziomem uzdolnień. Jeden z nich miał nam sprawić niespodziankę. Syn lekarza, nie sądzę aby nazbyt dobrego, ale za to skończonego blagiera. Powiadano o nim, iż tupet przejął był od doktora Tripplina, znanego w swoim czasie autora utworów przepojonych blagą. Miał przy jego boku kształcić się czy praktykować. O niespodziance, którą sprawił nam jego syn, pomówię niebawem. Naturalnie, mówiąc o uzdolnieniach, opieram się nie na stopniach. Przecież Kurowski i Słupecki w ciągu wielu lat otrzymywali nagrody za pilność, tymczasem obaj, a zwłaszcza pierwszy z nich, byli poniżej przeciętności. Za jedyny wyjątek uchodzić mógł dobry stopień z matematyki, którego nie podobna osiągnąć bez odpowiednich uzdolnień. W ogóle przykładano się do nauki o tyle, o ile była to rzecz potrzebna dla otrzymania dostatecznego stopnia oraz promocji z klasy do klasy. To, co na dzień dzisiejszy wykuto, o tym jutro jako o niepotrzebnym zapominano. Głowa wolna była od balastu. Było tylko parę rzeczy, które na poczekaniu zawsze trzeba było umieć. Nauczyciel Argiejew żądał znajomości wszystkich kanałów w Rosji i jarmarków oraz umiejętności wskazania najkrótszej drogi z jednego do drugiego, a także nazwisk wszystkich panujących rosyjskich dawnych i nowoczesnych, książąt i carów i dat ich panowania. Elmanowicz wymagał jeszcze wygłoszenia określonych ustępów z ważniejszych poetów rosyjskich. Księdzu prefektowi trzeba było w każdej chwili powiedzieć formułkę podającą wszystkie sobory powszechne. Nojter-Masłowski prześladował nas poezją, która wiązała przyimki ze sobą, a więc, *ante, apud, ad, adversum,* i czasowni-

kami nieprawidłowymi. Zdaje się, wymieniłem wszystkie nasze utrapienia. Ale te rzeczy, gdy się ich nauczyło i pamiętało przez parę lat, przestawały dokuczać. Natomiast zmorą dla klasy były języki nowożytne. Znajomość ich była mało rozpowszechniona: jedynie Słupecki przyniósł z domu od bony znajomość języka niemieckiego. Oraczewski i Grendyszyński pobierali prywatne lekcje francuskiego i mogli się jako tako porozumieć w tym języku. Gołębiowski znajomość niemieckiego zawdzięczał samemu sobie. Ja mogłem czytać dość swobodnie po niemiecku i po francusku. Języki obce nie lazły do głowy uczniakom. I spostrzegłem ten sam do nich stosunek lat 30—40 później. Był to przedmiot najbardziej lekceważony przez młodzież. W każdym razie znajomość przedmiotów szkolnych w naszej klasie nie była nadzwyczajna. Gdyby wypadło nam zdawać maturę jako eksternom, nie wiem, czy połowa podołałaby temu zadaniu, acz wszyscy mieli stopnie nienajgorsze. Rzecz to zrozumiała: mniej więcej dobrze mogliśmy połapać się, jakie widoki ma każdy z nas, aby być w danym dniu „wyrwanym", znaliśmy słabe strony naszych nauczycieli i umieliśmy je przewybornie wyzyskać, a podczas ćwiczeń przy końcu roku, nawet w klasie ósmej, pomimo że nas dwunastu rozsadzono daleko od siebie w olbrzymiej sali, dwóch zaś nauczycieli chodziło po niej i miało na nas oko, przecież kartki krążyły. Ten lub ów spośród nauczycieli podchodził do piszących, przeglądał, co napisano, i po cichu zwracał uwagę na słabe strony. Jednak nie obyło się bez skandalu podczas ćwiczeń wstępnych do matury. Sprawcą był ów syn lekarza.

Ojciec był skończonym blagierem, syn odeń nie odbiegł. Był mistrzem w umiejętności zwracania na siebie uwagi nauczycieli.

W ciągu lat ośmiu uchodził za jednego z pilniejszych uczniów i w niższych klasach przechodził z klasy do klasy objuczony nagrodami. My, koledzy, byliśmy nieco innego zdania, przynajmniej w klasach wyższych. W niższych, gdzie główną rolę odgrywało wykucie pamięciowe, gdzie nie było ćwiczeń na tematy nieznane, pisane w klasie, pan Henryk, który siedział w pierwszej ławce i podczas wykładu miał zawsze przed sobą podręcznik danego przedmiotu, był gotów w każdym czasie do poprawienia nieprzygotowanego kolegi, gdy nauczyciel zapytywał się klasy, jak brzmi czyjeś nazwisko lub przypadek od jakiegoś rzeczownika łacińskiego czy też forma nieprawidłowa czasownika. Główka jego z gęstą, czarną czupryną, z lekka kędzierzawą, podnosiła się często ponad ławkę i popisywała się przy takich okazjach swoją wiedzą. Wobec tego rzadko wywoływano go

do katedry. Zmieniło się to, gdy nastały ćwiczenia w czwartej klasie. Po raz pierwszy nie otrzymał nagrody. Zdaje się, w klasie piątej wypadło mi z nim po społu przygotowywać się do ćwiczeń, naturalnie o ile mogliśmy wyczuć tematy tych wypracowań. Zresztą, wyczucie nasze okazało się zupełnie mylne. Byłem zdziwiony jego niezdolnością do głębszego potraktowania przedmiotu, chociaż jego znajomość rzeczy wykutych nie zaimponowała mi również. Często wypadło mi być jego doradcą w różnych przedmiotach. Na przerwie przed wykładem trzeba było wyjaśnić budowę zdania u pisarzy łacińskich i greckich lub coś z matematyki i fizyki: powtarzał moje wyjaśnienia, nawet z geometrii, jak papuga, w tej liczbie i litery stawiane po bokach lub kątach — bez odwołania się do rysunku i zmiany symboli. Zresztą nie tylko ja jeden byłem takim mentorem w stosunku do niego. Chwytał tyle, ile trzeba było na jaką taką odpowiedź podczas wykładu. Po czym rzecz szła w zapomnienie. Nie rozstawał się z pierwszą ławką, może nie tak często, ale w każdym razie pielęgnował dawne zwyczaje, więc popisywał się przed nauczycielem, gdy inny odpowiadał i zaplątał się, lub głośno podpowiadał, tak żeby nauczyciel słyszał, ale z taką miną, jak gdyby podniecony mówił samorzutnie. W ósmej klasie od początku roku był zaniepokojony. Tematy ćwiczeń nadchodziły z kuratorium z Warszawy w ostatniej chwili i były przez dyrektora rozpieczętowywane w naszej obecności dopiero w sali, gdzie mieliśmy pisać ćwiczenia z danego przedmiotu. Żadne znajomości bezpośrednie lub pośrednie rodziców z ciałem nauczycielskim nie były w stanie nic wskórać. Wczesną wiosną, gdy lody puściły na Wiśle i statki zaczęły kursować między Warszawą a Płockiem, zaproponował, żebyśmy się złożyli na potrzebny fundusz, a on z pieniędzmi tymi uda się do Warszawy, tam z ich pomocą wykradnie, a właściwie kupi od służby kancelaryjnej tematy. Niceśmy nie mieli przeciwko temu projektowi. Henryk wyjechał, z Warszawy przysłał telegram, że wszystko jest na dobrej drodze, lecz trzeba nieco więcej pieniędzy. Czyśmy wysłali coś więcej, doprawdy nie pamiętam. Wreszcie wrócił, z patosem opowiadał, jak na statku zapoznał się z młodym księciem Sapiehą i oczarował go swoją umiejętnością prowadzenia rozmowy i stosowania gestów, a jeszcze więcej o tym, jakie trudności musiał przezwyciężyć, żeby znaleźć pośrednika przy wykradzeniu ćwiczeń. Ale tematy będą przysłane dopiero w ostatniej chwili. Niektórzy wierzyli, inni z powątpiewaniem wzruszali ramionami. A tymczasem egzaminy piśmienne zbliżały się. Im były bliższe, tym Henryk był coraz bardziej zaniepokojony lub

udawał, że nim jest. Obiecywał z dnia na dzień, że może jutro otrzyma wiadomość z Warszawy, proponował przygotować się do ćwiczenia rosyjskiego z paru określonych tematów, z matematyki zaś wypadną zadania prawdopodobnie na takie oto tematy. Rozpoczęły się ćwiczenia i nic nie otrzymaliśmy z przyrzeczonych tematów. Po ukończeniu ćwiczeń przed zebraną klasą ogłaszano nazwiska uczniów nie dopuszczonych do ustnego egzaminu. W takim położeniu znalazł się jeden kolega: właśnie nasz podróżnik do Warszawy. Bodaj że wiedział o swoim niepowodzeniu. Rodzice mieli duże stosunki, dom ich między innymi był miejscem często odwiedzanym przez kler płocki, przez najwyższych dostojników, jak biskup. W liczbie znajomych niewątpliwie był i ksiądz prefekt. Rodzice mogli być zawiadomieni wcześniej o katastrofie, zaś Henryk przygotowany na odparcie ciosu. Gdy tylko dyrektor w obecności inspektora odczytał jego nazwisko, padł na ziemię omdlały, a gdy ocucono go, chciał wyskakiwać oknem. Nasza klasa była na pierwszym piętrze, na wysokości 5—6 metrów. Dyrektor Fedyński, bardzo dobry i uczynny człowiek, traci sam głowę, perswaduje mu, krząta się koło niego jak niańka koło dziecka. Inspektor zbaraniał, a nasz bohater wśród krzyków rozpaczy wołał: „Ja tego nie przeżyję, nie daliście mi wyskoczyć oknem, w inny sposób sobie poradzę". Cała rzecz była po mistrzowsku odegrana, choć my koledzy ani chwili nie wierzyliśmy w szczerość komedii. Władze szkolne, uważające go za dobrego ucznia, któremu się nieszczęśliwie powinęła noga wskutek zdenerwowania, wzięły do serca jego „ból". Dyrektor mu przyobiecał, że osobiście wniesie na radzie nauczycielskiej propozycję dopuszczenia go do egzaminów ustnych i postara się o zatwierdzenie tej uchwały przez kuratorium. Dotrzymał słowa. Cała klasa otrzymała matury. Henryk znalazł się w swoim żywiole: był gospodarzem, którego prosiliśmy o urządzenie zbiorowego pożegnalnego obiadu koleżeńskiego w Soczewce pod Płockiem. W tamtą stronę i z powrotem przeszliśmy kilkanaście wiorst piechotą. Pamiętam: była cielęcina pieczona, sałata ze śmietaną i jajkami i jeszcze coś, i jeszcze, a przede wszystkim piwo, tak że wyszliśmy o godzinie czwartej w dobrych humorach. Gwarną naszą gromadkę przechodzącą przez las sąsiedni zatrzymał jakiś przedstawiciel policji dopytując się, co my za jedni i co tu robimy, i dlaczego śpiewamy. Gołębiowski zdobył się na odpowiedź natychmiastową: „Chcemy iść na Turków". Było to w okresie, gdy pamięć o wojnie Rosji przeciwko Turcji celem wyzwolenia Bułgarii była jeszcze w powietrzu.

Droga przed nami w świat była otwarta. Jak rozlatuje się kupa suchych liści, gdy uderzy w nią poryw wiatru, tak samo i my rozproszyliśmy się. Siedzenie obok siebie w ciągu lat wielu na ławie nie stworzyło tak silnej łączności uczuciowej, żeby ta oparła się oddziaływaniom nowego otoczenia. W życiu nigdy już więcej nie widziałem wielu kolegów, z innymi rozstałem się po roku — dwóch. Jedynie paru z nas zjednoczyła wspólna walka z caratem: Dębskiego, Płoskiego, Gołębiowskiego i mnie. Dwóch spośród nas wstąpiło na matematykę, czterech zapisało się na prawo, pięciu na wydział medyczny. Dyski znikł mi z oczu — raz na zawsze, bodaj wstąpił na medycynę. I znowu trzech udało się do Petersburga, jeden do Moskwy, siedmiu pozostało w Warszawie. Większość zmarła nie dosięgnąwszy nawet lat czerdziestu. W roku 1907 tylko pięciu pozostawało przy życiu. Z nich czterej, którzy dożyli w przybliżeniu do lat osiemdziesięciu, przeszli przez Cytadelę lub, jak Dębski, zdołali jej uniknąć szczególnym zrządzeniem losu i w ciągu dziesiątków lat byli na posterunku bojowym, prócz Gołębiowskiego, którego rodzina trzymała w kleszczach. I wszyscy doczekaliśmy się I Zjazdu Płocczan w r. 192..., jak gdyby żywotność fizyczna szła w parze z żywotnością przekonań.

CZYTANIE KSIĄŻEK

Życie nasze w gimnazjum było z konieczności wetkane w szerszą oprawę, jaką był Płock cały. Na razie chodzi mi o nasze życie umysłowe.

Za czasów szkolnych ciążyła nad miastem apatia obezwładniająca i troska o grosze na utrzymanie rodziny. Życie umysłowe biło słabym tętnem. Ale gdym znalazł się w Łomży i porównał tamtejsze ubóstwo umysłowe z tym, do czego byłem przyzwyczajony w Płocku, zmieniłem swoje zdanie. A po zaznajomieniu się z wychowańcami innych gimnazjów doszedłem do przekonania, iż z miast gubernialnych jedynie Lublin górował w tym względzie nad moim miastem rodzinnym. Kalisz zaś, a może Radom, były na tym samym poziomie, inne stały poniżej, zwłaszcza Suwałki, Siedlce, Kielce.

Naturalnie za mojej młodości Płock nie posiadał żadnej biblioteki publicznej. Owymi czasy było to niepodobieństwem. Władze rosyjskie stały dość ostro na straży, aby takie placówki nie powstawały. Płock zresztą pod tym względem miał ongi lepsze chwile niż za czasów mojej młodości. Istniało tam niegdyś Towarzystwo Naukowe. Skończyło swój żywot wraz z przegraną r. 1831. Wykładał tutaj Majorkiewicz [8], niewątpliwie umysł wybitny. Przed r. 1848 Lamennais miał licznych zwolenników. Ci przy spotkaniu poznawali się za pomocą umówionych zwrotów i gestów. Jeden z nich, Lemański, wychodźca do Poznańskiego, pod przybranym nazwiskiem Stanisława Kozłowskiego po r. 1863 zamieszkał w Kongresówce i zajął stanowisko kasjera w cukrowni pod Ciechanowem. Namawiałem jego córki, ażeby zapisywały opowieści starca. Mówiłem o tym z jedną z przywódczyń ruchu kobiecego przed Wielką Wojną a siostrzenicą Lemańskiego, Józefą Bojanowską. Zdawało się, iż wszystkie te osoby przyjmowały moje namowy z całkowitym poczuciem ich wartości. Nic jednak z tego nie wyszło.

Bibliotekę zastępowały wypożyczalnie książek, istniejące przy dwóch z trzech ówczesnych księgarń — u Stablewskiego i Bukiego. U Stablewskiego, podobno brata biskupa tego nazwiska, dobór książek był poważniejszy. Czuć było tam wciąż rękę człowieka z r. 1863, co za pomocą książki pragnął oddziaływać na młodzież. Chciał, ale nie umiał, tym bardziej iż o jego przeszłości nie wiedziano czy całkowicie zapomniano. Ja sam dowiedziałem się o tym już po opuszczeniu Płocka. Miał wprawdzie dobry dobór książek, ale staroświecki, nie odpowiadający zapotrzebowaniu istniejącemu wśród sztubaków. Nas, młodzież gimnazjalną, pociągała księgarnia Bukiego, obficie zaopatrzona w dział powieściowy nie tylko w języku polskim, ale i francuskim. Znajdował się w niej nieomal cały Dumas-ojciec, Eugeniusz Sue, Balzac, George Sand i między innymi praojciec dzisiejszej literatury detektywnej, Gaboriau — prócz innych, których nie pamiętam. Dumas był rozchwytywany, przede wszystkim jego seria *Muszkieterów*. Nazwisko Gaboriau pamiętam, gdyż jego powieść historyczną *„Degringolade"*, poświęconą dziejom zamachu Napoleona III, czytałem z wielkim zainteresowaniem. Odczytywaniem tych powieści, pochłanianych przeze mnie dość żarłocznie, nie tylko pogłębiałem znajomość języka francuskiego, ale poznawałem także historię Francji. Dużym popytem cieszyły się powieści historyczne Kraszewskiego, podówczas najpoczytniejszego spośród polskich powieściopisarzy. Już nie z czytelni, ale drogą kupna zeszytami krążyły sensacyjne utwory mocno erotyczne niejakiego Borna, o ile nie przekształciłem jego nazwiska, pod tytułami zaostrzającymi ciekawość, jak np. *Tajemnice dworu madryckiego*. Tytułów innych nie pamiętam. Rozchwytywano też sensacyjną powieść, do której dostarczył wątku skandal krakowski: za przewinienie, bodaj natury miłosnej, trzymano niejaką Barbarę Ubryk, zakonnicę, w ciemnicy, w brudzie i o głodzie, w którymś z klasztorów krakowskich lat kilkanaście.

Ale na pierwszym miejscu my uczniacy mieliśmy w gimnazjum biliotekę wcale dobrze zaopatrzoną w książki i starannie powiększaną. Naturalnie byli tam nie tylko pierwszorzędni, ale i drugorzędni pisarze rosyjscy. Jednak nie wszyscy. Gdy młodzież rosyjska pochłaniała Bielińskiego[9] i Dobrolubowa, zaczytywała się w Uspieńskim i Złatowratskim, ja o ich istnieniu dowiedziałem się dopiero na III kursie uniwersytetu. Tym bardziej nie było Pisarewa, jednego z bożyszcz młodzieży rosyjskiej. Furtka szkolna była otwarta dla pisarzy najwyżej o marce liberalnej, takiej, jaką wy-

różniał się Turgeniew. Należy oddać sprawiedliwość kierownikom biblioteki gimnazjalnej: nie było tam książek, które by w czytelniku polskim budziły uczucia nieprzyjemne. Elmanowicz był rusyfikatorem świadomym, lecz widocznie nie uważał, ażeby urąganie uczuciom polskim sprzyjało ruszczeniu dziatwy szkolnej. Biblioteka zawierała całą moc opisów podróżniczych — zwykle przekładów. W ogóle piśmiennictwo rosyjskie wyróżniało się już wtedy obfitością tłumaczeń z obcych języków. Kto z chłopców nie znał języków, z konieczności musiał sięgać po książkę rosyjską — przekłady polskie były rzadkie i przypadkowe. A tymczasem w gimnazjum było ich zatrzęsienie. Dla młodszych uczniaków znajdowały się wszystkie utwory Vernego i Mayne-Reida (mówię wszystkie, bo cokolwiek wyszło za granicą, natychmiast było przekładane) — wciąż przechodzące z ręki do ręki, a z nazwiskiem Verne[10] wiąże się sensacyjna walka, do której pobudkę dały wyższe klasy naszego gimnazjum. W organie płockim, noszącym wtedy bodaj nazwę K o r e s p o n d e n t a P ł o c k i e g o, ukazał się był sensacyjny artykuł, że Verne z pochodzenia jest płocczaninem: jego prawdziwe nazwisko brzmieć miało: Olszewicz. Źródłem tej wiadomości mieli być jacyś jego kuzyni przebywający w Płocku. Zdaje się, nastąpiły jakieś sprostowania, jeśli się nie mylę, w prasie warszawskiej, nawet sam Verne pono protestował we Francji. Jak tłumaczono wszystko, co Verne lub Mayne-Reid napisali, tak samo istniały w języku rosyjskim, a więc i w bibliotece szkolnej zbiorowe wydania prac pisarzy zachodnich, nie tylko poetów i powieściopisarzy, ale i historyków. Był przekład Miltona, całego Byrona i Szekspira, Wiktora Hugo, Dantego, Goethego i Schillera, Börnego i Heinego, a z historycznych kompletne wydanie przyczynków historycznych Macaulaya i Szafarzyka[11]. Jakeśmy zaznaczyli, biblioteką zarządzał Elmanowicz, człowiek z niezmiernym taktem, zręczny, ale wielki rusyfikator. Biblioteka w jego ręku była właśnie narzędziem rusyfikacji, dbał o dobór dobrych i zachęcających do czytelnictwa książek. Rozumiał dobrze, że do czytania książki rosyjskiej zdoła młodzież skłonić jedynie wtedy, gdy narzędzie jego polityki rusyfikacyjnej będzie zaciekawiało i pociągało. Niech chłopiec wdraża się do dobrego przyswojenia sobie języka rosyjskiego aż do posługiwania się nim, gdy chodzi o rzeczy nie należące do potocznej mowy ludności miejscowej.

W języku polskim tych Verne'ów i Mayne-Reidów wtedy prawie nie było. A tymczasem biblioteka gimnazjalna roiła się od prac tych autorów oraz Fenimora Coopera, od różnych podróży i innych chci-

wie pochłanianych sensacji. Ponieważ chodziło o ściągnięcie czytelników, było każdego utworu po kilka egzemplarzy: ile chcesz, tyle bierz — naturalnie z pewnymi ograniczeniami, bierz i oddawaj chociażby przy następnym terminie wydawania książek, i znowu bierz. Rączęta dzieciaków wyciągały się tak chciwie do niektórych książek, iż, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, tworzył się do nich kompletny ogonek. Dla starszych były w przekładzie rosyjskim komplety arcydzieł literatury wszechświatowej. Sarkało się na przywileje języka rosyjskiego, geografii, historii rosyjskiej w szkole, ale wyciągano rękę po ciekawą książkę w tym języku rosyjskim. Wyciągali nawet ci, którzy nie lubili czytać, ale chodziło im o to, ażeby Elmanowicz widywał ich biorących książki. Przymusu nie było, Elmanowicz wiedział dobrze, iż weźmie dzieciaków dobrymi książkami, schwytał ich na Vernego i na Mayne-Reida. I wierząc w dodatni skutek swego postępowania był na wiele rzeczy wyrozumiały: zdarzyło się, iż głośno rozmawiałem po polsku w czytelni, a tymczasem okazało się, że Elmanowicz stał za mną. Gdym się obrócił i spostrzegł go, z dobrotliwą miną rzekł do mnie, iż tej książki, o której rozmawiałem z kolegą, nie ma, ale że dla mnie specjalnie odłożył ciekawą a nie znaną mi podróż do Afryki. Znał moje słabostki! (w tych czasach Maziukiewicz w Warszawie chwytał malców za ramię i z powodu rozmowy w języku polskim mówił: „Bo ty, smarkaczu, chrząkasz jak świniak“, a gdzie indziej znów za to samo pakowano do kozy).

Takie były źródła, z których zaczerpnąć mogliśmy jakąkolwiek książczynę do czytania. Jednak wcześniej, zanim wchłaniać zacząłem powieści od Bukiego i książki z biblioteki szkolnej, zacząłem ich poszukiwać prywatnie. Chodziło mi nie o powieści, lecz o rzeczy poważniejsze. Już w domu miałem nieco tego rodzaju druków. Znalazł się tam Flammarion, nie wiem jakim sposobem książka filozoficzna niejakiego Levittoux [12], prócz wielu innych obojętnej dla mniej treści, prócz może jakiejś botaniki z zagubionym początkiem i końcem. Obie te książki mnie, malcowi dziesięcioletniemu, wyświadczyły dużą przysługę. Wprawdzie wielu rzeczy nie rozumiałem, ale swoją drogą Flammarion dał mi pojęcie o rozmiarach wszechświata i zadał cios naiwnym poglądom otoczenia, w tej liczbie wyrugował utarte pojęcia o niebie i piekle i sprawił, iż astronomia była dla mnie na ławie szkolnej ulubioną nauką, naturalnie gdy mówiła o budowie kosmosu. Pociąg mój do niej sięgał tak daleko, że w klasie piątej lub szóstej przez księgarnię Bukiego zaprenumerowałem w Niemczech dzieło Littrowa [13], zatytułowane, jeżeli się nie mylę, *„Wunder des Himmels“*.

Odbierałem je niekiedy idąc do szkoły i odczytywałem zeszyty, a przynajmniej przeglądałem rysunki w toku lekcji. Razu jednego — było to na lekcji Argiejewa, który w charakterze inspektora był wielkim formalistą i usiłował trzymać nas w poszanowaniu dla wymagań dyscypliny szkolnej i dla swojej wielmożnej, lecz mocno narwanej osoby; zręcznie podszedł ku mnie — a siedziałem w pierwszej ławce — wielką swoją łapą chwycił mnie za rękę trzymającą Littrowa. Jednakże ujęcie mojej rozpusty szkolnej ku mojemu i kolegów zdumieniu nie pociągnęło za sobą ujemnych dla mnie skutków: po pierwsze, była to książka uczona — astronomia, i akurat zeszyt, który dostał mu się do ręki, zawierał w sobie czarowne obrazy wybuchów słonecznych; po wtóre, rzecz była w języku niemieckim. Wywnioskował zgoła logicznie dwie rzeczy: po pierwsze, iż władam na tyle niemieckim, że mogę czytać książki naukowe bez pomocy słownika, i po wtóre, że nie tylko czytam takie książki, ale je sprowadzam za swoje własne pieniądze — musiałem mu bowiem powiedzieć, skąd wziąłem Littrowa. A po trzecie — był w dobrym humorze, więc zwrócił mi dowód mojej zbrodni z uwagą, żebym takie rzeczy przeglądał w domu. I to zamiłowanie do astronomii oraz fizyki zostało mi aż do mojej starości, kiedy zamiast powieści w łóżku przed zaśnięciem zaczytuję się Jeansem, Eddingtonem i innymi autorami badającymi budowę wszechświata, atomów itd. Ponadto prócz tylko co wymienionych książek, gdy byłem nieco starszy, znalazła się w domu biblioteczka wydawana w liczbie 52 tomów rocznie przez Przegląd Tygodniowy, a zawierająca prace Lubbocka, Figuiera, Legouvégo, przynajmniej nazwiska tych autorów utkwiły mi w pamięci. Utkwił także Vacherot — z innych powodów. Pracy jego *Wiedza i sumienie* nie mogłem zrozumieć. Martwiło mnie to niepomiernie. Wracałem do niej parokrotnie i nie tylko z rozpaczą, ale i ze złością ją rzucałem. Ale utkwiła w moim umyśle jako dowód mojej nieudolności. Dopiero w uniwersytecie przekonałem się, że winien był tłumacz, który *conscience,* świadomość, przetłumaczył jako sumienie. Jeszcze wcześniej, nawet bardzo wcześnie, bo w roku dziewiątym, dostałem na gwiazdkę huk książek z rysunkami. Były tam *Podróż naokoło świata* Arago, *Don Kichot, Podróże Guliwera* — rzeczy te połykałem podczas dni świątecznych, zapominając o makownikach i innych łakociach. Arago poszedł na pierwszy ogień, natomiast *Corinne* pani Staël, *Powieść sentymentalna* Sterne'a nie pociągnęły mnie wcale, lecz czytałem z zadowoleniem Goldsmitha utwór *Wikary z Wakefieldu* jako też Chateaubrianda — tytułu nie

pamiętam. Przy tym w tych wydawnictwach była moc rysunków. Te książki tak mnie zachęciły, że za swoje pieniądze ciułane do skarbonki kupiłem jeszcze dwie książki tego wydawnictwa, coś Chateaubrianda i *Ostatni z Abencérage'ów*. Wprawdzie ktoś rzekł do dziadka, a ja słyszałem z drugiego pokoju, że u J. Arago są miejsca bardzo dwuznaczne, których dzieciakowi nie należałoby dawać do czytania. Jednak dzieciak czytał podróż tego Francuza i choć, ostrzeżony, celowo szukał miejsc nieskromnych, nie znalazł — po prostu nie rozumiał ich. Tak rozpoczęła się moja kariera nabywcy książek. W ostatnich latach gimnazjum doszedłem do posiadania na własność zbiorowego wydania utworów W. Pola, od którego na czytanki urzędowe w klasie w języku rosyjskim wziąłem *Opis puszczy zielonej,* T. T. Jeża, bodaj że Korzeniowskiego, Kraszewskiego cykl powieści historycznych. Tego ostatniego w związku z moim pociągiem do studiów historycznych. Częściowo wyręczał mnie dziadek: prenumerował „Bibliotekę Najcelniejszych Utworów", gdzie znalazły się istotnie dobre rzeczy. Osobiście wolałem kupować dzieła historyczne, które przedstawiały dla mnie wielki powab. W ten sposób doszedłem do zbiorowego wydania Szajnochy, do wydawnictw Turowskiego [14], ale przede wszystkim do pierwszych tomów, tych, które wtedy wyszły, *Monumenta Poloniae historica* [15]. Niestety brakło ręki, która wskazywałaby mi rzeczy zasadnicze i wymiarkowała, czego pragnę. Tę skłonność ku historii żywiłem od lat najwcześniejszych. Bawiąc u stryjka, kanonika w Kaskach, w jego bibliotece znalazłem dużo książek historycznych wyłącznie z historii powszechnej, a więc Cezara Cantu, którego wszystkie 10 tomów przeczytałem, oraz liczne dzieła przez księży pisane o farmazonach i o dniach wrześniowych 1792 r.

Jako malec 10—12-letni zacząłem układać tablice rodowodowe różnych dynastii w Europie, aż w końcu całkowicie pogrążyłem się w rodowody Piastów oraz... Rurykowiczów. Do tych drugich biblioteka szkolna dostarczała materiałów. Prócz namiętności szperania nie miałem po temu żadnej osobliwej pobudki — układałem tablice dynastii francuskich, angielskich, a kiedy znalazłem materiały — to i rosyjskich. Do rodowodów polskich posiłkowałem się 28-tomową *Wielką encyklopedią powszechną* Orgelbranda. Wyszukałem aż trzy całkowite egzemplarze tego dzieła w Płocku i czwarty w Radziwiu. Może w mieście było ich nieco więcej, lecz mówię tylko o tych, o których wiedziałem i do których wyrobiłem sobie dostęp. Wszystkie były w ręku osób starej daty, a więc u starego sądownika

Bogusławskiego, z którego dwoma synami uczęszczałem na komplety pani Czajkowskiej i w ogóle często przebywałem. Byli to najbliżsi moi przyjaciele. Wyciągałem tomy z szafy i wertowałem poszukując, czego mi było potrzeba. Stary Bogusławski przyjaznym okiem spoglądał na te moje grzebania się i chętnie rozpytywał się o osiągnięte wyniki. Drugi egzemplarz istniał u biednej kobieciny, żyjącej z trzymania uczniów na stancji, pamiętającej lepsze czasy w przeszłości. Trzeci, najmilszy dla mnie, znajdował się u księdza gwardiana reformatów, przyjaciela dziadka. Najmilszy dlatego, ponieważ ksiądz gwardian wypożyczał mi tomy do domu, a gdy odnosiłem, częstował plastrami miodu i owocami, rozpytywał się i interesował moimi kłopotami, kiedy żywiłem jakieś wątpliwości. Znałem osoby nawet podrzędne z rodu Piastów śląskich i ich rodowody, tak iż w kozi róg mógłbym zapędzić młodych studentów przykładających się do historii Polski. W wyższych klasach żyłem blisko z kolegami, których ojcowie w hierarchii urzędniczej zajmowali stanowiska wysokie jako radcy itd. gubernialni. Rzecz naturalna: byli to koledzy od drugiej klasy, wówczas gdy inni, z dworów wiejskich, bardzo wcześnie opuszczali mury szkolne. Były to domy Słupeckich, Oraczewskich, doktora Kurowskiego, ludzi dobrze sytuowanych, niekiedy, jak Słupeccy, posiadających jeszcze dużej wartości majątek w postaci olbrzymiego ogrodu owocowego w Płocku. Znałem u nich wszystkie pokoje, ale nie dojrzałem żadnej biblioteczki, a nawet książki lub pisma. Odnalazłem takie zbiory u komornika Sujkowskiego, ojca licznej rodziny, a w tej liczbie przyszłego geografa, Antoniego. Książki zajmowały szafę średnich rozmiarów za szkłem. Pamiętam, że znajdowały się tam liczne wydawnictwa Turowskiego. Drugim domem jeśli nie zaopatrzonym w książki, to w liczne tygodniki, był dom sądownika Dembego, ojca przyszłego namiętnego bibliofila, Stefana.

Płock jako miasto gubernialne mieścił w sobie spory zastęp mało zamożnej publiczności polskiej. Były to bowiem czasy rugów Polaków ze wszystkich urzędów. Wiele rodzin jako tako uposażonych przed paru laty miało dochody tak liche, że każdy grosz coś znaczył: taki Bogusławski robił bokami i w końcu z całą, bardzo liczną swoją dzieciarnią znikł z moich widnokręgów i z Płocka. Środowiskiem, które najbardziej interesowało się czytelnictwem, były domy obywateli ziemskich przebywających w Płocku jako rozmaitego rodzaju dostojnicy w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim. Wśród nich pod względem umysłowym rej wodzili Sokołowscy. Prawdopodobnie i pomiędzy lekarzami (byle nie u Kurowskich) znalazłoby się także

nieco więcej materiału książkowego, np. u doktora Drużyłowskiego, ale tam nie bywałem. Przebywali wreszcie w Płocku tego rodzaju luminarze,jak ksiądz Brykczyński, zajmujący się nieco archeologią, oraz autor dzieł teologicznych ksiądz Ołdakowski. A przede wszystkim należy wymienić zasłużonego Tarczyńskiego.

O Tarczyńskim pragnąłbym pomówić drobiazgowiej, ale niestety nie mam po temu materiału. Dużo o nim słyszałem przed laty, ale czas zrobił swoje — zapomniałem. Nigdy go na oczy nie oglądałem, choć przebywaliśmy współcześnie w Płocku, dowiedziałem się o nim dopiero po ukończeniu gimnazjum. Bodaj nauczyciel w szkole elementarnej, obracał cały swój czas wolny na rozkopywanie kurhanów. Samouk, nie wiem, o ile dobrze wywiązywał się z tych swoich poszukiwań archeologicznych. Wiem tylko tyle, że wkładał w to swoją duszę. Spis rozkopanych lub badanych miejscowości umieścił w K o r e s p o n d e n c i e P ł o c k i m. Co z jego zbiorami się stało, nie wiem. A jednak pociąga mnie sylwetka tego człowieka, który, znalazłszy się w mieście na prowincji, bez jakiejkolwiek pomocy pieniężnej, pchany jedynie żądzą badawczą, ciągnął przez lat wiele swoje poszukiwania — patrzano nań jako na maniaka. W każdym razie Płock powinien postawić mu jakiś pomnik na jednym z licznych swoich skwerów, a na nim położyć napis: „Samouk Tarczyński przykładem swoim wzywa do prowadzenia studiów poważnych nad daleką przeszłością ziemi płockiej".

Wymieniając domy, w których tliło się pewne zainteresowanie książkami i czytelnictwem, mówiąc o tych nielicznych prywatnych biblioteczkach, o których powziąłem wiadomość, i w ogóle podkreślając małą liczbę tych ognisk kultury umysłowej, muszę na zakończenie swoich w tym kierunku wspomnień coś powiedzieć o najważniejszym — piśmie poświęconym sprawom Płocka i jego okolic — o K o r e s p o n d e n c i e P ł o c k i m.

Pan Rościszewski, redaktor, miał poza sobą przeszłość nie lada. Dziedzic majątku, który szacowano na 2 miliony — nie wiem, czy złotych ówczesnych, czy rubli, choć prawdopodobnie pierwszych — po ożenku wyjechał na wojaże za granicę. Zdaje się, głównie przebywał w Paryżu. Co rok przybywała córka i rokrocznie ubywało coś z majątku. Może chwilowo wpadał do kraju dla pozostawienia nowej córki pod opieką matki swojej i zaopatrzenia się w nowe fundusze. Wreszcie po jakiejś siódmej, ósmej czy dziewiątej córce (liczby ich nie pamiętam, choć znałem każdą z nich z imienia) funduszów zabrakło. Znalazł się w Płocku poniekąd na bruku, ale bynajmniej nie

wykolejony. Dużych wiadomości i wielkiej ogłady, założył w Płocku pismo, a bodaj także (choć znowu nie jestem pewny tego) otrzymał miejsce w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim. Pan Rościszewski, jak na Płock, godnie reprezentował prasę. Było to bowiem na prowincji pismo jedno ze staranniej i umiejętniej redagowanych. I nie mniej godnie reprezentowały go córki. W pewnych godzinach rankiem i ku wieczorowi sunęło 7—9 cór „na wydaniu" — w danej chwili lub za lat parę. Ich ranne i wieczorne spacery były zdarzeniami stałymi, według których można było regulować zegarki — od Rynku Starego na Kanoniczny, stamtąd na skwer Tumski lub na ulicę Warszawską — i z powrotem. Przodem szły najmłodsze, około lat 8—10, dwójkami, dobrane wzrostem, a pochód zamykały dwie najstarsze siostry, około 17—19 lat. Wśród nas uczniaków ta drużyna cór symetrycznie ustawionych w pochodzie nosiła nazwę: „cały korespondent idzie" lub „dziesięć Rościszewskich" — od grywanej w teatrze sztuki *Dziesięć cór na wydaniu.*

Ale wracam do Korespondenta Płockiego. Pamiętam, że popełniłem w nim pierwszy swój grzech pisarski, zdaje się, będąc w klasie szóstej czy siódmej: wystąpiłem przeciwko modnemu wówczas „cricri". Był to mały przyrząd, jakieś dwa cale długości, jeden szerokości, złożony z blaszki umocowanej, która odpowiednio dotknięta wydawała dźwięk nieco zbliżony do krzyku „cri". Przyszedł naturalnie z Warszawy, ale rozplenił się niepomiernie w Płocku. Młodzież nosiła go w kieszeniach płaszczy. Zwłaszcza chętnie robili to przedstawiciele wyższych klas, wydając ten dźwięk przy mijaniu podlotków, zwłaszcza tych, do których robili oko. I starsi panowie nie gardzili taką igraszką.

Korespondent był dobrze prowadzony. W nim wyrabiał sobie imię Franciszek Olszewski, zapowiadający się tak obiecująco. Z archiwów płockich, bodaj kościelnych, wydobył dokumenty o procesach przeciwko wiedźmom i drukował je w organie płockim. Przyczynki te robiły dużo hałasu wśród dewocji płockiej, lecz pan Franciszek, zakochany w swoich poszukiwaniach i zapatrzony w oczy narzeczonej, panny Wandy, jednej ze starszych Rościszewskich, nie dbał o to. Ale po paru latach, znalazłszy się jako publicysta-ekonomista w Kurierze Warszawskim, zapomniał o radykalizmie, o pannie Wandzie, miłej i przystojnej, lecz nieposażnej i nie tak perwersyjnej, jak wymagał tego temperament pana Franciszka. Obrawszy jako kierownika w nowych swoich doświadczeniach Czapelskiego, faktycznego redaktora Kuriera Warszawskiego i zarazem zięcia wydawcy Szy-

manowskiego, zaznajamiał się z kosztownym światem heter warszawskich, następnie zaś utworzył trójkąt małżeński z Czapelskimi, póki stary Szymanowski, oburzony takim postępowaniem, nie zmusił zięcia do rozwodu. Olszewski zaślubił rozwódkę i stał się gospodarzem w Kurierze Warszawskim. Popasał tam zaledwie lat parę. Chcąc powiększyć swoje dochody, nie pogardzał „schweiggeldami". Wreszcie wyjechał do Petersburga za Hellerówną [16], którą poślubił biorąc rozbrat ze swoją działalnością piśmienniczą i zwracając się ku gospodarowaniu ziemią.

Jego poprzednia żona, córka Szymanowskiego, wyszła z tych przejść jak metal czysty spośród domieszek: oddała się całkowicie sprawie więźniów politycznych. Jej sylwetka, jako jednej z pięknych ówczesnych postaci społeczeństwa polskiego, zasługiwałaby na odtworzenie [17]. Niestety, nie mam po temu potrzebnych materiałów. A obok niej jakieś współczucie ogarnia mnie dla matki pana Franciszka, pani Olszewskiej. Była to niegdyś narzeczona mego ojca, który z nią zerwał z nieznanych mi pobudek. Ojciec jej, Dąbrowski, stary polonus, miał w Płocku domek z ogrodem przy ulicy Królewieckiej.

*

Gdy opuszczałem Płock, żeby zapisać się na uniwersytet, posiadałem — jak na swoje lata — duży zasób wiedzy o charakterze dość wszechstronnym. Znałem dobrze historię i literaturę polską, historię powszechną, zwłaszcza Francji i Anglii, oraz niezgorzej orientowałem się w literaturach: francuskiej, niemieckiej, angielskiej i rosyjskiej. Miałem wyrobione pojęcie o budowie kosmosu i o zagadnieniach z zakresu fizyki, potrafiłbym ująć zasadnicze kierunki filozoficzne i założenia teorii poznania. Otrząsnąłem się całkowicie ze wszystkich przesądów otoczenia: byłem świadomym pozytywistą i ewolucjonistą. Z pozytywizmem szło w parze płytkie bardzo pojmowanie spraw społecznych, choć już zacząłem wydobywać się z tych powijaków i samorzutnie wkraczałem na ścieżki saint-simonizmu. W każdym razie pod względem przygotowania umysłowego stałem dość wysoko. Wszystko to zawdzięczałem sobie. Z gimnazjum bowiem niewiele wyniosłem. Jedynie miałem wrażenie, że znam dobrze matematykę. Tak, znałem ją w zakresie wykładów gimnazjum płockiego. Ale znalazłszy się na Wydziale Matematycznym Uniwersytetu Warszawskiego już po paru tygodniach doznałem rozczarowania. Znalazłem tam gromadkę wychowańców drugiego gimnazjum w War-

szawie, uczniów matematyka Hertza[18], wdrożonych dość daleko w studia matematyczne pierwszego roku uniwersytetu. Umieli znaleźć równanie dla każdej prostej linii oraz dla krzywych, które otrzymać można z przekrojów stożka, mieli dobre pojęcie o geometrii analitycznej. Posiadali początki rachunku różniczkowego. Wobec ich znajomości przedmiotu zrzedła mi mina. Pojąłem niski poziom matematyki w gimnazjum płockim. Wprawdzie w uniwersytecie zdarzało mi się rozwiązywać w ciągu paru minut zadania, nad którymi moi koledzy głowili się o wiele dłużej, lecz była to sprawa uzdolnień, nie zaś wiedzy. I nawet w moich ulubionych szachach okazałem się partaczem.

Pierwszy i drugi rok na matematyce przepróżniaczyłem, gdy chodziło o studia obowiązujące. Naturalnie zdawałem egzaminy i przechodziłem na drugi rok. Przed każdym egzaminem zwykle w ciągu jakiegoś pół dnia przerzucałem kurs, potem wędrowałem piechotą aż pod Wilanów lub włóczyłem się po okolicy Szop i Potoków, docierałem do Służewa i podczas spaceru usiłowałem powiązać pojedyncze wykłady w zwartą, logiczną całość. Jeżeli nie starczyło więcej czasu, to z tym zasobem szedłem do egzaminu. W przeciwnym razie przechodziłem do drobiazgowej przeróbki poszczególnych twierdzeń. Na egzaminie mogła mnie spotkać cierpka uwaga profesora Andrużskiego, gdy pół godziny wyprowadzałem jakąś różniczkę — ostatecznie z dobrym wynikiem: „Szkoda, że nie pamięta pan mojego wykładu, w ciągu pięciu minut załatwiłby się pan z zadaniem". Swoją drogą dostałem piątkę. I mój sposób przygotowywania się ocalił mnie na ostatnim egzaminie na czwartym kursie z astronomii sferycznej. Przyszedłem na egzamin strasznie znużony 6-tygodniowym obkuwaniem. Wyciągam bilet — nic nie wiem. Uniewinniam się, iż nie wiem czemu, lecz o takich rzeczach nic nie słyszałem. Proszę o egzaminowanie z całości. Wygrałem — profesor zgodził się. I oto gdy odchodziłem od stolika, treść nieszczęsnego biletu stanęła mi całkowicie w umyśle: przecież rano przed wyjściem na egzamin go przerabiałem! Zwróciłem się do Wostokowa z zawiadomieniem, iż mogę odpowiadać i z owego biletu. Ten się roześmiał: stopień już postawiony! Była to czwórka. Jak wiele zagadnień z astronomii sferycznej, i to było luźno związane z całością i nie dostrajało się do logicznego wątku.

Ale po przejściu na III kurs zrozumiałem, że matematykiem nigdy nie będę. Tu oprócz uzdolnień potrzebny jest osobliwy układ, powiedziałbym chętnie: temperament matematyczny. Zrozumiał to wcześnie

starszy mój syn, bodaj zdolniejszy ode mnie matematyk, gdy po ukończeniu politechniki petersburskiej zaproponowano mu jedną z katedr teoretycznej mechaniki. Odrzekł: „Nie chcę zagrzebywać się jak mój ojciec w książkach i papierach!“ Zarzycki, sam dobry matematyk, odezwał się o młodszym moim synu: „Jurek jest zdolnym matematykiem, ale z niego nigdy matematyk nie będzie. Brak mu żyłki matematycznej i cierpliwości nieodzownej przy studiach samodzielnych“. Uczęszczał on w Petersburgu obok prawa na matematykę. Po ukończeniu, znalazłszy się w Warszawie, w ciągu dwóch lub trzech lat należał do Koła Matematycznego i w domu rozwiązywał różne zagadnienia z wyższej matematyki. W końcu wziął z nią całkowity rozbrat.

Na trzecim roku, gdy mnie pociągnęły zagadnienia natury społecznej, a zwłaszcza kolejność ogniw rozwoju społecznego, tj. jego historia, zrozumiałem, iż niepotrzebnie poszedłem na matematykę. Ale wstyd mi było porzucić ją na trzecim roku. Postanowiłem ją skończyć. I byłem w tej liczbie pięciu czy sześciu, którzy ukończyli wydział, jak przepisy wymagały, po czterech latach, nie zimując na żadnym kursie. Pracowałem tylko na jakiś miesiąc przed egzaminami i podczas egzaminów. Ale gdym zdał ostatni z owej astronomii sferycznej, czułem się jak ptak, gdy wyrwał się z klatki. I nastręcza się tutaj pytanie: dlaczego, zamiłowany w studiach historycznych, wstąpiłem na matematykę? Zawiniła w tym troszkę moja pasja do astronomii, którą miałem później znienawidzić w jej odnodze — astronomii sferycznej. Lubiłem mechanikę nieba, ale nie przedstawiam sobie, żebym mógł sterczeć całymi godzinami przed teleskopem. Może gdyby analiza spektralna stała wtedy na wyższym poziomie, pogodziłbym się z nią. Dużo zawinił Jędrzejewicz, którego od pierwszego razu polubiłem. Byłem wtedy w piątej albo szóstej klasie. Niedomagałem: szybko podążający wzrost wywoływał jakieś zakłócenia w całym organizmie. Jak gdyby inne organa nie zdołały dotrzymać kroku tej spiesznie posuwającej się wybujałości mego ciała. Wuj powiózł mnie z Płocka do Płońska do Jędrzejewicza [19], na co nalegałem mocno, lecz chodziło mi o astronoma, nie zaś o lekarza. Po kilku minutach rozmowy słuchał mnie już z zainteresowaniem. Wyłożyłem mu całą swoją mądrość. Potem zaczęliśmy mówić o znaczeniu analizy spektralnej, gdy chodzi o badanie składu gwiazd. I skończyło się na tym, że Jędrzejewicz wyraził nadzieję, iż będę kiedyś pracował na tym samym polu, co on. To było w jakimś roku 1875. Nie spodziewałem się, że tak prędko zejdzie on z tego świata. Dziwny człowiek! Lekarz

z zawodu, osiadł w Płońsku podobno z powodu uczucia swego do pani Kozłowskiej, rezydującej w bliskim Krysku. Zamiłowany był w meteorologii i astronomii. Zbudował sobie własne obserwatorium, w którym czynił spostrzeżenia i drukował je w pismach astronomicznych niemieckich, a uposażenie jego pracowni pod względem przyrządów ustępowało nieco jedynie warszawskiemu obserwatorium, lecz przewyższało krakowskie. Podobno przy końcu swego życia wyniósł się z Płońska na Podole czy Wołyń. Po wyjeździe do Warszawy straciłem go z oczu. Do pójścia na matematykę przyczyniły się także namowy domowe, żem powinien się zapisać do jakiegoś zakładu inżynieryjnego. Matka ułożyła się poza mną, że pojadę wraz z młodym Walewskim, spod Skierniewic, na politechnikę ryską. Ale dzięki gapiostwu wuja papiery moje i podanie wysłano do uniwersytetu w Kijowie. Może umyślnie, abym w ciągu jakichś dwóch lat był bliżej domu, w Warszawie... Wykolejony w ten sposób, zrezygnowawszy z zamiarów swoich co do politechniki, złożyłem podanie do uniwersytetu warszawskiego na matematykę, jednocześnie z prośbą złożoną w kancelarii warszawskiej do uniwersytetu w Kijowie o odesłanie mi moich papierów.

Jeszcze był jeden powód — drobny, lecz mocno wpłynął na rozpoczęcie mojego czteroletniego flirtu z matematyką — jąłem się w gimnazjum przekładu pierwszego tomu Augusta Comte'a. Okazało się, że potrzeba mi nieco liznąć wyższej matematyki, żeby oddać należycie i bez błędu jego wywody. Tom ten skończyłem na pierwszym kursie matematyki, ale przyszły czasy zanadto mnie porywające, które doprowadziły aż do wydalenia mnie z uniwersytetu, i rękopis gdzieś zaginął.

Jednak nie żałuję, żem był na matematyce i że tłumaczyłem Comte'a. Studia te wdrożyły myśl moją w karby logicznego rozumowania. I po cichu dodam: Comte nie tylko mnie pobłogosławił na tę drogę. Przecież filozofia pozytywna polega na gradacji nauk i dla umysłu filozoficznego konieczna jest znajomość wszystkich tych nauk oraz studia nad nimi w kolejności owej gradacji. Dlatego w przyszłości zwróciłem się ku biologii, antropologii, psychologii i — socjologii...

ZWIERZĘTA

W dzieciństwie zajmowały mnie bardzo mrówki. W ogóle lubiłem świat wszelkich stworzeń. W ciągu paru lub kilku kwadransów mogłem nie ruszać się z miejsca i przyglądać się, jak jaskółki, dotknięte tym, że wróbel ulokował się w gnieździe jednej z ich towarzyszek, zalepiają błotem otwór gniazda, skazując rabusia na śmierć głodową; jak ptactwo różnego rodzaju w wielkiej gromadzie ścigało wiewiórkę, która za blisko zajrzała do któregoś gniazda; jak bociany odbywają swoje sejmy ku schyłkowi lata na polach, jak przed nimi młodziaki próbują lotu, aż w końcu wszystkie odlatują kluczami na południe. Na takich spostrzeżeniach spędzałem letnie wczasy na wsi. Miasto nie sprzyjało tego rodzaju zaciekawieniom. Pozostały jedynie zwierzęta domowe. Udało mi się wyhodować wielką przyjaciółkę — kotkę: hodowałem ją od tej chwili, kiedy całą w pchłach wydobyłem ją spod starej kocicy spośród kilkorga nowonarodzonych kociąt. Karmiłem ją zawsze sam, leżała nocą w moim łóżku. Niebawem jak psiak latała za mną po pokojach i ogrodzie. W wieku dojrzałym znosiła mi na moje łóżko w czasie mojej nieobecności upolowane wróble i myszy, i nie ruszała ich, póki nie wróciłem ze szkoły i jej nie pogłaskałem. Kiedy roniłem rzewne łzy, a jako mały chłopiec miałem liczne powody do gorzkiego płaczu, właziła mi na kolana i lizała po twarzy, jakby chciała mnie pocieszyć. W ciągu wielu lat obcowania nauczyłem się odróżniać wiele tonacji jej dźwięków: *mru* i *miau*. Wiedziałem, które *mru* są rodzajem zapytania: czego chcesz ode mnie? — i nie mieszałem ich z tym samym dźwiękiem, gdy zadowolona ocierała się o mnie. Odróżniałem *miau* będące wskazówką, że jest głodna, od *miau* wydawanego ze strachu, gdy wołała o pomoc lub skarżyła się przede mną. Doszedłem do umiejętności naśladowania jej dźwięków i, jak ja rozumiałem jej głos w niektórych wypadkach, tak ona rozróżniała moje mruczenia i miauczenia. Zdechła

mając jakieś 6—7 lat. Przeszedłem wtedy do IV klasy i wyjechałem do Kliczek. Gdy wróciłem do szkół, powiedziano mi, że chora kotka od paru dni zniknęła, że widziano ją ostatnim razem na poddaszu w wielkiej matczynej kamienicy. Udałem się tam i zacząłem jej szukać. Po chwili usłyszałem ciche, bolesne miauczenie wysoko nad korytarzem. Wzdłuż krawędzi domu na drugim piętrze szła belka, na niej ukazała się moja kotka i widocznie z wielkim mozołem, bardzo powoli, zatrzymując się co chwila i miaucząc, czołgała się ku mnie. Korzystając z biegnącej tam galerii znalazłem się możliwie najbliżej, ale moja ręka pozostała w odległości jakiegoś metra od niej. Miaucząc, jakby wzywając mojej pomocy, zdechła po kilku minutach na belce.

Kotka po raz pierwszy nasunęła mi myśl, że zwierzęta nie tylko czują, ale także w jakiś sposób myślą. Wyraźnie powiadam: myślą. Zacząłem obserwować różne „nierozumne" stworzenia w wieku już późniejszym, starczym, żeby uchwycić istotę tego procesu — znowu powiadam: umysłowego. I okazało się, że nawet z pozoru takie głupie stworzenia jak kanarki umieją powiązać swoje czyny w sposób, którego nie wolno zwalać na tak zwane instynkty i doświadczenie pokoleń. W latach 1924—1930, samotny, miewałem w mieszkaniu całą gromadę tych ptasząt, których szczebiot i śpiew wnosiły życie w pełną ciszy pustkę mego domu. Trzymałem je pół dnia poza klatką, bujały po całym pokoju, podchodziły do filiżanki, kiedy piłem ranną kawę. Na pukanie palcem siadywały na miejscach, gdzie rozrzuciłem dla nich siemię konopne, kłóciły się ze mną wyciągając szyję i trzepotały skrzydłami, gdym je drażnił, w ferworze walki wskakiwały na palec, a ja wsadzałem je spokojnie do klatki i zamykałem. I oto jednego dnia odpoczywałem na łóżku w pokoju sypialnym. W sąsiednim jadalnym młody samiec i samiczka uprawiały od paru tygodni swoje zaloty wczesnowiosenne: on podchodził ku niej śpiewając, śpiew był coraz namiętniejszy, i wtedy gdy osiągnął najwyższe napięcie, niby całkowicie obojętna na jego zaloty, odfruwała odeń. Zawiedziony konkurent podupadał, że tak powiem, na duchu, bezmyślnie czegoś szukał na ziemi, jak gdyby zapomniał o jej istnieniu. Wtedy dama jego serca, niezdolna znosić dłużej jego obojętności, dreptała ku niemu. I znowu zaczynają się jego śpiewy idące *crescendo,* i znowu bogdanka udaje obojętność. Ale w danym dniu od dawna już minęły te wstępne zalecanki. Para moja nie rozłączała się, on jej śpiewał, ona słuchała tuląc się tuż przy nim. Ale oto samczyk wpada do mego pokoju, opuszcza się na stolik nocny

i, zwrócony do mnie, piszczy przeraźliwie, jak gdyby wzywał mojej pomocy. Wstaję wtedy, kanarek podlatuje na drzwi prowadzące do jadalni i na nich zaczyna znowu przeraźliwie piszczeć, gdy za nim nie idę od razu. Przede mną wlatuje do jadalni i znowu piszczy: samiczki nigdzie nie znajduję, zaglądam pod stół, pod krzesełka, w różne miejsca, a on przeraźliwie piszczy. Wreszcie znajduję ją pod niską niezmiernie sofą. Biorę do ręki i niosę do klatki. Samczyk natychmiast wskakuje za nią do klatki i zaczyna śpiewać. Na drugi dzień zniosła pierwsze jajeczko. Widocznie porwały ją bóle przedwstępne, upadła wtedy na ziemię i stamtąd zaczołgała się pod sofę. Zatrzymałem się szczegółowo nad różnymi ogniwami tego zdarzenia: rzeczywistość postawiła przed nimi sytuację, w której nie widzę miejsca dla instynktu, ale w której wyraźnie ujawniło się rozumienie tego, że u dwunożnego potwora w sypialni należy szukać pomocy.

Albo inne zdarzenie. Miałem samczyka niezmiernie niesfornego. Wypuszczony z klatki, gotów był nawet na noc do niej nie wracać, umiejąc karmić się tym, co inne kanarki wyrzuciły, lub kraść z ich klatki. Gdym zbliżał się, uciekał uważając mnie za istotę, która czyha, aby wsadzić go do jego drucianego więzienia. Jednego dnia siedział na drzwiach odemkniętych z pokoju do hallu. Nie spostrzegłszy go zamykałem drzwi i szyja jego dostała się pomiędzy zwierające się z sobą drzwi i odrzwia. Upadł na ziemię. Myślałem, że żyć nie będzie. Dawał jednak jeszcze oznaki życia, całe ciało jego poniżej szyi aż do skrzydeł było ciemne od przekrwienia. Posadziłem go na jego klatce, opryskawszy nieco wodą. Siedział tam jako tako w postawie pół wyprostowanej, a ilekroć wchodziłem do pokoju, zrywał się, rzucał się ku mnie i obleciawszy dokoła mojej głowy wracał na klatkę i tam piszczał zwrócony ku mnie. Naturalnie, czym spowodowane były te jego loty — nie wiem. Ale pozostawiały wrażenie, że jak gdyby znowu ode mnie oczekiwał pomocy.

Jeszcze jeden przykład.

Służąca w innej, bardzo długiej klatce przygotowała gniazdko dla pary kanarków. Samiczka zniosła już jajeczko, samiec krzątał się koło niej i karmił ją od czasu do czasu. Ale służąca uważała, iż klatki należycie nie wykorzystano, tyle jeszcze bowiem było w niej wolnego miejsca. Przedzieliła ją w poprzek tekturą, która poczynając się od drutów górnych szła ku dołowi, ale tam pozostawało jakieś 3—4 cm wolnej przestrzeni pomiędzy jej dolną krawędzią a dnem klatki. Do utworzonej w ten sposób części wpuściła drugą samiczkę. Nie zwróciłem uwagi, kiedy rozpoczęły się bójki pomiędzy mieszkań-

cami klatki. Z jednej strony samiec i samiczka, która zeszła z pozostawionych jajek, z drugiej samotna samiczka dziobały się przez pozostawiony otwór. I znowu nie uchwyciłem tej chwili, gdy wysiadująca już samiczka wróciła do swoich jajeczek. Na placu boju pozostał jedynie samczyk i druga samiczka. Jak wielkie było moje zdziwienie, kiedy po pewnym czasie spostrzegłem, że samiec macha po dawnemu swoim orężem-dziobkiem, ale nowa samiczka coś mu gwałtem podsuwa. Jak się okazało, było to jedzenie, zwłaszcza kawałek listka sałaty.

Mocno rozśmieszył mnie ten fortel, który jednak okazał się skuteczny, bo następnego dnia samiec opuścił swoją dotychczasową małżonkę i rozgościł się po drugiej stronie przegrody. A w wyniku ostatecznym opuszczona samiczka przedostała się do nich i znowu rozpoczęła się walka, już tylko pomiędzy samiczkami, aż w końcu małżonek uzyskał prawo swobodnego przebywania to u tej, to u tamtej, kiedy mu się podobało, samiczki zaś potulnie wysiadywały każda swoje jajeczko w swoim gniazdku.

Jeszcze jeden fakt, którego zgoła nie rozumiem.

Miałem kanarka, na którego wołałem: Wojtek. Pewnego dnia siedział na klatce, a ja pół żartem zawołałem: „Wojtek, do klatki". Ptak wszedł do klatki. Odtąd zawsze, gdy trzeba było położyć kres jego lataniu po pokoju, na okrzyk: „Wojtek, do klatki" wlatywał na nią lub do niej. Niekiedy do środka nie wchodził, lecz siadał na niej i piszczał, tak że trzeba było powtarzać rozkaz, a niekiedy próbował być nieposłuszny, lecz w końcu ulegał. Wysuwałem palce, wskakiwał na nie i dziobał mnie. A tym feralnym dla niego zwrotem mojej mowy był jedynie wdrożony do tego, że jest Wojtkiem. Na to wołanie przylatywał nawet z drugiego pokoju, a przynajmniej odzywał się do mnie. Ale jakim sposobem połączył nazwę swoją z wejściem do klatki, nie zdaję sobie sprawy. W każdym razie nie tresowałem go ani chwili w tym kierunku.

Wziąłem kanarki jako stworzenia, którym nikt nie przypisze śladu jakiejkolwiek inteligencji. Ażeby odszukać jej wyraźniejsze objawy, zwrócę się do stworzenia znajdującego się na stosunkowo wyższym stopniu inteligencji: do kotów. Rzecz dzieje się na rozbudowanej dopiero co kolonii im. Staszica.

Stojąc na balkonie miałem przed sobą płot ciągnący się przez moją i sąsiednią posesję. Za nim trzymetrowa droga, po drugiej jej stronie ułożone deski, a za deskami szopa zapełniona drzewem jako materiałem do budującego się domu. Otóż pośrodku posesji sąsie-

dniej usłyszałem szczekanie psów, które osaczyły kota. Ten przykucnął przy drzewkach owocowych posadzonych na klombie — tyły więc miał zabezpieczone, a zwrócony przodem ku psom, sterczał bez ruchu, spokojny, lecz w każdej chwili gotów do obrony, gdyby tamte przeszły do napaści bezpośredniej. Pozycja ta trwała z dobry kwadrans, ale kot od czasu do czasu przesuwał się zręcznie tyłem na jakiś cal w kierunku płotu, od którego dzieliło go jakieś 5—6 metrów. A gdy na chwilę uwaga psów zwróciła się w inną stronę, skorzystał, ażeby w ruchach ściśle obliczonych znaleźć się u jednego z pali płotu. Ale zawsze posuwał się zwrócony przodem do psów. Jedynie tempo przesuwania było różne, odpowiednio do zmniejszonej lub zwiększonej uwagi przeciwników, którzy bodaj byli znużeni długim szczekaniem na pozornie nieruchomą ofiarę. I znowu doszedłszy do pala kot tyły swoje zabezpieczył w dotychczasowy sposób, mając pal za sobą, łeb zaś zwrócony ku psom, które, widocznie podniecone paru jego ostatnimi żywszymi ruchami, z całą energią nań się rzuciły. I znowu szczekanie trwało dobrych 10—15 minut. Ale oto na ową drogę wkracza trzech mężczyzn idących obok siebie. Gdy byli przy palu, kot przedostaje się przez ogrodzenie i tuż przed nimi, obok ich nóg, biegnie i wskakuje na deski. Podniecone psy trudniej przedostały się przez płot i podbiegły ku deskom, na których kot spokojnie siedział spoglądając na przeciwników i lizał swoją łapę. Każdy ruch kota był z góry obliczony. W ogóle całość składała się na pasmo czynów przewybornie powiązanych i jak gdyby przemyślanych. Z istotnym zainteresowaniem przypatrywałem się temu wydostawaniu się kota z opałów, w jakich się był znalazł. Człowiek w podobnych okolicznościach nie mógłby postępować mądrzej. Powiązanie ruchów było całkowicie logiczne i celowe, jak gdyby przewodziła im myśl świadoma. I znowu staje przede mną pytanie: oto kot zachował się, jak gdyby „myślał". Lecz na czym polegało to „myślenie", jak ująć je w formy znane człowiekowi? Przyzwyczailiśmy się przecież myśl swoją ujmować w wyrazy, które, nawet gdy ich nie wymawiamy, tkwią jednak w naszym umyśle w swoisty sposób. Niekiedy jednak myślimy obrazami: tak bywa w snach naszych. Ale sny nie dostrajają się jakoś do obecnych moich wywodów. Kino może przedstawia lepszą ilustrację. Niekiedy podczas akcji wybiegamy myślą poza chwilę bieżącą. Przesuwa się przed nami jakaś scena dalsza, będąca konsekwencją dotychczasowego przebiegu. Tutaj myśl odwołuje się do skojarzeń obrazowych. I te skojarzenia obrazowe automatycznie w życiu naszym powtarzają

się często. I pies ma sny, podczas których warczy i szczeka, w umyśle jego — używam wyrazu umysł, innego bowiem nie mam — przesuwać się muszą jakieś obrazy czy skojarzenie wrażeń wzrokowych, słuchowych, węchowych, których bieg w danej chwili wywołuje u psa poszczek lub warczenie. W każdym razie, przekonany o istnieniu u zwierząt powiązanych skojarzeń, robiących wrażenie, jak gdyby były dziełem jakiejś myśli, nie ośmielam się bliżej określać natury tej działalności umysłowej. Jedno dla mnie jest niewątpliwe, iż zwierzęta, acz w sposób odmienny od nas, jednak myślą.

A na zakończenie tych długich wywodów, wetkniętych przeze mnie w moją opowieść w sposób nieoczekiwany, podam fakty, których objaśnić nie umiem. W ciągu lat 10 miałem owczarka karpackiego. Mądry to był pies, ale na razie pomijam wszystkie objawy jego mądrości. Zatrzymam się jedynie nad jego zdolnością odczuwania osób, niemożliwą dla ludzi. Siedziałem przy biurku, na pierwszym piętrze. Pies leżał u moich nóg. Lecz oto zrywa się, cicho, ale radośnie szczekając, biegnie na dół, gdzie szczekanie jego, wciąż radosne, staje się coraz gwałtowniejsze. Zaciekawiony, podchodzę do okna i wyglądam na ulicę. W odległości jakichś dwudziestu metrów, na chodniku po drugiej stronie ulicy, służąca moja gawędzi z jakąś kumoszką i gawędzić będzie kilka minut, pies zaś ujadaniem wita jej powrót, świadom, że w koszyku znajduje się dlań kawałek mięsa. Odległość od miejsca, na którym początkowo leżał, musiała wynosić około 20—30 metrów.

Albo inny wypadek. Pies leży pod moim łóżkiem, prawdopodobnie w półdrzemce. Nagle słyszę jego słabe, ale gniewne szczekanie. Wydobywa się spod łóżka, pędzi przez następny pokój na balkon i tam zaczyna się popisywać gniewnie swoim głosem. W odległości 15—16 metrów od balkonu, a dwudziestu paru od miejsca, gdzie leżał, stanął jego wróg, wyżeł sąsiadów, tylko co wypuszczony z domu do ogrodu. Nie słyszałem, żeby wyżeł był zaszczekał. A w razie jeżeli szczeknął lub warknął, zrobił to tak cicho, że odgłos tego nie zdołał dojść do mego ucha. Takich faktów mógłbym przytoczyć więcej. Poprzestaję na powyższych dwóch, które należą do liczby najlepiej zaobserwowanych. Zbój — takie miano nosił mój pies — nie mógł odczuć węchem ani obecności mojej służącej, ani owego wyżła. Robiłem doświadczenia. Zbój miał dobry węch, mógł po czyimś wyjściu, z nosem u podłogi, odtworzyć jego drogę od wejścia do mego pokoju przez korytarz, schody, górny hall i bibliotekę aż do krzesła, na którym ów ktoś siedział. A jednak gdy o kilka cali od tej drogi po-

łożyłem kawałek mięsa owinięty w papier, nie był zdolny wykryć jego obecności ani też tak samo obecności świeżego mięsa położonego na biurku, pod którym leżał. Pozostaje więc słuch. Wiem, że psy są o wiele czulsze od człowieka pod tym względem. Między innymi chwytają dźwięki, z powodu swojej niskości niedostępne dla ucha ludzkiego. Zacząłem robić doświadczenia pod tym względem, ale wypadło mi wyjechać na parę miesięcy z Warszawy, a po powrocie zapomniałem o ich dalszym prowadzeniu. Nie wydały żadnego rozstrzygającego rezultatu. Wobec tego pozostało w umyśle moim pytanie, czy jedynie subtelnością słuchu da się objaśnić tę zdolność psa odczuwania kogoś na odległość.

UWŁASZCZENIE WŁOŚCIAN

W chwili obecnej jestem kompletnie opętany wspomnieniami tego przełomu, który odbywał się u nas po r. 1863.

Przełom ten znalazł dla siebie wyraz w pozytywizmie warszawskim, ale wykoślawiony i właściwie obojętny, i dlatego milczący w obliczu katastrofy, która sięgnęła do dworów i dworków wiejskich. Co do drugiego oblicza tej katastrofy, która dotknęła rodziny inteligencji miejskiej, dla pozytywizmu całkowicie zrozumiałej, cenzura nałożyła kneble na usta. Trzeba było milczeć.

Katastrofa dworów wiejskich całkowicie tkwiła w nieprzygotowaniu ich do stawienia czoła skutkom uwłaszczenia. Chociaż w ostatnich dwóch dziesiątkach lat przed powstaniem tu i ówdzie rolnictwo robiło duże postępy, przecież na ogół pozostawiało wiele do życzenia. Było coś w naturze ziemianina, a właściwie w całym ukształtowaniu stosunków gospodarczych w naszym kraju, co z obywatela ziemskiego czyniło postać mało elastyczną. Ziemianin, przynajmniej ten, który nie posiadał więcej nad 30 włók ziemi, nie był próżniakiem. Wstawał o świcie, a w każdym razie bardzo wcześnie, właził codziennie w każdy kąt stajni i obory, miał oko na każdego pracownika. W okresach robót polnych przemierzał pieszo, konno lub na wózku wszystkie miejsca, które potrzebowały oka pańskiego. I panie domu nie siedziały z założonymi rękami. Ażeby co tydzień dopilnować pieczywa, zaopatrzyć latem spiżarnię w powidła i konfitury, w marynaty, w różne grzybki, korniszony, ogórki, jesienią zaś w wędliny i półgęski, ażeby codziennie dysponować obiad nie tylko dla państwa, lecz i dla służby, mieć oko na pranie, na cerowanie bielizny, a przede wszystkim na gości, którzy przybywali na pewno w niedzielę, a niekiedy na chwilkę w dnie powszednie, trzeba było kręcić się od rana do wieczora. Do tego dochodził udój krów, sprawa drobiu i trzody chlewnej, ogrodów i inspektów, że już nie mówię o dziatwie. Star-

czyło pracy dla wszystkich i jeżeli wspominam te czasy, mam zawsze przed sobą mężczyznę podczas lata harującego od rana do wieczora, panią domu wciąż krzątającą się, dorastające córki także nie próżnujące, a młodzież męską mającą dosyć zajęcia. Takiej pracy nie oglądałem w miastach w domach inteligencji. Dopiero zima oswobodzała dom od ciągłej krzątaniny. Zatem upadku gospodarstwa nie podobna kłaść na karb gnuśności. Były inne przyczyny. Nade wszystko brak rzutkości i nieumiejętność przystosowania się do zmienionych warunków. Kapitałów nie było, w ogóle ziemianin *en masse* nigdy nigdzie nie należał do klasy zasobnej w leżące kapitały. Zawsze pożyczał i zawsze był obdłużony po uszy, niekiedy z powodu różnych fanaberii, a niekiedy spłacał rodzeństwo. Cenił grosz i lekceważył go jednocześnie: żałował sobie na ubiór, stawał w drugorzędnym hotelu, ale starając się o rękę jakiejś córy ziemiańskiej musiał kupować przynajmniej parę cugowych koni, nie oparł się przepłaceniu jakiegoś charta czy wyżła, a przede wszystkim obchodom takim, jak chrzty dzieci, wesela, o kartach nie mówię. W miarę jak warunki gospodarowania stawały się bardziej złożone, wymagające większej rzutkości, tracił głowę. Niekiedy miotał się jak opętany, imając się takiej hodowli lub innej, uprawy takich roślin lub innych. Mam przed sobą jakby żywe obrazy dużego dworu, a właściwie pałacu na Litwie. Muszę dodać, że zarówno mąż jak i żona wprost grzeszyli nadmiernym wysubtelnieniem, tak dalece iż nie mogli się zdobyć na powiedzenie prawdy w oczy złodziejom, którzy ich okradali. Niemiło im się robiło, iż mają robić komuś przykrość. Majątek duży, olbrzymie lasy, które właściwie dostarczały środków utrzymania. Mąż niezdolny do wysiłku systematycznego: po paru godzinach pracy umysłowej czuł się znużony. Kupił majątek podstawiając inne osoby, jak to bywało na Litwie w ostatnich dziesięcioleciach przed wybuchem rewolucji. Szlachcie polskiej wolno było wtedy sprzedawać ziemię, ale nigdy kupować. Dokonał więc tego na imię rządcy czy ekonoma, nieszlachcica. Ten przywłaszczył sobie kupiony folwark, a ów ktoś unikał jakiejkolwiek rozmowy z przywłaszczycielem i zwrócił się do innych osób, gdyż nie mógł się zdobyć na to, ażeby wytknąć mu łajdactwo. Dochody z majątku były nad wyraz skromne. Próbował pan hrabia prowadzić hodowlę pstrągów, która się nie powiodła, bo w jałowej Dubissie i stworzonej łasze pstrągi wymierały z głodu. Założył papiernię, ażeby przerabiać trociny i inne odpadki drzewne, których dużo się gromadziło w lasach. Rzecz tak samo się nie powiodła. Życie w domu było nad wyraz skromne. Latem zsiadłe

mleko z kartoflami było niemal codzienną potrawą na obiad. Do tego dochodziły inne przetwory gospodarstwa domowego. Ażeby utrzymać służbę w jakich takich ryzach, pani domu, niewątpliwie typ sympatyczny, o ile chodzi o jej uczuciowość (o przekonaniach nie mówimy — te są tutaj rzeczą obojętną) — wysyłała służbę swoją jak najczęściej do spowiedzi. Konfesjonał miał być środkiem zapobieżenia nadużyciom. Innego środka nie umiała znaleźć, a właściwie nie umiała użyć. Naturalnie, ani chwili nie myślę twierdzić, iż tacy ludzie byli zjawiskiem powszechnym. Na to trzeba było posiadać kilka tysięcy dziesięcin. Natomiast ziemianin, posiadający 10, 20 czy nawet 30 włók, z konieczności był wolny od takiego sentymentalizmu. Od młodości, jako wyrostek 12—13-letni, o ile był w szkołach, to przynajmniej latem zaprawiał się do przyszłych swoich obowiązków: stykał się z parobkami i najemnikami, uczył się rozkazywać, i niekiedy rozkazywać w sposób brutalny. Posługiwanie się szpicrutą albo nawet ręką nie było rzadkością. Nawet pani domu niekiedy umiała młodą posługaczkę wyrzucić przez okno w porywie gniewu, może nawet słusznego. Ziemianin średnio zamożny nie potrzebował szukać pomocy w instytucji spowiedzi, lecz twardo i stanowczo dawał polecenia. Inna rzecz, czy polecenia te zawsze były celowe, jeżeli chodzi o gospodarstwo. Pokutował nieraz za swoją popędliwość: parobcy umieli się mścić podpalając budynki gospodarskie. W latach siedemdziesiątych, gdy stykałem się częściej ze wsią, słyszałem o nierzadkich wypadkach tego rodzaju. A więc nie zbywało dworom na pracowitości ani na umiejętności rozkazywania. Zbywało na potrzebnych funduszach do gospodarowania po uwłaszczeniu, kiedy trzeba było płacić gotówką za wszelką robociznę. Ale jak pozyskać tę gotówkę? Cała przeszłość stwarzała dziwną jakąś atmosferę. Obywatel, siedząc z ojca i dziada na gospodarstwie, gospodarując według doświadczeń przez nich przekazanych, pewny był, że póki pracuje, będzie miał kawałek chleba i będzie siedział na ojczystym zagonie, nie zaprzątał się nawet sprawdzeniem, ile przestrzeni obejmuje jego majątek. Od ojca wiedział, że ma obejmować, dajmy na to, włók 20. A przynajmniej coś około tego. Na taką liczbę włók brzmiała ocena majątku przy ostatnim kupnie i prawdopodobnie przy wcześniejszych. Wierzył temu. Kto by mu kazał wzywać geometrę i płacić za dokładny pomiar! A tymczasem gdy po roku 63 dawni właściciele masowo wylatywali ze swoich majątków lub sprzedawali je na parcelacje, wychodziło na to, iż folwark posiadał o wiele większy obszar. Wiem o wypadku, gdzie majątek sprzedany jako posiadający 20 włók

miał o kilka więcej, na czym skorzystał spekulant, polujący na takie okazje, które miały być dość częste. Parcelacja była zjawiskiem codziennym, przynajmniej w okolicach, o których mogłem słyszeć w dzieciństwie, a więc w obrębie ówczesnej gubernii płockiej. Zresztą w tym okresie, a więc około r. 1870, do parcelacji szły przede wszystkim wielkie dobra. Istnieli spekulanci, którzy kupowali majątek bardzo nisko, zwłaszcza gdy chodziło o spłaty. Mieli swoich geometrów i całe sfory naganiaczy, którzy działali pomiędzy chłopami w sąsiedztwie parcelowanego majątku, a niekiedy nawet w dalszych okolicach, i namawiali do kupna. Pierwszą ofiarą spekulantów padał las. Słyszałem o wypadkach, kiedy sprzedaż drzewa pokrywała cenę całego majątku. Nazwisko jednego ze spekulantów pamiętam dzisiaj — był to niejaki Rau, syn kolonisty Niemca. Ojciec jego miał chatę i grunta we wsi Bulkowo, na gościńcu prowadzącym z Płocka do Płońska i Wyszogrodu. Podobno podczas powstania był szpiegiem rosyjskim. Sympatycy powstańców, może sami powstańcy, napadli na chatę, lecz nie znalazłszy właściciela, podpalili ją. Rau jednak był w chacie, wdrapał się w komin, skąd wyszedł podobno mocno poturbowany, ale żyw. Powiadano, że syn jego dorobił się milionów — jakich milionów, rubli czy złotych ówczesnych, tego powiedzieć nie umiem. Co się stało z tym spekulantem, także nie wiem. Natomiast inny spekulant, niejaki Wernik, dorobił się dużego majątku i w nim gospodarował, gdy wyjazd do uniwersytetu i sprzedaż przez matkę Petrykoz odcięły mnie od wsi. Wymieniano także bankiera Fogla w Płocku, który dorobił się dużej fortuny przez odwoływanie się do pomocy tego rodzaju spekulantów-parcelatorów. Zresztą, nie tylko Płockie było widownią tego rodzaju działalności. Już w początkach XX wieku słyszałem o fortunie 2-milionowej w Lubelskiem, zrobionej na parcelacji. Sprzedaż na parcelację była dobrowolnym opuszczeniem majątku. Były i niedobrowolne wyjścia. Jedne i drugie wyrzucały na bruk miejski ludzi może rutynowanych, ale umiejących krzątać się na roli. Naturalnie, mam na myśli tych, którzy zostali wyzuci z majątku nie dzięki trwonieniu pieniędzy na karty, życiu nad stan, wyjazdom za granicę, ale zostali wysadzeni z ojcowizny pomimo pracowitości swojej, ponieważ byli niezdolni podołać wymaganiom okresu pouwłaszczeniowego. Znaleźć zarobek było im ciężko: nie mieli żadnego fachu w ręku, ze szkół wyszli z jakiejś III, IV, V klasy, ale z bardzo małym zasobem nauki. Imali się różnych zajęć. Ustosunkowani czepiali się Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, jedynej instytucji polskiej w Płocku mogącej dać utrzyma-

nie w owych czasach. Inni, a właściwie ich żony, otwierają stancje, tj. biorą kilku, a nawet kilkunastu uczniaków ze wsi. W ten sposób pokrywają koszty całego mieszkania i mają dla siebie utrzymanie. Niektóre z pań otwierają sklepiki, a z tych sklepików pocznie się niebawem pierwszy powiew antysemityzmu. A kiedy otworzono kolej nadwiślańską z Warszawy do Mławy, żartowano, iż obsługują ją konduktorzy spośród zbankrutowanej szlachty miejscowej. Najgorzej uposażeni, ci, którzy nie mogli nawet łożyć na kształcenie dzieci, oddawali je do rzemiosła lub na subiektów w nielicznych handlach polskich. Niektórzy staczali się w męty.

Sygietyński odtworzył jedną z takich sytuacji w utworze *Wysadzony z siodła*.

Podobny przełom dokonywał się w miastach pośród urzędników. W parę lat po uśmierzeniu powstania rozpoczyna się wyrzucanie Polaków, najpierw ze stanowisk administracyjnych wyższych, później rugi dotrą do różnych kancelistów, woźnych. Po nich przyjdzie kolej na sądownictwo, na kolejarzy, z chwilą dokonania wykupu kolei przez państwo, a w czasach ostatnich przed wojną do robót prowadzonych za pieniądze państwowe lub miejskie zaczęto sprowadzać artele robotnicze z Cesarstwa, i urzędnicy, przynajmniej w znacznej części, nie byli zdolni do znalezienia sobie jakiegoś zajęcia. Z jednej strony — ponieważ nie posiadali żadnego fachu, a po wtóre skutkiem tego, że w ogóle w mało rozwiniętym podówczas pod względem gospodarczym Królestwie niewiele było miejsc do rozporządzenia; zwłaszcza ciężkie było położenie urzędników bardziej podeszłych w lata, a mających na przeżycie bardzo skromną emeryturę. Emerytury były skromne, gdyż i same pensje były niewielkie. Kancelista pobierał jakieś 15 rubli, naczelnicy wydziałów, sędziowie — po kilkadziesiąt. Naturalnie, radzono sobie w rozmaity sposób: zakładano sklepiki, spełniano role faktorów, przyczepiano się gdzieś do rejenta lub adwokata w charakterze dependenta, próbowano otwierać stancje dla uczniów, choć z mniejszym powodzeniem niż wśród wykolejeńców ze wsi — z braku odpowiednich stosunków i znajomości. I tutaj, jak i wśród wyzutych z majątku obywateli ziemskich, kobiety wykazywały hart większy od mężczyzn. Gdy to mówię, wypływa przede mną rodzina Czyżewskich. On — guwerner, niegdyś w domu Mościckich, dziadów b. Prezydenta. Pozyskał wzajemność panny Mościckiej i poślubił ją pomimo oporu rodziny. Czyżewski pracował w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim na stanowisku bardzo nieznacznym. Ciężar utrzymania domu i wychowania

dzieci spoczął na żonie. Mieszkali gdzieś na ulicy Zduńskiej. Pani Czyżewska sama chodziła po zakupy. Uczyła się wraz z dziećmi, żeby im dopomóc w naukach bez korepetytora. Obszywała je i łatała ich odzież. Dzieci chodziły zawsze czyste. O tych cnotach gospodarskich pani Czyżewskiej było głośno w Płocku (jedna z jej córek później wyszła za mąż za swojego ciotecznego brata, późniejszego Prezydenta). I niejedna taka istniała Czyżewska wśród dawnych pań dworu, wyrzuconych na bruk miejski, lub urzędniczek, których mężowie utracili posady. Różnica była w tym, że nie wszystkie umiały utrzymać taką czystość w domu — u niektórych brud wżerał się w każdą rzecz. Niektóre ratowały się umiejętnością szlachecką — pożyczaniem i nieoddawaniem: zarywano sklepiki, służące, korepetytorów. Ale polityka taka na bruku miejskim starczyła na krótką metę. Prędzej czy później — kredyty urywały się, a sytuacja stawała się tym gorsza, iż opinia publiczna w niewielkim mieście umiała być groźna.

Na zakończenie pozwolę sobie podać obrazek losów wykolejonej rodziny szlacheckiej. W r. 1894 wyjeżdżałem z żoną latem na Litwę, a chcąc zabezpieczyć się przeciwko złodziejom, którzy odwiedzali mieszkania pozostawione bez opieki, oddałem bez żadnego wynagrodzenia mieszkanie rodzinie, a właściwie kobiecie z paru córkami, która świeżo wyzuta z majątku w Lubelskiem znalazła się na bruku w Warszawie. Rekomendowała mi ją moja daleka kuzynka, stara panna, przed laty kilkunastu tak samo wyzuta z ziemi. Z czego te kobiety w ciągu paru miesięcy żyły, nie mam pojęcia. Jedynie stróż, gdy wróciłem, ironicznie zaznaczył, że te panie jedzą kartofle zamiast chleba, a kluski od święta. Nic nie zginęło. Pozostało dużo brudu i zaczęły nadchodzić listy od jakiegoś kolejarza, od jakiegoś rewirowego, wyznaczającego schadzki matce, kobiecie przystojnej, około lat czterdziestu. Gdy opowiedziałem o tym owej kuzynce mojej, ta ze łzami w oczach odrzekła: „Rozumiem, z czego utrzymuje dzieci...“ Wśród dzieci była pannica jedna lat 16, druga lat 15 — jaki los je dalej czekał, nie wiem. Jedynie w jakiś rok później spotkałem na ulicy matkę, która przemknęła się obok mnie z jakimś pakunkiem w ręku, wychudła, z wyraźną warstwą różu na policzkach. Z całego jej zachowania się odniosłem wrażenie, że przyśpieszyła kroku, jak gdyby mnie unikała.

Słowem, we dworach odbywał się przełom duży — dawni właściciele znikali, nowi się zjawiali. Powstawali z drobnej szlachty, pośród oficjalistów, z rodzin, gdzie któryś z członków został księdzem

proboszczem, a tym bardziej zajął jakieś wyższe stanowisko. Działo się tak od dawna — dostojnicy Kościoła, którzy w dzieciństwie pasali prosiaki w zaściankach szlachty zagonowej, podciągali swoje rodziny na wyższy poziom, nawet aż pomiędzy arystokrację. Taki jest bodaj początek jednego odłamu Łubieńskich i Ostrowskich. Tak działo się i w wieku XIX. Płoscy, Budnowie w ten sposób przedostawali się pomiędzy zamożne obywatelstwo — byli to ludzie inni: ruchliwi, energiczni, umieli zgoła inaczej gospodarować. A wśród tego upadania jednych rodów i wznoszenia się innych odbywała się do Lubelszczyzny wędrówka z Łowickiego, dzielnicy niezgorzej zagospodarowanej, w której ceny ziemi stały wysoko. Ziemia była tam tania, warunki pierwotniejsze i, mając pewien grosz ze sprzedaży majątku lub zaoszczędzony, można było tam zostać posiadaczem dużej fortuny.

Tak wywędrował jeden z Budnych, któryś z Kleniewskich, a dzięki umiejętnościom gospodarskim na nowym terenie obaj stali się protoplastami domu o dużej zamożności. W liczbie takich wychodźców do ziemi obiecanej, ale bodaj bez wystarczających środków, a może bez dostatecznej rzutkości, był stary Mościcki. Był w Płockiem dzierżawcą większego folwarku. Widocznie nie bardzo poszło mu na nowym miejscu. Żaden z Mościckich przy nim się nie utrzymał, choć było paru braci, i majątek przeszedł w ręce zięcia, niejakiego Bożuchowskiego, człowieka miłego, który około r. 1889 pracował w Płocku w firmie tytoniowej i u którego wypadło mi raz i drugi nocować w niekoniecznie legalnych moich wędrówkach.

Wracamy jednak do rozbitków stanu miejsko-urzędniczego zarówno jak i wyrzuconych z dworów i dworków wiejskich.

Czekają potomków ich różne przygody: imanie się plugawej miarki i łokcia, nabywanie umiejętności rzemieślniczej, a w dalszym ciągu wsiąkanie pomiędzy tworzący się proletariat przemysłowy. W czasach uniwersyteckich wypadło mi podtrzymywać stosunki z wychowańcami szkoły technicznej przy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, bywać na ich zebraniach i miewać tam referaty. Byli to przyszli maszyniści kolejowi, wykwalifikowani pracownicy warsztatowi, niekiedy konduktorzy i niżsi funkcjonariusze na stacjach. Większość była z pochodzenia niewątpliwie szlachtą lub dziećmi byłych urzędników miejskich. W ogóle zawody fabryczne, wymagające kwalifikowanego przygotowania, a więc paroletniej nauki w jakimś warsztacie, a zatem ślusarze, tokarze, stolarze, tym bardziej rysownicy itd., w znacznej części pochodzili z rozbitków. Zresztą rozbit-

ków z różnych epok, bo — o ile mogłem wnioskować ze znanych mi wypadków — taka degradacja odbywała się w następstwie podziałów Polski, a więc zniesienia starostw, zniknięcia świt pańskich. Wypadki po r. 1830 dostarczają nowej fali rozbitków, choć nie tak licznej. Wreszcie przewrót po r. 1863 mnoży takich robotników w obfitości. Kiedy Łódź ze swoimi wymaganiami niewykwalifikowanej pracy w przędzalniach i tkalniach, kiedy wzrastające Zagłębie ze swoim zapotrzebowaniem sił fizycznych zapełniają się uchodźcami z chat włościańskich, to rzemiosła, a później niektóre działy, takie jak hotele, cukiernie, restauracje, pęcznieją w swoich działach wykwalifikowanych, a niekiedy nawet i niewykwalifikowanych, od potomków warstwy ongi uprzywilejowanej. Mam przed sobą, że tak powiem, *cursus laborum* paru rodzin. Oto rodzina zajmująca w herbarzu Niesieckiego półtorej stronicy, pomimo że była pochodzenia kresowego — w ogóle Niesiecki z wyjątkiem rodów magnackich i półmagnackich nie odznaczał się znajomością tamtejszych koligacji. Że mamy do czynienia z rodziną tam wymienioną, o tym przekonał mnie jeden z przedstawicieli tego nazwiska, pokazując mi odpisy dokumentów przedstawionych do heroldii, z dokumentem ostatnim, kończącym się na jakimś podstolim. Na początku XIX w. było tam paru braci stryjecznych. Jeden z nich zostawił 2 synów, z których jeden był kanonikiem, drugi ożenił się nieszczęśliwie, choć czym był, dzisiaj nie pamiętam, a żona jego, pijaczka, włóczyła się jako żebraczka ze wsi do wsi, żebrząc, pijąc i prawdopodobnie prowadząc się niezbyt przykładnie. Drugi z mężczyzn tego nazwiska był urzędnikiem, zjadł posag żony, zjadł swój mająteczek, a spośród synów jeden został geometrą, drugi oddany został do warsztatu stolarskiego; zwichnięty przez namiętność gołębiarską, nie posunąwszy się wyżej nad jakieś 2 klasy gimnazjum, stawiał opór stanowczy wszelkiej nauce. Syn geometry najstarszy utrzymał jako tako stanowisko nieco wyższe, w charakterze drobnego urzędnika. Drugi był pospolitym piekarzem w piekarni cukierniczej i gdzieś zaginął. Córki, a właściwie ich potomstwo, było wciąż na pograniczu robotnika fizycznego, niewielkiego urzędnika lub drobnego przedsiębiorcy.

Inna rodzina, której dzieje wyśledzić mogę od jakiegoś r. 1650. Bracia stryjeczni, dwóch rodzonych braci — jeden z nich uciekł po r. 1863 do Galicji, tam zostaje profesorem uniwersytetu, drugi — dość majętnym przedsiębiorcą. W Warszawie jeden tego nazwiska jest lekarzem, drugi lub syn drugiego ma w pewnym okresie kantor bankierski, a syn jego został ekonomistą i posłem do jednego z pier-

wszych sejmów Niepodległej Polski. Inny przedstawiciel tego rodu, stryjeczny poprzednik, wraz z młodszym bratem znalazł się bez środków po przedwczesnej śmierci ojca. Młodszy brat poszedł na praktykę do tapicera i co najwyżej zostałby pospolitym rzemieślnikiem, tapicerem, gdyby nie śmierć, która go wcześnie zmiotła. Starszy, który skończył szkołę, był pewien czas rejentem, ale z powodu niedbałego spełniania swoich obowiązków stracił to stanowisko, potem pracował jako dependent u któregoś z rejentów, rozpił się kompletnie i umarł gdzieś w szpitalu. Córki jego utrzymywały się z nauczycielstwa, jako panny sklepowe lub szwaczki. Jedna wyszła potem za prostego ogrodnika, człowieka pełnego inicjatywy, który dorobił się milionowego majątku na Kresach i został tam rozstrzelany jako burżuj o dużych pieniądzach.

Oto właściciel dużego majątku, chwalił się, iż trzymał ongi 16 koni cugowych. Tam za jego pośrednictwem poznałem bodaj ostatniego z podstarościców polskich, człowieka 80-letniego, lubiącego opowiadać. Mocno żałuję, że niewiele utkwiło w mojej pamięci. Rodzice odumarli go wcześnie, był wychowywany przez swoich kuzynów (dom półpański), ale bodaj trzymany raczej w kuchni, w przedpokoju niż w pokojach. Jakoś się zdarzyło, że dom ten wymarł i stał się on jedynym spadkobiercą. Kazał znieść wszystkie portrety ojców, dziadów, nawet pradziadów swoich kuzynów-wychowawców, a było tego kilkanaście sztuk, oparł je na stosie przygotowanych drzew i puścił z dymem ich wizerunki.

Ale wracam do owego posiadacza 16 koni cugowych. Był przede wszystkim spekulantem. Majątek, zdaje się, mocno obdłużony, sprzedał i zaczął budować domy w mieście. Te domy zamieniał na inne domy itd., zawsze w długach po uszy i zawsze według szlacheckiej praktyki: zamienił stryjek za siekierkę kijek. Stracił majątek własnych swoich dzieci, drugiej swojej żony i pasierba, wykwitował z niczym różnych niepełnoletnich, którzy byli pod jego opieką, i wreszcie rozpił się, a z czego się utrzymywał — doprawdy nie wiem. Syn jego idąc śladem ojca nie rzucał wprawdzie jak ojciec o świcie z okien klubu garściami pieniędzy, ale przeszulerował swoje lata uniwersyteckie. Chuchany w domu, otoczony guwernerami, był zadowolony, że otrzymał miejsce urzędnika akcyzy, kontrolującego wyroby w jakiejś fabryce tytoniu. Z dzieci jego jeden syn był podobno zecerem, o innych nic nie wiem. Stary ojciec, dotknięty taką karierą syna, odgrażał się: „Gdybym miał teraz syna, nie oddałbym go do żadnych szkół, tylko jakiemuś Żydowi na wychowanie“.

I wśród tej rozmaitości dróg, którymi parły rodziny wyrzucone z dworów lub pozbawione środków utrzymania z powodu usuwania urzędników-Polaków, jedne prowadziły do jakiego takiego utrzymania się na powierzchni życia, inne utykały w świecie pracy rzemieślniczej i w ogóle najemnej, zarówno fizycznej jak częściowo lub całkowicie umysłowej. Niektórzy, w nielicznych odsetkowo wypadkach, ginęli wśród mętów społecznych. Istniała jeszcze jedna droga dla młodzieży wyrastającej wśród kłopotów o każdy grosz: zwrot ku radykalizmowi społecznemu.

Pozwolę sobie uprzytomnić to przechodzenie od marzeń zacisznego, bogobojnego dworu w objęcia radykalizmu na jednym przykładzie. To rodzina R-skich. Zastęp panien R-skich, ów cały K o r e s p o n d e n t P ł o c k i, przesunął się już przed nami na poprzednich stronicach. Z najstarszych jedna wyszła za Stodołkiewicza, wybitnego matematyka, nauczyciela w gimnazjum płockim; druga podobno pracowała w telefonach w Łodzi jako jedna z wyższego rzędu pracowniczek. Co z innymi się stało, nie wiem, oprócz średnich, które wypływają w Warszawie w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. A wypływają w świecie ówczesnym pepeesowskim. Jedna z nich, narzeczona Czesława Hulanickiego, zaprawiała się do działalności radykalnej przy jego boku. Razu jednego zatrzymała mnie na Marszałkowskiej i tu bez żenady wydobyła jakoś zza stanika bibułę, aby mi ją doręczyć. Był to świeżo odbity, jeszcze mokry numer R o b o t n i k a. Później poślubia Witolda Jodko-Narkiewicza i weszła w wielki świat działalności socjalistycznej na emigracji, który zresztą mniej ją obchodził jako świat jakiejś idei, więcej jako możliwość uprawiania flirtów. Dużej urody, niekiedy rozchodziła się z mężem na lat parę, po czym małżonkowie godzili się i żyli wspólnie nadal. Inna została żoną Jana Lorentowicza, który w Płocku zdawał maturę — okoliczność też świadcząca o zżyciu się jej z radykalizmem, choć w kołach radykalnych bodaj jej nie spotykałem. Jeszcze inna, Paulina, najbrzydsza ze wszystkich córpana R-skiego, wyszła za mąż za dawnego narzeczonego siostry, Jodkowej, za Czesława Hulanickiego, urodzonego pieniacza, który, należąc do świeżo założonej PPS, potem prawował się z tą partią jak i ze wszelkimi ugrupowaniami i partiami. Zresztą jest to postać, której należy się więcej miejsca w moich wspomnieniach, jako ciekawemu typowi. Paulinę spotykałem dosyć często. Była sekretarką radykalnego związku nauczycielskiego, którego byłem przewodniczącym. Godnie wtórowała mężowi w jego czynach. W ogóle

była w pieniactwie zgodną i wierną małżonką. To z jednym, to z drugim z małżonków byłem na bakier, to znowu w jakiej takiej zgodzie. Aż wreszcie w r. 1917—18 znajomość nasza skończyła się.

*

Jest to przykład niezbyt udany. Radykalizm polegał głównie na tym, iż wnuczki dawnych posesjonatów wychodziły za mąż za ludzi czerwonych przekonań. Ale nie wchodziły czynnie do walki o inne jutro, prócz Pauliny. Lecz były i dziewczęta, które całkowicie oddały się temu. A więc takie siostry Grużewskie, Aldona i Grażyna. Pochodziły z zamożnego rodu Grużewskich, posiadającego liczne majątki na Żmudzi. Siedzieli wtedy w miastach Kelmy i Kurszany, w Pilemoncie i Młodzianowie.

Wymienione siostry były z Młodzianowa — w przededniu likwidacji tego majątku. Aldona przykładała się do medycyny w Petersburgu na kursach medycznych żeńskich, była przesiąknięta, że tak powiem, *savoir-vivre'em* radykalizmu rosyjskiego, a więc nosiła krótkie włosy, prostą, ciemną sukienkę i bodaj nawet na wzór Wiery Zasulicz może przykładała się bardzo do medycyny, ale niezbyt do wody i mydła.

Takimi też były Płaskowickie, piękne, entuzjastyczne postacie. Ale na razie nie chodzi mi o tego rodzaju typy inteligencji socjalistycznej. Chciałbym zwrócić uwagę na robotników pochodzących ze szlachty lub ziemiaństwa. Mnóstwo ich jest jeszcze w kółkach socjalistycznych. A więc Kobylańscy; jeden z nich zdołał uciec przed aresztami, inny przeszedł potem do „Narodnej Woli". Następnie Bojte z Mławskiego, zastrzelony w Cytadeli przez żołnierza stojącego na posterunku; Wacław Sieroszewski, podówczas ślusarz zapisany do szkoły technicznej, mój kolega gimnazjalny Leon Bielecki, który nie zdołał wygramolić się z drugiej lub trzeciej klasy, Henryk Dulęba, występujący później w procesie „Proletariatu".

Wszystkie nazwiska są wzięte ze stosunkowo niewielkiej liczby robotników aresztowanych w r. 1878. Z biegiem czasu liczba aresztowanych robotników szlacheckiego pochodzenia skurczyła się w stosunku do tych, którzy nie mieli tak wspaniałych rodowodów. Nie zatrzymuję się nad potomkami zbankrutowanych rodów, którzy występowali w charakterze inteligencji. Zbyteczne mówić, że liczba ich odsetkowo była poważna. Udział żywiołów tego rodzaju jest zgoła naturalny. Ci entuzjaści znaleźli się w podatnych warunkach, żeby odkryć wszystkie krzywdy uciskające tych, którzy są w nędzy lub

w jej pobliżu. Z dzieciństwa swego, ze stosunków swojej rodziny, które, acz wątłe, przecież istniały, mieli pojęcie o pewnym dobrobycie i towarzyszących mu dniach beztroski, przynajmniej tej beztroski, kiedy nie trzeba troszczyć się, czy są pieniądze na obiad, czy buty są bez dziur, a spodnie bez łat. W umysłach głębszych, zwłaszcza jeżeli taka umysłowość idzie w parze z naturą buntowniczą, przeciwieństwa pomiędzy myślą o zapewnionym jutrze a kłopotami własnej rodziny występowały jaskrawo.

Umysł stawał się podatny do przejęcia sądów krytycznych o ustroju społecznym. A pamiętajmy, że był to okres, gdy zagadnienia społeczne w związku z protestem politycznym wysunęły się na pierwszy plan życia społecznego Rosji.

Potężne te prądy zapałem uczestników, ich poświęceniem, niekiedy graniczącym z istotną ascezą, wtargnęły przez Wilno i Kijów do Warszawy i przybierały charakter jak gdyby epidemii umysłowej. W każdym razie i ci, którzy byli tylko chwilowymi farysami, a później odbiegli szlaków uniesienia społecznego, spełniali swoją rolę, wnosili w urastający ruch robotniczy nie tylko swój entuzjazm, ale i inne wartości, jak poczucie honoru. Honor ten był jak gdyby rozszerzonym stosowaniem przykazania z życia szkolnego: „Choćby cię smażono, gotowano w smole, nie powiadaj, pacholę, co się dzieje w szkole". A więc honor trzymania języka za zębami. Dla niektórych zarówno inteligentów jak i robotników trudny do urzeczywistnienia w stosunku do przyjaciół: są ludzie gadatliwi — znałem takich — kompletnie nie mogą się w pewnych okazjach oprzeć świerzbiączce języka i nie pochwalić się, iż są nie byle jacy tacy chłopcy z konspiracji. Za to, gdy chodziło o utrzymanie tajemnicy przy badaniach przez żandarmerię, honor ten działał w całej pełni. Były naturalnie różne kazusy. Ktoś, człowiek na wskróś uczciwy, niezdolny do kłamstwa, które niekiedy było nieodzowne podczas śledztwa, zaplątał się w swoich zeznaniach i powiedział więcej, niż potrzeba. Ale zwykle tacy, znalazłszy się w pułapce, odmawiali dalszych zeznań i po nauczce skupiali się w sobie. Może paru zaledwie — mógłbym ich wyliczyć na palcach jednej ręki — stoczyło się w przepaść. Na ogół liczba ludzi, którzy, uczestnicząc w ruchu, podczas badań przez żandarmów zaczynali „śpiewać", np. Puszczyk-Rodziewicz, była odsetkowo bardzo nieznaczna. Informacje żandarmeria otrzymywała od uczestników, jak Huzarski [20], którzy od początku byli w służbie politycznej rosyjskiej. Tę stronę polskiego ruchu, która wydawała mi się całkowicie naturalna, oceniłem dopiero po rozmowach z rewo-

lucjonistami rosyjskimi, którzy z całą mocą podkreślali różnicę pod tym względem pomiędzy ruchem polskim a rosyjskim.

W Rosji oprócz niewielkiego grona ludzi, którzy w ciągu lat zahartowali się w walce i wyćwiczyli się w obowiązku milczenia, nie można było być pewnym, czy ktoś nie załamie się w ten lub inny sposób. A „czystoserdeczne“ spowiedzi niektórych dekabrystów? Załamywali się nawet ludzie, którzy ważąc się na pewien czyn wiedzieli, że idą na śmierć. Mam tutaj na myśli Rysakowa, który rzucił niefortunną bombę na Aleksandra II, i dopiero Polak Hryniewiecki był szczęśliwszy, choć szczęście swoje przypłacił życiem na miejscu. Rysakow z miejsca zaczął wydawać. Co więcej, objeżdżał w dorożce Petersburg w towarzystwie odpowiednich osób, wypatrując wśród publiczności na chodniku, czy nie dostrzeże kogoś ze znajomych ze sprawy konspiracyjnej. Rewolucjoniści rosyjscy inne zachowanie się Polaków, przynajmniej w sprawach mniejszej wagi, gdy chodziło o tzw. drobiazgi rewolucyjne, przypisywali dość licznej obecności osób pochodzenia szlacheckiego. A rzecz najciekawsza, iż ten pogląd wypowiedział... Lew Tichomirow [21] na jakieś dwa, trzy lata przed swoją spowiedzią „czystoserdeczną“ i skruchą wiernopoddańczą. Pozwolę sobie przytoczyć rozumowanie jednego z rewolucjonistów rosyjskich, z którym rozmawiałem w Kijowie i który, mając do czynienia z konspiracjami rosyjskimi i jednocześnie polskimi, w ten sposób przeprowadzał różnicę pomiędzy jednymi i drugimi. Między innymi, w rozmowie swojej po wywodach, które brzmiały mniej więcej jak powyżej przeze mnie wypowiedziana charakterystyka, dodał: — „Jedynie Kozacy u nas na ogół zachowują się przyzwoicie“ — i przytoczył zdarzenie następujące. W ruchu rewolucyjnym uczestniczył syn jednego z Kozaków, bodaj jakiegoś pospolitego szeregowca. Ojciec był monarchistą do szpiku kości, mówił o rewolucjonistach z pianą na ustach — i oto syn jego przylgnął do tych wyrodków. Ukrywał coś w swoim pokoju, mieszkając przy ojcu. Rewizja, a po niej aresztowanie młodzieńca. Ojciec otrzymuje pozwolenie na krótką rozmowę w cztery oczy. „Jesteś łajdakiem, a właściwie wyrodkiem (rosyjskie „izwierg“), zhańbiłeś ród nasz, który zawsze wiernie służył cesarzowi. Pamiętaj, nie przyspórz mu dalszej hańby podłym zachowaniem się w więzieniu. Bierz na siebie winę i nie wskazuj przyjaciół“ (może nadałem odcień nieco inny niż w opowiadaniu, ale istoty rzeczy nie zmieniłem).

CZĘŚĆ TRZECIA

UNIWERSYTET

1878 1884

I

STUDENCKA MGŁAWICA

Przedstawicielstwem, które wiązało ogół młodzieży uniwersyteckiej i brało na siebie inicjatywę w sprawach pomniejszej wagi, była tzw. delegacja. W zasadzie składała się z przedstawicieli — po dwóch z kursu. A zatem medycyna posiadała 10 delegatów, prawo 8. Wydział historyczno-filologiczny, fizyko-matematyczny, przyrodniczy powinny były wysyłać również po 8, ale w tym wypadku praktyka rozchodziła się zupełnie z teorią. Wydział historyczno-filologiczny liczył bardzo niewielu słuchaczy, może 50—60, a śród nich bardzo znaczną część stanowili Rosjanie, zazwyczaj wychowańcy prawosławnych seminariów duchownych: ci seminarzyści nie mogli w zasadzie przebywać na uniwersytetach rosyjskich, jedynie uniwersytet warszawski stał dla nich otworem. Wydział przyrodniczy także nie był zbyt liczny, nie przewyższał liczebnością swoją wydziału historyczno-filologicznego, ale za to mieścił w sobie kwiat inteligencji studenckiej. Szli na ten wydział młodzieńcy, którzy dla nauki zapominali o karierze, którzy pracowali z entuzjazmem i którzy, wychylając się poza obręb swoich studiów, wnosili w życie uniwersyteckie, że tak powiem, wiele pobudki i zapału. I w końcu wydział fizyko-matematyczny liczny był niezmiernie na pierwszym i niekiedy na drugim kursie, przerzedzony na trzecim, a na czwartym składał się z 5, a niekiedy 10 studentów. Taka nieproporcjonalność obsadzenia różnych kursów na tym wydziale częściowo wynikała z tego, iż nie dość było pracy, aby przechodzić z kursu na kurs, ale trzeba było także posiadać odpowiednie wrodzone uzdolnienie. A przede wszystkim działała ta okoliczność, że słuchacze tylko jedną nogą tkwili w Warszawie. Większość przygotowywała się do wyższych zakładów technicznych w Petersburgu, a pozostając w Warszawie nie interesowała się zbytnio życiem studenckim; przy tym znajdował się tam spory zasób umysłów, że tak rzeknę, matematycznych, które z wyso-

kości logiki matematycznej nie czyniły różnicy pomiędzy zwyczajną publicystyką a naukami społecznymi i, zapatrzone w swoje wzory, obojętniały dla jakichkolwiek spraw. Chyba że sprawa zakłócała ich spokój. Wtedy stawali okoniem. W sprawach uniwersyteckich niewiele uczestniczyli. W ten sposób Koło delegatów oznaczało właściwie rządy medyków i prawników nad całym uniwersytetem, przy czym medycyna wyróżniała się radykalniejszym zabarwieniem. Przyrodnicy zajmowali stanowisko poważne, lecz, czując swoją słabość liczebną, zazwyczaj poprzestawali na wysyłaniu 4, 5 delegatów od całego wydziału. Przedstawiciele wydziału historyczno-filologicznego byli rzadkimi gośćmi — w liczbie jednej, dwóch osób, a matematyka wysyłała delegatów zazwyczaj od niższych kursów.

Tak więc skład delegacji w największym komplecie swoim, nie przewyższającym liczby 30—35 osób, zbierał się w mieszkaniach prywatnych, niekiedy w mieszkaniach koleżeńskich, np. w lokalu dwupokojowym na I piętrze z balkonem od ulicy Złotej, który zajmowali, jeśli się nie mylę, Michałowski i J. K. Potocki (Marian Bohusz). Zazwyczaj jednak były to mieszkania kolegów zamożniejszych, mieszkających przy rodzinie, np. mieszkanie Bolesława Hirszfelda za Żelazną Bramą, tuż przy wejściu do ogrodu Saskiego, obszerne, wygodne. Dopiero później, gdy rozogniła się walka przekonań w łonie uniwersytetu i rej wodzić zaczęły żywioły radykalne, delegacja opuściła salony zamożne i zaczęła się zbierać po różnych skromnych mieszkankach studenckich. W ogóle w ciągu lat czterech delegacja przekształciła kompletnie swój charakter: drogą naturalną opuszczania murów uniwersyteckich ubywało pokolenie stare rej wodzące a wychowane w widnokręgach pracy organicznej. Na jego miejscu ukazywały się żywioły młodsze, coraz silniej przesiąknięte hasłami walki o wolność ludu i konieczność rozrachunku z caratem. Nazwisk przedstawicieli Koła delegatów z różnych lat nie pamiętam, a przynajmniej nie umiałbym ich należycie wyszczególnić. Te nazwiska, które podam, ani nie obejmują wszystkich, ani nie liczą się z kolejnością lat. Z najdawniejszego pokolenia pamiętam spośród medyków Jakowskiego Mariana, znanego później lekarza, i Szczepana Zaleskiego, późniejszego profesora uniwersytetu w Tomsku, ale obaj należą już nie do tego grona, które spotkałem w pierwszym roku pobytu w Kole delegatów. Z innych nazwisk spośród medycyny pamiętam Gejsztora Tadeusza, Kwiatkowskiego Stanisława, Szymińskiego, Węcławskiego Witolda, Dymszę Henryka, późniejszego posła, Kijewskiego Franciszka, Sawickiego Bronisława, Bujwida Ottona, Zawadzkiego, chi-

rurga Andrzeja Ciechomskiego, Fidlera Henryka, Szemiota Wacława, Harusewicza Jana, Królikowskiego Stefana, Puławskiego Arkadiusza, Mieczysława Szmidta, Hertiga. Spośród prawników w pierwszym roku mego pobytu w Kole delegatów wpływową rolę odgrywał Franciszek Nowodworski i może Stanisław Van der Noot Kijeński. Z nazwisk innych studentów młodszych kursów pamiętam Śliwowskiego Józefa, Nowakowskiego Kazimierza, Konica Henryka, Bierzyńskiego Mieczysława, Koroway-Metelickiego Michała, Papieskiego *Leona*, *Wierzchlejskiego Romana*, *Kohna*, *Henryka Cederbauma*, adwokata, Misińskiego Antoniego, Wajdla Emila, Borkowskiego Marka. Spośród przyrodników najstarsze pokolenie reprezentują Michałowski i Potocki, z młodszych pamiętam Konica Józefa, Hirszfelda Bolesława, innych nie pamiętam. Spośród wydziału historyczno-filologicznego utkwiło mi tylko jedno nazwisko: Bierzyńskiego Ludwika. Spośród matematyków starszych roczników nie zastałem nikogo. Jako delegaci weszliśmy Wiener Szczepan i ja i pozostaliśmy na stanowisku w ciągu trzech lat, póki z powodu walki, która rozogniła się na uniwersytecie po śmierci Aleksandra II, nasz wydział, w ogóle spokojny i zachowawczy, nie rozstał się obcesowo ze mną i nie wybrał na moje miejsce Ujejskiego Adama. Z młodszych roczników pochodzili Zukowski Władysław, Ślizień *Jan*, *Przygodzki Henryk*.

Koło delegatów zajmowało się bieżącymi sprawami studenckimi, takimi jak urządzanie pogrzebów umierających profesorów lub bojkot pogrzebów, jak było w wypadku prof. Kowalewskiego, który, niegdyś towarzysz i przyjaciel Mickiewicza, ukarany razem z innymi — otrząsnął z siebie porywy młodości, zruszczał mocno i trzymał się z daleka od społeczeństwa polskiego. Innych spraw roztrząsanych na posiedzeniach Koła delegatów nie pamiętam. W każdym razie cała ta taktyka poruszała się po torach pracy organicznej: podniesienie poziomu nauki, praca nad oświatą i trzymanie się z dala od wystąpień natury politycznej. W pamięci wypływają jedynie dyskusje teoretyczne, bodaj w roku 1879, nad sprawą dostępu kobiet do uniwersytetu: medycy Gejsztor i Dymsza byli gorącymi zwolennikami tej sprawy, inni zachowywali się obojętnie. W każdym razie nie poruszano zagadnień zbyt żywych, wykraczających poza sferę życia studenckiego, gdyż moja niepamięć nie byłaby tak głęboka. Jednak nie ulega wątpliwości — Koło delegatów było zbiorem najpoważniejszych przedstawicieli młodzieży ówczesnej. Trzymało się z dala od urządzania jakichkolwiek balów: bale takie odbywały się, otrzymywano

z nich jakiś dochód, dzielono w jakiś sposób pomiędzy potrzebujących studentów, lecz od tego byli specjaliści, którzy całą swoją energię wkładali w te sprawy, jak np. Wybicki, ale którzy trzymali się z daleka od Koła delegatów. Naturalnie, niektórzy z delegatów jako osoby prywatne uczestniczyli w tych krzątaninach, np. Nowodworski, Kijeński i w ogóle prawnicy. Ale w Kole delegatów nie poczytywano im tego za jakąś zasługę. Przeciwnie, panował pogląd, iż tego rodzaju dochody najbiedniejszych studentów mają w sobie coś poniżającego. Tak samo nie zajmowano się sprawami teatralnymi, owymi masowymi zakupami biletów na galerię. Gdy chodzi o sprawy, których unikano, mam całą świadomość kierunków, w których szło Koło delegatów. Nie pamiętam jedynie spraw konkretnych, którymi się zajmowało. Że stroniono od zagadnień politycznych, jest rzeczą pewną. Niewątpliwie żandarmeria wiedziała o Kole delegatów i traktowała je jako nieszkodliwą zabawę. Kiedy podczas aresztów pierwszych socjalistów 1877 i 1878 roku aresztowano przyrodnika Głębockiego, który zwykle przewodniczył na posiedzeniach Koła, i między innymi zadano mu pytanie, czym należy tłumaczyć, że był przewodniczącym w Kole delegatów, ten w odpowiedzi podniósł ręce do swoich wąsów — a miał wąsiska olbrzymie — tym gestem odpowiadając, iż swoją powagę zawdzięcza tej ozdobie twarzy. I pytanie, i odpowiedź, którą uznano za wystarczającą, świadczą, iż Kołu delegatów władze nie przypisywały żadnej doniosłości. Rzecz zaczyna się przekształcać w roku szkolnym 1879—1880. Jak zwykle, corocznie, i w tym roku Petersburg zwrócił Warszawie pewną liczbę studentów, którzy ukończyli nauki i przybywali do kraju, żeby szukać zarobku, a jednocześnie podejmowali nową próbę utworzenia ośrodka propagandy socjalistycznej. W tym roku przybyli Kazimierz Sosnowski, bracia Tadeusz i Zygmunt Baliccy [1], Rodziewicz. Między innymi próbowali zbliżyć się z młodzieżą uniwersytecką, wziąć się do tworzenia kółek samokształcenia i oparcia przedstawicielstwa uniwersyteckiego na tych kółkach. Innymi słowy, chodziło o zastąpienie organizacji złożonej z różnych żywiołów ospałych pod względem politycznym, obojętnych — przez organizację żywiołów czynnych, ruchliwych, opozycyjnych. Sosnowski wziął na siebie porozumiewanie się z uniwersytetem. Sprawa kółek weszła pod obrady Koła delegatów. Spotkała się tu z zupełnym niezrozumieniem. I nie ma się czemu dziwić, przecież była zaprzeczeniem zasady delegackiej — była wysunięciem reprezentacji kół, mogących ogarnąć co najwyżej pewną część młodzieży, przeciwko zasadzie, która, przynajmniej w teorii, każdego studenta

robiła wyborcą. Roztrząsania projektów miały jeden tylko skutek: oto sam Sosnowski usiłował wycofać swój projekt, gdyż obawiał się zanadto rozgłosu około swego nazwiska, a przecież wtedy prowadził robotę o wiele poważniejszą i niebezpieczniejszą niż kwestia takiej lub innej ustawy reprezentacyjnej młodzieży uniwersyteckiej.

Sprawa oparcia reprezentacji uniwersyteckiej na kółkach samokształcenia miała niebawem wypłynąć w innej formie i z inną mocą. Pozostaje to w związku z pojawieniem się na uniwersytecie żywiołów socjalistycznych. Lata 1878—1880 były latami ciszy, a w każdym razie umiarkowanych haseł, opromienionych ideologią pracy organicznej. Kierownictwo ideowe było w rękach Gołębiowskich, Michałowskich, Potockich, młodzieńców dobrej woli, dobrych chęci, ale bynajmniej nie ludzi czynu i śmiałej, rewolucyjnej myśli. Areszty w r. 1877 i 1878 ogołociły uniwersytet z typów ruchliwszych, część ich uciekła za granicę i stanęła przed kratkami sądów przysięgłych w Krakowie, inna odbywała rekolekcje w X pawilonie. W końcu r. 1880 niektórzy z nich, uwolenieni, dostają się z powrotem do uniwersytetu, jak Mieczysław Brzeziński, jak Barański, Ludwik Dziankowski. Z drugiej strony, z gimnazjów wołyńskich i podolskich napływa młodzież, która na ławie gimnazjalnej znalazła się w obrębie wpływów rosyjskich, jak Franciszek Rojecki, jak Jan Ślizień. A nade wszystko przybywa potężna postać Stanisława Krusińskiego, który wyszedł już ze szkół silnie zradykalizowany, był wydalony z jednego czy dwóch uniwersytetów i przede wszystkim przedstawiał dużą siłę jako człowiek energiczny i namiętny. Był to ferment, który w różnych kierunkach zaczął oddziaływać na życie młodzieży uniwersyteckiej, podważając powoli ideologię pracy organicznej. Właściwie nie było żadnego jednolitego planu działania ani jednolitej ideologii. Tworzyła się jakaś mgławica, która z każdym rokiem rozrastała się, ale bynajmniej nie ujednostajniała. Byli tam ludowcy znaku włościańskiego, na których pokost socjalistyczny trzymał się, by w przyszłości odpaść: Bolesław Hirszfeld, Mieczysław Brzeziński; byli nihiliści typu rosyjskiego: Podolanin Rojecki, Jackiewicz i Wojniłowicz, cały Mariampol, byli patrioci, dla których socjalizm miał być środkiem ku obronie narodowości: Barański. Byli w końcu międzynarodowcy, którzy nie chcieli słyszeć o sprawie narodowościowej, co nie przeszkodziło niektórym z nich, jak np. Jentysowi, stać się kiedyś filarami endeckiej prawomyślności i endeckiego kołtuństwa. A przede wszystkim była wielka moc kolegów dobrych do wypitki i do wybitki, którzy tworzyli rdzeń młodzieży radykalnej, hołdowali po-

glądom opozycyjnym dlatego, że te dawały ujście ich energii czynu, pozwalały przy okazji wykłócić się, a nawet poawanturować się. I w umysłach wszystkie te różne nastroje wiązały się niekiedy w niedorzeczną jednię, ludowiec współżył z socjalistą, patriota kumał się z międzynarodowcem. W każdym razie różne nastroje kłębiły się i przelewały wśród młodzieży niby mgły poranne nad łąkami. Jedno było wszystkim tym nastrojom wspólne: wszystkie odbiegały od ścieżek pracy organicznej, wszystkie uznawały konieczność walki z caratem o prawa polityczne, wszystkie uważały lud za podstawę przyszłości, a pracę uświadamiającą nad nim za najpierwszy obowiązek obywatelski. Może w wysuwaniu tego radykalizmu dużo było pozy, tak jak w kapeluszach o dużych rondach lub w maciejówkach, ale poza była składnikiem podrzędnym, w głębi gorzał wielki entuzjazm, pałała wielka żądza czynów, a pośród czynów poczesne miejsce zajmowała rozprawa z caratem.

Niewątpliwie Krusiński był człowiekiem, który umiał nadać temu pojawiającemu się fermentowi kierunek i pchnąć go do konkretnych czynów. Do czynów, które leżały na linii wspólnych nastrojów. I ta wspólna taktyka pozostała w latach 1882-3, kiedy żywioły radykalne zaczęły nadawać ton uniwersytetowi. Jedynie w zakresie poglądów zaczęły się zarysowywać różnice. Ognisk inicjatywy powstało parę i Krusiński przestał być tą głową widomą całości opozycyjnej, tym bardziej iż natura namiętna w najwyższym stopniu brała w nim górę nad rozwagą, i wtedy nie grzeszył taktem. W każdym razie lata 1881 i 1882 pozostają pod znakiem jego inicjatywy. Zaczęło się od dwóch spraw, które wniosły wielkie roznamiętnienie. Z jednej strony— od propozycji Krusińskiego, żeby młodzież uniwersytecka wysłała adres z powodu rocznicy powstania listopadowego, z drugiej — od wniesienia na zebraniu kursowym medycyny wniosku, żeby oznaczono kwotę przeciętną na utrzymanie studenta, zdaje się rb. 20 lub 25, a całą nadwyżkę dochodów z domu każdy z medyków był obowiązany oddawać do kasy koleżeńskiej na pokrycie niedoboru do owej kwoty u tych, którzy nie mieli dostatecznych środków utrzymania. Pierwsza z tych spraw wywołała w Kole delegatów znaczną różnicę zdań. Pewna część, w tej liczbie Gejsztor i Dymsza, oświadczali się stanowczo za wysłaniem adresu, inni wychodząc z założeń pracy organicznej powstawali przeciwko temu. Koło delegatów jako koło nie zajęło żadnego stanowiska. Agitacja odwołała się do ogółu młodzieży, przy czym odbywała się żywa, namiętna wymiana zdań. Rzecz ciekawa, iż w liczbie oponentów znalazło się sporo studentów,

którzy potem mieli odgrywać poważniejszą rolę w zastępach Narodowej Demokracji z okresu jej legalizacji. Jeszcze silniej odpowiedziano na drugą propozycję — na stworzenie kasy koleżeńskiej, i sprawa ta zostaje wniesiona przez Krusińskiego na Koło delegatów, na którym, choć nie delegat, wystąpił Krusiński w obronie swego wniosku. Rzecz była na ogół obca widnokręgom młodzieży warszawskiej. Było to przeniesieniem na grunt warszawski wzorów komun studenckich w uniwersytetach rosyjskich, gdzie komuny owe ogarniały nieznaczny odsetek młodzieży, co więcej, rozciągnięciem tej zasady na ogół młodzieży. Rzecz nie wyszła poza Koło delegatów, gdyż wśród prawników spotkała się z oporem stanowczym, a przyrodnicy znajdowali się w takiej sytuacji zarobkowej, iż nie uważali za stosowne nawet podnosić tej sprawy. Ale na medycynie wrzało. Obok Krusińskiego skupiła się gromadka gorących zwolenników zasady zrównania dochodów i imiennie wskazywała na kolegów, którzy powinni się byli dzielić swymi dochodami z niezamożnymi. Do tego dołączyła się sprawa roztrząsana w różnych już powstających kółkach — agitacji przeciwko noszeniu mundurów. Mundury były wtedy ubiorem niemal obowiązującym, była to nieodzowna cząstka policyjnego ustroju Uniwersytetu Warszawskiego, istniejąca w niektórych wyższych zakładach technicznych rosyjskich, ale obca uniwersytetom. Chodziło o zaprzestanie noszenia mundurów, tych mundurów, które choć nie obowiązywały, powstawały tak licznie w postaci czapek korporacyjnych za czasów Polski Niepodległej. Ale wtedy traktowano mundur i czapkę jako oznaki ducha policyjnego w uniwersytecie. Sprawa również spotkała się z żywą opozycją — z jednej strony elegantów różnego rodzaju (w tym razie czapka studencka była wyborną rekomendacją wśród młodzieży żeńskiej), z drugiej strony wśród uboższych kolegów — mundur i czapka z obowiązku podniszczone znosiły różnice pomiędzy kolegami w ubiorze. Wszystkie te sprawy wywoływały silne poruszenie. Tam, gdzie nie trafiały zagadnienia głębsze, gdzie lekceważono całe życie umysłowe kraju, tam sprawa podpisu pod adresem, o który ktoś zwracał się osobiście i żądał natychmiastowej odpowiedzi, tam sprawa czapki studenckiej lub kasy koleżeńskiej budziła zainteresowanie, niekiedy sympatie, a nieraz wybuch gniewu. Mijały czasy spokojnego *far niente*, kiedy raz lub parę razy do roku zwoływano zebrania kursowe dla wyboru delegatów i pozostawiano wszystko wybranej delegacji. Teraz rzeczy przybrały inny obrót, wypływały zagadnienia, o których mówiono w potocznej rozmowie. Treść projektów nie miała

najmniejszych widoków powodzenia, ale cała zręczność Krusińskiego ujawniała się w doborze tematów, które umiały rozruszać nawet najobojętniejszych i najbierniejszych. W każdym razie na początku r. 1881 na uniwersytecie było gwarno: powstawały kółka samokształcenia, urządzano odczyty, zmiana poglądów toczyła się wartkim potokiem, a przy tym działała zarażająco. Ukazywały się kółka samokształcenia nawet wśród młodzieży zachowawczej, nie mającej nic wspólnego z jakąkolwiek walką polityczną i pozostającej poza obrębem fermentującej mgławicy. Takie było koło „Sarmacja", zajmujące się studiami polonistycznymi i grupujące się koło Korotyńskiego [2], do którego wchodzili również Pietkiewicze i medyk Sawicki. Wreszcie to podniecenie znalazło ujście chwilowe w dwóch wypadkach: w walce o wysłanie delegacji do Petersburga na pogrzeb Aleksandra II i w tzw. „schodce" ostrowidowskiej.

Zaczniemy od „schodki".

„Schodki" w uniwersytetach rosyjskich były olbrzymimi wiecami protestacyjnymi młodzieży, zresztą jedynymi wiecami w Rosji za czasów Aleksandra II. Sam fakt urządzenia takiego wiecu był już wykroczeniem poważnym ze stanowiska ustroju policyjnego w państwie. A kiedy w Rosji wiece te odbywały się już od lat kilku i tworzyły widomą oznakę tego, iż wulkan wewnętrzny zaczyna być czynny, Uniwersytet Warszawski, pogrążony w lojalizmie, był cichy i milczący, bierny. Ale już w r. 1881 budzi się myśl inna — wspomnienia bólów kraju, o ile mogą one znaleźć dla siebie wyraz w niedomaganiach młodzieży uniwersyteckiej w sposób głośny, wyraźny. Właściwie chodziło o rozpoczęcie wychowania społeczności wciąż jeszcze strwożonej, po r. 1863 zahukanej. Należało poświęcić siebie, ażeby powiedzieć krajowi: „Prócz drogi uległości, na której codziennie oskubują ciebie z twoich praw, masz jeszcze inną drogę: — głośnego protestu. Może nie skorzystasz, ale nie stracisz, a przywrócisz sobie zapomnianą godność zbiorową". Mówiono więc o protestacyjnej „schodce", jeżeli powód będzie wystarczający, ale sama rzecz była mglistym marzeniem, umieszczanym gdzieś w nieokreślonej przyszłości. I oto nadeszła sprawa Ostrowidowa, studenta seminarzysty, przykładającego się bodaj do medycyny. Cała rzecz w mojej pamięci przedstawia się bardzo niewyraźnie, nawet nie jestem pewny, w jakim czasie to było. Mam jedynie wrażenie, iż przypada to na czas gwałtownej śmierci Aleksandra II. Ostrowidow w knajpie, gdzieś bodaj w „Herkulanum" (była taka knajpa studencka w suterenie na rogu Bednarskiej i Krakowskiego Przedmieścia), otóż w „Her-

kulanum" pokłócił się z jakimś studentem i zadenuncjował go. Wieść o tym rozniosła się po uniwersytecie. Na Kole delegatów rozpoczęły się z tego powodu żywe dyskusje. Większość oświadczyła się za wiecem żądającym usunięcia Ostrowidowa z uniwersytetu. I oto wiec protestacyjny się odbył — szybko, niezwłocznie i niespodziewanie. Rzecz miała tak szybki przebieg, takim była niespodziewanym dla ogółu studentów zdarzeniem, iż w mojej pamięci pozostało jedynie wspomnienie impresjonistyczne, jak gdyby „schodka" przyszła do skutku sama z siebie. Protest został uwieńczony powodzeniem: Ostrowidow usunął się z uniwersytetu. I nawet nie pamiętam, w jaki sposób wiec wyraził swoją wolę.

Pamiętam tyle, iż przemawiał Lubiczankowski, otaczało go grono kolegów, którym wolno było ufać całkowicie. Chodziło o to, żeby nie tylko nazwisko mówcy pozostało tajemnicą, ale ażeby nikt nie widział jego twarzy. Słychać było jedynie głos, ale nie było widać mówcy. Treści jego mowy nie pamiętam, choć *a priori* można ją odtworzyć: wyjaśnienie powodu „schodki" i jej celów. Pojawił się profesor medycyny, Brodowski, człowiek cieszący się poważaniem wśród studentów, przemawiał po polsku, a treść przemówienia obracała się około hasła: bądźmy mądrzy jako węże! Że przemawiał po polsku i że władze uniwersyteckie z tego nie zrobiły kryminału, okoliczność ta świadczy o nastrojach lękliwych, jakie wśród nich zapanowały. Ukazał się i inspektor Siemionowicz: — *Poddierżitie renomé uniwersitieta, za wsio majó wriemja nie było w niom bezpariadkow* (Podtrzymajcie reputację uniwersytetu, za cały czas, kiedy tu jestem, nie było w nim rozruchów). A we drzwiach ukazała się twarz rektora. Podniosły się krzyki: — Bliżej, bliżej! — i rektor czmychnął. W każdym razie zdarzenie z Ostrowidowem przełamało pierwsze lody lojalizmu uniwersyteckiego: odbył się protest, a represje kraju nie dotknęły. Miałem jedynie przejście z profesorem Babczyńskim. Wychodząc z wykładu zwrócił się publicznie do mnie, w jakim celu przykładam rękę do rozruchów. „Chcesz pan skakać przez krzyż!..."

Daleko poważniejsza była sprawa wysłania wieńca. I tutaj, o ile pamięć mnie nie myli, już w drodze legalnej zwołano studentów, w ufności, iż ogół zebranych poweźmie uchwałę wysłania delegacji na pogrzeb zamordowanego Aleksandra II. Zebranie odbywało się w tym samym audytorium co „schodka" ostrowidowska, a więc na pierwszym piętrze w gmachu dawnej Szkoły Głównej, po lewej stronie od wejścia. Z propozycją wystąpili medycy wyższych kursów:

bodaj Kwiatkowski, Zaleski i najuczciwszy, ale mocno nie orientujący się, prawnik Bierzyński. Sytuacja była ciężka, protestować przeciwko wysłaniu wieńca było niepodobieństwem. W każdym razie takie było milczenie, taki pomruk niechęci, iż zebranie rozeszło się nic nie uchwaliwszy wyraźnego. Tak czy owak, spodziewaliśmy się, iż nie będzie kandydatów na wysłanie wieńca i dodania mu świty. Dlatego ze zdziwieniem ja osobiście i bliscy moi znajomi dowiedzieli się, że wieniec jest gotów, zdaje się — za pieniądze skarbowe, i że go zawożą: Szczepan Zaleski, brat Cecylii Walewskiej, i Bierzyński — innych nazwisk nie pamiętam. Zdaje się, iż Krusiński zwracał się osobiście do Zaleskiego i otrzymał odpowiedź, że Zaleski nie wyjedzie bez zgody uniwersytetu. Nie ufając tej odpowiedzi Krusiński i Rojecki zachodzą wieczorem do mieszkania Zaleskiego, żeby mieć odpowiedź uroczystą, powtórzoną przy świadkach. W mieszkaniu Zaleskiego dowiadują się, że on dopiero co pojechał na dworzec petersburski. Podówczas pociągi petersburskie, najlepsze, odchodziły bardzo późnym wieczorem. Jak stali, siadają Krusiński i Rojecki do dorożki i pędzą na dworzec, uzbrojeni w tęgie kije. Byli przygotowani na bardzo poważną rozprawę, by udaremnić wyjazd delegatów z wieńcem. Przyjechali za późno. Naturalnie wśród tysięcy wieńców był na pogrzebie i wieniec od studentów Polaków Uniwersytetu Warszawskiego. Zakończenie tej sprawy odbyło się w petersburskiej Akademii medycznej, zdaje się, na wykładzie prof. Botkina: Zaleski został przez studentów czynnie znieważony. Na Uniwersytet Warszawski nie wrócił. Rozpoczął swoją karierę silnie upiększoną reklamą, która doprowadziła go do profesury w Dorpacie, a potem w Tomsku. Dlatego ze zdziwieniem dostałem podczas pierwszej rewolucji rosyjskiej list z podpisem pana Zaleskiego, zawiadamiający mnie, że obejmuje redakcję jakiegoś miesięcznika i zaprasza mnie do współpracownictwa. List pozostawiłem bez odpowiedzi. Bierzyński wrócił do Warszawy z miną bardzo markotną. Po raz pierwszy do jego mózgu przejętego hasłami pracy organicznej i lojalizmem politycznym przedostała się myśl, iż hasła polityczne pracy organicznej może upadlają społeczeństwo. Dotychczas, jak wielu podobnych przedstawicieli niekarierowiczowskiej części młodzieży, np. Koroway-Metelicki [3], Władysław Dawid, Bohusz-Potocki, wierzył głęboko, iż jedyne zbawienie kraju polega na jak największej potulności. Towarzyszył delegacji z nieprzyjemnym uczuciem, ale głęboko wierzący, iż spełnia sakrament patriotyczny jak największej doniosłości, mający przekonać Rosję, że Polacy stoją i wiernie stać będą przy caracie.

„Schodka“ ostrowidowska, podniecenie wywołane sprawą wieńca — stworzyły silny ferment w uniwersytecie. Zarysowały się wyraźnie dwa kierunki. Jeden to my, odbiegający od założeń pracy organicznej, gotowi rzucić przyszłość swoją w wir walki o prawa polityczne w najrozleglejszym znaczeniu tego słowa, pragnący przeciwko caratowi po społu z rewolucyjną Rosją wytężyć wszystkie siły w imię ludu, dla ludu i przez lud. My — przedstawiciele powracającej fali sprzed 1863 r., choć innych ideałów, innego ujęcia sprawy. Z drugiej strony reszta uniwersytetu, organicznicy, zarówno ci, którzy brali poważnie hasła pracy organicznej i gotowi byli do oddania się pracy nad społeczeństwem, jak ci, którzy w tych hasłach ukrywali swoje karierowiczostwo. Słowem, różne odcienie „zulusów“. Ochrzciliśmy nazwą „zulusów“ swoich przeciwników, tak samo jak w Petersburgu współtowarzysze nasi posługiwali się dla swoich przeciwników nazwą „ujeżdżalni“. Akurat wtedy Anglia stoczyła zawziętą walkę z Zulusami, którzy chwycili za broń dla obrony swojej niezależności. Prasa nasza powtarzała za prasą zagraniczną niedorzeczne opowieści o barbarzyństwie Zulusów i oto chwyciliśmy się tych barbarzyńców, żeby ich imieniem zranić swoich przeciwników. W kilka lat później, gdym zajął się studiami nad ludami pierwotnymi, niewątpliwie stanąłbym w obronie biednych Zulusów, tak pohańbionych przez zastosowanie ich imienia dla marnych karierowiczowskich żywiołów miejscowych.

Walka stawała się coraz namiętniejsza. Powstał zamiar zwołania „schodki“ ogólnostudenckiej celem protestu w ogóle przeciw uciskowi politycznemu, a w szczególności przeciwko przekształcaniu uniwersytetu pod każdym względem w oddział „cyrkułu“ policyjnego. Zamiary te pozostawały w związku z nastrojami wśród młodzieży na uniwersytetach rosyjskich. Tam po śmierci Aleksandra II odczuwano potrzebę, żeby jakimiś wystąpieniami poprzeć czyn „Narodnej Woli“ i zadokumentować, iż z nim współczują szersze koła społeczeństwa. Ale społeczeństwo rosyjskie pozostało milczące i głuche, zatrwożone czynem, z którym wielu sympatyzowało w głębi duszy, choć głośno protestowało przeciwko zamachowi i wysyłało wieńce. Wtedy młodzież rosyjska wzięła na siebie cały ciężar sytuacji, swoim młodym entuzjazmem pokrywając gnuśność społeczeństwa. Te nastroje dotarły do Warszawy, przy czym w Warszawie doznały wzmożenia z pobudek natury miejscowej. Chodziło o zerwanie z biernością, z której korzystali różni działacze w rodzaju Hurki i Apuchtina. Przecież inicjatywa wszystkich zarządzeń rusyfika-

cyjnych wychodziła z Warszawy, gdyż Petersburg nie odważał się na wiele prób i dopiero otaczał je swoją opieką, gdy powodzenie uwieńczyło inicjatywę działaczy przebywających w Królestwie Polskim. Wiec zwołany miał zaznaczyć potrzebę konstytucji w państwie. Ale sprawa była zbyt poważna, ażeby miało rozstrzygać jedynie uczucie. Należało zasięgnąć rady starszego pokolenia, czy jest właściwa pora na tego rodzaju protest i czy ofiara złamanej przyszłości dla wielu będzie powetowana świadomością, iż się przecież nie poświęciło siebie na marne. O nastrojach ówczesnej społeczności polskiej świadczy, iż pomimo rozważań nie znaleźliśmy nikogo, do kogo opłaciłoby się zwrócić o radę, zwłaszcza gdy chodzi o profesorów Polaków, którzy jeszcze wtedy żyli. Byli to ludzie pamiętający r. 1863, którym zdawało się, że wszelki protest obecny dotknie swoimi skutkami ujemnymi kraj cały. Strach ma wielkie oczy, a Kasznicowie, Babczyńscy, Dydyńscy i Miklaszewscy byli podszyci wielkim strachem. W końcu zatrzymaliśmy się na paru młodych profesorach Rosjanach, znanych ze swoich opozycyjnych nastrojów, a wtedy tworzących nierozerwalną trójkę przyjacielską. Dopiero w dalszej przyszłości mieli się rozejść, przy czym niektórzy zaszli dość daleko na prawo w kierunku jednej, niepodzielnej Rosji, z carem jako jej wyrazem. Byli to: historyk Kariejew[4], który do końca życia pozostał opozycjonistą, uważającym, iż narodowi polskiemu należy się niezależność polityczna; mineralog Lagorio, z pochodzenia, zdaje się, Szwed, który później lawirował w rozmaity sposób pomiędzy Scyllą radykalizmu a Charybdą lojalności carskiej, ale który, ilekroć można było coś zrobić porządniejszego bez narażenia się, chętnie to robił; Lubowicz, historyk, który niebawem zrezygnował z ujawniania swoich sympatii natury opozycyjnej. Do wizyt tych przynagliła sprawa Korabiewicza — awantura podczas egzaminów. Szczegółów awantury nie pamiętam. Poszli pojedynczo koledzy, kto — dzisiaj nie pamiętam. Wiem, że w liczbie ich znajdował się Rojecki. Pojedynczo dlatego, że rozmowa w cztery oczy jest zawsze poufniejsza. Kariejew z całą sympatią przyjął delegatów, bez żadnych ogródek odradzał stanowczo jakichkolwiek wystąpień politycznych. Uważał, że czyn z dnia 1 marca był dziełem bardzo niewielkiej gromadki osób, które dążnościami swoimi politycznymi co najmniej o całe pokolenia wyprzedziły społeczność rosyjską. Niemal uważał sprawców zamachu na Aleksandra II za stracone czaty i mniemał, że na cały przynajmniej dziesiątek lat, jeśli nie na więcej, nastąpi w Rosji czas reakcji politycznej, która wskrzeszać

będzie tradycje Mikołaja I. Protesty młodzieży pojmował, sympatyzował z nimi, ale ubolewał, iż mogą mieć miejsce — jest to przedwczesne marnowanie sił, marnowanie bez następstw, bez oddźwięku, że są to nie zwiastuny lepszej przyszłości, lecz ostatnie przebłyski przeszłego podniecenia, zwłaszcza że wiec tego rodzaju w Warszawie jest nie na miejscu: dałby jedynie pobudkę do różnych dalszych ograniczeń. Lagorio zachował się bardziej powściągliwie, Lubowicz zaś starał się skrócić konferencję. Argumenty Kariejewa przekonały, odsunęły myśl opozycyjną polityczną.

Rok akademicki 1882/3 był rokiem jak największego podniecenia. Parę lat walki przekonań zrobiło swoje, żywioły radykalne wzmogły się znacznie na siłach. Nadto rok ten ściągnął do uniwersytetu żywioły nowe, ruchliwsze, z różnych gimnazjów tworzonych w obrębie historycznej Litwy. Przybyła gromadka z Witebska, którą później zasypał Zadunajski *vulgo* Janczewski, usiłujący przy jej pomocy ulokować w Warszawie drukarnię „Narodnej Woli". Przybył Rutkiewicz, gdzieś z Wileńskiego, młodzieniec dużej siły moralnej, usiłujący wywrzeć wpływ na otoczenie. Z gimnazjów warszawskich, zwłaszcza z drugiego, wyszła gromadka młodzieży urabianej przez Kazimierza Puchewicza, należącej do „Proletariatu", a później stanowiącej rdzeń „Solidarności". Ci zresztą starali się zachować cicho, uważając, że nie należy ściągać na siebie uwagi i uniemożliwiać sobie roboty partyjnej przez wysuwanie się w uniwersytecie. Np. taki Jentys, później jeden z wodzirejów endecji, wprost oświadczył się przeciwko „schodkom". Młode siły pochodzące przeważnie spoza Kongresówki niewiele zajmowały się sprawą jakiejkolwiek teorii, mało czytały, ale gorliwie wtykały do ręki różne broszury i broszurki. Była to młodzież żądna jaskrawego wyładowania rozsadzającej ją energii. Wrzało życiem w uniwersytecie. W stosunkach wewnętrznych ujawniało się demonstracyjne nienoszenie mundurów i czapek mimo napomnień władz uniwersyteckich i różnych przekomarzań na ten temat z władzami uniwersyteckimi na wewnątrz — a na zewnątrz z policją. Ale ważniejszą rzeczą było powstawanie kółek i próba zastąpienia dawnej delegacji przedstawicielami tych kółek. O ile mnie pamięć nie myli, sprawę tej lub innej organizacji oddano do referendum uniwersyteckiego. Zebranie bezpośrednio przed referendum odbywało się gdzieś na Chmielnej, w domu z olbrzymim podwórzem, na II piętrze, u Mieczysława Szmidta. Było to mieszkanie studenta nowego typu. Najpierw para nielegalna: ona — Rosjanka, córka generała, on — ukrywający się

pod cudzym nazwiskiem były student; olbrzymi, silny pies, przyuczony na okrzyk „żandarm“ rzucać się do gardła żandarma (tresowano go specjalnie w tej sztuce); zresztą, para niewinna pod względem politycznym, jak w 4/5 radykalnej studenterii rosyjskiej, a więc chadzająca w dużym kapeluszu, zamiast palta okrywająca się pledem zręcznie owiniętym dokoła piersi, dużo gadająca o wysokich materiach, czytająca co się tylko dało czytać, prócz przedmiotów swojego fachu, i ostatecznie nic nie robiąca. Wprawdzie para ta ukrywała się w drugim pokoju, ale delegaci „zuluscy“ czuli się nieswojo w tym całym otoczeniu. Podczas obrad ktoś wpada z ostrzeżeniem, że policja dom otoczyła. Popłoch i trwoga z jednej strony, ironiczne uśmiechy z tej trwogi i junackie śmiechy z drugiej. Sytuacja okazała się jednak niegroźna. Czy istotnie policja coś węszyć zaczynała i postawiła kogoś na straży, czy polikus znalazł się przypadkiem, nie wiem. Ale jednego po drugim w odstępach parominutowych zaczęto wypuszczać: naprzód tych, którzy mieli więcej powodów do niestykania się z policją, później innych. Zdarzenie to tym jest ciekawe, iż „zulusów“ zaczęło odstraszać od wszelkich kół delegatów: to, co było ongi niewinną igraszką, niekiedy sportem, przybierało charakter niebezpieczniejszy.

Rezolucja ostateczna co do wprowadzenia przedstawicieli kółek do delegacji czy też stworzenia wyłącznie przedstawicielstwa kółek rozegrała się jakoś w końcu zimy 1883 r. Było to gdzieś na ulicy Nowogrodzkiej, Żurawiej lub Wspólnej. Obie strony, a więc przeciwnicy nadania jakichkolwiek praw przedstawicielstwu kółek i rzecznicy tej zasady, niemal gotowe były rzucić się nie siebie. Zebranie było tak namiętne, iż odbywało się przeważnie nie w siedzącej postawie, lecz jedni stali naprzeciw drugich; mam wrażenie, że u niektórych rękawy były już zakasane, żeby się rzucić na przeciwników. Po drugiej stronie na czele był Władysław Dawid, który w przyszłości pod wpływem żony miał się stać jednym z filarów legalnych socjaldemokratyzmu. Pozostały mi w pamięci fakty natury zewnętrznej jako też wrażenie, iż referendum tyczyło się również „schodki“ apuchtinowskiej.

Ale uniwersytet był zbyt ciasny, żeby zmieścić te młode siły, prące naprzód, żądne roboty. A zatem zaczynają one żłobić sobie łożyska zewnątrz uniwersytetu w postaci pogawędek koleżeńskich, bądź znowu w wybuchach hałaśliwych protestów, to wreszcie w podejmowaniu poważniejszych zadań.

Gwarne życie umysłowe, które w latach 1882—1883 rozsadzać

zaczęło stare stosunki akademickie, wymagało dla siebie jakiegoś własnego, nie kontrolowanego kącika. Czytelnia uniwersytecka, mieszcząca się na dole środkowego gmachu uniwersytetu, położonego nad urwiskiem, tam gdzie dzisiaj znajduje się szatnia, znajdowała się pod zbyt bacznym okiem władz uniwersyteckich, ażeby mogła stać się takim ustroniem przyjacielskiej, cichej niekiedy wymiany myśli. Doświadczenie wskazywało, że właśnie w czytelni i w palarni trzeba się było wystrzegać każdego energicznego słówka, gdyż na pewno trafi do uszu niepowołanych. Natomiast wszelkie odosobnianie się od razu zwracało uwagę i jeżeli w ten sposób spotykali się ci sami ludzie częściej, niewątpliwie gdzieś przy ich nazwiskach ukazywała się adnotacja, żeby baczniejsze zwrócić na nich oko. Tak zwana kuchnia studencka, a właściwie kuchnia Tow. Dobroczynności, funkcjonująca w gmachu miejskim tuż przy kościele Św. Krzyża (zdaje się wraz z komisariatem), mogła być użyta jako miejsce na jednorazowe zebranie obwieszczane dopiero w kuchni, ale nie mogła dostarczyć przytułku młodzieży właśnie żądnej przyjacielskiej pogawędki, nie krępującej się wypowiadaniem poglądów politycznych itd., tym bardziej że otwierano ją na parę minut przed rozpoczęciem wydawania obiadów i zamykano czym prędzej, i że w ostatnich chwilach, gdy robiła się pustka, pozostawała pewna garstka, że tak powiem, wyspecjalizowanych młodzieńców, która zajadle flirtowała z usługującymi dziewczętami i niekiedy posuwała się tak daleko, iż dochodziło do ostrej wymiany zdań pomiędzy nimi a studentami uważającymi taki flirt za poniżenie — jak wtedy mówiono — czapki studenckiej. Najswobodniej było u Tura, w cukierni naprzeciwko uniwersytetu, wciąż zapełnionej przez studentów. Jednak było tu towarzystwo mieszane: „zulusi“ obok czerwonych, i nawet może w większej liczbie, a tu i ówdzie szpieg. Jak w czytelni uniwersyteckiej, nawet ściany miały tutaj uszy, chociaż młodzież o tych uszach częściej tutaj zapominała niż w czytelni. W chwilach podniecenia, jak „schodka“ ostrowidowska, jak protest przeciwko zawiezieniu wieńca na trumnę Aleksandra II, jak sprawa wysłania pozdrowienia na obchód rocznicy rewolucji w 1831 roku, zapominano o wszystkich ostrożnościach u Tura: przy herbacie i ciastku w gorączkowym podrażnieniu spierano się. Bodaj tutaj u Tura powstał termin „zulusów“ dla oznaczenia reakcji uniwersyteckiej.

Jesienią r. 1882 wśród II kursu medycyny powstał projekt stworzenia własnego klubu obejmującego właściwie nie całą studenterię, ale część najruchliwszą, w ten lub inny sposób uczestniczącą

w kółkach radykalnych i w ogólnouniwersyteckich organizacjach wysuwających hasła postępowe. Właśnie na tym kursie medycyny znajdowało się kilku studentów niezbyt lubiących przysiadywać fałdów nad książką, ale za to jedynych, gdy chodziło o uprzyjemnienie wieczorynki, o czyny zawadiackiej śmiałości w obliczu władz, o realizację tego rodzaju zamiarów jak założenie klubu. Klub powstał w roku szkolnym 1882/83. Wynajęto z drugiej ręki umeblowane mieszkanie przy ówczesnej ulicy Erywańskiej, dzisiaj Kredytowej, naprzeciw placu Zielonego, na II piętrze od frontu, z oknami wychodzącymi na pomnik, o którym głosiła fama, iż „osiem orłów, czterech lwów głosi hańbę siedmiu kpów". W tym mieszkaniu, składającym się z 3 pokoi (mieszkalny, salon i jadalny), stale przebywali Stefan Ulrych i inny, którego nazwiska nie pamiętam. Właśnie tych dwóch typowych cyganów radykalnych: bez grosza w kieszeni, bez troski o jutro, niezbyt zagłębionych w treść idei społecznych, choć gotowych dla niej na ofiary, zwłaszcza gdy ofiara będzie złączona z gestem irytującym filistra. Filistrem bowiem pogardzali szczerze, zacząwszy od arcyfilistra — każdego urzędnika i każdego policjanta. Członków zarządu nie pamiętam, wiem, że wchodził doń Mieczysław Szmidt i Tadeusz Zaborowski. Naturalnie, istniał bufet, bodaj prowadzony na rachunek klubu: herbata rywalizująca z cenami dobroczynności, więc po jakiejś kopiejce, kawa w różnych postaciach, czarna i mleczna, ciastka i kanapki, ale żadnych alkoholów ku zmartwieniu mariampolczyków, tego osobliwego klanu w uniwersytecie, odróżniającego się olbrzymimi kapeluszami, długimi butami, koszulami bez kołnierzyka, nie zawsze pierwszej czystości, a dla szyku mariampolskiego — z ukrytą gdzieś w kieszeni butelczyną gorzałki. Wszyscy chłop w chłopa silni i wszycy czerwoni czerwienią najjaskrawszą — „chłopskie studenty"! Szachy, domino i wszystkie czasopisma, jakie istniały w Warszawie — gwarnie więc było i przyjemnie. Niewielka odległość od uniwersytetu sprawiała, że zawsze było tutaj pełno, tym bardziej że godziny wykładów na każdym z wydziałów były rozproszone i przeplatane przerwami godzinnymi, a nawet dłuższymi. Wśród 200—250 bywalców klubu (czy była jakaś opłata, nie pamiętam) powoli powstawała zażyłość, tworzyła się wielka rodzina, której cechą zasadniczą było to, że podczas dysput w klubie skakali sobie do oczu i niekiedy poniewierali sobą jako zakapturzonymi „zulusami", ale wobec społeczności całej, specjalnie w obliczu władz uniwersyteckich, a jeszcze bardziej w obliczu policji, jeden gotów był dać gardło za drugiego. Rodzina solidarna, w której

jedni drugim wyszukiwali zajęcia, niekiedy użyczali garderoby, a zawsze spieszyli z możliwą pomocą. Rozmowy prowadzone były niekiedy takim namiętnym tonem, że trzeba było nawoływać do ostrożności, gdyż przechodnie na ulicy rozpytywali stróża, co to za ciągły gwar. Nautralnie, byli tu prowodyrzy, byli i prości szeregowcy, jedynie brakło studentów zaawansowanych w pracy konspiracyjnej, socjalistycznej, którzy obawiali się zwrócić na siebie uwagę bywaniem w klubie lub ściągnąć nań uwagę. Zarzucano na przykład Barańskiemu, przyszłemu redaktorowi „Pobudki“ paryskiej, że unikał klubu, choć właściwie, sądząc z jego natury, cała dusza jego rwała się do tego wrzasku, gwaru i śmiechu. Wszyscy, zarówno prowodyrzy jak i szeregowcy, stawili się w adytorium, żeby wyrazić solidarność z tym, który spoliczkował Apuchtina. Właśnie klub stanął cały jako klub i tym samym uległ rozbiciu. Rzecz bowiem ciekawa, klub — przedmiot plotek w Warszawie, zwłaszcza po słynnym balu w poście, nie miał najmniejszych przykrości ze strony policji. Były to jeszcze owe błogosławione czasy, gdy zebrania setki młodzieży nie zwracały niczyjej uwagi. Klub istniał jakieś 3 do 4 miesięcy — od jesieni 1882 do „schodki“ apuchtinowskiej — i pamięć nie wskrzesza w mojej wyobraźni żadnego incydentu, który by mi cokolwiek mówił o jakimś natręctwie policji. Mogę mimochodem zauważyć, iż codziennie w klubie był naznaczany dyżurny, który łatwo mógł spostrzec, czy nie kręcił się ktoś obcy, przez nikogo nie przedstawiony.

Jeszcze o losach gospodarzy, niejakiego Ulrycha i Lenina. Obaj zostali wyrzuceni z uniwersytetu za „schodkę“ apuchtinowską. Lenin wyjechał do Rosji, podobno zajmował tam jakieś miejsce w Kijowie, lecz nie będąc w bliższych z nim stosunkach utraciłem wszelkie o nim informacje.

Natomiast droga życia Ulrycha była bardzo urozmaicona. W r. 1883 na jesieni przechodzi na sytuację osoby nielegalnej, za paszportem zaś jego przebywać będzie w Paryżu w końcu 1884 r. i w 1885 jako Etienne Ulrych Aleksander Dębski. Sam Ulrych będzie aresztowany w roku 1887 albo 88 podczas pogromu resztek „Proletariatu“, w mieszkaniu narzeczonej swojej, Eugenii Szmidt. Szczegóły aresztowania są dość ciekawe. Żandarmeria wychodziła już z mieszkania Szmidtówny, nie wiem, czy uprowadzając ją ze sobą, czy też nie aresztując jej. Zdaje się, że drugie przypuszczenie jest słuszniejsze. W przedpokoju zatrzymała się dłużej nic nie znajdując, potem wyszła zatrzaskując drzwi za sobą. Paru jeszcze pozostało. Nagle podnosi się pokrycie wielkiego kosza, wysuwa się głowa Ulrycha z zapyta-

niem, czy już wyszli. Ulrych i Szmidtówna zostali wysłani, ale w różne miejsca, ona wyszła za mąż za członka „Narodnej Woli", Denisienko, on zaś przechodził różne losy i, jak mi opowiadano w r. 1923, był lekarzem we Władywostoku — lekarzem bez dyplomu lekarskiego, bo był na farmacji czy też na weterynarii. Ale uchodził za bardzo dobrego specjalistę i bez dyplomu był lepszym urzędowym, bo, zdaje się, miejskim lekarzem, niż wielu posiadających dyplomy lekarskie.

*

I oto na zakończenie tego całego parcia, mającego się skończyć katastrofą apuchtinowską — wybryk, a właściwie, że użyję wyrażenia cyganerii artystycznej, zrobienie perskiego oka do całej poważnej, dewockiej, przyzwoitej Warszawy. Mam na myśli bal z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek.

Skąd wyszła inicjatywa, nie umiałbym dzisiaj powiedzieć. Niewątpliwie poczęła się w gronie młodzieży zbierającej się w domu pani Rose, a może przez Rutkiewiczównę, która tam mieszkała, przyszło pierwsze natchnienie od jej brata. I bodaj w pierwszej chwili może nie chodziło o zrobienie perskiego oka komukolwiek, a rzecz była wyładowaniem chęci do zabawy, tak naturalnej w młodym pokoleniu. Właściwie studencka młodzież warszawska nie znała zabawy zdrowej w rodzaju balów studenckich rosyjskich, na których zbierała się tylko młodzież w codziennym swoim ubiorze, jedynie oczyszczonym i wypranym. Wprawdzie w Warszawie urządzano co karnawału olbrzymi bal studencki — bal bez udziału studentów, jeżeli nie weźmiemy pod uwagę kilkunastu wyfraczonych akademików strzegących zazdrośnie swego monopolu na urząd gospodarczy. Chodziło o ściągnięcie haraczu z Warszawy na rzecz ubogiej studenterii. Był to jeden z najwspanialszych balów w Warszawie. Ale student pospolity, nie posiadający stosunków wśród zamożniejszych warstw Warszawy, nie mający nie tylko fraka, ale jako tako porządniejszego surduta w swojej garderobie, zwłaszcza przybysz z prowincji, bez stosunków w Warszawie, taki student miał do swego rozporządzenia jedynie knajpę — nawet cukiernia nie była na jego kieszeń. I na tym koniec. Był z dala od towarzystwa kobiecego, chyba że gdzieś nawiązywał rozmowę z dziewczyną w restauracji lub ze szwaczką na ulicy. W tym otoczeniu mariampolczyków, wśród tych przybyszów z Witebska wciąż tułała się myśl o urządzeniu balu, rzeczywiście studenckiego, balu, na który można by przyjść bez wy-

najmowania gdzieś fraka lub tużurka, gdzie można by było wytańczyć się, a nawet stworzyć zakątek, zwany przez studenterię rosyjską „mietrweckoj“ — pokoik, do którego wnoszono „trupy“, tj. ludzi nie mogących się już trzymać na własnych nogach od przepicia. Mariampolczycy wciąż pragnęli choć raz do roku urżnąć się porządnie. Bale w karnawale, w tej liczbie bal studencki, rozogniły wyobraźnię — mówiono o tym w klubie, w różnych witebszczalniach i mariampolniach, iż należałoby balowi na studentów przeciwstawić bal studencki. Otóż ta myśl o balu studenckim, tułająca się po różnych gromadkach młodzieży, potrzebowała jednego, a mianowicie — żeby ktoś stanowczo powiedział: urządzamy bal! Ktoś to powiedział: Rutkiewicz, Jackiewicz, Szmidt, a może Rutkiewiczówna, a może jeszcze ktoś inny. Stara Rose'owa, kobieta obrotna, wzięła na siebie urządzenie bufetu, mężczyźni — wynajęcie sali. Salę wynajęto w olbrzymim lokalu, wynajmowanym na wesela, zabawy i bale na rogu Mariańskiej i Twardej, na I piętrze, a mogącym pomieścić kilkaset osób. Trudniejsza była sprawa z otrzymaniem pozwolenia policji, ale i na to znalazła się rada: miały się odbyć zaręczyny Mieczysława Szmidta z panną Rutkiewiczówną, jak później, w czasach trzeciego „Proletariatu“, urządzano już nie tylko zaręczyny, ale i śluby celem zebrania funduszów. Była nawet specjalistka od brania takich ślubów i naturalnie rozwodów — starozakonna, dzięki łatwości rozwodu w religii mojżeszowej. Bal udał się świetnie. Nie pamiętam w ciągu swego życia tak ochoczej zabawy, tak wielkiego apetytu. Wszyscy byli zadowoleni z wyjątkiem mariampolczyków. Okazało się, że wnoszono do „miertweckiej“ nie „trupy“, ale brano po koleżeńsku z obu stron za ramiona każdego, kto zaczynał już być w zbyt dobrym humorze, i odprowadzano do kozy, jak ochrzczono na poczekaniu „miertwecką“. Pod kluczem pozwalano mu sprowadzać alkohol w dalszym ciągu i pod kluczem zamknięci mogli się przekształcać w „trupy“. Zabawa skończyła się wczesnym rankiem. Gromadki zaczęły się rozchodzić w różne strony; podobno jedna z nich około dworca Wileńskiego w dobrym humorze wywiesiła czerwony sztandar, zrobiony na poczekaniu. Był to pierwszy czerwony sztandar, który ukazał się w owych czasach w Warszawie. Dopiero nazajutrz spokój przekształcił się w burzę: przodował artykuł w Kurierze Warszawskim o zgorszeniu wśród młodzieży. Warszawa trzęsła się z oburzenia. Wdała się i władza, ówczesny generał-gubernator Albedyński powierzył jednemu ze swoich urzędników do szczególnych poruczeń przeprowadzenie śledztwa. Śledztwo prowadzono bardzo łagodnie. Zresztą nie ukoń-

czono go, bo w katastrofie apuchtinowskiej zawieruszyły się takie drobne sprawy. Podkreślę, że gdy postawiono w Warszawie moją kandydaturę do Dumy, pan Tadeusz Kozerski, niegdyś członek „Proletariatu", potem „Solidarności", w końcu zajadły endek, opowiadając w jakiejś gazecie lubelskiej o moich grzechach, przypomniał i o balu w Wielki Piątek, pociągając mnie do moralnej odpowiedzialności za ten bal.

Ale wyładowywano swoją energię nie tylko w balach i klubach. W tym otoczeniu bierze początek parę organizacji, które kiedyś miały spełnić rolę poczesną w życiu umysłowym i społecznym. Mówiąc to mam na myśli zaczątki „uniwersytetu latającego" i organizacji oświatowej — ludowej.

Ale nim przystąpię do rozpatrzenia tych naszych poczynań, pozwolę sobie zaznaczyć, iż były bardziej zorganizowane łożyska czynu, poza którymi istniały inne, luźniejsze lub prowadzone niekiedy na własną rękę przez tego lub owego członka mgławicy. Tutaj należą prowadzone za naszych czasów tajne odczyty. Rozpoczynają się one może z wiosną 1882 r., ciągną się już na dobre jesienią 1882 i zimą 1883 r. Odbywały się w mieszkaniach, których właściciele nie obawiali się zbytnio represji policyjnej, tj. w mieszkaniach ubogich lub studenckich „ambasadach". Miewał odczyty Krusiński i treścią jego odczytów były drukowane później artykuły o organizmie społecznym, o duszy zbiorowej. Pamiętam o dwóch swoich odczytach — jeden poświęcony historii rodziny pierwotnej, drugi poświęcony niepowołanym, a jednak ośmielającym się zabierać głos inicjatorom nowych wzorów życia (z powodu familisteru w Guise [5]). Prawdopodobnie miewali odczyty i przyrodnicy. Nie tyle treść odczytów była nielegalna, choć nie brakło tam pojęć niecenzuralnych, ile sam fakt ich urządzania. Zbierało się po setce i więcej słuchaczy — osób zazwyczaj nieznanych, spoza świata studenckiego, zwłaszcza sporo bywało przedstawicielek płci żeńskiej. Świadczyło to, że wpływy nasze zaczynały promieniować na szersze koła społeczne. Inną rzeczą również wytwarzającą takie promieniowanie było nawiązywanie stosunków z młodzieżą szkolną, z robotnikami. Naturalnie, oddziaływanie to było różnej wartości, niekiedy dość dziecinne, jeśli chodziło o Jackiewicza lub kogoś z kompanii witebskiej. Moje stosunki osobiste szły poprzez gimnazja, z których pojedynczy uczniowie dość systematycznie mnie odwiedzali; w liczbie ich był i Bronisław Sławiński, [6] któremu potem wypadło odwiedzić więzienia pruskie i katorgę rosyjską. Ale główną widownią działania mego była szkoła techniczna

przy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, przygotowująca maszynistów i techników niższego rzędu. Stosunki ułatwiała ta okoliczność, iż w tym samym domu, gdzie mieszkałem, na obecnej ulicy Emilii Plater, drugi dom od Alei Jerozolimskich, kilku uczniów tej szkoły: Bereza, Niedziałkowski, Szumowicz, zajmowali paropokojowe mieszkanie. Tam co tydzień lub co drugi odbywały się zebrania uczniów i warsztatowców Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, gdzie wypadało mi miewać coś pośredniego między wykładami a odczytami. Bywało tak pełno, iż nie podobna było niekiedy przecisnąć się. Gromada techników była usposobiona niezmiernie opozycyjnie: po większej części było to zdeklasowane młode pokolenie pochodzenia szlacheckiego. Ale propaganda w kierunku społecznym nie bardzo się przyjmowała. Interesowali się tymi zagadnieniami, ale się nie roznamiętniali. Natomiast sprawa swobód politycznych, sprawa opozycji przeciwko rządowi w imię uzyskania konstytucji znajdowała żywy oddźwięk. Późniejsza P.P.S. niewątpliwie zebrałaby tam plon obfity, ale my jeszcze podówczas zanadto byliśmy zahipnotyzowani stroną społeczną życia, żeby umieć wyzyskać należycie to usposobienie młodzieży technicznej. Dlatego gdy ukazał się G ł o s ze swoim silnym wysunięciem naprzód sprawy narodowej, od razu zyskał wielkie wzięcie w tym środowisku. Za moich czasów zaczęły powstawać nici pomiędzy technikami a dość mętną organizacją patriotyczną młodzieży petersburskiej, do której należał Lebiedziński, A. Pawłowski pisujący później do P r a w d y, Hrebnicki, Juszyński. Organizacja ta pielęgnowała myśl terroru politycznego, a w poszukiwaniu środków pieniężnych niektórzy z członków wstąpili na drogę bohatera powieści Dostojewskiego *Zbrodnia i kara*. Zamordowano jakąś lichwiarkę. Innych szczegółów tej zbrodni nie pamiętam. Spośród techników utrzymywałem później stosunki z jednym tylko Berezą, człowiekiem nieco zwichniętym, ale niepośledniego charakteru. Znalazł się później różnymi drogami w Australii. Tam dotknięty został obłędem i sam nie wiedział, jakim sposobem powrócił do Europy. Następnie pracował w Rydze, a za czasów Niepodległej Polski wyrobiłem mu miejsce w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Potem straciłem go z oczu.

Przechodzimy jednak do czynów, które miały być posiewem pod rozleglejszą przyszłość. W jesieni lub zimą roku akademickiego 1882/3 w mieszkaniu przyrodnika Witolda Łopotta (i bodaj Połkotyckiego) przy ul. Nowogrodzkiej, w oficynie na I piętrze, odbyło się liczne zebranie, na którym przyszedł na świat tzw. „Wiktor Olszewski“,

a właściwie W. K. O. L., tj. Warszawskie Koło Oświaty Ludowej. Nieco o owym „Olszewskim“. Do cenzury podano jedną i drugą książeczkę dla ludu, gdzie figurowały owe nieszczęsne cztery litery. Cenzorem był bodaj Iwanowski, gorliwy z przekonań dla kariery cenzor, podobno kiedyś guwerner u jednego z dygnitarzy reakcji rosyjskiej, należący do organizacji, która powstała po śmierci Aleksandra II i z własnej woli i na własną rękę tropiła rewolucję. Człowiek w ogóle ciężki i podejrzliwy. Te litery zastanowiły go. Zażądał wyjaśnień. I oto z czterech inicjałów przyszedł na świat „Wiktor Olszewski“. Natomiast pająk, siedzący w rogu okładki pośrodku pajęczyny — wyobrażający Koło Oświaty Ludowej snujące pajęczynę oświaty wśród ludu, uszedł uwagi cenzury. „Wiktor Olszewski“ odtąd figuruje na licznych wydawnictwach K. O. L. Inicjatorem koła był Bolesław Hirszfeld, lecz jego duszą w przyszłości miał się stać Mieczysław Brzeziński. Zebranie było liczne, wymienić wszystkich trudno — pamięć odmawia. Byli tam luzem chadzający, jak medyk Józef Zieliński; byli członkowie „Proletariatu“ młodsi, jak Jentys; byli przyszli ludowcy, jak Tadeusz Zaborowski; brakło jedynie radykałów w dużych kapeluszach, z zasady powstających na wszystkich i wszystko, a pochodzących spoza Kongresówki. W ogóle ten odłam opozycyjny, który przybył z Rosji, jak Krusiński, lub z kresów, jak Rojecki, w zasadzie był nieobecny. Chodziło między innymi nie tylko o wydawanie książeczek popularnych, niosących ludowi wiedzę przyrodniczą, dających mu gospodarczo-rolnicze wskazówki lub głębszej treści powiastki, ale o ich rozpowszechnienie wśród ludu. Powstał w Kole wydział, który miał nawiązywać stosunki z młodzieżą wszelkich zakładów naukowych wyjeżdżającą na wieś, ażeby rozwoziła te rzeczy po wsiach, rozdawała je zamiast napiwków ludowi. Zasadą tej organizacji rozdawniczej było to, iż rozwożone książeczki były nabywane po cenie kosztu przez kółka rozwożące, a w jaki sposób od nich miały iść między lud, czy bezpłatnie, czy za pieniądze, pozostawiono ich uznaniu. W zasadzie polecano brać choćby niewielką zapłatę, żeby przyzwyczajać lud do kupowania książki. Taki był początek przyszłej organizacji oświatowej, która z biegiem czasu miała rozrosnąć się w całe przedsiębiorstwo z własną księgarnią, z własnym czasopismem tygodniowym i dać zarobek kilku osobom. Młodzież garnęła się do organizacji rozdawniczej: wszyscy ci, którzy bądź z przekonań, bądź z pobudek nieidealnych stronili od działalności politycznej, a chcieli jednak coś robić, garnęli się do oświaty ludowej. Młodzież uniwersytecka zaprzęgła niebawem do

pracy panienki dworskie. Ukazały się tajne szkółki, a później trop w trop za szkółkami i legalnym rozdawnictwem poszły wydawnictwa nielegalne, już przez kogo innego inicjowane, i włościanie samorzutnie stworzyli ciekawą organizację krzewienia tych rzeczy: doktor Leon Rutkowski, dobry znawca tych stosunków, opowiadał mi, iż w Płońskiem, w którejś wiosce, znajomy chłop wiedział, że pod takim to kamieniem na swoim polu znajdzie zakazaną gazetkę już czytaną, a nie wiadomo od kogo pochodzącą, i że sam ją kładzie pod kamień na polu innego włościanina, i wie, że ją wyjmują stamtąd i czytają, i dalej kładą w ten sam sposób. Organizacja bez właściwej organizacji, gdzie nikt nic nie wie, a jednak coś każdy wyjmuje, coś czyta i coś krzewi dalej. Tak było w latach dziewięćdziesiątych. Ale wracamy do Koła Oświaty Ludowej. Duszą Koła od początku stał się Mieczysław Brzeziński; aresztowany w związku z aresztami 1878 r., po wypuszczeniu został przyjęty do uniwersytetu na przyrodę i tutaj rozpoczął cichą, ale systematyczną pracę swoją nad stworzeniem organizacji oświatowej, a nie chcąc z powodów politycznych wysunąć się na plan pierwszy, wysunął naprzód Hirszfelda. Od początku wśród owej mgławicy uniwersyteckiej wraz z Barańskim, towarzyszem z Cytadeli, był ośrodkiem nastrojów patriotycznych, z tą różnicą, że kiedy Barański do śmierci swojej posuwał się raczej w kierunku coraz jaśniej uświadamianego ruchu robotniczego, Brzeziński szedł na prawo, przechodząc wszystkie ewolucje ludowców — aż do przekształcenia się ich w endecję. Jego stosunek w uniwersytecie do lewego odłamu mgławicy, dla którego wszystkie grupy polityczne schodziły na plan drugi w obliczu kwestii społecznej, jego unikanie Ludwika Waryńskiego i trzymanie się z dala od tworzącego się „Proletariatu", zrobiły z niego postać zupełnie wyraźną. Uczciwy w najwyższym stopniu, niezmiernie ujmujący, od pierwszej chwili mojego zetknięcia się z nim zrobił na mnie wrażenie człowieka wysoce zrównoważonego, mającego przed sobą jasno wytkniętą drogę na przyszłość. Omyliłem się! Raczej należało powiedzieć: człowieka, w którym pierwiastki uczuciowe zagłuszą wszelką teorię społeczną i zwrócą go na drogę powolnej, organicznej działalności. Wielokrotnie skierowywał rozmowy ze mną na takie tory. Mam wrażenie, że zwierzał się przede mną z różnych wątpliwości co do założeń *credo* rewolucyjnego. Niewątpliwie w chwili ukończenia uniwersytetu skończył już obrachunki z sobą, co ma robić: należy zwrócić się do ludu wiejskiego celem szerzenia oświaty i przede wszystkim oświaty; trzeba nie jątrzyć tedy zbytnio antagonizmów

wiejskich, żeby nie stwarzać przeszkód tej działalności, a więc nie zadzierać z religią, nie podburzać przeciwko dworowi, choć nie bronić jego nadużyć. Stanowisko to brał Brzeziński nie jako rzecz pożądaną i miłą, ale jako *malum necessarium*. I faktycznie umiał zaprząc całe zastępy panienek ze dworu do systematycznej pracy nad ludem. W głębi był to poeta dużych zdolności. Jego utworem jest wierszyk drukowany w zbiorku poetyckim, rozpoczynający się od strofki:

Hura, hej hura! niechaj car żyje!
I wszechpotęga cesarskich szpiegów!
Niech każdy zdrowie jego wypije!
Zdrowie policji tajnych szeregów!

Lecz jąwszy się pracy nad oświatą ludową zwrócił wszystkie swoje siły i uzdolnienia w kierunku popularyzacyjnym. A był wyjątkowym zarówno pedagogiem jak popularyzatorem. Jako pedagoga wykładającego w kompletach dziecięcych rozrywano go. Plutokracja żydowska płaciła mu wysokie honoraria i komplety jego składały się przeważnie z młodych pociech warstw bankierskich. Spod jego pióra wychodziły wciąż nowe utwory; niektóre z nich stały się powszechnie używanymi wypisami i pogawędkami dla małych dzieci. Na tę pracę popularyzacyjną oddawał najlepsze swoje siły. Niekiedy tylko występował z artykułami publicystycznymi jako Bystrzycki (od rzeki Bystrzycy w Lubelskiem) i pisywał wyłącznie w G ł o s i e, z którym był związany od początku, podzielając wszystkie jego przekształcenia ideowe. Odpoczywał latem w swoim ukochanym Kazimierzu, gdzie z biegiem czasu nabył dom z ogrodem i nawiązał osobiste stosunki z młodzieżą okolicznych wiosek. Żona mu dzielnie pomagała w tej pracy, biorąc na siebie część organizacyjną, a nadto siostra żony, Faustyna Morzycka. Ale Faustyna z biegiem czasu, zwłaszcza pod wpływem otoczenia szawelskiego (siostra jej, Arciszowa, była bratową Wincentowej Janowiczowej i z Faustyną lat parę mieszkała w Szawlach), zawróciła na lewo. Podczas rewolucji szła z P. P. S. i w końcu po przegranej, wyczerpana, pozbawiła się życia. Na pogrzebie odbyły się ciężkie sceny: Brzezińska nie chciała pozwolić ani na wieńce z czerwonymi wstęgami, ani na inne symbole przynależności siostry do ruchu robotniczego. Tak dalece zmieniły się czasy i ludzie!...

Drugim oddanym oświatowcem był Boś, jak powszechnie nazywano Bolesława Hirszfelda.[7] Cała rodzina Hirszfeldów spolonizowała się całkowicie, wciągnięta bezpośrednio lub pośrednio w wir

walki przeciwko caratowi. Siostra jego wyszła za mąż za Tomasza Ruśkiewicza, zesłańca w związku z organizacjami patriotycznymi. Boś wywierał duży wpływ moralny na otoczenie: spełniał poniekąd rolę cenzora. Pilnował nas, jak mi ktoś powiadał w lat wiele po jego śmierci, ażebyśmy nie zmarnowali się i nie rozłajdaczyli; właściwie było na przyrodzie podówczas dwóch takich cenzorów: Hirszfeld i Norblin. Ale kiedy Hirszfeld oddziaływał w sposób spokojny, tolerancyjny, lecz wpływowy, co najwyżej posługując się ironicznym uśmieszkiem, to Norblin był prawdziwym katem — gwałtowny, doktrynersko suchy, dogmatyczny, robił sceny koledze, jak robi niekiedy żona mężowi za spóźnienie się na obiad lub inną uroczystość domową. Dom Hirszfeldów za Żelazną Bramą, tuż przy ogrodzie Saskim, był miejscem zebrań delegackich i wszelkich posiedzeń kursowych. Hirszfeld robił honory domu w sposób taki, iż czuć było troskliwość gospodarza na każdym kroku, a jednocześnie można było nie wiedzieć, że Hirszfeld jest gospodarzem. Orężem jego była grzeczna, wytworna ironia, która tylko w wyjątkowych wypadkach przybierała cechę zjadliwą. Tak było w stosunku do Michała Frenkla. Było to w dzień Bożego Ciała, kiedy procesje odbywały się w mieście. Frenkel przechodził koło procesji, nie zdjąwszy czapki. Rzucono się na niego i poturbowano go zbyt silnie, jednak miał tyle sił, że dostał się na zebranie kursowe do Hirszfelda. Tam rzucił się na fotel krzycząc: „Zabili, zabili!“ Boś dał brawo i zaznaczył: „Od razu można poznać, kim jesteś“. Z Frenklem widziałem się w 20 lat później, na zjeździe apuchtinowczyków: naturalizował się we Francji i na zebraniu koleżeńskim urządził propagandę na rzecz monarchistycznej i katolickiej „Action Francaise“, której, jak się okazało, był czołowym przedstawicielem. Ale wracamy do Bosia. W Oświacie Ludowej wziął na siebie pracę organizacyjną: organizował akcję rozdawniczą, zajmował się zbieraniem funduszów, prowadził umowy z drukarniami i księgarzami. Ale coś w nim ulegało rozprzężeniu. Co, nie umiem powiedzieć. Zmuszony do wyjazdu na czas dłuższy za granicę, a po powrocie otoczony, że tak rzeknę, atmosferą postrachu, która sprawiała, iż mogłem żyć tylko w niewielkim gronie osób palących za sobą mosty, byłem oddalony od wszystkich, którzy zajmowali się pracą oświatową. Nie wiem, czy choć raz jeden spotkałem Bosia. Dlatego zupełną niespodzianką była dla mnie wiadomość, iż zażyciem trucizny skrócił dni swoje — powszechnie lubiany i poważany. Wprawdzie tkwił w nim zawsze pierwiastek mistyczno-melancholijny, który nieraz w sposób nieoczekiwany nawet dla samego

Bosia wydobywał się na jaw. Była nawet uczuciowa potrzeba wiary w coś mistycznego. Łopott opowiadał mi, iż Hirszfeld dowiedziawszy się o tym, że na ulicy Wielkiej mieszka jakaś „dobra“ wróżbiarka, zaproponował Łopottowi pójście do niej: niech powróży! Wróżbiarka wróżyła każdemu osobno w swoim pokoju. Boś wyszedł od niej przygnębiony, milczący i ani jednym słówkiem nie dał do zrozumienia Łopottowi, co mu powiedziała, a przed innymi kolegami ukrył swoją wycieczkę. Dzisiaj nastręcza mi się podejrzenie, iż może wtedy powstała w nim myśl lub może mu ją podsunięto — o niezwykłej śmierci. W każdym razie w otoczeniu, w którym przebywał, nikt nie umiał powiedzieć czegoś stanowczego o powodach jego śmierci. Sądzę jednak, że w otoczeniu oświatowców musiał się czuć nieswojo. Już około r. 1891 rozpoczyna się wśród oświatowców silna niechęć ku socjalistom, a Hirszfeld, choć do nich nigdy nie należał, przecież zachował względem ruchu socjalistycznego całe poważanie. Z drugiej strony zaczął wśród nich kiełkować żywiołowy, niekiedy ordynarnie nieokrzesany antysemityzm. Musiało to razić, a nawet boleć Hirszfelda. Tkwił w pracy oświatowej, ale osamotniony i zwarzony. Ta okoliczność nie mogła przyczynić się do stworzenia równowagi duchowej u Hirszfelda. Wypowiedziałem to nawet głośno, gdym się dowiedział o jego śmierci, rzuciłem im w oczy zarzut: że swoim kołtuństwem (a niestety, dawni farysi przekształcali się w kołtunów!) zabili Hirszfelda. Jeden z tych kołtuniastych eksfarysów odpłacił mi pięknym za nadobne na pogrzebie Hirszfelda: podszedł do mnie z uwagą, że nie moje miejsce, jako socjalisty, na tym pogrzebie. Był to Tadeusz Zaborowski, zresztą zacny z bebechami człowiek, ale również zacnie głupi. Ciało Hirszfelda, przywiezione z zagranicy na dworzec Warszawsko-Wiedeński, zostało przewiezione na cmentarz wśród olbrzymiego orszaku. Był to bodaj pierwszy manifestacyjny pogrzeb w Warszawie, choć jeszcze bez oznak zewnętrznych manifestacji. (Zresztą samobójstwo zdarzało się częściej w rodzinie Bosia — jego siostra w ten sam sposób skończyć miała).

Drugim poczynaniem, które w przyszłości miało rozrosnąć się w „uniwersytet latający“, było zakładanie kobiecych kółek samokształcenia. A właściwie jednego kółka, bo o innych nic w latach 1882—83 nie pamiętam. Było to kółko założone przeze mnie, a odbywające swoje zebrania parę razy tygodniowo w lokalu pani Rose, w ostatnich okresach przy ul. Nowogrodzkiej w pobliżu Brackiej, poprzednio zaś nie pamiętam, na której ulicy tej samej części mia-

sta. Pani Rose, z domu ustosunkowanego, zdaje się, hrabiów Rostworowskich, wyszła za mąż za człowieka bez energii, który gdzieś i jakoś zarobkował, ale zarobku tego nie wystarczało na utrzymanie trzech córek i kilku synów. Postać jego przesuwa się przed moją wyobraźnią jak gdyby we mgle, jako jakieś podrzędne, mgliste akcesorium pani Rose. Ta zaś pracowała, jak tylko może pracować kobieta nie mająca środków na utrzymanie swojej licznej rodziny. Dosyć inteligentna, żeby zrozumieć cele nasze, dość życiem nauczona, żeby zapomnieć o pańskich poglądach i nie lękać się zapatrywań znaku radykalnego, taką zawsze pozostała. Już znacznie później, bo w latach dziewięćdziesiątych, odbywały się u niej „listopadówki", gromadzące po setce uczestników. Kółko liczyło kilka osób, były tam „panienki" przeznaczone do życia obywatelskiego: Kozerska, siostra doktora Adolfa, i jej siostra cioteczna, Garszyńska; była ze sfery inteligencji pracującej Trzcińska, siostra studenta przyrody; była z kresów, z otoczenia drobnoszlacheckiego, Rutkiewiczówna; były trzy siostry Rose'ówny; była starozakonna Złotowska, zdaje się, ze sfery zupełnie ubogiej; dwie Szreterówny, ich siostra cioteczna, Eugenia Szmidtówna. Wszystko to były dziewczęta w wieku lat osiemnastu — dwudziestu paru; niektóre z wykształceniem domowym, tak powszechnym podówczas dla kobiet; niektóre pokończyły pensje prywatne, tj. były wychowankami przemysłu szkolnego. Ale różnice znikały wobec zainteresowania się studiami i wobec wykazywanych uzdolnień. Wszystkie dziewczęta były zdolne. Wykładano nauki społeczne, czym obarczono mnie; przyrodę wykładał Siemaszko Józef; może coś przypadło Adolfowi Kozerskiemu, może Rutkiewiczowi. Najgorsza rzecz była z czytankami ogólnokształcącymi: w polskim piśmiennictwie nie było odpowiednich przyczynków, trzeba było wyciągnąć w języku rosyjskim Dobrolubowa, a ponieważ $^3/_4$ uczestniczek nie rozumiało po rosyjsku, trzeba było to tłumaczyć. Najważniejszy jednak wpływ wywierały pogawędki, które wywiązywały się samorzutnie po wykładach, zwłaszcza kiedy przybyło parę osób spośród radykalii uniwersyteckiej. Chodziło o przygotowanie słuchaczek do matury, która otworzyłaby im wstęp na medycynę — dlatego poza wykładami treści ogólnej odbywały się wykłady specjalne. Katastrofa apuchtinowska położyła kres istnieniu tego kółka. Wprawdzie Błaszkiewicz, Rutkiewicz, a nawet chwilowo Jodko stworzyli około pani Rose nowe ugrupowanie, ale o wykładach nie było już, zdaje się, mowy. Jednak kółko plon wydało — trzy spośród uczestniczek znalazły się na uni-

wersytecie zagranicznym. Z tych Złotowska i Trzcińska skończyły medycynę, Szreterówna zaś nad naukę przełożyła picie życia pełną czarą. Zamożna, przestała się liczyć z czymkolwiek. Losy jej dalsze są mi nie znane. Z Rose'ówien najstarsza zdała egzamin nauczycielski i była pożyteczną pracownicą; siostry jej umarły bardzo młodo. Kozerska zwiędła w otoczeniu endeckim, które ją dławiło, ale z którego nie umiała się wyrwać. Szmidtówna została zesłana na Syberię. Ale Siemaszko, którego pozostawiono w Warszawie, po społu z Norblinem ciągnęli pracę kółek oświatowych wśród kobiet. Przez lata 1883—88 mieli rocznie po kilka kółek. Rzecz stała się powoli modna. Same dziewczęta i ich przyjaciółki zbierały się i same wyszukiwały wykładowców. Aż póki na widowni nie zjawiła się Wanda Szczawińska, późniejsza Dawidowa, duży talent organizacyjny, i nie powiązała kółek w jedną dużą organizację. Z jej inicjatywy nastąpiła jeszcze inna zmiana: wykłady dotychczas bezpłatne, ideowe, obecnie stały się płatnymi.

II

„SCHODKA“ APUCHTINOWSKA

Ku końcowi zimy r. 1883 cała moc objawów wewnętrznych w uniwersytecie zwiastować zaczęła zbliżanie się burzy. Prężność energii żądała wyładowania, ale w jakim kierunku nastąpi to wyładowanie, czy przybierze kształty protestu racjonalnego, czy wystąpi pod postacią prostego, ale zbiorowego wybryku, nie podobna było o tym nic powiedzieć. Ale poczucie jakieś bliskiej, koniecznej katastrofy było tak silne, iż niektórzy porzucili wszelką pracę przygotowawczą do egzaminu. „I tak nas wyleją!“ — mawiali w witebskiej polszczyźnie witebszczanie, gromadka, która w swoich wojowniczych zapędach dochodziła aż do zamiaru rozprawy osobistej na życie i śmierć z Apuchtinem. I należy oddać sprawiedliwość właśnie Apuchtinowi, iż robił wszystko, co mógł, aby tę prężność spotęgować w najwyższym stopniu. Czym były jego czasy dla polskiego szkolnictwa w ogóle, o tym powszechnie wiadomo. Ale mniej wie się o jego stosunku do młodzieży uniwersyteckiej. Już nie mówimy o sprowadzaniu na profesorów swoich protegowanych, zupełnie nie przygotowanych do wykładów, jak np. na matematyce Baskakow, wykładający funkcje eliptyczne, któremu dyktowaliśmy z książki, co i w jaki sposób miał przerabiać na tablicy. Chodzi nam raczej o jego usiłowania stworzenia w uniwersytecie rygoru wojskowo-policyjnego. Już pierwsza pogłoska o nowym kuratorze zwiastowała, iż nad uniwersytetem zaciążyła ręka brutalna. Było to w ogrodzie Saskim w pierwszych tygodniach po wakacjach. Do paru studentów siedzących na ławie podszedł poważnego wieku mężczyzna i zirytowanym tonem, po rosyjsku, zapytał, dlaczego mu się nie ukłonił. Studenci ci po raz pierwszy dowiedzieli się, że istnieje na świecie jakiś Apuchtin, że ten Apuchtin jest kuratorem i że ten Apuchtin wymaga, ażeby mu studenci oddawali ukłony. A tymczasem dotychczas nawet rektor uniwersytetu, a tym bardziej kurator byli niemal posta-

ciami mitycznymi, o których wiedziano, iż istnieją i że może ich się spotyka, ale są po to, żeby pobierać pensję, a nie żądać od studentów oznak czci wojskowej. Rozpoczęły się różne drobne wtargnięcia tego samego rodzaju w sferę życia studenckiego. Niewątpliwie ta zaczepna postawa władz, zacząwszy od najniższego naczalstwa: panów pedelów podglądających na każdym kroku i podsłuchujących, a skończywszy na inspekcji, była objawem głębszej przyczyny — ogólnorządowej polityki względem studenterii w całym państwie. Przytoczę fakt tej sprawności z czasów, gdy byłem wydalony z uniwersytetu i dotknięty zakazem, abym jako nieczyste stworzenie nie ważył się przestąpić rogatek prowadzących do Warszawy. Już z paszportem zagranicznym w kieszeni zaszedłem do biblioteki uniwersyteckiej, żeby sprawdzić jakieś miejsce w książce. Już w szatni spotkałem się z pytającym spojrzeniem szatnego, a na górze woźny biblioteczny zobaczywszy mnie wybiegł jak oparzony. Nie zdążyłem jeszcze podać kartki z zamówieniem na książkę, a już zjawił się pomocnik inspektora, rezydujący w innym gmachu, i wzrokiem sprawdził autentyczność mojej osoby. Po chwili woźny biblioteczny poprosił mnie na rozmowę do przedsionka, a tam pan pomocnik inspektora z całą grzecznością oświadczył, iż biblioteka, a w dalszym ciągu wszystkie mury uniwersytetu nie mogą być splamione moją obecnością, i zadał mi jeszcze jedno grzeczne pytanie, na jakiej podstawie jestem w ogóle w Warszawie. Odrzekłem, że tęskniłem do miłych wspomnień uniwersyteckich i że zadowolony jestem, iż powiększyłem je o jedno nowe wspomnienie... Naturalnie, natychmiast opuściłem pośpiesznie uniwersytet, nie powróciłem nawet do mieszkania u Rose'ów, gdzie parę dni mieszkałem, a nocowałem u młodego jeszcze wtedy i nieopierzonego Witolda Jodko-Narkiewicza i nazajutrz wyjechałem z Warszawy. Mechanizm policyjny działał szybko i sprawnie. Jednak my zapominaliśmy o tym związku i Apuchtinowi przypisywaliśmy ciekawość inspekcji w sprawie mundurów i czapek, natręctwo o opłatę wpisu, ginięcie listów przysyłanych do prowodyrów opozycji na poczcie uniwersyteckiej, podsłuchiwanie przez pedelów i nawet robienie przez nich jakichś jawnych o nas notatek, słowem, każdy szczegół.

Wyobraźnia nasza była chora na Apuchtina! I było rzeczą zrozumiałą dla nas, że katastrofa będzie związana bezpośrednio z osobą Apuchtina. Zdenerwowanie było takie, iż Wojniłowiczowi i Jackiewiczowi, obu witebszczanom, chodziły po głowie marzenia warte dzieciaków: zrobimy wiec, wezwiemy nań Apuchtina, który w rozumie-

niu witebszczan niewątpliwie przyjdzie, tam Jackiewicz z przyjaciółmi co najmniej zastrzeli go, a potem, potem — będą mieli dosyć czasu, żeby podpalić wszystkie gmachy uniwersyteckie! Z cyrkułu policyjnego, zwanego uniwersytetem, nic się nie zostanie — ku wielkiej przestrodze wszystkich innych cyrkułów tego rodzaju... I te desperacko-dziecinne nastroje tułały się wśród „prowodyrów“ mgławicy. Już po „schodce“ apuchtinowskiej Mieczysław Szmidt postanowił wysłać wybuchową maszynkę Apuchtinowi. Maszynka byłaby posyłką pocztową. Mieściłaby się w opakowaniu zwykłym ładna szkatułka, a w niej maszynka. Dla inicjatora nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Apuchtin otworzy tę szkatułkę własnymi rękoma, a wtedy szkatułka rozsadzi go. Dulęba, który w procesie „Proletariatu“ poszedł na ciężkie roboty, miał skonstruować maszynkę, Jelonkowski dostarczyć dynamitu. Dulęba podobno wywiązał się ze swego przyrzeczenia: najemny ślusarz zrobił maszynkę, ale tutaj nastąpiło pierwsze i ostatnie rozczarowanie: maszynka przybrała rozmiary sporego kufra.

Sprawa „schodki“ nie tylko wśród nas wysuwała się na poczesne miejsce. Stawała się sprawą ogólnouniwersytecką. Naturalnie, my byliśmy tym odłamem młodzieży, który podsycał istniejące wzburzenie. W końcu zimy odbyło się liczne zebranie gdzieś na ulicy Złotej w lokalu na parterze. Byli tylko przedstawiciele odłamu radykalnego. Chodziło o sposób wyrażenia protestu przeciwko rządom Apuchtina. Znajdowały się osoby i spoza uniwersytetu: Adam Zakrzewski, inżynier Buszman albo Buchman i inni. Kim był Buszman i dlaczego tam trafił, nie pamiętam. Zapamiętałem nazwisko jego tylko dzięki czyjemuś dowcipowi. Wystąpił on z jakimś projektem protestu, niepraktycznym. Gdy skończył, z kąta odezwał się głos:

Nieszczęściem, krótkość czasu była na zawadzie,
Że się nie stało zadość Buchmanowej radzie.

Śmiech powszechny — i rada Buchmanowa utonęła bez protestu. W przededniu niemal „schodki“ apuchtinowskiej odbyło się zebranie ogólnouniwersyteckie Koła delegatów. Na to zebranie wniesiono sprawę protestu. Większość jednak oświadczyła się przeciw jakiejkolwiek, jak się wyrażała, awanturze. Jednak sprawa zaczęła poważnie mącić spokój uniwersytetu i wydostała się poza mury uniwersyteckie. Z inicjatywy doktora Ignacego Baranowskiego odbyło się posiedzenie ówczesnych prowodyrów opinii publicznej warszawskiej; byli tam: Bronisław Chlebowski, Piotr Chmielowski, innych

nazwisk nie pamiętam. Roztrząsano na nim sprawę fermentu w uniwersytecie, jako objawu z politycznego punktu widzenia wcale niepożądanego. Niektórzy widzieli w nim powracającą falę 1863 roku z zapowiedzią represji rządowej dla całego kraju, inni — zwiastuna nihilizmu rosyjskiego. Postanowiono wejść w zetknięcie z młodzieżą uniwersytecką, aby na nią oddziałać w duchu uspokajającym. Z mniejszą tolerancją spoglądali na nas „zulusi" uniwersyteccy. Wniesienie na Koło delegatów sprawy ogólnostudenckiego protestu przeciwko Apuchtinowi odbiło się głośnym echem na wszystkich kursach i stało się przedmiotem roztrząsań w jadalni studenckiej. Rzecz stawała się głośna. Jedni byli przeciwko nam, gdyż, wychowani w lęku trwożnym, widnokręgami swymi nie wybiegali poza hasła pracy organicznej; inni zwalczali nas, gdyż obawiali się zamknięcia Uniwersytetu Warszawskiego, niebaczni na to, iż rząd, traktując uniwersytet jako placówkę wpływów rosyjskich, nie wyrzeknie się jego posiadania; jeszcze innym, a tych było bodaj najwięcej, ciężka była myśl o narażeniu swej kariery. Dlatego rozprawy były namiętne i jak my nie oszczędzaliśmy „zulusów", tak również „zulusi" nie szczędzili nam pogróżek i insynuacyj. Aż w końcu podczas przerwy pomiędzy dwoma wykładami, na pierwszym czy drugim kursie prawa, niejaki Rygobert Jaworski, dawny mój kolega z pierwszego kursu matematyki, młodzieniec mało zdolny, mało rozwinięty, podniósł głośno sprawę podżegaczy uniwersyteckich i zaprojektował, żeby ogół młodzieży zażądał od władz uniwersyteckich wydalenia: Stanisława Krusińskiego, Edmunda Sobolewskiego i mojej osoby, jako wichrzycieli spokoju.

Było to nawoływanie jawne do denuncjacji. Tego samego dnia przed południem wiedzieliśmy o tym postępku, który groził nam uwięzieniem, i postanowiliśmy natychmiast położyć kres możliwym następstwom przez skarcenie denuncjatora. Około godziny trzeciej udaliśmy się do jego mieszkania. Dopiero w drodze spostrzegliśmy, że nie mamy świadka rozmowy. Na Lesznie spotkaliśmy jakiegoś studenta. Był to, jak dowiedzieliśmy się później, niejaki Hirszband, różny zresztą od przyszłego literata Hirszbanda. Zwróciliśmy się do niego z zapytaniem, czy nie zechciałby oddać nam koleżeńskiej przysługi. Przystał na to, nie pytając się nawet, o co chodzi. Widocznie znał nas z widzenia i jeszcze bardziej ze słyszenia. Przybywszy do mieszkania Jaworskich zażądaliśmy widzenia się z panem Rygobertem. Ten wyszedł, a ujrzawszy nas wcisnął się w kąt. Sobolewski zadał mu pytanie: „Czy jest prawdą wiadomość, którą nam za-

komunikowano, iż pan proponował dzisiaj kolegom swoim, żeby nas trzech wydano władzom uniwersyteckim?“ Jaworski milczał. Sobolewski, roznamiętniony, spytał się jeszcze raz jeden. Jaworski zaczyna prawić o tym, że dobro ojczyzny jest wyższe ponad wszystkie względy. Sobolewski przerywa mu tę frazeologię: „Pytamy się, czy pan proponował nas dzisiaj denuncjować?“ Jaworski wreszcie odpowiedział, że tak. Na to Sobolewski wymierzył mu policzek. Nie opisuję przykrej sceny, kiedy zbiegła się cała rodzina i rzuciła się na najniewinniejszego Hirszbanda, który, cały strwożony, schował głowę w kąt. Swoją drogą był później zadowolony, bo stał się osobą popularną w uniwersytecie: proszono go, żeby opisywał zdarzenie, jedni, bo byli ciekawi, inni — żeby na podstawie tego faktu uchwałą Koła delegatów zmusić nas do opuszczenia uniwersytetu. Rzecz nabrała takiego rozgłosu, iż w końcu żandarmeria rozpoczęła śledztwo w tej sprawie. Zostaliśmy wezwani do pana Siekierzyńskiego, spodziewając się, że wśród naszych grzechów znajdzie się i policzek wymierzony Jaworskiemu; umówiliśmy się, iż nie będziemy ukrywali pobudek naszego postępowania: chciał nas denuncjować i my wymierzyliśmy mu karę, żeby zapobiec gorszym dla siebie następstwom. Obecnie z pamięci wypadły mi wszelkie szczegóły tego śledztwa: pamiętam, że było to gdzieś na ulicy Miodowej w dużym, ładnie umeblowanym biurowym pokoju, że pan Siekierzyński więcej o mnie wiedział, niż przypuszczałem, i że po jakiejś godzinnej rozmowie wyszedłem od niego, ale z przekonaniem, iż czyn nasz, tak przykry z innych względów, okazał się dla nas bardzo pożytecznym; ci, którzy mają odwagę publicznie karcić zamiar denuncjacji, tym samym wykazują, iż nie mają grzechów poważniejszych na sumieniu. Zresztą czy tak myślały władze żandarmskie, nie dowiedzieliśmy się nigdy. Wypadki potoczyły się w tak szybkim tempie i przybrały charakter tak poważny, że sprawa policzka nawet w oczach żandarmerii stała się niewinnym żartem.

Marzenie nasze stało się faktem.

W ciągu paru godzin samorzutnie, żywiołowo protest przeciwko Apuchtinowi doszedł do skutku! Po raz pierwszy od roku 1863 śmiało rzucono caratowi w Warszawie czyn protestu.

Nie znany nikomu student Zukowicz, podobno Rosjanin, podczas posłuchania uderzył Apuchtina w twarz. A właściwie podobno tylko zamierzył się go uderzyć. Nigdy nikt nie wiedział dokładnie, co się stało. Wiadomość o policzku rozeszła się z niezmierną szybkością. Kiedy do mnie doszła wiadomość, nie pamiętam. W każdym razie

wiedziałem o niej, gdy wczesnym rankiem przed dziewiątą wyszedłem na uniwersytet zorientować się w sytuacji. Józef Siemaszko, z którym mieszkałem, pozostał w domu, powiadając, że czeka na wiadomość, co robić. Na podwórzu uniwersyteckim były tłumy podnieconych studentów: zbieramy się w IV audytorium! Taki był powszechny okrzyk, przy czym nie formułowano, co będzie dalej. Samo z siebie się rozumiało, że będzie wyrażenie jakieś solidarności z Zukowiczem. Wszystko to stało się żywiołowo, samorzutnie, prędko. Rzecz stała się tak niespodziewanie, że paroletni agitatorzy „schodki“, jak Krusiński, Rojecki, Sobolewski, jak zagorzały jej zwolennik Rutkiewicz, byli na niej nieobecni i dopiero następnego dnia zapisywali się w inspekcji jako solidaryzujący się ze „schodką“. I nie byli jedyni! Mieczysław Szmidt, pierwszy do takich protestów, dowiedział się na Krakowskim Przedmieściu, że coś się dzieje w uniwersytecie, a gdy przybył, już IV audytorium i korytarz były zatłoczone. Naturalnie przeważały młodsze kursy. Przyłączyło się do znanych mi osób z opozycji moc młodzieży, nawet z widzenia mi nie znanej, zwłaszcza w pierwszej chwili. Później, gdy „schodka“ przybierała charakter coraz poważniejszy i gdy nadeszła wiadomość, iż nadciąga wojsko, liczba uczestników przerzedziła się. Wielu z młodzieży nie znanej mi przyszło z całą świadomością następstw. Gdy z nimi się później zaznajomiłem w ciągu kilku dni rozruchów na Krakowskim Przedmieściu i podczas sądów, w paru kompletnie zakochałbym się, tak dzielne były te typy. Oto Antoni Krzeczkowski, bodaj z trzeciego kursu, człowiek, który żył serdelkami i chlebem. Podobno przeczuwając możliwość protestu porozumiewał się z ojcem swoim, że chce uczestniczyć w proteście. Ojciec odpowiedział: „Nie możesz inaczej postąpić!“ Oto dwóch gdzieś spod Uralu czy z Syberii, nazwisk ich nie pamiętam. Jeden, bodaj Wolański, z Ekaterynburga. Zdaje się, synowie zesłańców, przyjechali do Warszawy, tutaj biedowali, ale nie zawahali się ani chwili przyłączyć się do „schodki“. Byli i tacy, co, jak ćmy do światła, tak się rzucili uczestniczyć w proteście, żeby tego później żałować. Spośród tych głodomorów nerwowych muszę wymienić Rychtera. Znałem całą rodzinę w Płocku. Ojciec jego za jedną z pierwszych manifestacji przed rokiem 1863 był wydalony z ówczesnej szkoły medycznej. Pogodził się ze swoim losem jako lojalny urzędnik w rządzie gubernialnym w Płocku. Syna jego, studenta I kursu medycyny, spostrzegłem w audytorium IV. Zdziwiony jego obecnością, podszedłem nawet ku niemu i zapytałem: „Czy i kolega chce uczestniczyć w »schodce«?“ — A było to już w chwili sil-

nego podniecenia ogólnego. „Naturalnie“ — brzmiała szczera, śmiała odpowiedź. I kiedy nastały chwile największego podniecenia, wielu zaczęło kompletnie szaleć, Rychter należał do liczby najbardziej szalejących. Kiedy zjawił się Samokwasow, z kudłatą czupryną jak u popa, gromadka zapaleńców, nie mogąc przedostać się pomiędzy przejściami, biegła po ławkach ponad głowami kolegów ku Samokwasowowi, z wyciągniętymi rękoma, z twarzą półobłąkaną, jak gdyby z zamiarem porwania go za włosy, i... — zresztą sami nie wiedzieli, co poczną dalej. Na czele biegł Rychter. Był to jego pierwszy występ na widowni życia uniwersyteckiego i... ostatni. Za te parę godzin szału znalazł się w kategorii najciężej ukaranych. Ukarano już wytrzeźwionego, tak wytrzeźwionego, że gdym po paru latach znowu ujrzał mury warszawskie, Rychter pracował w biurze oberpolicmajstra miasta Warszawy, gdzie z biegiem czasu zajął wybitne stanowisko.

Przebieg drobiazgowy „schodki“ zupełnie zatarł mi się w pamięci. Pamiętam, że spośród zamętu sadowienia się, żywej wymiany zdań pomiędzy poszczególnymi uczestnikami, bieganiny pedelów, wciskania się do sali nowych uczestników i opuszczania jej przez gapiów, którzy stanęli jedną nogą na „schodce“ i, widząc powagę sytuacji, teraz wycofywali się, podniósł się i stanął na ławce Stanisław Krzeczkowski. Parę słów o nim. Był to już mężczyzna 26-letni, który dopiero przed rokiem zdawał jako ekstern maturę, wstąpił na medycynę i pracował, jak pracuje człowiek, który w ciągu lat walczył o dostęp do uniwersytetu. Uczestniczył w gwarnym życiu ideowo-koleżeńskim i komunikował się z nim w ciągu roku. Naturalnie wyleciał z uniwersytetu, zaliczony do kategorii najciężej ukaranych. Dał parę słów wyjaśnienia, po co zebraliśmy się. Prawdopodobnie i inni przemawiali. Kto mówił i co, nic nie pamiętam. Wiem tylko tyle, iż już w chwili gdy charakter „schodki“ stał się całkowicie wyraźny, przemawiałem oświadczając, że „schodka“ może mieć bardzo poważne następstwa dla uczestników i że ci, którzy nie czują się na siłach i nie mają odwagi rzucić całej swojej przyszłości na jedną kartę, niechaj opuszczą audytorium. Pretensji za to do nich mieć nie będziemy. Śmiało patrzymy w nieznaną przyszłość, wiemy, na co się odważyliśmy, i dlatego chcielibyśmy, żebyśmy wszyscy byli ożywieni jednym duchem i jednym postanowieniem doprowadzenia rzeczy do końca. Kiedy rzecz przybierze charakter stanowczy, nie pozwolimy wtedy nikomu wyłamać się z solidarności. W pewnej chwili ukazał się profesor Samokwasow, w charakterze pośrednika, jedyny

spośród Rosjan, którego nie podejrzewaliśmy o cele specjalnie rusyfikacyjne. Podniecenie już wtedy było tak wielkie, iż omal że nie padł ofiarą swego pośrednictwa. Zresztą o przyjęciu jakiegokolwiek protestu nie chciał słyszeć. W odróżnieniu od „schodki“ ostrowidowskiej nikt spośród władz uniwersyteckich nie ukazał się: inspekcja dobrze uświadamiała sobie, iż w ten lub inny sposób usłyszałaby coś urzędowo o Apuchtinie. Natomiast zjawili się przedstawiciele różnych odłamów spośród „zulusów“, z różnymi nawet komplementami dla nas i całym wylewem serdeczności, a zakończenie wszystkich ich mów było to samo: kochani koledzy, miejcie na uwadze przyszłość swoją, a jeszcze bardziej przyszłość kraju i rozejdźcie się. Z jednym z nich, prawnikiem, Markiem Borkowskim, późniejszym rejentem w Warszawie, miałem przejście. Rozpoczął swoje przemówienie jak prawdziwy sofista i ciągnął w duchu wprost demoralizującym. Podczas mowy jego powstałem z wnioskiem do ogółu kolegów, iż należy skończyć z sofistami i dla przykładu wyrzucić pana Borkowskiego przez okno. Akurat przypadkowo w jednym z okien zabrzęczały szyby i poleciały na podwórko. Borkowski znikł. Znikli i dalsi pośrednicy spośród „zulusów“. (Kiedy w r. 1913 urządzaliśmy zjazd apuchtińczyków, pan Borkowski ostrożnie badał, czy może być na bankiecie! Nieborak uważał, że należał wtedy do protestujących). W ogóle zapanowała głęboka cisza. Dotychczas bądź sympatyzujący z nami, ale nie mający odwagi przyłączyć się do nas, bądź zwyczajni ciekawi, pragnący przyjrzeć się przebiegowi zdarzeń, tłoczyli się na podwórzu uniwersyteckim, a nawet na korytarzach dolnych. A gdzie zebrało się paręset młodzieży, tam musiało być gwarno: głośnym odzewem odpowiadali na szyby wylatujące z okien IV audytorium, niekiedy na komplementy obelżywe, które rzucano im z okien. Niebawem te pomruki gromady ucichły. Na podwórze uniwersyteckie wkroczył pułk wołyńskiej gwardii, oczyścił podwórze, otoczył gmach wykładowy, przeciął komunikację i tym samym nie dopuścił kolegów, np. Krusińskiego, którzy zbyt późno dowiedzieli się o „schodce“ i śpieszyli przyłączyć się do protestu. I nasze zastępy się przerzedziły: korytarz się opróżnił, a nawet z audytorium wielu się wymknęło. Pozostało nas niespełna dwustu. w każdym razie około 160 ukarano mniej lub bardziej surowo, od udzielenia prostej nagany do wydalenia na lat 3, tzn. na zawsze. I my zachowaliśmy się również cicho: świadomi, że niebawem przyjdą po nas, w oczekiwaniu tej chwili byliśmy spokojni, przygotowani na wszystko. Ukazały się władze, każąc nam wychodzić po jednemu, a właściwie przepuszcza-

jąc po jednemu pomiędzy wojskiem. Przechodziliśmy przed stolikiem, przy którym siedzieli przedstawiciele inspekcji, tam zapisywano nasze imiona i nazwiska i odbierano legitymacje studenckie, następnie w asystencji paru bagnetów maszerowaliśmy, mając wciąż z obu stron żołnierzy, przez podwórze uniwersyteckie wypuszczani na ulicę Oboźną. I na Oboźnej było wojsko, ale już nie byliśmy jeńcami. Naturalnie śpieszyliśmy czym prędzej na Krakowskie Przedmieście. Tam znowu wojsko, a nade wszystko czarno od publiczności: dopięliśmy swego, władze uniwersyteckie przekształciły „schodkę“ w sprawę rozleglejszą — w pierwszy po r. 1863 protest polityczny. Publiczność chwytała studentów, rozpytywała się o istotę zajścia; wprawdzie nie wykazywała zbyt żywych sympatii dla naszego czynu, ale także i najmniejszej niechęci. Była przede wszystkim ciekawa! Wiadomość, iż studenci „buntują się“, dosięgnęła krańców Warszawy już przed naszym wyprowadzeniem uroczystym przez wojsko. I wszędzie wywoływała zaciekawienie, z którym szła w parze zupełna dezorientacja — ani potępienia, ani poparcia. Jedynie w warsztatach Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej zrobiło się gwarniej: rzucono myśl pójścia gromadnego na pomoc studentom.

Ale wracam do przerwanego wątku. Każdy śpieszył do cukierni Tura, tj. knajpy studenckiej, znajdującej się naprzeciwko wejścia do uniwersytetu. Było to prawdopodobnie pomiędzy drugą a trzecią. Nie chciało się odejść z pobliża placu wojny. Gwarno było i tłoczno, i nieco głodno, bo ciastkami trudno było nasycić głód młodych apetytów, było tak tłoczno, że wypadało stać i stojąc obradować, co jutro robić. Rozkaz brzmiał: wszyscy jutro do uniwersytetu.

Ale nazajutrz droga do uniwersytetu była zamknięta.

Wchodziło się do uniwersytetu przez bramę, która znajdowała się głębiej niż obecnie. W tym zagłębieniu zwolna o godzinie 10 rano zaczęliśmy się gromadzić w większej liczbie i wtedy na odsiecz uniwersytetowi przybyła konna żandarmeria. A na Krakowskim Przedmieściu ukazywały się wciąż nowe oddziały wojska: ułani, Kozacy dońscy, zwyczajna piechota, gwardia wołyńska. Władze jak gdyby chciały urządzić popis, ile mają i jakiego chłopa zbrojnego w Warszawie! I każdy nowy oddział podnosił w nas otuchę: zrobiliśmy swoje — przyuczamy społeczeństwo do protestu! Żandarmeria szybką szarżą oczyszczała zagłębienie prowadzące z Krakowskiego do uniwersytetu. Niektórych przyparła kompletnie do muru. Musieli się bronić. W tym położeniu znalazł się Rymsza. A ponieważ miał w ręku grubą a ciężką laskę, zaczął się nią zasłaniać. Areszto-

wano go. Okrzyk, iż Rymszę wzięto, zelektryzował wszystkich. Paru rzuciło się do dorożki, aby jechać do oberpolicmajstra z żądaniem wypuszczenia go. Schwytaliśmy Własowa przed pałacem Kronenberga, na dzisiejszym placu Małachowskiego. Akurat jechał w rosyjskiej „proletce“ do uniwersytetu. Szczegółów żadnych nie pamiętam. Wiem tylko tyle, że po chwili Własow stał na ulicy, a ja siedziałem na jego miejscu w „proletce“ i energicznie protestowałem przeciw postępowaniu władz. Własow zachował się bardzo grzecznie. Obiecał wypuścić Rymszę, a sprawę skierować do sądu zwyczajnego. A kiedy ówczesną ulicą Berga, dzisiaj Traugutta, wracaliśmy na Krakowskie Przedmieście, zastaliśmy wejście na nie zamknięte: w poprzek ulicy Berga stał oddział gwardii pułku wołyńskiego, a jak oko sięgnęło wszędzie widać było na Krakowskiem bagnety i Kozaków. Brakowało tylko armat. Oddziałem na ulicy Berga dowodził kapitan oraz młody chorąży, nieco zawstydzony rolą, jaką spełniał. Ten od razu uspokoił nas: *„Chuda wam nie sdiełajem“* (Nic złego wam nie zrobimy). Tutaj spędziliśmy parę godzin, wynagradzając sobie oczekiwanie podjęciem agitacji pomiędzy żołnierzami, na co młody chorąży patrzył przez palce. Żołnierze brali chętnie papierosy i chowali je do kieszeni, przy czym czasami uśmiechali się na nasze żarty mocno polityczne, niekiedy wybuchali śmiechem na zapytanie, czy to prawda, iż na każdego z nas przeznaczono jedną armatę i że te armaty już są w drodze, ale nic nie odpowiadali. W każdym razie mogliśmy być pewni, że bez stanowczego w tej mierze rozkazu nie pałają chęcią poturbowania nas zbyt energicznego. Ale nie byliśmy sami, ulica była otwarta z drugiego końca. Każdy bez przeszkód mógł przyjść i bez przeszkód odejść. Między innymi, tą drogą sprowadzano posiłki — butersznyty i inne podobne rzeczy. Więc mieliśmy gości co niemiara. Byli studenci, którzy przychodzili zaspokoić ciekawość swoją i potem zniknąć, a może jeszcze później chwalić się przed panienkami, iż odważyli się stąpać po tak niebezpiecznych miejscach. Jednego z nich, płocczanina, a więc osobiście mi znajomego, Mariana Lindę, zagadnięto: „A kolega co tutaj porabia? Czy chce przyłączyć się do nas?“ — „Nie chcę narażać swojej przyszłości!“ — brzmiała cyniczna, ale szczera odpowiedź. Ale pytanie poskutkowało, bo pan kolega ulotnił się w okamgnieniu. Przybył jakiś starszy jegomość, żeby nam powiedzieć komplement, a właściwie opowiedzieć to, co o nas mówią w Warszawie. Otóż w Warszawie powiadają: „Tak się takie rzeczy robią!“ Innymi słowy, Warszawie podobała się nasza stanowczość. Przybył manifestacyjnie redaktor Adam Wi-

ślicki z małżonką swoją pod ramię, witał się z tymi, których znał, dopytywał się, przypominał, że Przegląd Tygodniowy czeka na artykuły, a chociaż w słowach swoich zachował jak największą powściągliwość, to przecież silnym uściskiem dłoni usiłował zadokumentować, że jest z nami. Kręcił się Jan Popławski w czapce futrzanej, syberyjskiej. Popławskiego jeszcze wtedy nie znałem, więc twierdząc o jego obecności, robię to na podstawie dość niepewnego wrażenia, opartego na kształtach czapki i podobieństwie twarzy. Jak skończyły się te gawędy na ulicy Berga, o tym niejasne mam wspomnienie. Nie zdaje mi się, abyśmy powoli rozeszli się dobrowolnie. Mam wrażenie, że w końcu, po paru godzinach wojsko oczyściło ulice i położyło kres naszej manifestacji.

Rozpoczął się sąd. Sądzić nas zasiedli trzej profesorowie: Ganin, Simonenko, nazwiska trzeciego nie pamiętam. Codziennie pewna liczba spośród nas otrzymywała wezwania, przy czym, zdaje się, z góry już posegregowano winowajców. Ci, którzy otrzymali najsurowsze wyroki, byli wzywani w ostatnim dniu. Zresztą wśród najciężej ukaranych znalazło się paru zupełnie z nazwiska mi nie znanych lub takich, którzy podczas „schodki“ po raz pierwszy pojawili się na widowni życia uniwersyteckiego i po raz ostatni: widocznie ich śmiałe odpowiedzi na sądzie zdecydowały o ich losach; sądzono nie według czynów podczas „schodki“, ale widocznie brano pod uwagę mnóstwo innych okoliczności. A więc wydalono: Rosjan, Iwanowa i Razumiejczyka; usunięto cytadelników: Barańskiego i Pławińskiego; wydalono nieobecnych na „schodce“: Sobolewskiego i Rojeckiego, którzy dopiero później zapisali się. Duży procent tworzyli studenci spoza Kongresówki, siedmiu na 34 najciężej skazanych. Sąd odbywał się w ciągu paru dni. W końcu ogłoszono wyroki i policja zaczęła zmuszać do wyjazdu wydalonych. Mieszkałem z Józefem Siemaszką w kamienicy, jedynej podówczas na ówczesnej Leopoldynie (późniejsza ul. Emilii Plater, w pobliżu Alei). Od pewnego czasu miałem wrażenie, że jestem obserwowany i że tym moim opiekunem jest najczęściej Jan Tomaszewski, brat późniejszego członka „Proletariatu“, zesłanego na Sachalin. Jan Tomaszewski należał do pierwszych kółek socjalistycznych, ale, aresztowany, wydał co wiedział i przeszedł na żołd żandarmerii. Codziennie wracając do domu znajdowałem pisane ołówkiem karteczki ostrzegające. Charakter pisma był różny, co świadczyłoby, że były pisane różnymi rękami, ortografia nieświetna. Mam wrażenie, że niektóre z nich pochodziły od Jana Tomaszewskiego. Któregoś ranka o szóstej, a więc

kiedy byłem w łóżku, wpada do mnie Krusiński mówiąc, żebym się ubierał: odbywają się aresztowania wśród kategorii najbardziej ukaranych, oczekuje u siebie lada chwila rewizji i spodziewa się, że i do mnie przyjdą. Wyszliśmy razem, umawiając się, iż o godzinie 3 zejdziemy się w mieszkaniu konspiracyjnym, które znajdowało się w domu na ulicy Pawiej, parę domów od Dzikiej. Był to pokoik, zajmowany, jeżeli się nie mylę, przez Wacława Handelsmana, również pociągniętego do odpowiedzialności w procesie „Proletariatu", lub przez jego przyjaciół. O wyznaczonej godzinie byłem na Pawiej. Mija godzina jedna i druga — Krusińskiego nie ma. Natomiast przybiega Bronisław Handelsman, podówczas medyk V kursu, z którym Krusiński widział się w rannych godzinach, z wiadomością, że Krusińskiego aresztowano na ulicy Miodowej. Ku wieczorowi wiadomo było, że i do mnie przybyli goście policyjni, że aresztowanych jest kilkunastu uczestników „schodki" i że podobno mają być wywiezieni do Petersburga. Niebawem przyszła nowa wiadomość, że o trzeciej ich wywieziono. Wracać do domu nie było po co: wypadałoby mi również przejechać się do Petersburga. Trzeba było przeczekać kilka tygodni, żeby rzecz się wyjaśniła — przeczekać albo w Warszawie, w której zanadto byłem znany, albo za granicą. Nazajutrz w paltocie sezonowym Berezy wyjechałem w towarzystwie Bronisława Handelsmana końmi do Błonia, a stamtąd do Grodziska, koleją do Ząbkowic, z Ząbkowic końmi do Olkusza, gdzie Handelsman miał znajomego inżyniera przy budującej się kolei żelaznej i spodziewał się że ten ułatwi przejście granicy. Pan inżynier Hirszson okazał się bardzo grzecznym człowiekiem, ale schował mnie natychmiast do jakiejś ciemnej spiżarni, gdzie mnie dobrze karmił, lecz nie wypuszczał przez całą dobę. Tymczasem Handelsman najął furmankę do Ojcowa, do którego puściłem się już ku wieczorowi dnia następnego. Wyspawszy się w Ojcowie, udałem się piechotą do Skały, gdzie praktykował doktor Czarkowski. Ten wskazał mi przemytnika w Ojcowie. Nad wieczorem pod Białym Kościołem czy Kamieniem przeszedłem z nim granicę i odpocząłem gdzieś na ławie we wsi Zabierzowie. Nim przygotowano mi furmankę do Krakowa, wdałem się w rozmowę z włościanami, naturalnie polityczną, i ku zdziwieniu swemu słyszę silne pochwały i sympatie dla Rosji. Powody — niższe podatki... Blisko północy dotarłem na wózku do Krakowa. Mój gospodarz przywiózł mnie do hotelu „Pod Różą" na Floriańskiej.

Rozpoczął się nowy okres mego życia, wędrowny. Rankiem ruszy-

łem na zwiady. Udałem się do studenta Pawlikowskiego, który był czy przewodniczącym, czy innym dygnitarzem w Czytelni Akademickiej. Pawlikowski siedział wtedy całkowicie w Słowackim, zwłaszcza pogrążył się w *Króla Ducha*. Przekonań postępowych, daleki od radykalizmu społecznego, chętnie przestawał z młodzieżą akademicką pochodzącą z Kongresówki. Później całkowicie przyłączył się do ruchu narodowo-demokratycznego. A jednocześnie oddał się sprawom teatralnym. Pawlikowski skierował mnie do Czytelni Akademickiej, a w niej do niejakiego Kolbuszowskiego czy Kłobuszewskiego, studenta, bodaj że medyka. Kłobuszewski był ruchliwym młodzieńcem, pochodzącym z zaboru rosyjskiego, obracał się w kółkach radykalnych. Pozostawił po sobie wspomnienie przyjemne i z rzeczywistą przykrością w lat kilka później dowiedziałem się, że nie zdołał się wyrachować z pieniędzy, które mu dano celem dalszego doręczenia działaczom socjalistycznym. Tego samego dnia byłem już w jakimś mieszkaniu, z którego wyjeżdżał Mauricio, skazany przez władze austriackie na wydalenie z granic państwa jako uciążliwy cudzoziemiec.

Niebawem poznałem Dionizego Krzeczkowskiego, a przezeń jego kolegę Feliksa Daszyńskiego. Ci dwaj, a obok nich jeszcze Władysław Dzwonkowski, tworzą zwrot w ruchu rewolucyjnym w Małopolsce. Wszyscy siedzieli na ławie szkolnej w Stanisławowie, gdzie rej wodzili w opinii publicznej uczestnicy powstania z r. 1863. Między innymi siedział tu Karol Świdziński, kuzyn Jarosława Dąbrowskiego, sam również komunard, autor hymnu na cześć pracy, który to utwór przytacza Chmielowski jako *credo* pozytywistów... Dzwonkowski pochodził z rodziny emigrantów, która osiadła w Stanisławowie. Tradycje przechowane w domu, nowe hasła o Polsce ludowej, wszystko kotłowało się w umyśle tych młodzieńców mętne, niejasne, ale pod tym zamętem w głowie ukrywała się duża żądza czynu społecznego i wielki zasób entuzjazmu. Będąc już na ukończeniu szkoły średniej dali ujście nurtującej w nich prężności. Miano w Stanisławowie odsłonić pomnik Franciszka Józefa. Trzech tych młodzieńców, może jeszcze w towarzystwie innych, zakradło się pod pomnik w nocy i wysmarowało go łajnem. Widok musiał być pełen z jednej strony zgrozy, z drugiej komizmu, gdy cesarz ukazał się oczom w tak niezwykłym dla siebie przyodziewku. Któryś z tej trójcy, gdy mnie to opowiadał, śmiał się jak dzieciak do rozpuku. Daszyński wpadł tylko na chwilę do Krakowa, przebywał stale we Lwowie. Namówił mnie, ażeby na dni parę przyjechać do Lwowa i wejść w stosunki z tam-

tejszymi działaczami. Po jakimś tygodniu, może po dwóch, pobytu w Krakowie, przyjechałem do Lwowa i udałem się pod podany przez Daszyńskiego adres. Było to mieszkanko studenckie, w którym przebywało paru młodzieńców. Daszyński zawiadomił mnie, iż nocować będę u Deskura, również mającego coś z powstaniem, a obecnie prowadzącego duży zakład przemysłowy. Podczas pogawędki z młodzieżą — w drzwiach ukazała się twarz Aleksandra Zawadzkiego; słyszałem o nim dużo, przy czym niektórzy nazywali go wprost komediantem, nie znałem go jednak osobiście. Zaciągnął mnie na śniadanie do jakiejś winiarni, a potem do swego mieszkania gdzieś na krańcach miasta, w małym, bodaj drewnianym dworku wśród drzew owocowych. Szliśmy długo, wciąż skręcając na prawo i na lewo. Zdziwiony rzekłem do Zawadzkiego: „Nie wiedziałem, że Lwów jest taki duży". Zawadzki z tajemniczą miną i gestem wiele mówiącym odparł: „Musimy..." Szliśmy więc. W kilka lat później, gdy osiadłem na kilka miesięcy we Lwowie oczekując wyniku procesów „Proletariatu", zdjęła mnie fantazja odszukania tego dworku. Wyszedłem z ulicy, na której było owo mieszkanko studenckie. Tutaj nie po raz pierwszy w życiu przekonałem się, że miałem prawdopodobnie rzadką pamięć przestrzeni. Po różnych zatrzymywaniach się na skrzyżowaniach ulic i niewielkich cofnięciach zdołałem dojść do owego dworku, a potem do dąbrowy, gdzieśmy prowadzili parogodzinną rozmowę. Okazało się, iż Zawadzki przynajmniej trzy razy nałożył drogi. Jak potem się przekonałem, taka była jego taktyka omamiania innych tajemniczością i ogniskowaniem w swoim ręku licznych nici działalności konspiracyjnej.

W dworku siedzieliśmy chwilkę tylko. Zawadzki, który wtedy ukrywał się przed żandarmerią austriacką, ręką wskazał mi jakąś imitację łóżka, jakieś stoły, stolik i dzban... — tak mieszka człowiek, któremu chodzi o dobro ludu. Niebawem wyszliśmy do pobliskiej dąbrowy i tu rozpoczęła się zręczna indagacja, po co przyjechałem do Lwowa. Szczerze przyznałem się, iż jedynie chciałem się przetrząść koleją. Zawadzkiego mina mówiła: a to frant, chce coś ukryć. I skierował rozmowę na Ludwika. Z naciskiem podkreślił, iż nie podziela zapatrywań Waryńskiego, i rozpoczął wykład swego *credo*. Lud, lud i jeszcze raz lud. Naturalnie, lud wiejski. Było to niemal zupełne powtórzenie założeń naiwnego rosyjskiego *narodniczestwa,* reprezentowanego przez Juzowa[8] i może przez najmłodsze, mało wyrobione koła narodników. Dochodziło w tym wykładzie niemal do potępienia wszelkiej myśli krytycznej jako sprężyny postępków naszych —

lud nie krytykuje, tylko wierzy lub wymyśla. Znałem te poglądy z książki. Obecnie miałem przed sobą ich ustne wyłożenie z całym zacięciem pewności siebie i pogardy dla czegokolwiek innego. Milczałem. Szkoda było sił na walkę z wiatrakami. Ale słuchałem z zaciekawieniem. Jeżeli miałem jakieś założenia ludowcowe, to rozstawałem się z nimi w toku tej pogawędki. Wypadło mi spotkać się jeszcze z Zawadzkim wieczorem tego samego dnia u Deskura. Prócz Daszyńskiego i Zawadzkiego był tam jeszcze Dzwonkowski oraz Franko. Rozmowa od razu zeszła na tory taktyki. Chodziło o hasła międzynarodowe „Proletariatu“, o agitację wśród robotników. Przewaga argumentów okazała się niebawem po mojej stronie, bo paru jasno sformułowanymi założeniami pociągnąłem od razu Daszyńskiego i Dzwonkowskiego, którzy od razu wymknęli się spod hipnotyzującego wpływu Zawadzkiego i stanęli na moim stanowisku. Tego zebrania Zawadzki nie darował mi nigdy — lwowskie spotkania nasze były pierwszymi i ostatnimi spotkaniami. Zirytowany Zawadzki zawezwał do pomocy frazeologię pełną wielkich wyrazów, lecz zupełnie mętną co do treści, a nielitościwie nicowaną przez Daszyńskiego. Między innymi oświadczył, że robi przygotowania do walki orężnej. Ma ludzi, brak mu tylko broni. Na to Franko, chytry Rusin krwi żydowskiej, oświadczył, iż nic łatwiejszego jak samemu wyrabiać broń palną. „Jakim sposobem?“ — zapytał Zawadzki. Franko ręce rozkłada, robi minę na wzór tajemniczych min Zawadzkiego, jedynie oczu nie podnosi ku niebu, i powiada: „Trzeba wziąć dziurę i oblać ją rozpławionym metalem“. Zawadzki nie połapał się w dowcipie „A dobrze, dobrze“ — oświadczył i urwał zdetonowany śmiechem wszystkich.

Następny cały dzień spędziłem na różnych wizytach, zachodziłem do Kuriera Lwowskiego, w którym pracował Przewóski, zaszedłem do Ludwika Inlendera. Ten skorzystał z mojej obecności, żeby pozbyć się kłopotu: leżała u niego gdzieś w kącie torba podróżna pełna nielegalszczyzny. Dowiedziałem się później, że we Lwowie wszyscy odżegnywali się od jej przechowywania. Inlender zobowiązał mnie do przewiezienia jej do Krakowa i wręczenia tam Feliksowi Daszyńskiemu.

Spędziłem w Krakowie parę miesięcy. W kilka dni po mnie przyjechał Maks Berlinerblau, również wydalony na lat trzy za apuchtinadę. Zamieszkaliśmy razem na Plantach. Zapisaliśmy się na uniwersytet na medycynę. W domu siedzieliśmy całymi godzinami nad mikroskopem, a na połów zwierzyny pod mikroskop brodziliśmy po

różnych bagnach i wzgórzach w uroczych okolicach Krakowa. Mieliśmy niewielu znajomych: studenta Ulanowskiego, malarza Wawrzenieckiego i pozbawionego ręki malarza Benedyktowicza. W ogóle jednak stroniliśmy od towarzystwa. Książka o treści społecznej i mikroskop całkowicie wypełniały nam każdą chwilę wolną. I właśnie wśród tego spokojnego żywota zostałem wezwany do policji i otrzymałem nakaz opuszczenia Krakowa.

Muszę się przyznać, że sam wywołałem swoim postępowaniem tę natarczywość policji. Kraków w owych czasach był miastem czasów spokojnych, delektowania się sztuką, zajmowania się naukami historycznymi. Dochody ludności w sposób pośredni lub bezpośredni pochodziły od gości z zaboru rosyjskiego i nie wymagały zbyt wielkich zachodów ze strony ludności miejscowej. Lojalizm austriacki nasycał każdą cząstkę atmosfery miejskiej, a dotrzymywała mu kroku nie tyle religijność, ile potulność bezgraniczna wobec duchowieństwa, które zresztą trzęsło miastem przez konfesjonały i przez panie z arystokracji i zamożniejszego mieszczaństwa. I w to spokojem tchnące miasto dostawała się od czasu do czasu garstka przymusowych uchodźców z Kongresówki, wnosiła rokosz przeciwko duchowieństwu i radykalizm społeczny. W r. 1878 znalazł się tutaj Waryński, Mendelson i inni. Odpokutowali kilkumiesięcznym więzieniem i zostali wydaleni z granic państwa austriackiego. Po nich przyszedł Zawadzki i rozpoczął ruchawkę, głównie pomiędzy młodzieżą. Był, że tak powiem, magnetyzerem: umiał wolę swoją narzucać osobom o wiele wyżej stojącym od niego pod względem umysłowym i moralnym, a przede wszystkim umiał trzymać w naprężeniu cudze nerwy, dając poruczenia, które właściwie były zamaskowaniem nicnierobienia. Np. z Marusią Przygodzką, naturą mocno entuzjastyczną, rwącą się do jakiegoś czynu, marzącą o poświęceniu, a dopominającą się czegoś więcej poza mętnymi frazesami, postąpił w sposób dający wyborne pojęcie o zasadach jego postępowania. Wyprawił ją gdzieś na Suwalszczyznę, kazał obrać sobie miejsce pobytu w którymś z miasteczek pogranicznych i tam czekać na bardzo ważną robotę, i to czekać chociażby miesiącami. Umieszcza się na takim stanowisku jedynie wyjątkowe towarzyszki — pocieszał ją. I biedna Marusia wysiadywała gdzieś w jakiejś mieścinie, marząc o chwili, kiedy przypadnie jej spełnienie obowiązku bardzo odpowiedzialnego. Zawadzki zaś, przyciśnięty do muru, bez ceremonii oświadczył: „Musiałem jej coś dać do roboty, bo zanadto się napierała". Frazes wiele obiecujący, apelujący do entuzjazmu i poświę-

cenia, i w razie gdy ktoś nie zadawalał się słuchaniem tego wciąż powtarzanego frazesu — zesłanie go na pustkowie pod pozorem bardzo odpowiedzialnej roboty...

Rozkołysywały się umysły młodzieży mającej około dwudziestu lat. Planowano zamach na komisarza policji Kostrzewskiego, a w rozmowach o tym uczestniczył bodaj ajent Kostrzewskiego. Balicki siedział we Lwowie, Sosnowski miał przybyć z Paryża, a pomiędzy Zawadzkim a Sosnowskim i każdym uczestnikiem zaagitowanym toczyła się żywa korespondencja, w której wymieniano nazwiska, spowiadano się z zamiarów, słowem, zachowywano się, jak przystało na sztubaków. Te listy miały później służyć jako dowody dla oskarżenia. Zresztą nie zawsze były to listy treści rewolucyjnej. Zdarzały się i inne także pisma, co prawda konspiracyjne, ale o zawartości zgoła odmiennej. Zawadzki wietrząc możliwość bliskich aresztów, ukrywał się już poza Krakowem. Oświadczył młodzieży, że będą przychodziły konspiracyjne listy fabrykowane w umówiony sposób, które należy doręczać pani Wierzbickiej, kobiecie szczerze ufającej Zawadzkiemu i spoglądającej nań jako na wielkiego proroka. Przyszedł jeden z takich listów. Wierzbickiej nie było w Krakowie. Mauricio z drugim towarzyszem w tym samym wieku, tj. około lat dwudziestu, zdecydowali, iż rzecz może być bardzo pilna i ważna i dlatego nie wolno zwlekać z odczytaniem. W takiej gorliwości rewolucyjnej rozpieczętowali list i znaleźli treść wcale nie rewolucyjną, lecz taką, jaką miałyby listy Romea do Julii — dużo patosu miłosnego.

W pewnej chwili zagarnięto gromadkę liczącą kilkanaście osób i wytoczono jej proces. Naturalnie, proces był jawny, publiczność miała nań wstęp. Nie omieszkałem skorzystać z tej sposobności. Znalazłem się na sali, wybrałem sobie miejsce tuż za ogrodzeniem, w którym znajdowali się oskarżeni, tak iż mogłem zupełnie swobodnie rozmawiać z nimi. Aleksander Janowicz rozpytywał się o Franka Rojeckiego, u którego kiedyś ukrywał się nielegalnie — z jego mieszkania zwiał przed dobijającą się żandarmerią, przez podwórza i płoty. Nieco porozmawiałem z Wojnarowską, to znowu innym odpowiadałem na ich pytania o zajścia w Warszawie. W ogóle robiłem wszystko, żeby zainteresowała się mną policja. Wezwano mnie w parę dni później do komisariatu policji i dano termin parotygodniowy do wyjazdu. Kostrzewskiemu na to odpowiedziałem: „Przecież istnieje w Krakowie konstytucja, która na takie rzeczy nie pozwala“. — „Jeżeli pan mi będzie mówił o konstytucji — odparł ko-

misarz — to jutro odstawimy pana do granicy". Ale nie dosiedziałem do wyznaczonego terminu w Krakowie. Z Warszawy przyszedł list, że aresztowanych apuchtińczyków zwolniono w związku z amnestią koronacyjną. Miałem Krakowa dosyć i tego samego dnia z niewielką swoją walizką byłem na dworcu, aby odjechać do Warszawy. W Granicy, gdy zażądano paszportu, oświadczyłem, że przejechałem granicę bez paszportu i teraz powracam. Zaprowadzono mnie do naczelnika kolejowej żandarmerii, spisano protokół. Zapytany, w jakim celu wyjeżdżałem, odrzekłem, iż przyszła mi chętka zobaczenia innych ludzi i innych okolic. Trzymano mnie parę dni na dworcu, przy czym miałem zupełną swobodę poruszania się w jego obrębie, a tymczasem telegrafowano do władzy warszawskiej. Na trzeci dzień wezwano mnie, oświadczono, iż jestem wolny i mam jechać do Płocka.

Pojechałem do Płocka.

Przy okazji słów parę o Aleksandrze Zawadzkim, z którym od czasów lwowskich ani razu nie rozmawiałem. Nawet na ulicy, kiedy później znalazł się w Warszawie, nie kłanialiśmy się sobie.

Fala rewolucyjna, zwłaszcza w obrębie kresów, mniej wyrobionych pod każdym względem, ogarnęła najrozmaitszego rodzaju młodzież. Pociągnęła ją ku sobie niekiedy jeszcze na ławie gimnazjalnej, a tym bardziej w pierwszych latach studiów uniwersyteckich. Każdy młodzieniec o większej prężności duchowej, mniejsza, czy dodatniej, czy ujemnej, ulegał wpływom radykalizmu społecznego. Jedni szli, bo ukochali ideę, gotowi dla niej poświęcić swe życie. Niekiedy czystego ciała asceci, lekceważący wszystkie sprawy swego bytu materialnego i gotowi żyć o chlebie i wodzie. Byli inni, zazwyczaj kondycji ubogiej, dla których radykalizm był protestem przeciwko temu, że oni nie mają tego, co inni. W rozmowach z nimi czuć było zawiść i zazdrość, które nadawały ich poglądom dużo namiętności. Wielu z nich, wszedłszy w życie i znalazłszy się w lepszej sytuacji, wnet zapominało, że byli kiedyś farysami. Byli jeszcze inni, którzy w idei wyzwoleńczej szukali sankcji dla swych żądz i właściwie doprowadzali konsekwencje swoich założeń do nadużywania kobiety pod przykrywką wolnej miłości.

Aleksander Zawadzki, z pochodzenia wilnianin, niezgorzej zaopatrzony w środki do życia, studiował w Petersburgu. Musiał dojeżdżać do Warszawy, gdyż zachowała się o nim ustna tradycja, i to tylko o nim, iż paradował w czerwonej koszuli. Łączyły go bliskie stosunki z innym wilnianinem, Pośpiełowym. Mam wrażenie, że Za-

wadzki odsiadywał był jakąś karę, a nawet że na krótki okres był zesłany, ale nie jestem tego pewny. W r. 1882 przebywa w Krakowie, dokąd przyjeżdża uczestniczka tej samej sprawy z 1878 r., Cezaryna Wojnarowska. Po sprawie krakowskiej usuwa się do Genewy, gdzie w r. 1885 ostentacyjnie uczęszcza na wykłady Plechanowa miewane w jakimś stowarzyszeniu. Zjawia się w początkach 1886 we Lwowie, gdzie od razu zyskuje wielki wpływ na Wysłoucha, który był szwagrem Zawadzkiego — Zawadzki ożenił się z jego siostrą. Po pewnym czasie uzyskuje prawo powrotu do państwa rosyjskiego pod warunkiem, że odsiedzi lat parę na zesłaniu na Syberii. Tutaj pozostawił po sobie wśród zesłańców imię nieszczególne: prowadził jakiś sklep i miał go przed swoim wyjazdem sprzedać za niezmiernie wygórowaną cenę innemu zesłańcowi, który wszedłszy w jego posiadanie był przerażony tym, co miał znaleźć i co znalazł. Zawadzki osiadł w Wilnie i tutaj znowu miał zajście z przedstawicielami tamtejszych kół inteligenckich o sprzedaż w swoim sklepie anodyny włościanom i świadome ich rozpijanie.

Kiedy Władysław Płoski znalazł się na bankiecie urządzonym w Warszawie z powodu odsłonięcia pomnika Mickiewicza i ujrzał tam Zawadzkiego, zwrócił się do komitetu organizacyjnego z żądaniem, żeby go usunięto, jako osobę o małej wartości moralnej.

Osiadłszy w Warszawie Zawadzki opanował zupełnie Mieczysława Brzezińskiego, człowieka wysokiej uczciwości. Brzeziński był jak gdyby kompletnie zahipnotyzowany przez Zawadzkiego, który rozwijał wprawdzie dużą ruchliwość w zakresie działalności oświatowej i organizacji partyjnej rodzącej się dopiero endecji, lecz który nie przebierał w środkach. Dochodziły mnie wciąż słuchy o tym lub innym fortelu Zawadzkiego, o tym lub innym poglądzie. Podobno z niego począł się pogląd, iż niebezpiecznie jest zwalczać analfabetyzm wśród ludu, bo wtedy wypadłoby doradzać mu uczęszczanie do szkół wiejskich, gdzie przede wszystkim uczono po rosyjsku. Opowiadano nawet, iż występował jako duchowny i umiał uzyskać możliwość siadywania w konfesjonałach i wpływania tam na penitentów, i otrzymywania od nich w ten sposób różnych wiadomości. Ile jest prawdy w tych wersjach, doprawdy nie umiem powiedzieć. Zaznaczam tylko, że różne wersje podobnego rodzaju obficie krążyły po Warszawie, uzupełniane jeszcze różnymi opowieściami o jego życiu osobistym. W każdym razie, urzędowe kierownictwo Narodowej Demokracji bodaj odsuwało Zawadzkiego od jakiegoś większego udziału w działalności politycznej i, wysuwając różnych kandydatów

do różnych stanowisk publicznych, nie skorzystało z niezmiernej ruchliwości i bezwzględnego postępowania — tych właściwości, które wyróżniały Zawadzkiego. Zawadzki trzymał się z Brzezińskim. Powinęła mu się ostatecznie noga za czasów okupacji niemieckiej, w chwili gdy całe społeczeństwo już wyraźnie zaznaczyło swój stosunek do ajentów niemieckich. Wymieniano trzy nazwiska, które pozostają wierne marzeniom o sojuszu z Niemcami. Był to uczciwy, ale niepoczytalny Władysław Studnicki, wciąż dyplomatyzujący Mikułowski-Pomorski, który na tej dyplomacji jedynie stracił, i w końcu Aleksander Zawadzki. Powrót z Rosji zaraniarza Malinowskiego i jego rewelacje dobiją Zawadzkiego. Malinowski[9] oświadczył, iż starał się u władz niemieckich już wcześniej o powrót do Warszawy. Zawadzki wtedy podał rządowi memoriał, w którym ostrzegał go przed przyzwoleniem powrotu człowiekowi, który jest zajadłym wrogiem policji niemieckiej. Nawet ci, którzy stali bliżej Zawadzkiego, odsunęli się od niego, a śmierć jego nie zwróciła na siebie żadnej uwagi. Opinia różnych obozów wydała nań wyrok jednomyślny.

*

Kiedy bawiłem w Krakowie, moi przyjaciele te miesiące odsiadywali za kratą więzienną. Samo odwiezienie ich do Petersburga celem śledztwa przecież było jedynym zdarzeniem tego rodzaju w ciągu całego czasu lat przynajmniej 50! Nie wywieziono ani uczestników sprawy Szymańskiego, ani oskarżonych o udział w agitacji socjalistycznej, ani nawet Kunickiego, pomimo iż żandarmeria miała wiele podejrzeń co do jego związku z „Narodną Wolą“ i uczestnictwa w sprawie Degajewa[10]. To wszystko świadczy o tym, że usiłowano nadać „schodce“ apuchtinowskiej osobliwą doniosłość. Rzecz niewątpliwa, że nie Petersburg dał w tym względzie pobudkę. Nie dał jej również Albedyński, ówczesny generał-gubernator, ani żandarmeria warszawska, która jak wszelka żandarmeria nie lubiła wypuszczać spraw z rąk swoich — przecież każda sprawa była dla niej źródłem odznaczeń i orderów! Wywiezienie było na wskroś dziełem Apuchtina: przecież my swoim protestem nadaliśmy policzkowi Zukowicza znaczenie istotnego policzka. Apuchtin mścił się. Ściągnął ile się da wojska do uniwersytetu, nazajutrz uruchomił ułanów i Kozaków, pułki zwyczajne piechoty i gwardię, wszystko po to, aby rozdąć do niemożliwości samo zdarzenie. Widocznie rzecz tak przedstawił w Petersburgu, iż kazano przywieźć do dyspozycji niebezpiecznych

zbrodniarzy. Ale na gruncie bardziej przedmiotowym zbrodnia zmalała. Aresztowanych wypuszczono po koronacji Aleksandra III. Łaska monarsza oswobodziła więźniów. Chodziła zresztą inna wersja. W tym czasie umarł także Albedyński, spośród generał-gubernatorów jeden z porządniejszych. Studenci uniwersytetu warszawskiego ofiarowali wieniec na jego trumnę i szli z nim w orszaku pogrzebowym aż na dworzec petersburski. Wdowa, rozczulona takim zachowaniem się studentów warszawskich, miała wstawić się osobiście do cesarza.

*

„Schodka“ apuchtinowska miała swoje epilogi poza uniwersytetem. Jeden z Natansonów wysłał do K u r i e r a W a r s z a w s k i e g o pewną kwotę pieniężną, już nie pamiętam, na jaki użytek, z powodu „radosnej nowiny“. Naturalnie chodziło o radosną nowinę z powodu spoliczkowania Apuchtina. Czytelnicy przyuczeni do czytania pomiędzy wierszami tak tę rzecz zrozumieli. Tak samo zrozumiały ją władze rosyjskie. Józef Natanson został zesłany do jednej z północnych guberni Rosji Europejskiej. Ale nim władze uchwyciły sprawę w swoje ręce, wśród społeczeństwa poczęto zbierać składki na różne cele z powodu owej radosnej nowiny. Jaki los spotkał te składki, nie umiem powiedzieć, prócz jednej, dokonywanej wśród oficjalistów firmy mącznej „Kropiwnicki i Ska“. Stamtąd napłynęła do K u r i e r a W a r s z a w s k i e g o pewna kwota pieniędzy i została przyjęta. Było to jeszcze przed zorientowaniem się władz rosyjskich, ale władze już wkraczały w roli zapobiegawczej — wiadomość o składce nie została wydrukowana, a sama lista znalazła się w ręku żandarmerii. Do Kropiwnickiego przyjechał oficer żandarmski celem śledztwa. Kropiwnicki, który o niczym nie wiedział, zzieleniał ze strachu. Rozpoczęło się poszukiwanie winowajcy, który dał inicjatywę. Zresztą i bez pomocy p. Kropiwnickiego żandarmeria odnalazła sprawcę na podstawie charakteru pisma. Był to młodzieniec mający bardzo ustosunkowanego ojca, cieszącego się sympatiami władz rosyjskich. Zdaje się, dalsze dochodzenie przerwano, tym bardziej że rzecz pozostała zamknięta w niewielkim kole osób.

II

ZMIANA NASTROJÓW

Lata siedemdziesiąte ubiegłego stulecia, a więc czasy, kiedy jąłem rozglądać się po świecie i odczytywać ową olbrzymią księgę, która życiem się zowie, były latami apatii, której towarzyszył upadek wiary we własne siły. Po roku 1863 pozostały wspomnienia, które ciężkim brzemieniem legły na ludzi. Ci, którzy jęli się byli oręża, tworzyli wprawdzie garstkę stosunkowo niewielką, ta jednak zdołała poruszyć sumienia ludzkie i znaleźć bierny, ale bądź co bądź dość rozległy oddźwięk współczujący wśród licznego odłamu w społeczeństwie. W okresie mego dojrzewania wszystko to należało do dalekiej przeszłości. Unikano jakiejkolwiek o niej wzmianki. Były osoby w moim bezpośrednim otoczeniu, zresztą bardzo a bardzo nieliczne, które milczały, ponieważ zbyt ciężko było im odgrzebywać przejścia ówczesne i mówić o rozwianych nadziejach. Inni milczeli — z obojętności, może ze strachu. Nawet pomiędzy uczestnikami zbrojnej walki byli tacy, którym wszystko wywietrzało z pamięci. Mówię na podstawie własnych doświadczeń. Moi wujowie, a więc brat matki i dwaj jej szwagrowie należeli do partii, która trzymała się gdzieś pomiędzy Sochaczewem a Puszczą Kampinoską i miała liczne punkty oparcia ku Rudzie Guzowskiej. Znajomość, jaką tam zawarli w tułaczce z miejsca na miejsce, doprowadziła do wejścia dwóch z nich do naszej rodziny. Przez te lat kilkanaście, kiedy się z nimi stykałem, nie zdołałem dostrzec najmniejszej puścizny po latach farysostwa. Tylko jeden z nich, choć przygnieciony mocno kłopotami, dochował wiary temu, w obronie czego sięgnął był po oręż: tam u niego we dworze szperając po strychu natknąłem się na gruby, zżółkły od lat i zapylony zeszyt z przepisanymi utworami poetyckimi. Były to piosenki powstańców z r. 1863 oraz inne, które pozostały po okresach wcześniejszych. Miałem lat jakieś 13 lub 14, byłem ciekaw — zacząłem czytać i nauczyłem się na pamięć któregoś z utworów.

W kilka dni potem podczas wieczerzy wyrecytowałem wiersz wujowi. Skłopotana twarz przybrała jakiś wyraz młodzieńczy, z ust jego zerwało się pytanie: „A skąd to wziąłeś?“ Opowiedziałem. Wuj zadumał się i rzekł do żony: „Trzeba to spalić, ale nie mam serca tego zrobić“. Co się stało z zeszytem, nie wiem. Wiem tylko, że podczas mojej tułaczki w kraju i częściowego ukrywania się w 1883 r. aż do wyjazdu za granicę zawsze znajdowałem u wuja przytułek oraz sympatię z odcieniem wyraźnego dla mnie poważania. Ale był to jedyny człowiek z czasów mojego dzieciństwa i młodości, który nie zapierał się swoich czynów i nie mówił o nich z drwiącym uśmiechem lekceważenia. Niestety, dokoła przeważały inne nastroje. Gdy biorę koła, wśród których przebywałem w Płocku, co najwyżej miałem wrażenie, że w życiu ich istnieją świętości, w imię których przy wincie lub preferansie troszkę wymyśla się na „Moskali“, troszkę pokazuje się im język, ale tak, aby nikt o tym nie słyszał i nie wiedział. Rzadkie odruchy buntu i czczej frazeologii w zamkniętym kole, a potulność, lojalizm, nawet serwilizm w życiu pozadomowym...

A kiedy znalazłem się w uniwersytecie, atmosfera wśród młodzieży nie była inna. Najruchliwsi, najinteligentniejsi całkowicie byli pod urokiem pozytywizmu i mających niebawem ukazać się *Wskazań politycznych* Świętochowskiego: unosili się nad darwinizmem, za *pan brat byli z Draperem i Buckle'em, ale cały ich radykalizm pierzchał*, gdy rzecz dochodziła do spraw politycznych.

Inni, tworzący zresztą tak samo niezbyt wielki, choć znacznie już liczniejszy odłam wśród młodzieży, nic nie mieli przeciwko pozytywizmowi, ale niezbyt kumali się z tą doktryną, gdyż kompromitowałaby ich w oczach czcigodnych kamieniczników, adwokatów, lekarzy. Jedynie gdy chodziło o lojalny stosunek do rządu rosyjskiego, całkowicie podpisywali się pod hasłami pracy organicznej i w głębi ducha powtarzali w sposób mniej szorstki powszechnie znane powiedzenie: *Point de rêveries!* — najwłaściwszy zresztą nagłówek dla ówczesnych wskazań politycznych.

Jedynie w Kole delegatów, gromadzącym najbardziej wyrobione postacie pośród studenterii, kilku wyraźnie i stanowczo wysuwało *sprawę walki o prawa narodowe* — obawiam się sformułować inaczej ich stanowisko, jeszcze zbyt mętne i nieskrystalizowane. Nazwiska ich pamiętam. Był to medyk Gieysztor, Dymsza, również medyk, późniejszy poseł do Dumy, przyrodnik J. K. Potocki (Marian Bohusz), późniejszy przedstawiciel kierunku ludowcowego. Zresztą uniwersytet w pierwszym roku mojego pobytu opustoszał po pogromie, jaki

w r. 1878 dotknął pierwszych socjalistów-studentów. Nie wspominam o członkach innej organizacji, również siedzących w Cytadeli — organizacji Adama Szymańskiego: zanadto była dziecinna w swoich pomysłach. Stosunek ogółu młodzieży do aresztowanych, a więc zarówno do pomysłów Szymańskiego[11] jak do socjalistów, był lekceważący — „te niedowarzone pały!"

Starsze pokolenie wypowiadało swoje stanowisko w formie łagodniejszej, lecz o tej samej treści. Wypadło mi w tych sprawach rozmawiać z profesorem drem Ignacym Baranowskim, w którym splotło się w sposób paradoksalny głębokie umiłowanie kraju z upartym lojalizmem, oraz spierać się z matematykiem prof. Babczyńskim, który mi w oczy mówił, iż tylko wariaci rzucają się z motyką na słońce. (Tu przypomina mi się odpowiedź na sądzie kolegi-apuchtińczyka, Rosjanina Iwanowa. Któryś z sędziów rzekł mu: „Ze swymi przyjaciółmi nie przebijesz muru głową". — Iwanow odrzekł: „To przynajmniej rozbiję swoją głowę na dowód, iż nie mogę i nie powinienem tolerować muru"). Bodaj najbardziej dawały mi do myślenia wywody dawnego członka Rządu Narodowego a wybitnego historyka, Stosława Łaguny. Przyjaciel mego ojca, toczył ze mną w redakcji Ateneum długie rozmowy, które winny były utemperować mnie na wzór ludzi wyczekujących cierpliwie jakiejś może bardzo dalekiej przyszłości. Łaguna opowiadał o postaciach z r. 1863, z lubością zatrzymywał się nad ich charakterami, a rozgrzany wspomnieniami unosił się i cały swój pozyskany wtedy animusz zwracał ku udowadnianiu, iż należy uzbroić się w cierpliwość i spokojnie przeczekać ciężkie czasy. Przecież kraj jest ubogi w rzutkie, silne postacie i trzeba je oszczędzać, żeby nie stargały się w daremnej walce. Razu jednego wymknęło mu się powiedzenie, iż socjaliści są może potrzebni i pożyteczni, byleby do swojej agitacji nie przyczepiali Polski — chodziło mu o to, żeby ich czynów nie kładziono na karb całej społeczności. Dopiero później, w latach dziewięćdziesiątych, wprowadzony na piątkowe zebranie u dra Karola Benniego, znalazłem się wobec niedobitków z r. 1863, którzy wbrew rozsądkowi ufali. Był tam Dionizy Henkiel, Władysław Bogusławski, lekarze-powstańcy z Nałęczowa, Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), Aleksander Jabłonowski. Oni tu rej wodzili. Głęboka cześć dla ludzi 1863 r., uważanie spełnianej przez każdego z nich pracy społecznej za obowiązek narodowy i dlatego spełnianie jej z namaszczeniem, niechęć do lojalizmu jako uwłaczającego godności narodowej, duża doza konserwatyzmu — wszystko to stwarzało tam odrębną atmosferę, którą można było

wyczuć należycie dopiero po dłuższym obcowaniu, zwłaszcza z Henkielem, który kładł swoje piętno na zwarte koła uczestników. Ale i tutaj panowało rozdwojenie — poniekąd powtarzano za Mickiewiczem: „O wojnę ludów modlimy się, Panie!“, a jednocześnie panowała wielka obawa przed taką wojną. Z dala od tych kół stał Stanisław Krzemiński, który całą swoją energię przetapiał w natchnione wylewy liryczne, ale bez jasnego programu czynu na chwilę bieżącą. Czynu, który by odbiegał od utartych wtedy dróg działania.

Ale życie stwarzało siłę, która miała wziąć rozbrat z lojalizmem. Było to pokolenie, które przyszło na świat po wypadkach 1863 r. — im dalej odsunięte wspomnieniami osobistymi od tej daty, tym niesforniej występujące przeciwko zdrowemu rozsądkowi starszej generacji. Należałem właśnie do tego zastępu, wśród którego ukazały się pierwsze gwałtowniejsze oznaki rokoszu. Na moje czasy uniwersyteckie przypadają wstępne utarczki z wyznawcami lojalizmu. Rzecz ciekawa, że nasza niewielka garstka musiała stoczyć pierwszą batalię z powodu obchodu 50-lecia 1831 roku. Mieliśmy przeciwko sobie opinię ówczesnych prowodyrów świata akademickiego. Nazwisk nie wymieniam — w tym wypadku *nomina sunt odiosa*. Zaznaczę jedynie, że pomiędzy nimi były osobistości, które miały przodować późniejszemu ruchowi „narodowemu“ w ciągu wielu lat. Argument z tamtej strony brzmiał: nie wolno narażać kraju na nowe klęski! Inne starcie wszczęło się z powodu wieńca, który młodzież uniwersytecka zamierzała wysłać i ostatecznie wysłała na trumnę Aleksandra II. Wyjechało z tą oznaką hołdu paru akademików, a wśród nich obok karierowiczów — jeden i drugi zacny młodzieniec, lecz całkowicie opętany poglądem, iż w lojalizmie spoczywa ocalenie Polski przed dalszymi represjami. Nasze koło, w obrębie swego oddziaływania liczące około 1883 r. jakieś 10%, może nieco więcej, ale bodaj nigdy 15% studenterii, wychodziło ze zgoła innego założenia, że ów lojalizm, aż nazbyt często trącący serwilizmem, sprzyja właśnie dokonywaniu wciąż nowych doświadczeń nad naszym krajem: pobudkę do zaostrzeń i represyj dają urzędnicy rosyjscy różnego stopnia — od nauczyciela i nawet pedela w szkole do kuratora, od rewirowego do generał-gubernatora. Petersburg uświęcał to, co ci osiągnęli, oni zaś próbowali nowych eksperymentów. W konsekwencji dochodziliśmy do wniosku, iż trzeba wdrożyć społeczeństwo do protestów natury publicznej; może nielicznych początkowo pod względem uczestników, ale z których każdy będzie miał odwagę zaprotestować z odsłoniętą przyłbicą, z góry przygotowany na wszelkie konsekwencje. Należy

zaznaczyć, iż wśród młodzieży poczyna kiełkować wtedy duch nowy — kult bohaterstwa. A dojrzewał pod wpływem wypadków w Rosji, gdzie niewielka garstka „Narodnej Woli“ jako stawkę w wielkiej grze dziejowej o inną przyszłość odważnie rzucała swoje głowy. Bohaterzy ginęli, ale zapał ich udzielał się i krzewił. Marzyliśmy o stworzeniu „bohaterów“ i kultu ich na ziemi polskiej. Dopięliśmy swego, jeżeli chodzi o protest publiczny w „schodce“ apuchtinowskiej. Carat stworzył bohaterów wznosząc szubienice, na których zawiśli działacze „Proletariatu“. Jeżeli chodzi o „schodkę“ apuchtinowską, byliśmy świadomi skutków swego czynu dla siebie. (Spośród zebranej gromady, liczącej niespełna dwustu uczestników, załamało się zaledwie dwóch — dowiedziałem się o nich potem od Krzesławskiego, studiującego te czasy w archiwach: już przy oddawaniu legitymacji oświadczyli skruchę za swoje czyny). Uczestnicy spokojnie oczekiwali ostatniej rozprawy, gdy wojsko otaczało uniwersytet. Może kiedyś opowiem o ich losach. Ta przeszłość wypływa przede mną z całą mocą, gdy przyglądam się dziś zajściom o zabarwieniu antysemickim w naszych wyższych zakładach naukowych. Uczestników oczekują kary bardzo łagodne. Już do rzędu najcięższych należy wydalenie któregoś na okres roczny z murów uniwersytetu. A jednak ile tam jest manewrów, żeby ukryć swoje nazwisko i osobowość! Nawet zeskakiwanie z okien pierwszego, ale wysokiego piętra, z wynikiem gorszym od wszelkich kar dyscyplinarnych, bo wiem o wypadku, gdzie młodzieniec ratujący się w ten sposób złamał nogę...

Niebawem po „schodce“ i pierwszych aresztach „Proletariatu“ wypadło mi wyjechać na lat parę za granicę. Gdy wróciłem w r. 1886, a zwłaszcza gdy w parę lat później zdołałem uprawomocnić swój pobyt w Warszawie, przyznam się, nie poznałem kraju — tak silna zaszła zmiana. Wszędzie natykałem się na robotę nielegalną, przy czym osoby w niej zatrudnione z całym spokojem patrzyły na następstwa tej działalności w razie jej wykrycia. To, co za moich czasów akademickich zaledwie zaczynało kiełkować, rozwinęło się rozłożyście a bujnie. A zatem wydawnictwo książeczek dla ludu wiejskiego i ich rozdawnictwo z projektów stało się rzeczywistością mającą z każdym rokiem urastać w rozmiary. A w łączności z tą pracą powstawały tu i ówdzie w dworach organizacje tajnego nauczania dziatwy wiejskiej. Jedyne kółko wykładowe dla kobiet rozrosło się w cały „uniwersytet latający“, który dla swoich wykładów około r. 1889 rozporządzał przynajmniej kilkudziesięciu lokalami. W średnich zakładach szkolnych ukazały się różne kółka — bądź samokształcenia, bądź na-

wet o odcieniu partyjno-politycznym, oraz tak samo tajne biblioteczki. A przede wszystkim owa apatia, która dawała się tak silnie wyczuć na każdym kroku przed moim wstąpieniem do uniwersytetu, i idący z nią w parze lęk — niezmiernie osłabły. (Dodać winniśmy jedno, mianowicie owa groza — puścizna po zesłaniach 1863 r. — która otaczała Syberię, przestała niecić postrach; minęło lat 20—30 od powstania, w Syberii przybyło ludności i złagodniały obyczaje. A socjaliści, którzy odwiedzili byli Cytadelę, również nie malowali jej w zbyt czarnych barwach). I co ciekawsze, pobudki natury nielegalnej rodziły się tu i ówdzie samorzutnie. Redaktor Bolesław Miklaszewski [12] opowiadał mi kiedyś o takim wysiłku w obrębie piątego gimnazjum w Warszawie w latach 1884 lub 1885, a jego opowieść przewybornie oddaje tworzenie się niemal żywiołowe, na razie w sposób dziecinny, komórek nielegalszczyzny. Już od klasy trzeciej zaczęły się tam próby stworzenia jakiejś organizacji. Trzech malców, w tej liczbie mój informator, ułożyło statut swego związku — jeden z dwóch egzemplarzy zakopali na ówczesnym placu Ujazdowskim, drugi gdzieś na wsi w Radomskiem. Zebrania odbywały się na Chmielnej pod nr 14, w stajni, którą ofiarowali koledzy, trzej bracia, uczestnicy związku. Trzeba się było tam wspinać na poddasze, gdzie umieszczono różne dziecinne, romantyczne emblematy... Wszystkie te akcesoria są rzeczą błahą, zasadniczą zaś — dążność ku nielegalszczyźnie. Tym trybem lub innym takie kółka powstały w wielu szkołach.

Ta zmiana nastrojów nie była przypadkowa. Pracowało nad nią całe życie społeczne w Kongresówce. A przede wszystkim wpłynął na to postęp gospodarczy. Rozwój wielkiego przemysłu z jednej strony stwarzał dokoła fabryk nowoczesną warstwę pracującą najmitów, tę warstwę junacką, która już w latach dziewięćdziesiątych miała stać się potęgą ideową, programem swoim torującą drogę ku przyszłym zmaganiom się o Polskę Niepodległą. Z drugiej strony przemysł mnożył zarobki niezależne od rządu — już z końcem lat osiemdziesiątych istnieją w Warszawie liczni wykładowcy żyjący jedynie z zarobku nielegalnego. Ukazały się rzesze techników, buchalterów itd., pracujące w firmach prywatnych, które same z siebie nie były dotknięte duchem opozycyjnym, lecz swoją drogą nie pytały swoich pracowników o przekonania, tylko o fachowe kwalifikacje. Nadto istniało sporo rodzin, które posiadały w listach zastawnych lub na hipotece jakieś 10—30 tysięcy rubli kapitału, utrzymywały się z procentów i nie potrzebowały lękać się, żeby władze mogły pozbawić je

środków utrzymania. W ich mieszkaniach odbywały się tajne wykłady, tajne odczyty gromadzące po setce i więcej słuchaczy, zabawy o celach dochodowych. Pod względem niezależności zarobkowej jest duża różnica pomiędzy owymi czasami a dniem dzisiejszym — stanowczo nie na korzyść chwili obecnej.

A na widownię społeczną, jakeśmy już zaznaczyli, wchodziło nowe pokolenie, które zaledwie paru latami swego życia zahaczało o ciężki rok 1863 i jego bezpośrednie następstwa. Osobistości bardziej rzutkie, niepodległe lub niesforne brały rozbrat z hasłami lojalizmu. Wprawdzie tylko nieznaczny odłam był czynny, ale dokoła siebie posiadał wzrastające w rozmiary współczujące otoczenie, które w potrzebie śpieszyło z pomocą pieniężną na cele nielegalne.

I właśnie szubienice, na których zawiśli członkowie „Proletariatu", i „schodka" apuchtinowska przyśpieszyły to tworzenie się i krzewienie fermentów opozycyjnych. Czyny te i ludzie wyrastały na miarę bohaterską i przykuwały do siebie imaginację nie tylko młodzieży akademickiej, ale nawet wyrostków, nawet malców. Jak zawsze, tak i w tym wypadku ta dopiero wzrastająca młodzież żywiła w sobie ducha przekory w stosunku do starszych. Pociągał ją czyn odważny. Nie tyle chodziło tam o przekonania, ile o wyładowanie nabrzmiałej emocji, młodzieńczej energii, która z konieczności kierować się wtedy mogła jedynie na tory nielegalne. Młode piwo musi się wyszumieć, jak powiada przysłowie! I szumiało w tajnych kółkach, które nieraz dopiero gdy powstały, upatrywały sobie, co mają robić. A co ważniejsza, wśród młodzieży wyższych klas w gimnazjach narastał kompletny entuzjazm dla wiedzy, poszukiwanie wskazówek, co czytać (okoliczność ta doprowadziła do rozpoczęcia druku wielotomowego *Poradnika dla samouków,* będącego odpowiedzią na potrzeby młodzieży) wraz z żądzą jakiejś czynnej „roboty". Zainteresowania te zarówno teoretyczne jak i praktyczne będą parły licznymi a odmiennymi łożyskami. Jedni będą łączyć się w imię socjalizmu, inni w imię haseł ludowcowych, jeszcze inni wyłącznie narodowościowych itd., ale pomimo niekiedy głębokiej rozbieżności celów wszystkie te kierunki będą jednako obce hasłom dawnego lojalizmu. Rozrastała się i krzepła Polska buntownicza, rozstrzelona zresztą na parę zwalczających się odłamów. Przodował inicjatywą najwcześniejszą, energią swoją i poświęceniem, stanowczością haseł i nieliczeniem się z jakimikolwiek względami oportunistycznymi odłam związany z ruchem robotniczym. Po latach 1877— 1882 począł się ten odłam otrząsać z mglistości i zamętu ideowego, a nawet utopijności

politycznej okresu dojrzewania. Początkowo był jak gdyby pod urokiem bliskiej rewolucji, która lada dzień miała wybuchnąć w państwie rosyjskim, ażeby samorzutnie rozwiązać wszystkie niedomagania i zagadnienia. Filipina Płaskowicka [13] żywiła ułudną nadzieję, iż dożyje może tych dni, ufna, iż jej chłopkowie skierniewiccy wysuną się wtedy na plan pierwszy jako przodownicy. Henryk Dulęba [14] był niecierpliwszy: obiecywał ruchawkę społeczną w Częstochowskiem za jakieś kilkanaście, a może nawet dziesięć miesięcy. Nie wszyscy ich towarzysze podzielali takie marzenia o niedalekim dniu sądu nad nieprawościami. Już taka okoliczność, że ktoś mógł kłaść termin kilkumiesięczny, ktoś inny rolę poczesną przeznaczać dzielnicy skierniewickiej, świadczy o ówczesnych nastrojach. Minęło lat kilka i trzeba było rozstać się z nadziejami na tak rychły termin. W pierwszej swojej fazie „Proletariat“ już pozbył się tego rodzaju rojeń, a w drugiej, po uwięzieniu Waryńskiego, przystąpił do wyjaśniania stosunków pomiędzy ruchem opozycyjnym w Rosji i u nas. Umowa zawarta pomiędzy partiami „Narodnej Woli“ i „Proletariatu“ zastrzegała, iż z chwilą wybuchu rewolucji Polska będzie wyłącznie sama decydować o swoich losach. Było to w postaci zarodkowej zasadnicze stanowisko przyszłej PPS. Chodziło jedynie o rozgraniczenie tego, co ma być Polską, a co do niej nie ma należeć. Przedmiotem sporu była Wileńszczyzna. Narodowcy uważali ją za terytorium rosyjskie. Sprawa pozostała w zawieszeniu jako nierozstrzygnięta, „Proletariat“ zaś celem przeciwwagi zamiarom rosyjskim zwrócił się w Wilnie ku stworzeniu odrębnej organizacji socjalistycznej żydowskiej. Jeden z inicjatorów i jednocześnie wykonawców tego planu, Aleksander Dębski, opowiadał mi o tej taktyce w Paryżu w r. 1885, a jeszcze później podczas swego pobytu w Warszawie w pierwszym okresie okupacji niemieckiej uważał, iż z tej pobudki z biegiem czasu zrodził się był „Bund“. (W sprawie tych rodowodów „Bundu“ nie mam własnego zdania i powtórzyłem jedynie to, com słyszał). W końcu ruch robotniczy w początkach ostatniego dziesięciolecia wieku XIX sprawę stosunku do Rosji sformułował ostatecznie i odtąd od swego sformułowania nie odstąpił.

Wszystko to są czasy i rzeczy, które poszły w całkowitą niepamięć, a nawet celowo bywają przemilczane. Przecież Radio podając sylwetkę Aleksandra Dębskiego jak gdyby nic nie wiedziało, iż był socjalistą. Według niego tajne przyjazdy tego działacza do kraju w latach 1885—1887 miały na celu organizację... oporu zbrojnego przeciwko Rosji!

CZĘŚĆ CZWARTA

ZA GRANICĄ

1884 1885

LUDWIK KRZYWICKI W 1885 ROKU

I

LIPSK (1884)

Przybyłem do Lipska po północy z niewielką kwotą pieniężną. Przed paru miesiącami, dzięki niewypłacalności ojczyma mego i oddaniu na subhastację jego domu w Warszawie, znalazłem się pozostawiony jedynie własnemu zarobkowi. Jechałem z jednym z wychowańców Szkoły Technicznej w Warszawie, istniejącej bodaj przy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Jechał on gdzieś na praktykę do Niemiec i nie umiał ani jednego słowa po niemiecku. Na którejś stacji porwano go ode mnie, gdyż okazało się, iż jedzie niewłaściwym wagonem, który na następnej stacji ma być przyczepiony do innego pociągu. Wyglądał jak skazany na śmierć. Jechaliśmy trzecią klasą, lecz w Dreźnie, gdzie musiałem kupić bilet do Lipska, przeszedłem do czwartaka. Nie znając Lipska, do którego miałem przyjechać o bardzo późnej godzinie, zacząłem rozpytywać się o miejsce możliwego noclegu. Jakiś młody urlopowany żołnierz zaproponował mi, że mnie zaprowadzi do taniego hotelu. W Lipsku podszedł i wziął moje walizki. Po jakim kwadransie znaleźliśmy się przed hotelikiem, na którym był napis „Stadt Braunschweig". Okazał się to hotel nieznanego rodzaju, który na noc odnajmował łóżka, zresztą czyste i wygodne. Ale jeżeli opowiadam o tym epizodzie mojego przybycia do Lipska, to dlatego, żeby zaznaczyć moje zetknięcie z inną grzecznością niż ta, do jakiej byłem przyzwyczajony w otoczeniu krajowym. Ulokowawszy swoje rzeczy przy łóżku, chciałem wynagrodzić pieniężnie mego towarzysza. „O nie — odparł — pieniędzy nie wezmę, ale może pójdziemy się napić razem piwa". A kiedy znowu chcę płacić za swoje i jego piwo, słyszę to samo: „Nie — każdy płaci za siebie". I muszę dodać, że to nie był odosobniony przypadek grzeczności. W r. 1889 wracając z Wystawy Paryskiej zajechałem do Lipska. Nie zdążyłem zawiadomić medyka Trzepińskiego, u którego miałem nocować, żeby wyszedł na moje

spotkanie. Jak okazało się, mieszkał w dzielnicy nie istniejącej jeszcze za moich czasów uniwersyteckich — w kierunku ku Konewitz. W jej położeniu orientowałem się. Zostawiwszy rzeczy na dworcu udałem się piechotą. Było około 10 wieczorem. Gdy wszedłem w tę dzielnicę, deszcz zaczął kropić, a potem przemienił się w ulewę. Zwracam się do jakiegoś przechodnia pytając o ulicę. „Jaki numer?“ — słyszę zapytanie. „To idziemy w jedną stronę“ — odrzekł nieznajomy i zaofiarował mi schronienie pod swoim parasolem. Przybyliśmy pod numer domu. Dziękuję mu, a on zawraca z powrotem w kierunku, skąd przyszliśmy. Wtedy podbiegam ku niemu przepraszając go, iż dla mnie nadłożył drogi. „To nic — odpowiada — *Sie sind ein Ausländer*“. I do tych wydarzeń pozwolę sobie dołożyć jeszcze jedno. Wincenty Janowicz wracał z Monachium na Litwę. W wagonie spostrzegł, że nie ma biletu ani portmonetki. Podniósł gwałt i wtedy jedna z pasażerek zwraca się do niego z zapytaniem, ile potrzeba mu na przejazd do domu. A dowiedziawszy się o potrzebnej kwocie proponuje mu pożyczkę...

Poprzestałem na tych trzech faktach. Mógłbym je pomnożyć bez liku. Od r. 1891 bawiłem rok rocznie parę miesięcy w Berlinie. A w latach 1892—93 blisko półtora roku. Mieszkałem u różnych gospodyń i ani razu nie mogłem się poskarżyć ani na wyzysk, ani na niedotrzymanie zobowiązań, ani w końcu na to, abym doznał kiedykolwiek jakiejś niegrzeczności, tak częstej u nas w codziennym tramwaju warszawskim lub w wagonie kolejowym. Grzeczność ta wobec Polaków przeradzała się w opryskliwość w obrębie zaboru pruskiego i dzielnicy śląskiej. Każdy przejazd przez granicę, gdy jechało się do Niemiec, był połączony z niepotrzebnymi przykrościami, a niekiedy z pokątnym wyzyskiem. Jednego razu wysiadłem na dworcu Lehrter-Bahnhof. Na tym dworcu wysiedli także liczni wychodźcy polscy udający się przez Hamburg do Ameryki. I widzę, jak przy wyjściu na górną platformę, gdzie odpowiedni dozorca odbiera bilety, ten żąda od każdego 10 fenigów. Wchodzę i ja, ale przechodzę nie zaczepiony. Dozorca poznał, że przyjechałem inną klasą i że nie jestem bezbronny. Zapytałem go, jakim prawem pobiera silbergrosze. W pierwszej chwili mina zakłopotana, a później bezczelna odpowiedź: „Dają mi przez grzeczność“. Przy tym odchodzi polecając odbieranie biletów innemu dozorcy. Naturalnie, nikt z dalszych wychodźców nie składał już tej daniny. A inni, którzy już wyszli przede mną i czekali na resztę kompanii, zaczęli mi opowiadać, że parokrotnie po drodze musieli dawać takie upominki.

Po wojnie zachowanie się względem Polaków stało się wyraźnie niechętne. W r. 1922 wyjechałem do Berlina do biblioteki. W bibliotece urządzono mi kompletną obstrukcję. Na książkę trzeba było czekać niekiedy dzień jeden i drugi. Chodziło mi tam jedynie o sprawdzenie materiałów do mojej późniejszej książki o społeczeństwie pierwotnym. Potrzebowałem dziennie kilkanaście dzieł. Dostawałem zaledwie jedno lub dwa. Tymczasem moi sąsiedzi mieli stosy przed sobą. Wypadło mi przeglądać różne rzeczy w bibliotece podręcznej. Zwykle za poręczeniem profesora Aleksandra Brücknera na podstawie jego listu do zarządu biblioteki brałem książkę do domu. Obecnie odmówiono wydawania mi książek w ten sposób — nie zawiadamiałem o tym Brücknera nie chcąc powiększać jego przygnębienia i bezradności, w jakiej go znalazłem. W końcu odmówiono mi dostępu do tak ważnej biblioteki jak biblioteka Towarzystwa Geograficznego pod pozorem braku miejsca. A tymczasem znalazłoby się dla mnie miejsce, wysyłałem dawniej do tej biblioteki swoje prace, a także bywałem podczas pobytu proszony na różne zebrania i odczyty. Był to mój ostatni pobyt w Berlinie. Odtąd tylko przejeżdżałem udając się do British Museum.

Ale odbiegłem mocno od przedmiotu. Powracam więc do Lipska. Zapisałem się w uniwersytecie na filozofię, a właściwie na wykłady Wundta i do pracowni zootomicznej Leuckarta. Z Polaków tutaj pracował dr Wielowiejski, młody uczony, przyrodnik, marzący o katedrze uniwersyteckiej, ale który skończył na gospodarstwie rolnym. Pracowała Rosjanka Sperańska. Była to jedyna kobieta w uniwersytecie. Na wykłady wchodziła wraz z profesorem przez wejście na katedrę, przez które nikt inny nie wchodził. Witało ją szuranie dwustu nóg męskich. Że nie było to powitanie przyjazne, o tym świadczy, iż nie witało jej klaskanie, lecz puszczenie w ruch ukrytych pod ławkami nóg. Leuckart, znając tego ducha młodzieży, osobiście wprowadzał ze sobą na wykład Sperańską i ją wyprowadzał.

Niebawem po zapisaniu się do uniwersytetu zostałem wprowadzony przez niejakiego Frenkla, studenta medycyny, do filozoficznego *Verein'u*. (Do Frenkla miałem list polecający od jego brata, studenta w Warszawie, była to jedyna osoba, do której miałem jakieś rekomendacje). Później dostałem się do nowotworzącego się *Verein'u* ekonomicznego. Byłem członkiem obu tych towarzystw naukowych w ciągu całego swego pobytu w Lipsku i, przyznam się, skorzystałem bardzo wiele. Jedno tylko mnie dziwiło — uniwersytet lipski był jednym z przodujących w Niemczech i ściągał tłumy młodzieży,

a tymczasem w Towarzystwie Filozoficznym było nas zaledwie kilkunastu; możliwe, że liczba uczestników nie dociągała 15. W tej liczbie było dwóch z Warszawy, tj. ja i Frenkel, i przynajmniej kilku Żydów, Niemcy zaś, pomimo że słyną jako naród filozoficzny, nie bardzo skwapliwie przykładali się do filozofii. Czymś w rodzaju seniora był niejaki Wierth, człowiek już starszego wieku, autor książki pt. *„Bismarck, Rodbertus, Wagner, drei deutsche Meister"*, której jako motto służyło hasło: *„National, Sozial, Monarchisch"*. Jakiekolwiek były jego zapatrywania, górował nad uczestnikami wiedzą swoją i umiał działać zachęcająco na ich umysły i przede wszystkim ożywiać dyskusję. Pomimo wszystko pozostało u mnie po nim jak najlepsze wspomnienie. Kiedy dzięki nieporozumieniu co do osoby niejakiego Nowaka byłem przynaglony opuścić Lipsk w chwili nieoczekiwanej, Wierth dowiedziawszy się, że jest kuso u mnie z pieniędzmi, pośpieszył za pośrednictwem Frenkla ofiarować mi większą pożyczkę, której nie przyjąłem. Koło Ekonomistów liczyło około 40 osób, Roscher był jego teoretycznym kierownikiem. Z jego polecenia w ciągu jednego semestru zaznajomiliśmy się z Adamem Smithem, rozdzieliwszy pomiędzy siebie jego książkę do kolejnych referatów, tak żeby w ciągu jednego semestru całkowicie ją wyczerpać. Tak samo ułożono plan prac w Towarzystwie Filozoficznym. Między innymi na mnie przypadł referat o czynnikach społecznych pesymizmu Schopenhauera. Zebrania odbywały się w restauracjach, w których mieliśmy do rozporządzenia pokój na cały wieczór, od godziny jakiejś siódmej. Referat trwał do jakiejś 8—$8^{1}/^{2}$, przy czym uczestnicy popijali piwo, choć większość odkładała wszelkie posiłki i napoje na drugą część posiedzenia. Po referacie wywiązywała się dyskusja, niekiedy bardzo żywa, trwająca czasem całą godzinę, a przede wszystkim pozostawiająca dużo wiadomości i niewątpliwie zaostrzająca umysły uczestników. Po niej rozpoczynała się *Gemütlichkeit* — ktoś grał na fortepianie, inni śpiewali, toczyła się żywa rozmowa przeplatana anegdotami, ale bez owego tłustego charakteru, nieodzownego w takich wypadkach wśród młodzieży warszawskiej. Po dziesiątej, niekiedy aż o jedenastej, rozchodziliśmy się syci roztrząsań naukowych, pogawędki towarzyskiej...

Organizacja polskich studentów rezydowała na *Bayernstrasse*, tak samo w restauracji. Z zasady należeli do niej wszyscy studenci-Polacy w Lipsku, skład jej pod każdym względem był niezmiernie pstry: obok młodego Czarnkowskiego jakiś biedny studencina, obok hulaki Wolszlegera — milczący, skupiony w sobie jakiś medyk. Zbie-

rano się raz w tygodniu. Początek zebrań był taki jak w stowarzyszeniach niemieckich: jakiś referat, później zakończenie natury wesołej. Referaty poruszały się w wąskim korycie, w jakie wdrożyła się cała myśl w poznańskim okresie *Kulturkampf'*u i zamierzanych rugów polszczyzny. Sięgano do różnych postaci historycznych, imano się chętnie tematów literackich. W tym wszystkim więcej było poczciwych chęci niż jakichkolwiek myśli żywszych. Lojalizm, katolicyzm, płytki, choć szczery patriotyzm — oto były słupy graniczne, poza które nie odważano się wychylić. Znalazłszy się tam po raz pierwszy, trafiłem na jakieś rozważania — treści nie pamiętam — które dały mi okazję do wystąpienia z wywodami o antagonizmie pomiędzy osobowością a społeczeństwem. Sądzę, że wywody moje musiały mieć mocny pokost anarchistyczny, który zresztą przy zetknięciu się z książkami o głębszej treści społecznej spełzł w krótkim czasie. I znowu, co mówiłem, drobiazgowo nie pamiętam, ale pamiętam dobrze, że moje argumenty były czymś w rodzaju obucha, którym ktoś uderzał po głowach. Czuli w głębi jakieś założenia bardzo niebezpiecznej natury, jakąś krytykę całego ich społecznego wyznania wiary, ale, nie przyzwyczajeni do tego rodzaju argumentów, byli jak dzieciaki znienacka zaskoczone. Nie wiedzieli, co mają odpowiedzieć ani co w moich wywodach jest niebezpiecznego. Jedynie dr Wielowiejski po mojej przemowie podszedł do mnie i zaznaczył, iż nie myślał, że nauki przyrodnicze zawierają w sobie możliwość takich przewrotowych konsekwencji. W każdym razie podziękowano mi serdecznie. Urosłem w ich oczach, i później na następnych zebraniach, ilekroć przemawiałem, a przemawiałem często, nikt nie odważał się polemizować ze mną. Gdy wychodziłem, podszedł ku mnie jeden ze studentów polskich i przedstawił się, że, wydalony z Petersburga za manifestacje polityczne, obecnie w Lipsku studiuje medycynę i że jest zadowolony niezmiernie, że w poglądach swoich nie będzie teraz w Lipsku samotny. Był to Teodor Kodis, Litwin, syn włościanina z Poniewieskiego, człowiek, z którym, dopóki żył, jako też z jego żoną wiązała mnie szczera przyjaźń. Zamiast rozejść się, zaczęliśmy rozmawiać i o różnych teoriach naukowych, i o zadaniach ruchu społecznego, o tych i innych osobach. Przechadzka ta trwała do godziny piątej rano. Kręciliśmy się po ulicach, wreszcie głód zaczął nam doskwierać. Na szczęście miałem w domu u siebie jabłka, więc zaszliśmy do mnie, a po zaspokojeniu głodu udaliśmy się na spacer i na gawędę. Po paru miesiącach zamieszkaliśmy wspólnie, tj. u tej samej gospodyni. Kodis był wtedy zajadłym terrorystą, zgodnie

z całym programem „Narodnej Woli". Okazało się, iż poza medycyną pracuje nad przyrządem śmiercionośnym dla cara. Pragnął znaleźć taki aparat w rodzaju małej armatki strzelającej na kilometr, który przy pomocy szkieł dałby się tak nastawić, iż pocisk trafiłby w cara. Były to marzenia człowieka mało obznajmionego z trudnościami technicznymi (dla takiego narzędzia przy założeniu, iż odległość narzędzia od osoby, przeciw której pocisk ma być wymierzony, nie była znana). Poczciwy do szpiku kości, ideolog czystej wody, straszył ludzi swoją ponurą twarzą otoczoną ciemnym zarostem, i jakimś wzrokiem, którego dzisiaj nie umiem zdefiniować, ale który, jak wiem o tym z rozmów, ciążył na każdym, kto z nim rozmawiał. Ironicznie przezwaliśmy go „czarnym charakterem", o co nie obrażał się. Żył bardzo skromnie, niemal poniżej poziomu niezbędnego. Każdy grosz był liczony. Z hasłami terrorystycznymi nigdy się nie rozstał. On był inicjatorem przygotowań, które skończyły się na Zürichbergu śmiercią Demba i wyrwaniem łydki Aleksandrowi Dębskiemu. A podczas rewolucji 1905/6 roku jako lekarz w Mińsku utrzymywał bardzo żywe stosunki z terrorystami rosyjskimi. Nieco później do naszego grona przybył Leonard Frenkel, który porzucił uniwersytet w Warszawie, żeby zapisać się do Akademii Handlowej w Lipsku. Chwilowo zatrzymał się u mnie na *Bluecherstrasse* i mieszkał kilka tygodni, póki wszyscy wraz z Kodisem nie wynajęliśmy sobie pokoi — ja dla siebie, a oni dwaj w jednym pokoju na jakiejś z ulic koło *Bayernstrasse*.

To był zalążek przyszłego Koła, które z początkiem drugiego semestru powiększy się o dwóch świeżo upieczonych studentów: Jana Kasprowicza, zapisanego na filozofię, i Trzepińskiego, który studiował medycynę. Obaj pochodzili z tej samej miejscowości. Kasprowicz, syn prostego komornika czy chałupnika wiejskiego, urągał wciąż Trzepińskiemu, iż jest synem zamożnego włościanina. Jeszcze później przyłączył się do nas słuchacz uniwersytetu Kurowski.

Ale nim przejdę do dziejów tej gromadki, nie od rzeczy będzie zatrzymać się nieco nad Kołem studentów-Polaków. Koło to nie było ciekawe, o ile opuszczę doktora Wielowiejskiego, a także Józefa Paczkowskiego, który, po różnych urzędach w bibliotece berlińskiej i archiwum państwowym pruskim, jako emeryt objął w Polsce Niepodległej stanowisko Dyrektora Archiwów, a podczas wersalskich targów o pokój i urządzenie Europy dostarczył delegatom polskim niezmiernie ważnych dokumentów. Naturalnie, należała tu młodzież rozmaita. Nieliczni byli wyznawcami ideologii katolicko-patriotycz-

nej, szczerymi, ale mało krytycznymi, inni powtarzali zwroty ich mowy, ale były to już czcze frazesy. Pozostał mi w pamięci jeden obrazek, który przewybornie odtwarza skojarzenie tej ideologii z postępkami o wątpliwej wartości.

Późna godzina na drugorzędnej ulicy. Gromadka studentów Koła polskiego, nie bardzo zdolna utrzymać się na własnych nogach, siedzi na chodniku przy rynsztoku i nuci pijanym głosem „Boże, coś Polskę". Tę pieśń, która całkowicie zamilkła w Kongresówce, słyszałem niejednokrotnie w Lipsku, choć śpiewaną z większym namaszczeniem. Całe Koło wybrało się w końcu roku szkolnego dokądś ku Konewitz. W ogródku restauracyjnym ku końcowi wycieczki zanucono ten hymn. Wszyscy wstali, zdjęli czapki... Przeciętny student-Polak spędzał czas na piciu piwa i znajomościach z dziewczętami. Pijatyka należała do stałych obrzędów życia studenckiego. Pociągnęła za sobą ofiarę. Po pijatyce jeden ze studentów, idąc parkiem Rosental poprzerzynanym licznymi wodami, podchmielony, oparł się o poręcz mostku, spadł do wody i utonął. Była to, zdaje się, tragedia rodzinna. Był to bodaj jedyny syn wdowy, która obracała wszystkie środki na umożliwienie jedynakowi skończenia medycyny. Jedynak przebumlował nie tylko medycynę, ale i życie (choć zresztą nie należał pono do wodzirejów bumlerki, ale znalazłszy się w towarzystwie dał się spoić). Rozsądniejsi z kolegów byli oburzeni, iż spojono towarzysza o słabej głowie. Naturalnie, po paru tygodniach oburzenie zamilkło. Koło miało poważniejsze kłopoty — obecność naszego kółka wniosła nowe fermenty, zwłaszcza gdy kość z kości poznańskiej (i myśl z myśli poznańskiej), Kurowski, przyłączył się do nas. Odczyt Kasprowicza wywołał burzę. Niebawem inną burzę wywołał Wolszleger, już starszego wieku student, z rodziny zamożnych Wolszlegerów na Pomorzu. Kojarzyły się w nim sprzeczności: z jednej strony troszczył się o zapewnienie sobie dobrego stanowiska pod względem dochodów i marzył o wyjeździe do Rosji w charakterze rządcy do któregoś z olbrzymich tamtejszych majątków ziemskich. Z drugiej strony miał w sobie żyłkę awanturniczą: pociągały go nowinki ideowe. Otóż po jakiejś dyskusji w sprawie włościańskiej, w której zabrałem głos (rzut oka na dzieje włościan w dawnej Polsce i we współczesnej, rozkawałkowanej), wytworzyła się atmosfera dość podniecona. Młodzież spośród zamożnych rodzin ziemiańskich stanęła w obronie ziemian jako ludzi dobrej woli i dużego patriotyzmu. Szaraczkowie wykazywali, iż to jednak nie zmienia sytuacji ani nie może przekreślić faktów, iż chłopom było bardzo ciężko.

W pewnej chwili zrywa się Wolszleger — a wzrostu był wysokiego i odpowiedniej korpulencji — i oświadcza, że właściwie i dzisiaj chłopom nie pozostaje nic innego, jeno wziąć noże do ręki i usunąć szlachtę. Rozprawy, które były bardzo dalekie od jakichkolwiek wniosków praktycznych, otrzymały nieoczekiwane zakończenie — wszyscy zerwali się z miejsc, otoczyli Wolszlegera, który nad nimi górował o całą głowę, z różnymi zarzutami, choć utrzymanymi znowu w szrankach przyzwoitości. Wzrost Wolszlegera, znana wszystkim jego porywczość, a nadto powaga jego nazwiska rodowego nie sprzyjały gwałtowniejszym zarzutom. Jedynie Wolszleger palił się całym swoim jestestwem. Prawdopodobnie nazajutrz przeciwnicy już pili zgodnie gdzieś w knajpie bruderszaft. Wszystko skrupiło się na mnie jako na podżegaczu, który wniósł rozterkę do Koła polskiego, a któremu trudno sprostać w argumentacji. Zaczęły krążyć różne plotki i insynuacje, o których zresztą nic nie wiedziałem. Najzajadlejszy był niejaki Rychłowski. Bubkowie opowiedzieli Wolszlegerowi o tym, jakie Rychłowski rozpuszcza o mnie opowieści. Wtedy Wolszleger, ani słowa mi nie mówiąc, wyzwał Rychłowskiego na pojedynek. Rychłowski był gadatliwym insynuatorem, ale niezbyt odważnym młodzieńcem. Gdy sekundanci Wołszlegera postawili warunek sekundantom Rychłowskiego, że ten albo przyjmie pojedynek, albo w liście do Wolszlegera odwoła swoje insynuacje, Rychłowski wybrał to drugie wyjście. I znowu o całej sprawie dowiedziałem się tuż przed swoim wyjazdem z Lipska. Wolszleger uznał za stosowne ukryć wszystko przede mną. Od czasu wyjazdu z Lipska nie widziałem go ani z nim nie korespondowałem. Zdaje się, znalazł w końcu kompromis pomiędzy wszystkimi swoimi dążnościami na nieoczekiwanej dla mnie drodze — wstąpił do jezuitów.

W ogóle, prócz uczestnictwa w części poważnej posiedzeń Koła, stosunków bliższych z nikim z poznańczyków nie utrzymywałem. Prócz Kurowskiego poprzestawałem na kółku niewielkim, które rozrosło się powoli. Życie płynęło w łożysku regularnym, jak często bywa na obczyźnie, z którą przybyszów nic nie wiąże. Tę prawidłowość zmącił proces Kraszewskiego. W charakterze korespondenta P r z e g l ą d u T y g o d n i o w e g o otrzymałem wejście do sali sądowej. Ale pierwsze dni pozostawiły tak ciężkie wrażenie, iż wyrzekłem się dalszego bywania. Ten starzec przygarbiony, niewielkiego wzrostu, a od starości jeszcze niższy, wyraz jego twarzy zrezygnowany, postacie sędziów pełne poczucia swojej siły, drwiące uśmiechy publiczności

niemieckiej — wszystko to stwarzało dla mnie atmosferę tak ciężką, tak przygnębiającą, iż wolałem się zrzec widoku rozpraw. Natomiast z Kodisem odwiedzaliśmy wiece partii politycznych niemieckich, więc narodowych liberałów, wolnomyślnych, a nawet konserwatystów. Wiece te osobiście dawały mi, nie przyzwyczajonemu do tego rodzaju zgromadzeń, bardzo dużo: wprowadzały mnie w życie kraju, w którym istniała swoboda słowa i jawnie roztrząsano różne sprawy polityczne i społeczne. Znaleźliśmy się także na paru zamaskowanych wiecach robotniczych. Natomiast do przedstawicieli partii robotniczych nie udało nam się dotrzeć. Nad całymi Niemcami ciążyły prawa wyjątkowe: główny ośrodek partii socjal-demokratycznej rezydował w Zurychu. Żaden organ partyjny w drodze legalnej nie wychodził. Ukazywały się tylko wydawnictwa zamaskowane. Takim było pisemko „Recht auf Arbeit“, redagowane, zdaje się, przez Vierrecka, nieprawego syna Wilhelma I. Dzisiaj nie pamiętam, jakim sposobem dostałem adres, pod którym pismo można było zaprenumerować i w Lipsku. Udałem się tam. Okazało się, że postacią odpowiedzialną był na danym miejscu murarz, miejscem — jakaś budująca się kamienica, a ów murarz pracował przy jej budowie. Murarz wyparł się wszelkiej łączności z pisemkiem. Jednak w parę dni zacząłem je systematycznie otrzymywać do domu, a gdy wyjechałem do Zurychu — również przychodziło pod moim adresem. Widocznie ktoś z towarzyszy pracujących przy budującym się domu prześledził mnie do mego mieszkania. Dostawałem tą drogą także zawiadomienia o dozwolonych policyjnie, lecz w rozmaity sposób zamaskowanych wiecach. Może te stosunki, jednocześnie nikłe i istotne, zwróciły uwagę policji lipskiej, a może do tego przyczynił się druk *Kapitału* Marxa w polskim przekładzie. Przecież przyjechałem do Lipska tylko w tym celu. Już nie pamiętam, w jaki sposób dotarłem do niejakiego Kasprowicza, który pracował w firmie Brockhausa, a jednocześnie był przysięgłym tłumaczem dokumentów z języka polskiego na niemiecki. Wskazał mi drukarnię w Weimarze. Niewielką: sam właściciel z synami stali przy składaniu druków, ludzie bardzo mili i uprzejmi. W ogóle wycieczki do Weimaru i zwiedzanie tego niewielkiego, ale czyściutkiego i niezmiernie taniego miasta wnosiły w moje życie codzienne powiew czegoś innego, jakiś odpoczynek pod każdym względem. Korekty przychodziły do Lipska. Może policja niemiecka zainteresowała się nimi jak też moją korespondencją z Warszawą, Paryżem i Genewą. A może żandarmeria warszawska zażądała od władz lipskich zwrócenia na mnie uwagi. Że

takie stosunki między nimi istniały, świadczy w akcie oskarżenia drugiego „Proletariatu“ ustęp dotyczący Leonarda Frenkla, zarzucający mu, iż utrzymywał stosunki ze mną, że u mnie odbyła się rewizja w Lipsku i że znaleziono listy Marxa — tutaj policja lipska popełniła niedokładność: znaleziono listy Engelsa, Marx już wtedy nie żył — oraz korekty *Kapitału*. Nie wiem, który z tych powodów przyczynił się do rewizji. Fakt jednak pozostaje faktem: rewizja się odbyła. Mieszkaliśmy wtedy: Kodis, Frenkel i ja u tej samej gospodyni. Ja miałem oddzielny pokój, a tamci dwaj lokowali się w jednym dużym pokoju. Któregoś ranka o godzinie 6 pukają, wchodzą dwie czy trzy osoby, jedna z nich legitymuje się, iż przybyli robić rewizję. Niewiele mieli do roboty. Cały mój majątek składał się z bielizny i ubrania oraz paru książek i zapisanych zeszytów, a także korekt. Listów nawet nie było. Nigdy nie wykraczałem poza zasady ostrożności. Listy Krusińskiego, Szymona Diksztajna, Kazimierza Sosnowskiego niszczyłem. Jedynie nie zdobyłem się na tyle hartu, żeby zniszczyć korespondencję z Engelsem, a kiedy później otrzymałem w Warszawie nowy tom Marxa z dedykacją Engelsa, wyciąłem ją dopiero po paru latach, gdy przyszły gorące dni rozprawy ze Związkiem Robotników Polskich. Jednocześnie odbywała się rewizja po drugiej stronie korytarza. Kodis utrzymywał stosunki z młodzieżą rosyjską, wśród której znalazł jednego i drugiego sympatyka „Narodnej Woli“. Od nich dostawał paryskie książkowe wydawnictwa tej partii. Były to rzeczy w Lipsku nielegalne, ale zawczasu zmiarkował o charakterze gości u mnie. Nie mając gdzie tych książek ukryć, gdy weszli do pokoju i toczyli rozmowę z Frenklem, schował je do swoich kalesonów, w których jeszcze wtedy paradował, a na to włożył spodnie. Rewizja u nich była krótka. Już przed ósmą siedzieliśmy wszyscy przy wspólnym śniadaniu i gawędziliśmy o tym zdarzeniu. Nazajutrz wezwano nas do policji, oddano zabrane rzeczy, spisano protokół o tym, co robimy w Lipsku i czy bywamy na jakich zebraniach i... koniec. W parę tygodni po tej rewizji, skończywszy druk pierwszego tomu Marxa, niebawem ruszyłem w świat wcześniej, niż zamierzałem, spłoszony zachowaniem się Ostaszewskiego, który przybył do Lipska, odnalazł mnie dzięki pomocy Kasprowicza, złożył wizytę pod przybranym nazwiskiem, dopytując się mnie niegorzej od policji lipskiej, a jeszcze później odwiedził mnie w czasie mojej nieobecności i tak drobiazgowo badał moją gospodynię, że gdy wróciłem do domu, oświadczyła, iż prawdopodobnie to ktoś z policji śledczej. Kodis przed moim wyjazdem

wyjechał na Litwę, dokąd i mnie zapraszał. Zapewniał, że nielegalnie mnie przeprowadzi przez granicę i ukryje tam tak, że diabeł mnie nie znajdzie. A umiał ukrywać. Aleksander Dębski podczas swoich wycieczek do kraju dzięki Kodisowi znalazł przytułek u Bażyńskiego[1] w Burbiszkach niedaleko Trzadowa. Ojciec Kodisa był tam czymś w rodzaju angielskiego *butler*'a. Naturalnie, nie mówił on nic Bażyńskiemu o roli Dębskiego w ruchu rewolucyjnym. Miał to być młodzieniec wykolejony przez awantury studenckie, porzucił studia i potrzebował dłuższego i troskliwego odpoczynku. Olek toczył długie rozmowy o polityce wszechświatowej, razem z Bażyńskim stwarzał przymierza pomiędzy państwami i urządzał wojny, niekiedy grywał w karty, w ogóle pokumał się z tym starym a zamożnym obywatelem, nie mającym na świecie nikogo prócz siostrzeńca i wolnym od jakichkolwiek obowiązków. Z natury swojej był żubrem, ale, jak to bywa u szlachty polskiej, był gotów dać posłuch i radykalnym nowinkom, byleby pozostawały w sferze teorii.

Kółko nasze składało się z Kodisa, Leonarda Frenkla i poznańczyków: Jana Kasprowicza, medyka Trzepińskiego i Kurowskiego. Istniało ono tylko parę miesięcy. Wkrótce po moim wyjeździe rozpierzchło się: Kurowski umarł, Kodis nie wrócił do Lipska, Frenkel w r. 1885 wrócił do Warszawy, żeby tam w parę tygodni potem zostać aresztowanym i niebawem znaleźć się het daleko na Syberii. Warto zatrzymać się nad okolicznościami towarzyszącymi jego sprawie. Gdy przybył na początku 1884 do Lipska, był to zwykły filister, z filisterskimi poglądami pozytywizmu, opętany jedynie myślą o dziewczynach. To filisterstwo umysłowe odpadło odeń w Lipsku. Kiedy Dębski miał ruszyć do Warszawy w r. 1885, skomunikowałem go z Frenklem, ostrzegając, iż choć jest to człowiek honorowy i uczciwy, przecież w najwyższym stopniu nieostrożny, niezdolny do konspiracji. Dębski, mając to na uwadze, dał mu jednak jakieś polecenie do Warszawy. Frenkel dzięki temu poleceniu niebawem stał się swoim człowiekiem w kółku Marii Bohuszewiczówny. Cała gromadka ówczesna młodych proletariatczyków, prócz paru osób, nie przeszła przedtem żadnej poważniejszej szkoły konspiracyjnej, całe bractwo lubiło zbierać się u nich, prowadzić dyskusje, gawędzić po towarzysku, słowem, urządzać swego rodzaju rauty. Naturalnie, Frenkel znalazł się w swoim żywiole: wymowny, dowcipny, stał się duszą rautów-konspiracyj. Po paru czy kilku tygodniach znalazł się z innymi towarzyszami i towarzyszkami w Cytadeli.

II

O JANIE KASPROWICZU

Było to w Lipsku na początku letniego semestru roku 1884. Do pokoju mego zapukała gospodyni i wprowadziła dwóch młodzieńców w wieku około lat dwudziestu. Jeden niski, przysadzisty, mocnej budowy, drugi wyższy, ale także krzepki, z bujną, rozczochraną czupryną, w ubraniu silącym się na elegancję, ale widocznie nabytym w drugorzędnym sklepie gotowej odzieży. Byli to dwaj absolwenci z Poznańskiego, którzy przybyli zapisać się na uniwersytet lipski jako studenci. Jeden z nich był to znany później w kołach kaszubskich jako wybitny działacz-lekarz J. Trzepiński, drugi — przyszły poeta, Jan Kasprowicz.

Rozmowa przeciągnęła się parę godzin. Obaj pochodzili z ludu i mieli na sobie piętno tego pochodzenia w ruchach swoich, w wymowie. Trzepiński był synem zamożnego włościanina z okolic Inowrocławia, Kasprowicza ojciec był raczej chałupnikiem. Mówił prawie wyłącznie Kasprowicz. Z silnym uczuciem, gorączkując się jak na spowiedzi, wygłaszał dość naiwne *credo* polityczne i społeczne: było tam wiele uczucia demokratycznego, jeszcze więcej — że tak rzeknę — zawiści demokratycznej, moc entuzjazmu, wiele polotu, ale gdy chodzi o sformułowane poglądy, były to dość oklepane frazesy o wszelkiego rodzaju równości, a więc i majątkowej, o prawie każdego do użycia — podkreślam z całą mocą ten wyraz: „użycia“ — dużo wycieczek przeciwko Kościołowi i panom, nieco wzmianek o wolnej miłości. Przy okazji dostawało się i Trzepińskiemu jako synowi bogatego chłopa.

Bliższe zetknięcie się nastąpiło jednak w parę tygodni później. Kasprowicz zgłosił się do polskiego stowarzyszenia studenckiego, które mieściło się, jeśli się nie mylę, na *Bayernstrasse*. Zarząd stowarzyszenia przyjął jego odczyt o papieżach, nie przeczuwając treści odczytu. Stowarzyszenie było nieco klerykalne, a jeszcze bardziej usi-

łowało zachować pozory, że jest klerykalne, bo niewątpliwie paru członków, jako przyrodnicy, musiało żywić poglądy nieco wolnomyślniejsze. Kasprowicz rozpoczął odczyt z wielką swadą. Przedtem uprzedzał mnie, że nagada im — tym „bubkom“ kościelnym, dużo *joke'ów*[2] niemiłych. Już po kilku minutach odczytu twarze słuchaczy spoważniały lub wyrażały zdumienie. Prezes, jeżeli się nie mylę, student Zakrzewski, dość niecierpliwie obracał się na krzesełku. Kasprowicz ciągnął z coraz większą swadą odczyt wśród rosnącego zdenerwowania w stowarzyszeniu i można było przeczuwać, że, za lada niezręczniejszym uderzeniem w powagę papieską ze strony Kasprowicza, wybuchnie jakaś burza. Tak się stało po jakiejś półgodzinie. Kasprowicz zaczął opowiadać, jak Aleksander VI Borgia zbierał u siebie kobiety lekkiego prowadzenia w wielkiej sali Watykanu, a sam siedząc na wysokim siedzeniu rzucał im garścią złote monety, żeby je chwytały. Rdzeń zabawy tkwił w tym, że nierządnice były całkowicie nagie. Zerwał się w stowarzyszeniu krzyk oburzenia czy protestu, a z niektórych ust — wesoły śmiech, gdyż *joke* taki papieski mile przemawiał do wyobraźni niektórych członków. Prezes uroczyście odebrał głos Kasprowiczowi. Na to Kasprowicz właściwie zgłupiał. O ile z wielką swadą i brawurą wygłaszał różne *jake'i* i rozkoszował się tym dreszczem nerwowym, tym oburzeniem słuchaczy, to potem, gdy wybuchła burza i głos mu odebrano, niemal zaniemówił. Był bezbronny jak dziecko. Przekonałem się później, że Kasprowicz umiał z impetem uderzać, miał śmiałość wygłaszania poglądów jak najsprzeczniejszych z zapatrywaniami otoczenia, ale bronić się nie umiał. Wypadło mi powstać i wziąć na siebie obronę Kasprowicza. W każdym razie skończyło się tylko na przerwaniu odczytu. Dalszych kroków zarząd nie przedsiębrał. Tolerował odtąd — jak się wyraził do mnie jeden z członków — Kasprowicza tak, jak się toleruje marnotrawnego syna. Zresztą, do złagodzenia ostrości pomogła ta okoliczność, że Kasprowicz i wielu ze stowarzyszenia polskiego lubiło siedzieć przy stoliku i zapijać piwo. W tym wspólnym piciu bruderszaftów zatarły się powoli żale do Kasprowicza.

Kasprowicz wtedy, podczas tego wybuchu w stowarzyszeniu, należał do kółka, które stworzyłem wśród studentów uniwersytetu lipskiego. Kółko zbierało się w prywatnych mieszkaniach. Należeli tutaj: Leonard Frenkel, uczeń lipskiej Akademii Handlowej, zesłany później na Syberię w charakterze członka „Proletariatu“, dalej późniejszy doktor Teodor Kodis, z przekonań swych nieprzejednany naówczas narodowiec. Z poznańczyków weszli: Kasprowicz, Trze-

piński i Kurowski. Kółko było więc nieliczne, ale zbierało się systematycznie. Jedynie Kasprowicz bywał często nieobecny. Przeszkadzały mu różne rzeczy. Najpierw nieszczęśliwa Zosia, jakiś ideał przywieziony w postaci fotografii z Poznańskiego. Kasprowicz był zajęty robieniem kredką jej portretu na podstawie tej fotografii. Winien jestem zaznaczyć, że Kasprowicz był dobrym rysownikiem i nawet marzył o tym, czy nie jąć się rysownictwa i malarstwa jako zawodu. O poezji mniej wtedy mówił. Niekiedy zasiedziawszy się nad portretem zapominał o wszystkim, a więc i o przyjściu na zebranie kółka. Ale gdy portret skończył, skończyło się też wzdychanie do Zosi poznańskiej. Widocznie praca zaspokoiła go zupełnie w stosunku do jednej Zosi. Począł poszukiwać innych ideałów: nastąpiło drugie wcielenie Zosi, później trzecie, może przypadkowo jeszcze i inne, i te Zosie sprawiały, że niekiedy Kasprowicz znikał na przeciąg wielu dni. Zwłaszcza Zosia z Warszawy, uczęszczająca do konserwatorium w Lipsku, dużo zaważyła na punktualności Kasprowicza. Spotykaliśmy go wtedy gdzieś na plantach lipskich lub w parku, wyelegantowanego od stóp do głowy, lecz zawsze w ubraniu obwisłym i nie chcącym porządnie leżeć, zawsze z czupryną protestującą przeciw uczesaniu, obok tej nowej ukochanej Zosi, w stosunku do której nie wolno było odezwać się z przekąsem, choć z jej powodu wolno było nagadać różnych, nawet bardzo niemiłych rzeczy samemu Kasprowiczowi. Niekiedy znienacka działały przeszkody innej natury. Jednego dnia czekałem nań niecierpliwie. Chodziło o uregulowanie pewnych rzeczy związanych z drukiem *Kapitału* Marxa, wydawanego pod firmą niejakiego Kasprowicza, imiennika, ale nie kuzyna przyszłego poety. Jan Kasprowicz powinien był zajść do mnie i otrzymać pewne instrukcje, co ma zrobić. Nie pojawił się dzień jeden, drugi, trzeci, choć miał zwyczaj niemal codziennie wpadać na jakąś minutkę, nawet podczas okresów napiętej gorączki Zosinej. Zdziwiony zaszedłem do niego. Okazało się, że zaczął czytać w niemieckim przekładzie utwór Shelleya *Beatrix Cenci*. Było to wieczorem. Po skończeniu zaczął tłumaczyć. Siedział cały dzień i całą noc, nie wychodząc z domu. W ubraniu rzucił się na krótko na łóżko. Ku wieczorowi zaczął znowu pisać i pisał blisko do południa dnia następnego, dopóki nie skończył całego przekładu. A po tym wyczerpaniu nerwowym nastąpiła potrzeba snu twardego, długiego. Zastałem go w tym odrętwieniu śpiącym, kiedy leżał w łóżku i coś mówił, i mówiąc zasypiał, ażeby po chwili obudzić się i znów coś powiedzieć, i zasnąć. Zaznaczę mimochodem, że Kasprowicz był zakochany w Shelleyu,

zarówno w poecie jak i w człowieku. Mógł w ciągu godziny o niczym innym nie mówić, tylko o tym lub innym utworze angielskiego poety.

Gdy chodzi o konkretną pracę społeczną, Kasprowicz miał wielkie po temu chęci, ale żadnego zrozumienia rzeczy. Wspomniałem o „zawiści" demokratycznej. Przyzwyczajony dotychczas do kółek, gdzie młodzież z pochodzenia swego względnie zamożna paliła mosty za sobą i zrywała ze swym otoczeniem, nigdy nie spostrzegłem dotychczas tego uczucia. Tam człowiek palił się ogniem wewnętrznym, na wskroś ideowym, niekiedy cały był przejęty skruchą, iż wyrósł w sferze uprzywilejowanej, że napawał się wielu rzeczami niedostępnymi dla tłumów pracujących. Inna rzecz, czy po paru latach z farysa nie przedzierzgał się w filistra i nie próbował odbudowywać tych spalonych mostów. Natomiast u Kasprowicza występował jak najsilniej ten pierwiastek zawiści. Była to natura łaknąca życia i użycia całym jestestwem swoim; krzepki, zdrowy chłop, rwący się całą istotą swoją do życia, pomimo swego wykształcenia nieraz mocno nieokrzesany, a przynajmniej nieociosany, hardy dumną hardością chłopską. Choć niekiedy dziwnie nieśmiały czy niepewny siebie. Ta żądza życia, ten tryskający nadmiarem sił organizm chciałby cały zanurzyć się w ekstazie poetyckiej lub społecznej, ale ani na minutę nie zapominał o tym, że należy mu się dobre, a raczej obfite jadło, skropione gęsto trunkiem; tęsknił do sztuki, ale i do przebywania w wykwintnej knajpie wśród towarzystwa kobiecego, do posiadania na każde żądanie dostatecznej gotówki. A ponieważ był młodzieńcem biednym, właściwie utrzymującym się z zasiłków ofiarowywanych mu przez Kościelskiego [3] i w ciągu paru dni umiejącym wydać zasiłek na eleganckie buciki, na drogi kapelusz, przeto we wszystkich jego wywodach społecznych przeważał ton, że tak powiem, jeremiady: są tacy, którzy mają pieniądze, mają przed sobą pełnię życia, tarzają się w niej bezmyślnie jak proste prosiaki, a tymczasem on, który umiałby życie opromienić sztuką dla siebie i innych, który walczyłby o prawa ludu do dobrobytu, do nauki, on musi jadać *Leberwurst* na obiad z suchym kawałkiem chleba. Chociaż uważał się za socjalistę, przecież właściwie nigdy nim nie był, jeżeli mówimy o socjalistycznym poglądzie na świat należycie przemyślanym i przetrawionym. Był do szpiku kości anarchistą i bodaj dość stanowczo przesunął się w tym kierunku, kiedy w lipcu 1885 r. po dokonanych rewizjach musiałem nieco pośpiesznie opuszczać Lipsk. W lat parę później, jako student we Wrocławiu, został aresztowany w związku

z aresztowaniami wśród anarchistów tamtejszych. Szczegółów tego aresztu nie znam. Słyszałem tylko pogłoski o tym jego ciążeniu ku anarchizmowi, a ponieważ o teorii konsekwentnej u Kasprowicza mowy być nie mogło, było to raczej ciążenie ku typom wybuchowym, uczuciowym, jakie przeważały wśród studentów-anarchistów i do jakich sam należał. W czasach owych stosunki nasze uległy rozluźnieniu, ponieważ wróciwszy do Warszawy i będąc mocno obserwowanym przez żandarmerię, nie podtrzymywałem żadnych korespondencji. Jednak udało się go zaprząc do pracy nad tłumaczeniem jednej książki Rodbertusa. W Warszawie powstał wtedy KOR (Kółko Oświaty Robotniczej), które wydało Bellamy'ego, Kautsky'ego, Lafargue'a, zamierzało wydać drugi tom *Kapitału* Marxa i ogłosić niektóre przekłady z Rodbertusa. Kasprowicz tłumaczył *„Zur Beleuchtung der sozialen Frage"*. Przekład otrzymałem, ale rewizje, dokonywane w r. 1892 w związku z likwidowaniem przez żandarmerię Związku Robotniczego, natrafiły na rękopis: zabrano go, żeby go nigdy nie zwrócić.

W czasie pobytu mojego w Lipsku, już po przekładzie Shelleya, Kasprowicz zaszedł jednego ranka do mnie. W tym czasie otrzymałem był nowy zeszyt „Wiestnika Narodnoj Woli". Opowiadałem J. Kasprowiczowi, między innymi, o wydrukowanym tam utworze Lizoguba, pisanym w przededniu szubienicy. Przypomnę, iż Lizogub był młodym, bardzo zamożnym obywatelem w strefie czarnoziemnej Rosji, który oddał swe dochody i zamierzał oddać cały majątek na potrzeby „Narodnej Woli". Wydany przez swego rządcę, któremu zupełnie ufał, i skazany na śmierć, został powieszony w Odessie 22 sierpnia 1879 r. Właśnie w ostatnich chwilach przed śmiercią napisał niewielki utwór poetycki, zwracający się z pożegnaniem do ludu rosyjskiego. Utwór wzruszył mnie głęboko. Przetłumaczyłem ten niewielki testament poetycki Lizoguba Kasprowiczowi; na razie nic nie odpowiedział; prosił jedynie o powtórne ustne przetłumaczenie mu utworu. A na drugi dzień, wczesnym rankiem, bardzo wczesnym jak na Kasprowicza, przyniósł mi rzecz gotową. Przekład ten w parę tygodni później wypadło mi zawieźć osobiście do Genewy. Zresztą zawiozłem nie tylko ten utwór: Kasprowicz, który wiedział o moim zamiarze posłania utworu Lizoguba Mendelsonowi do druku, wcisnął mi do ręki drugą rzecz, gdy odprowadzał mnie w towarzystwie kolegów na pociąg. Było to naśladowanie Shelleya, znamienne w ogóle dla ówczesnych nastrojów J. Kasprowicza.[4]

*

Kasprowicz pozostał do końca życia takim, jakim go znaliśmy w latach uniwersyteckich: zawsze pełen żądzy życia, usposobienia radosnego, tęskniący za towarzystwem i gotowy pognać za każdą spódniczką. Dochodziły mnie od czasu do czasu o tym swego rodzaju Marchołcie najrozmaitsze anegdoty. Niekiedy śmiałem się do rozpuku z różnych kawałów pana Jana. Ktoś opowiadał mi, jak odbywał wycieczki z Kasprowiczem po Włoszech: postanowili powędrować piechotą do Palermo; Kasprowicz odpoczywał w Sorrento, gdzie bawiła wtedy przyszła jego Maruszka. Było to około roku 1908. Nasi pielgrzymi wstępowali po drodze do każdej winiarni, po każdym takim wypoczynku, suto zakropionym winem pitym kieliszkami czy szklanicami, Kasprowicz stawał się coraz radośniejszy, coraz wylewniejszy: ach! jak dobrze jest żyć! Po paru takich wypoczynkach do powyższego okrzyku dodał jeszcze drugi: jak tutaj jest dobrze tęsknić do Polski! Kiedy obaj znaleźli się w Rzymie, wieczorem weszli do jakiejś winiarni. Już przy wejściu do niej Kasprowicz był podochocony, a gdy opuszczali winiarnię, był kompletnie urżnięty. Gdzieś w pobliżu rozbrzmiewać zaczęła muzyka. Kasprowicz tam pociągnął. Było to w jakiejś tawernie ludowej. Publiczności było sporo, Kasprowicz wskakuje na stół, zaczyna mieć mowę niezmiernie entuzjastyczną, naturalnie po polsku. Ale co zdanie pakuje wyrazy: Garibaldi, *Polonia, fraternità,* a najgęściej *evviva.* Włosi okazali się miłymi słuchaczami, podobał im się entuzjazm mówcy, z nielicznych wyrazów wyciągnęli należyte konsekwencje i nagrodzili mówcę sowitymi oklaskami. — A! dobrze im mówiłem! — z zadowoleniem powtarzał Kasprowicz Wyrzykowskiemu, gdy chwiejnym krokiem wracał do hotelu.

Gdy już mowa o Rzymie, bodaj Rzym spłatał największego figla Kasprowiczowi, temu kiedyś osobistemu wrogowi każdego papieża z osobna i wszystkich po społu. Wypadło Kasprowiczowi jechać na czele delegacji wysłanej przez lwowian do papieża; że Kasprowicz przyjął tę misję, trzeba szukać wytłumaczenia w przebudzonych u niego tak silnie pod koniec życia nastrojach mistycznych. Nie wiem, czy z uciechy, czy ze zmartwienia Kasprowicz urżnął się co się zowie. A kiedy rano zbudzono go, jeszcze nie przyszedł był do siebie po nocnej libacji, a przede wszystkim nie wytrzeźwiał. Poszedł całować pantofel papieski, a potem chwalił się: — Ale papież nawąchał się alkoholu!

Przybyszewski, zabierając Kasprowiczowi żonę, nie wiedział o tym, że wyświadczył mu jak największe dobrodziejstwo. Kasprowicz miał

żony do syta: było to jarzmo zabijające jego twórczość, nie dostarczające mu najmniejszej podniety ideowej i zmuszające go do ciągłej pracy. Kasprowicz pracował jak wół: w dziennikarstwie, nad przekładami. Wkładał wiele mozołu, choć nie zawsze liczył się z oryginałem: kiedy tłumaczył Ajschylosa, był obłożony przekładami niemieckimi, francuskimi, angielskimi, niekiedy brakło Ajschylosa po grecku. Rozstanie się z dawną żoną umożliwiło mu pożycie z Maruszką i dało nową podnietę w twórczości. Z Maruszką, inaczej z Marią Bunin, poznał się w Sorrento. Córka generała, w chwili poznania z Kasprowiczem rozwódka, dużo świata widziała, a zdaje się umiała patrzeć i bodaj umiała żyć. Niezmiernie miła w obejściu i wykształcona pod względem artystycznym, a przede wszystkim wysubtelniona w odczuciu silnego artyzmu, umiała oddziaływać dodatnio na twórczość Kasprowicza. *Księga Ubogich* powstała pod jej bezpośrednim wpływem. Nim ostatecznie pobrali się, lat parę pozostawali w bliższych stosunkach. Kasprowicz po raz pierwszy w życiu zetknął się z kobietą wyższego polotu. Wielbił swoją Maruszkę, naturalnie, jak to Kasprowicz wielbił kobietę, którą posiadał. Jednak to uczucie nie przeszkadzało mu w Poroninie uganiać się za góralkami. Góral Gutt, litościwie kiwając łbem, mawiał o nim do różnych osób bawiących u Kasprowicza: — Ten pan Kasprowicz jest nadzwyczajny człowiek, ale taki wielki...

W Poroninie zachwycał się żoną, góralkami i swoją chałupą. Ta chałupa i każdy krzak dokoła niej były dumą Kasprowicza. Oprowadzał gości po domu, pokazywał im każdy kąt, odgrażał się, że to i owo przebuduje lub przekształci. Maruszka niebawem nauczyła się mówić po polsku, ale jej siostra i matka, które przeprowadziły się do Lwowa, bynajmniej nie były przychylnie usposobione względem kultury polskiej, zwłaszcza matka popisywała się niechęcią swoją względem Polski. W Poroninie Kasprowicz komunikował się i z Leninem, lecz zwłaszcza częstym gościem był u niego Wigilew. Wigilew dla Rosjan, Wigilewski dla Polaków, eser z przekonań swoich, pozyskał całkowite zaufanie kolonii polskiej, która go uważała za swojego. Wigilew skończył na tym, że został członkiem legacji sowieckiej w Warszawie.

III

JAK WYDANO „KAPITAŁ“?

Zdaje się, że zamiar przełożenia na język polski *Kapitału* Karola Marxa powstał około r. 1880, ale przyoblekł się w kształty dopiero w początkach r. 1882; inicjatywa wyszła od Stanisława Krusińskiego. W niewielkim jego mieszkanku, gdzieś w oficynie na trzecim piętrze, bywało bardzo gwarno. Zwykle raz w tygodniu przesuwała się znaczna gromadka osób, zarówno przyjezdnych jak i warszawiaków, a wśród uczty, na którą składała się sucha bułka i herbata, żywo rozprawiano o sprawach teoretycznych i wyłaniano śmiałe projekty, z których zaledwie mała cząstka doczekała się ziszczenia. „Zulusi“ ówcześni (tak nazywaliśmy rzeczników pracy organicznej, którzy w Petersburgu zorganizowali się w „Ujeżdżalnię“, w Warszawie zaś luzem chadzali zbawiając ojczyznę obtańcowywaniem na balach zwłaszcza posażnych panienek) nazywali te wieczorynki sabbatami, a mieszkanie St. Krusińskiego bodaj Łysą Górą. Myślano o obudzeniu w kraju rozległego ruchu umysłowego, marzono o stworzeniu wydawnictw, które by zaznajomiły społeczeństwo z nowymi hasłami społecznymi, a zwłaszcza o założeniu poważnego miesięcznika; czytano wiele i streszczano to, co przeczytane zostało. Naturalnie, zatrzymano się przede wszystkim na przetłumaczeniu na język polski *Kapitału*. W liczbie tłumaczów znalazł się Kazimierz Pławiński, świeżo wypuszczony z Cytadeli — postać pod każdym względem niepospolita. Zdaje się nawet, o ile mnie pamięć nie myli, iż Kazimierz od dawna powziął tę myśl, a może nawet już coś był przełożył. Mieczysław Brzeziński podjął się także pewnej części przekładu, jak i Ludwik Krzywicki. Gdy Pławiński z powodu choroby nie mógł uporać się ze swoim zadaniem, zastąpił go częściowo Józef Siemaszko. Marx, do którego zwrócono się listownie o pozwolenie, radził dokonać przekładu nie z oryginału niemieckiego, który zresztą dla wielu uczestników był niedostępny z powodu nieznajomości języka, tylko z tłuma-

czenia francuskiego, które sam autor przeglądał, zmieniając tekst zwłaszcza w pierwszej części, ażeby udostępnić swoje wywody.

Dzięki energii Krusińskiego rzecz posuwała się dość szybko i już w lipcu tego roku wspólnie z Krusińskim w ogródku na Snipiszkach w Wilnie, gdzie mieszkał ojczym jego dr Sperski, dokonywaliśmy ujednostajnienia przekładu. Ku zimie zaś przekład tomu pierwszego był już skończony i stanęła na porządku dziennym nowa sprawa: gdzie go wydać. O Warszawie nie podobna było marzyć: warunki cenzuralne były tak surowe, że można było oczekiwać nie tylko konfiskaty rękopisu, ale także i dalszych następstw. Kiedy w lat kilka złożono tam tłumaczenia Emila Laveleye'a *Własności pierwotnej,* rzeczy zgoła niewinnej, cenzor odgrażał się w pierwszej chwili, że nie puści tak podejrzanej książki!... Z konieczności musiało się myśleć o zagranicy: zatrzymano się zrazu na Krakowie, ale stosunki tam były naówczas nie lepsze niż w Warszawie. Ojcowie narodu nie szczędzili zachodów, aby zapobiec przedostaniu się jakiejkolwiek zarazy do grodu podwawelskiego: konfiskowano każdą rzecz nieprawomyślną, odbierano kawałek chleba krajowcom, a zakordonowców wyrzucano bez ogródek. Kiedy jeden z wyrzuconych w maju r. 1883 przypomniał w dyrekcji policji krakowskiej, że przecież w Galicji istnieje konstytucja, powiedziano mu, że jeśli się będzie powoływał na tę brzydką instytucję, to w ciągu doby nie będzie go w Krakowie. Czas uprawiał systematycznie imienne denuncjacje na swoich łamach. Trzeba było rozstać się z marzeniami o Krakowie... A tymczasem gromadzono pieniądze: zbierano przedpłatę, bodaj po rublu. W ten sposób zebrano około dwustu rubli. Nieco przyniosły odczyty: te pierwsze w Warszawie odczyty bez sankcji urzędowej, wygłaszane w oficynach, pod osłoną straży honorowej, ażeby niepotrzebni goście nie zamącili rozrywki, a zarazem nauki. Słuchaczów dostarczała młodzież, inteligencja ówczesna spoglądała z nietajoną niechęcią na to budzenie się nowej myśli, postępowcy ówcześni szydzili z apostołów, „co rzeszy nie zbiorą, a dostaną się do kozy", niektórzy wymawiali dom swój podejrzanym nowatorom, co cywilizację świata i przyszłość Polski pragną zaprzedać barbarzyństwu. Minie lat kilkanaście i wielu z tych panów będzie skakało dokoła nowych prądów, w nadziei, że zdołają przy ogniu nowych idei upiec swoją pieczeń...

Nastąpiła wiosna roku 1883, ta wiosna, która po raz pierwszy od r. 1863 ujrzała na Krakowskim Przedmieściu zastępy wojska idącego uśmierzać młodzież uniwersytecką (tzw. „schodka" apuchtinowska). Rozpoczęły się areszty, zesłania, relegacje. Ale Marx na tym skorzy-

stał: Krzywicki wyjechał do Lipska zająć się wydaniem pierwszego tomu. Wyjeżdżał z majątkiem paruset rubli, które winny były starczyć na całe wydawnictwo [5]. Pierwszy zeszyt był gotów już ku wiośnie r. 1884. Zabrakło pieniędzy na pokrycie należności drukarskiej, ale właściciel niewielkiej drukarenki w Weimarze okazał się bardzo przyzwoitym człowiekiem: były to czasy praw wyjątkowych i drukarz miał nieco strachu — występował jako wolnomyśliciel, ale cała moc faktów świadczyła, iż miał sympatię dla Marxa, a w każdym razie dla Lassalle'a. Czuć było, iż z pietyzmem krząta się on dokoła wydawnictwa, i wycieczki, które podejmować mi wypadało do Weimaru (niewielkiej, ale uroczej mieściny), pozostawiły bardzo miłe wspomnienia. W drukarzu znalazłem przyjaciela. Czekał cierpliwie na pieniądze: trzeba było zastawić parę rzeczy, wreszcie Dłuski nadesłał sto franków (tutaj pamięć mi nie dopisuje, plącze się bowiem także nazwisko Szymona Diksztajna). Inna sprawa wysunęła się natomiast: doręczenia egzemplarzy prenumeratorom w kraju. Postanowiono wysłać jeden egzemplarz dzieła do cenzury warszawskiej, choć wśród emigracji myśl ta spotkała się ze znacznym oporem. Nie wierzono w legalizację, a nawet odczuwano wstręt do takiego czynu — wstręt, z którym i w innych okazjach trzeba było walczyć.

Ale o tym kiedy indziej. Dość, że pierwsza setka egzemplarzy powędrowała w sposób nielegalny do Torunia, a wiózł ją jeden ze słuchaczy szkoły handlowej lipskiej, młody warszawiak, który bodaj na niwie pracy społecznej położył tylko tę jedną zasługę i chlubił się nią w ciągu lat wielu. Stamtąd Leon Chamski (bodaj pseudonim) przeszwarcował Marxa do Warszawy. Koszta były znaczne, a dobrze, że obyło się bez ofiar. Cała ta organizacja okazała się niepotrzebna, bo w parę tygodni później cenzura przepuściła pierwszy zeszyt. A tymczasem drukowano drugi — wydawca musiał opuścić Lipsk po dokonanej u niego rewizji, korektę zaczął L. Frenkel.

Na drugim zeszycie rzecz stanęła: zabrakło pieniędzy. Krusiński, który zajmował się zbieraniem funduszów, umarł w Kazaniu; w Warszawie zapanował lęk; ci, którzy byli na wolności, pochowali się kompletnie. I cała kolonia lipska rozproszyła się, prócz T. Kodisa. (Frenkel wyjechał do Warszawy, żeby po paru tygodniach znaleźć się w X pawilonie). Aż wreszcie Dublany, tj. młodzież tamtejsza, pospieszyła z pomocą pieniężną. W r. 1885 było to poniekąd jedyne miejsce, gdzie tętno życia nie zamarło: w chałupach włościańskich odbywały się wykłady, czytano dużo, dyskutowano. Brały udział jedynie żywioły zakordonowe, we Lwowie jako wyrzutek tułał się

Feliks Daszyński, Pawlik[6] klepał gorszą jeszcze biedę, a do Daniluka[7] wydającego Pracę trzeba było skradać się o zmroku, żeby oko niepotrzebne nie dojrzało gości. Dzięki zajęciu się Wincentego Janowicza tą sprawą zgromadzono wreszcie fundusik na wznowienie wydawnictwa; nieco pieniędzy zebrano w Warszawie i tutaj należy złożyć podziękowanie p. Tadeuszowi Kozerskiemu, który może od tych wspomnień potem chętnie odżegnałby się. Korektą zajął się słuchacz medycyny w Lipsku Trzepiński i wreszcie w r. 1886 ukazał się na wystawach w Warszawie zeszyt trzeci.

Na tym rzecz stanęła. Wprawdzie w r. 1890 przystąpiono do tłumaczenia tomu drugiego, ale rękopisy zamiast do drukarni trafiły do żandarmów. Myśl podjęto znowu w r. 1894—1895. Lecz na zawadzie znów stanęły okoliczności podobnego rodzaju. I drugi tom *Kapitału* nadaremnie oczekuje do dnia dzisiejszego na przekład...

PARYŻ (1885)

W parę dni po Nowym Roku 1885 przybyłem do Paryża. Przyjazd ten był od dawna umówiony: o tym rozmawiałem z Marią Jankowską, gdy w sierpniu przyjechała widzieć się ze mną do Berna, o tym dalej szły rozmowy podczas późniejszej mojej wycieczki do Genewy, gdzie oprócz niej spotkałem Mendelsona. A w końcu przyjazd Aleksandra Dębskiego do Paryża ostatecznie zdecydował o moim wyjeździe. Miałem objąć redakcję Przedświtu i współpracownictwo w Walce Klas, do której dałem artykuł podczas pobytu w Genewie.

Zamieszkałem z Dębskim w lokalu już przezeń zajętym na bulwarze *Montparnasse* o trzy — cztery domy od *Avenue de l'Observatoire* po lewej stronie, idąc w kierunku dworca Wschodniego. Był to dom niewielki, bez podwórza, zamiast którego był tam zapuszczony ogród z paru rozłożystymi, starymi drzewami. Podwórko to na wysokości paru pięter było zewsząd otoczone głuchymi ścianami innych domów, tak iż w tę dziką miejską oazę roślinności mogli zapuszczać wzrok jedynie nieliczni mieszkańcy domu, w którym mieszkaliśmy. Skorzystaliśmy z tej okazji, ćwicząc się w strzelaniu z rewolweru do gołych, nieotynkowanych ścian. Dom miał jeszcze inną dogodność, którą niezmiernie ceniliśmy. Przez czyściutki korytarz i dobrze utrzymane kamienne schody schodziło się z parteru o piętro niżej. Od ulicy piętro nie miało żadnego występu: było całkowicie pod jej poziomem. Natomiast od ogrodu otwierało się całą swoją wysokością, o ile nie było jeszcze niżej piwnic, które tę wysokość musiały powiększać. W każdym razie skok z okna był ryzykowny z powodu jego odległości od poziomu ogrodu. A zatem żadnego podsłuchiwania i śledzenia. Idealne mieszkanie dla ludzi zmuszonych nawet we Francji niezbyt jawnie popisywać się swoją działalnością. Tutaj mieściła się redakcja Przedświtu i Walki Klas, stąd rękopisy

szły do drukarni w Genewie i z niej przychodziły korekty. Tu drukowano na cienkiej bibułce egzemplarze Walki Klas, które, odpowiednio zabezpieczone, były wysyłane drogą legalną, pocztą, do Kraju i do Cesarstwa do osób zaufanych.

W Petersburgu jedną z osób zaufanych był późniejszy profesor i rektor uniwersytetu w Wilnie, Wiktor Staniewicz.

Mieszkanko składało się z małego przedpokoju, kwadratowego, dużego pokoju, prawdopodobnie około 24 m² powierzchni, o dużym oknie wychodzącym, jak już mówiliśmy, na ogród, a z tego pokoju prowadziły drzwi do mniejszego, kształtów podłużnych, także o jednym oknie, przytykającego jedną stroną do przedpokoju, lecz nie połączonego z przedpokojem drzwiami. Tu była nasza sypialnia z Dębskim. Z przeciwległej strony do salonu wychodziły drzwi do ciemnej ubikacji służącej do przechowywania węgla, a także różnej bibuły. W pobliżu, na *Avenue de l'Observatoire,* niedaleko wejścia do ogrodu Luksemburskiego, na pierwszym piętrze, mieszkała Jankowska. Zajmowała elegancki lokal, złożony z jakichś sześciu, a może i więcej pokoi, w tej liczbie paru bardzo obszernych. Jeszcze dalej, bo w pobliżu Panteonu, bodaj na ulicy *Claude Bernard,* miał swoje locum Mendelson w niewielkim, dwupiętrowym domu. Dom był tak samo elegancki jak Jankowskiej. Mendelson zajmował na pierwszym piętrze bodaj pół, a może całe piętro: duży pokój, mniejsza sypialnia i pokój stołowy, i wreszcie kuchnia i obok umywalnia.

Oto całe jądro czynnego zastępu tak samo jedynej czynnej organizacji konspiracyjnej. Ale socjalistów-emigrantów było w Paryżu więcej, tylko że przez Mendelsona w ten lub inny sposób odsuniętych od możliwości działania. A co ciekawsza, ja byłem tym, który unicestwił wszelkie z ich strony próby, sprawcą nieświadomym, a właściwie narzędziem zręcznie użytym przez Mendelsona. Na kilka miesięcy przed moim przyjazdem Kazimierz Sosnowski usadowił się ostatecznie w Paryżu, usiłował zespolić wszystkich emigrantów, którzy nie chcą pozostawać biernymi świadkami toczącej się walki, syci wawrzynów, które pozyskali w okresie swego entuzjazmu społecznego. Pod względem teoretycznym Kazimierz niewątpliwie przewyższał Mendelsona. Ale nie miał tej podniety działania, jaką posiadał Mendelson w swojej ambicji, ani taktyki postępowania pozwalającej na wodzenie innych bez ceremonii za nos, ani wreszcie środków pieniężnych. Spodziewał się zjednoczyć wszystkich około wydawnictwa broszur i książek socjalistycznych. Przynajmniej tę rzecz wysunął na pierwszy plan, poniekąd zachęcony inicjatywą warszawiaków,

którzy na własną rękę zaczęli drukować Marxa w Weimarze z celem późniejszej legalizacji tej książki w Warszawie. Naturalnie, i Mendelsona poproszono na wstępne narady. I oto nic o tych zamiarach nie wiedząc otrzymuję od Menia list, czybym nie zajął się zredagowaniem odezwy, zapowiadającej w imieniu redakcji Walki Klas wydawnictwo książek socjalistycznych. (Bodaj sam o tym mówiłem uprzednio z Jankowską). Piszę więc program „Biblioteki dzieł treści społeczno-ekonomicznej", który ukazał się w 5 numerze Walki Klas, a ponieważ numery opóźniały się, więc data numeru z moją odezwą była o wiele wcześniejsza od prób podjętych przez Sosnowskiego. Co więcej, przystąpiłem do tłumaczeń. Siedząc w Zurychu i mając dostęp do wywiezionej z Niemiec biblioteki społeczno-demokratycznej przy zarządzie emigracyjnej partii niemieckiej, przetłumaczyłem Engelsa *Początki cywilizacji, Wojnę chłopską,* a także *Kwestię mieszkaniową,* Marxa drobną broszurę *O pracy najemnej i kapitale, Nędzę filozofii* i *Wstęp krytyczny*. Rękopisy pozostały w redakcji Walki Klas, gdy opuściłem Paryż, a co się z nimi stało, nie wiem, bo rzeczy te wyszły później w przekładzie Leona Winiarskiego. Możliwe, iż leżały gdzieś w kącie zapomniane i Winiarski na nowo je tłumaczył, ale możliwe, że korzystał z moich przekładów, tym bardziej że nie wszystkie rzeczy, których przekładu dokonałem, ukazały się w „Bibliotece". Mniejsza zresztą o to. W związku z próbami organizacji socjalistów za granicą jest to, iż Sosnowskiemu wydarto z rąk zadanie, które miało ludzi jednoczyć, ile że przy tym Mendelson rozporządzał pieniędzmi i rozpoczął zapowiedziane publikacje od mojego przekładu Engelsa. Niestety, o tym wszystkim dowiedziałem się za późno, gdy zaszedłem w Paryżu do Sosnowskiego. Dla Sosnowskiego było to uderzenie, które ostatecznie skłoniło go do poświęcenia się całkowicie zagadnieniom technicznym: — „Nie zdołałem zrobić rewolucji społecznej, ale zrobiłem rewolucję w technice" — jak mi powiedział Kazimierz po wielu latach niewidzenia się w r. 1928 na bankiecie w Paryżu z powodu oddawania hołdu Hieronimce [8]; o tym później. Sosnowski gnieździł się w małym pokoiku gdzieś na trzecim lub czwartym piętrze w sławnym domu na Glasjerce. Ale całkowicie zrezygnował z jakiejkolwiek działalności społecznej. Zrezygnował z niej także Kazimierz Dłuski. Położenie jego pod względem materialnym było dobre — jego mieszkanie było jedynym na emigracji, które wyróżniało się pewnym komfortem i dostatkiem. Był sekretarzem Levasseura, znanego statystyka, członka Akademii. Ponieważ Levasseur na zebra-

niach ekonomii winien był składać referaty o dorobku naukowym w swojej dziedzinie, przeto obowiązkiem Dłuskiego było czytać odpowiednie nowe przyczynki i pisać o nich sprawozdania, a właściwie wydawać o nich sąd. Na Levasseurze zaś ciążył inny obowiązek — głośnego odczytywania na zebraniach Akademii elaboratów Dłuskiego. Dłuski więc ciągnął jeszcze swoje studia społeczno-ekonomiczne, choć już zapowiadał, iż po uporaniu się z odpowiednim stopniem na prawie przejdzie na medycynę, gdyż jedynie ten zawód zabezpiecza go pod względem materialnym na emigracji. Mendelson utrzymywał z nim jeszcze stosunki oparte na paroletniej wspólnej działalności, ale w naszym kółku odzywał się z przekąsem o Dłuskim, niemal jak o renegacie. Również z rzadka widywaliśmy się z Biesiadowskim. Biesiadowski, a właściwie Józek Uziębło, miał za sobą dużą przeszłość. Rozpoczął swoją działalność w kółku moskiewskim, wysunął się w Warszawie jako jeden ze zdolniejszych agitatorów, a w procesie pierwszych socjalistów figurował wciąż w śledztwie jako Amerykanin. Żandarmerii nie udało się nigdy odsłonić, kto się ukrywa pod tym pseudonimem. W Paryżu mieszkał z żoną w mieszkanku, gdzie każdy szczegół mówił o ubóstwie, a przynajmniej o liczeniu się z groszem. Kulawy, starszy od nas wszystkich, na razie wyglądał na człowieka apatycznego, który postawił krzyżyk nad swoją przeszłością i bodaj nad przyszłością. A jednak takie wrażenie było fałszywe. W latach rewolucji wrócił do Warszawy, odrodzony, poszukiwał jakiegoś zarobku, ale wir wypadków porwał go całkowicie. Skończył jak bohater — w jego mieszkaniu była drukarenka i skład druków rewolucyjnych. Pewnej nocy wkroczyła żandarmeria i naturalnie zaaresztowała tego, kogo tam znalazła, a więc młodą, dwudziestokilkoletnią kobietę, uwijającą się przy pracy w tym dużym składzie. Biesiadowski nie był w mieszkaniu, ale na wiadomość o uwięzieniu kobiety udał się natychmiast do żandarmerii jako ten człowiek, który jedynie jest odpowiedzialny za skład bibuły i który zatrudniał za pieniądze młodą osobę nie orientującą się ani w treści druków, ani w charakterze konspiracyjnym składu. Był jeszcze Aleksander Janowicz, bodaj Podolak, który uciekając przed uwięzieniem ledwo nie wpadł w ręce żandarmerii w Warszawie i tylko ucieczką poprzez parkany zdołał się ocalić. Miły, serdeczny człowiek, w Paryżu oddał się całkowicie medycynie, nie wyrzekając się swoich przekonań, ale nie znajdując dla nich żadnego wyrazu czynnego. Przebywał Edward Przewóski, który w ciągu swojej nielegalnej wędrówki z Warszawy do Lwowa oraz przymusowej ze Lwowa

bodaj przez Genewę, do Paryża, coraz bardziej pozbywał się pokostu socjalistycznego. Uczynny, z rozległym wykształceniem, urządził się stosunkowo lepiej niż inni, żyjąc z pióra. Pisał do różnych pism od sasa do lasa, tłumacząc, iż jak urzędnik pisze referaty nie oceniając ich ze strony moralnej, tak samo on pisze referaty do kantorów zarobkowych, zwanych redakcjami. Artykuły same nie kompromitowały go swoimi wywodami, ale nie były to artykuły socjalisty. Zdolny dziennikarz, a właściwie coś więcej niż dziennikarz, trwonił swoje uzdolnienia w drobnych artykułach i korespondencjach, z których pisania się utrzymywał.

Był jeszcze Antoni Złotnicki. Z zawodu medyk, a z temperamentu niedołęga, nieco tchórzem podszyty. Jeden z pierwszych czmychnął z Warszawy w r. 1878. Utrzymywał się także z pióra i w r. 1905 powrócił do kraju. Osiadł w mająteczku na Kujawach, a wpadając do Warszawy spędzał niekiedy wieczory u mnie. Aż pewnej pory roku zniknął na długo. Myślałem, że umarł, ale ku zdziwieniu swemu spotkałem go na jakiejś stacji kolejowej. Pytam, dlaczego tak długo nie był u mnie. Otrzymałem odpowiedź: — Naczelnik powiatu zagadnął mnie razu jednego, dlaczego w Warszawie bywam u Krzywickiego; „znajomość ta pana mocno kompromituje. Tułał się pan tak długo poza krajem, iż niech pan się ma na ostrożności".

Wymieniłem tych spośród emigrantów, z którymi w Paryżu łączyły mnie bliższe lub dalsze stosunki i znajomości i o których dyskrecji byłem przekonany, albowiem z Dębskim jednakowo nie byliśmy tylko sobą. Dębski był Stefanem Ulrychem (Etienne Ulrych) apuchtińczykiem, który nielegalnie przebywał w kraju, a papiery swoje oddał Dębskiemu. Na wszelki wypadek Ulrych miał *alibi* za granicą, żandarmeria zaś rosyjska potrzebowała pewnego czasu, żeby pod Ulrychem wykryć Dębskiego. Co do mnie, nie wiedziałem, jak ułożą się w Warszawie moje sprawy — piastowałem wciąż zamiar powrotu, z chwilą gdy sytuacja się wyjaśni, i dlatego nie chciałem występować w Paryżu pod nazwiskiem własnym. Byłem tam J. F. Wolskim. I otóż z tego powodu unikałem zetknięcia z paru *minorum gentium* apuchtińczykami, którzy przykładali się po większej części do medycyny w Paryżu. Dopiero w ostatnich czasach pobytu zetknąłem się z paru poważniejszymi. Ale przede wszystkim usiłowałem uniknąć zetknięcia się z Wiesławą, która teraz w Paryżu, wyzwolona od trosk powstrzymujących jej naturalne skłonności, dawała folgę swemu językowi. Gdyby mnie zoczyła, wróble na dachach Paryża świegotałyby o moim pobycie, z różnymi aluzjami,

uzupełnieniami i domysłami. Wiesława to nieślubna żona Ludwika Waryńskiego a siostra Wacława Sieroszewskiego. Ludwik był dosyć kochliwy. Spodobała mu się Wiesława, podówczas właściwie zwyczajna gąska, ale z wrodzonymi dużymi zdolnościami, jak wszyscy Sieroszewscy. Z Ludwikiem odbywała peregrynacje po świecie i z nim przyjechała na żywot nielegalny do Warszawy. A właściwie z nim i z dzieckiem, przyszłym Tadeuszem Waryńskim. Trzymano ją z dala od robót konspiracyjnych. Z Ludwikiem bywała u Bohuszewiczów i w paru innych domach. Z chwilą gdy zawiązały się bliższe stosunki pomiędzy Waryńskim a Jentysówną, obawiano się, iż pewnego wieczoru Wiesława wydrapie oczy swojej współzawodniczce. Po aresztach znalazła się w Paryżu. Tu została sekretarką Karola Letourneau i współdziałała w powstawaniu licznych, ale płytkich prac tego socjologa. Rozczytywała się we wskazanych książkach i wypisywała potrzebne ustępy. Letourneau tych książek sam nie czytywał, Wiesława robiła to za niego. Czy to współdziałanie było pożyteczne dla nauki, o tym powątpiewam. Ale obie strony odnosiły korzyści — Wiesława miała utrzymanie, a Letourneau urastał w powagę naukową. Później zbliżyła się czy bodaj zawarła związek małżeński z Franciszkiem Rojeckim, ze wszystkimi formalnościami wymaganymi przez prawo francuskie i rozpoczęła w asyście męża starania o wytoczenie procesu uwięzionemu Waryńskiemu o uwiedzenie. Zresztą, z wielkiej chmury bywa mały deszcz — tak samo z krzyków jej i pogróżek był taki rezultat, iż odebrała wychowanie dziecka Stanisławowi Waryńskiemu, który opiekował się nim z całym przejęciem. Zresztą pożycie z Rojeckim trwało zaledwie lat kilka. Skończywszy medycynę, jak wielu innych apuchtińczyków, pozostał na praktyce we Francji — osiadł w okręgu wiejskim, odwiedzając konno swoich pacjentów. Pewnego razu zląkłszy się czegoś koń poniósł, Rojecki spadł nieszczęśliwie głową na kamień i na miejscu zakończył życie. Ostatnie wiadomości, które miałem o Wiesławie, głosiły, że zamknięto ją w szpitalu dla obłąkanych jako wariatkę. I znowu jej mania była w duchu Sieroszewskich: wyobrażała sobie, że jest królową Polski, i wymagała oddawania sobie odpowiednich honorów...

Stosunki Mendelsona i Jankowskiej z większością wymienionych osób były bardzo napięte — to oddziałało i na moje stosunki; zanadto blisko byłem związany z nieliczną grupą Walki Klas i Przedświtu, ażeby różne moje znajomości nie doznały pewnego oziębienia. Żyliśmy w niewielkim gronie — Mendelson, Dębski, Su-

terland, pasierb Ogarowa, a ongi guwerner młodych Jankowskich, i ja. Suterland był łysym zupełnie medykiem na ukończeniu. Prócz jakiegoś miesiąca czasu, kiedy konsjerżka nasza z *Montparnasse* przyrządzała Mendelsonowi, Dębskiemu i mnie obiady, spędzaliśmy wieczory przeważnie u Mendelsona na pogawędkach i dysputach, niekiedy zaś na *Montparnasse*. Mendelson całą pełnią żył życiem politycznym francuskim, przede wszystkim zaś posiedzeniami parlamentu francuskiego. Nas mniej obchodziły te rzeczy. I to odbijało się na artykułach Mendelsona w Walce Klas. Nieokiełzany jak zawsze, puszczał wodze swoim zazwyczaj chwilowym animozjom. Między innymi, będąc jesienią 1884 r. w Zurychu posprzeczał się z tamtejszymi przedstawicielami niemieckiej organizacji socjal-demokratycznej. Poszło bodaj o Mosta[9], który dla socjal-demokracji, legalnej w swoich postępkach, choć właściwie była wtedy w Niemczech nielegalna, przedstawiał jakieś obłąkane straszydło. Po powrocie Mendelson napisał namiętny artykuł przeciwko socjal-demokracji i jej taktyce w Walce Klas. Socjal-demokracja postanowiła napiętnować Mendelsona jako anarchistę. Rozpoczęły się starania załagodzenia całej sprawy. Rokowania te przypadły mojej narzeczonej, która wtedy studiowała medycynę w Zurychu. Przez przyjaciółki swoje, z jednej strony siostrę Edwarda Bernsteina[10], z drugiej Schluterową, żonę jednego z bardziej wpływowych członków zarządu organizacji socjal-demokratycznej, a także przez Karola Kautsky'ego udało się jej udobruchać gniew socjal-demokratów.

Niekiedy zbieraliśmy się, choć z rzadka, u Jankowskiej. Jej salony nie usposabiały do niewymuszonej, przyjacielskiej pogawędki o tych lub innych rzeczach. Nawet Mendelson sztywniał — on, który był źródłem niewyczerpanych anegdot o każdym z socjalistów polskich, o każdym z emigrantów rosyjskich i o każdym z czołowych przywódców socjalizmu międzynarodowego. Wyciągał różne ich grzechy i grzeszki. Jedynie komunardzi śmiercią swoją, więzieniem i zesłaniem wykupywali się od takiego grzebania się Mendelsona w ich życiu. Opowiadania były przeplatane różnymi projektami, a niekiedy opowiadaniem o felietonie pisma, w którym drukowano „*La terre*" Zoli. Mendelson zachwycał się Zolą. Zresztą czytywał wiele, przeważnie biografii historycznych, rozpraw charakteru ogólniejszego i powieści. Czytanie to nie grzeszyło dokładnością: w przeciągu godziny przerzucił całą książkę. A jednak pomimo tej pobieżności umiał uchwycić jej istotę, a przede wszystkim wydostać stamtąd nowe tematy o tych lub innych osobach. W życiu swoim zale-

dwie znalazłem paru takich smakoszów i takich erudytów w zakresie anegdot charakteru osobistego: Mendelson, Stanisław Posner, Antoni Sujkowski, Tadeusz Dowgird — oto wszyscy, cała ta gromadka, zresztą ludzi bardzo odmiennej umysłowości i wyrobienia społecznego.

Ale wracamy do salonów Jankowskiej. Zaznaczyłem panującą tam sztywność nie dlatego, ażeby Jankowska działała swoim zachowaniem, gdyż zawsze była bardzo miła i prosta, ale jakoś raziły akcesoria pokoju. I rzecz dziwna, umeblowanie Mendelsona nie było gorsze, posadzki lśniły, ale te akcesoria nie stwarzały sztywności. Mimo woli czuło się niezbyt wysokie sufity i poza pokojem do gawęd małe pokoiki, przede wszystkim zaś gospodarzem był mężczyzna. U Jankowskiej przygniatał ogrom mieszkania, pokojówki, a przede wszystkim poczucie, że gospodynią jest kobieta, poza którą jest gdzieś w bliskości jej stary ojciec, jakby dzisiaj powiedziano — żubr, i do tego carski lojalista; istnieje bratanica czy siostrzenica, dzięki której musieliśmy być na akcie uroczyście muzykalnym jakiejś szkoły, w której ta zabłąkana pomiędzy otoczenie radykalne pobierała lekcje muzyki. Bywali niekiedy Francuzi: Jacquelard spośród komunardów, bodaj blanquista, ten lub inny spośród olbrzymiego klanu Reclusów [11], uważających za swój obowiązek przekonaniami swymi iść torem najsławniejszego z braci, Elizeusza, znanego geografa, i udawać anarchistów. Olbrzymi i wysoki salon, garstka osób ginąca w jego ogromie, pełne dobrego tonu zachowanie się Francuzów: ponieważ zaś rzecz działa się podczas zimy, było pomimo ognia palącego się na kominku chłodnawo. A przede wszystkim w tych wypadkach ludzie, zebrani z różnych stron świata i nie zawsze zdolni do prowadzenia rozmowy w języku francuskim, niewiele mieli sobie do powiedzenia. Dopiero w niewielkim gabineciku Jankowskiej, gdy byliśmy sami, atmosfera stawała się serdeczniejsza.

Dla uzupełnienia obrazu stosunków w obrębie emigracji polskiej należy słów parę powiedzieć o sławnej Glasjerce, a właściwie olbrzymim, kilkupiętrowym domu, mającym, zdaje się, dwa podwórza przy *rue de la Glacière*. Dom składał się z jednopokojowych, a w najlepszym razie paropokojowych mieszkań. Mieszkał tu Sosnowski, bodaj Złotnicki i Janowicz, paru apuchtińczyków studiujących w Paryżu, nieco studentek Polek i moc wszelka innego ludu, wszystko o zabarwieniu czerwonym — Polaków, Rosjan, a może jeszcze innych narodowości. Polacy nadawali ton. Tu bowiem miał swój przybytek pan Koch, który wydawał obiady w swoim niewielkim mie-

szkaniu. Obiady tanie, zdaje się, za 1.20 fr; można było jako tako najeść się i popić jeszcze kawą. Tu przesuwali się Przewóski i Złotnicki, Wiesława i inni. Właśnie Wiesława sprawiała, że rzadko tutaj zaglądałem. Koch był uprzejmym gospodarzem, udzielał nawet parotygodniowego kredytu tym, którzy dłuższym płatnym stołowaniem dawali rękojmię, iż nie zarwą go. Kuchnia była mieszana — polsko-francuska. Spoza dymu papierosowego niemal nie widać było dalej siedzących. Deserem obiadów była pogawędka, żywa, niekiedy tryskająca dowcipem, często polegająca na podawaniu sobie różnych plotek o Kraju, naturalnie w duchu miłym dla serca. Nawet okoliczni *gamins* ciążyli do Glasjerki, witali polskim „dzień dobry“ lub „moje uszanowanie“, prosili o papierosy po polsku, a mniejsi o *bonbons* — jedni z humorem, inni natrętnie.

Z konieczności pozostawaliśmy w ścisłych stosunkach z emigracją rosyjską, a właściwie z emigrantami spośród „Narodnej Woli“. Nie należałem do Proletariatu, ale łączyły mnie z nim bliskie stosunki. W Paryżu z natury rzeczy byłem jak gdyby jego członkiem: sprawa terroru ekonomicznego, która była przedmiotem moich sporów z Waryńskim, w Paryżu nie istniała, a w zakresie wydawnictw i redakcji Przedświtu, która spoczywała w moim ręku, nie było między nami różnic. Niekiedy wypływała sprawa terroru, podnoszona przez Mendelsona, i w tych oderwanych rozprawach Dębski, ku mojemu zdziwieniu, solidaryzował się ze mną. Tak samo naturalnym tokiem wypadków, jako jedyny przedstawiciel myśli teoretycznej znalazłem się w komitecie wspólnym „Proletariatu“ i „Narodnej Woli“, tym bardziej iż Rosjanie, jak wszędzie tak i tutaj, lubili oświetlać każdą rzecz ze stanowiska „principiów“. Posiedzenia odbywały się co tydzień, nie pamiętam jakiego dnia, u Połonskiej (Oszanina) [12], współuczestniczki zamachu na pociąg carski pod Moskwą. Zajmowała niewielkie, ale miłe mieszkanko, niedaleko od nas, na przedłużeniu naszego bulwaru, zdaje się, na drugim piętrze. Mieszkała z drugą emigrantką, Czerniewską, która uważała „Narodną Wolę“ za najwyższy wykwit uczuć społecznych, bodaj wszystkich Francuzów traktowała *en canaille* i nawet w sklepie coś kupując obracała się tyłem do subiektów, bo nie chciała darzyć swoim spojrzeniem marnych burżujów. Później wyszła za mąż za emigranta-zecera w Genewie. Ze strony rosyjskiej na posiedzeniach była obecna Połonskaja, Ławrow [13] i Tichomirow, z polskiej nas czworo, zresztą Jankowska często bywała nieobecna. Posiedzenia odbywały się stale, ale były raczej zebraniami towarzyskimi, gdyż ówczesna chwila nie

dostarczała treści do czegoś innego. Niekiedy wywiązywały się rozmowy teoretyczne. Plechanow[14] wydał wtedy tylko co *„Naszi raznogłasja“*, atakujące założenia teoretyczne „Narodnej Woli“. Był to pierwszy zwiastun mającej się ukazać dopiero za lat kilka socjaldemokracji rosyjskiej i zarazem pierwszy obrachunek, a właściwie zamach na urok rewolucyjny „Narodnej Woli“. Wystąpienie Plechanowa wywołało wśród narodnowolców uczucia różnego rodzaju: rozgoryczenia, oburzenia. Mendelson, nigdy nie pomijający okazji dokuczenia komuś, uważając jako „praktyk“ Plechanowa za dziecinnego doktrynera, nie pominął okazji, z chwilą gdy spostrzegł, iż Połonską to irytuje. Pamiętam, gdy potoczyła się rozmowa z powodu Plechanowa, Połonskaja kruszyła w palcach biszkopty angielskie i niebawem przed nią ukazał się stożek okruchów zmielonych niemal na mąkę, a wysoki na kilka centymetrów. Kiedy powstała taka sypanka, Mendelson swoim pełnym serdeczności i ubolewania tonem rzekł: „Oto co byłoby z Plechanowem, gdyby był tu obecny“. Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem, a najbardziej śmiała się Połonskaja, szczerze, bez źdźbła sztuczności. Stary Ławrow przy tych rozmowach zachowywał się z olimpijskim spokojem — tyle przeżył w życiu swoim różnych teorii, iż jeszcze jedna go nie wzruszała, a bodaj w pewnej mierze przyznawał słuszność wywodom Plechanowa. Przynajmniej takie wrażenie wyniosłem z rozmowy z nim w jego mieszkaniu. Tichomirow sapał, ale nic nie mówił. Trudno było wyrozumieć, co się w głębi jego sapania ukrywało. Może Plechanow swoją książką przyczynił się do wydobycia z jego jaźni zapomnianych założeń, tych, które po paru latach jego, redaktora „Narodnej Woli“ i teoretyka terroru przeciw carowi, doprowadziły do skruchy przed grobem Aleksandra II i do publicznego wyrzeczenia się wszystkich swoich „błędów“. W gruncie rzeczy nasze zebrania miały charakter bardzo miłej i towarzyskiej pogawędki, a właściwa robota „Proletariatu“ i „Narodnej Woli“, wymagająca często porozumienia się, odbywała się poza gronem powyżej wymienionym. Obie strony poznały już uprzednio wspólne możliwości teoretyczne i praktyczne. Właściwie prócz jednego punktu dogadano się we wszystkich sprawach. Tą jedyną sprawą była kwestia Wilna, które Rosjanie uważali za rosyjskie nie tylko w chwili obecnej, ale tak daleko w przyszłość, jak sięgały rozmowy, a więc w razie odzyskania przez Polaków samodzielności. Sprawy praktyczne właściwie załatwiał na swoją rękę Dębski z jednej strony, Rusanow[15] czy Tarasow — dzisiaj nie pamiętam, co jest jego nazwiskiem, a co pseudo-

nimem — z drugiej. Może o wspólnych krokach udzielali jakichś informacji Połonskiej i prawdopodobnie Mendelsonowi, jednej — żeby mieć jej sankcję, drugiemu, ażeby mieć środki pieniężne. Jednak mam wrażenie, że takich spraw było niewiele, a jeżeli były, to z natury takie, iż nakazane było, żeby wiedziały o tym tylko osoby biorące czynny udział. Rusanow pomimo młodego wieku był dość wziętym publicystą w rosyjskiej prasie legalnej sympatyzującej z rewolucjonistami. Sam zaś utrzymywał się pracując w firmie księgarskiej Hachette. Jak już zaznaczyłem, w rękach Dębskiego ześrodkowała się cała praca natury technicznej, zresztą jedyna, którą warunki mu wtedy pozostawiły. Polegała na wysyłaniu do kraju świeżo wydrukowanych numerów. Odbijano je na mocnym, ale niezmiernie cienkim papierze. Kupowano zwykle u antykwariuszy wielkie foliały in quarto, obficie uposażone w rysunki lub drzeworyty. Introligator sporządzał elegancką oprawę, lecz nie nalepiał pierwszej i ostatniej stronicy na wewnętrzną stronę okładki. W okładkę pomiędzy jej arkuszami można było wsunąć jeden, drugi numer świeżo wydany. Dopiero wtedy przyklejano odpowiednie stronice. Zwykle tylko okładka służyła do takich manewrów. Któraś z księgarenek (nie wiem, czy Rusanow nie maczał w tym ręki) wysyłała w opasce poleconej książkę pod któryś z umówionych adresów, zwykle w Petersburgu lub Moskwie, a dana osoba doręczała rzecz, niekiedy sama nie wiedząc, co w niej się znajduje, któremuś z partyjników. Między odbiorcami znajdował się w Petersburgu student Wiktor Staniewicz. Żandarmeria domyślała się czegoś lub nawet coś wiedziała, bo po otrzymaniu takiej przesyłki przez Staniewicza wkroczyła do jego mieszkania. Uwięziono go, a ponieważ nie znaleziono książki, żądano, żeby wskazał, komu ją oddał. Staniewicz kategorycznie odmówił, groziło mu zesłanie do guberni północnych. Ojciec jego, niegdyś jedna z ofiar Nowosilcowa, zajmował jako dyrektor Kolei Libawskiej wpływowe stanowisko, później zaś był sekretarzem jednego z senatorów, przy tym dzięki stosunkom z Zubowami mógł poruszyć różne osobistości. Wiktora nie zesłano, ojcu zaś powinszowano, że ma dzielnego syna.

Z kolonii rosyjskiej spotykałem wielu. Dzisiaj nazwisk ich nie pamiętam. Ale jedynie z Ławrowem i Tichomirowem spotykałem się częściej.

Ławrow mieszkał przy *rue Saint Jacques* w niewielkiej kamienicy. Mieszkanko jego było niewielkie, przynajmniej o ile wolno sądzić z dwóch pokojów, w których byłem. Bodaj dziesięć osób w jed-

nym to byłby tłum, który by szczelnie zapełnił cały pokój, uszczuplony bibliotekami ciągnącymi się. przy ścianach od podłogi do sufitu. Były, zdaje się, dni przyjęć Ławrowa. Ściągała młodzież, podejmowana w sposób spartański herbatą i suchymi bułkami. Zwykle odbywało się to w godzinach 6—7 wieczorem. Ilekroć o tej porze znalazłem się u Ławrowa, zawsze jedna lub dwie młode Rosjanki krzątały się około nalewania herbaty i podawania jej Ławrowowi i gościom. Pierwszą z tych czynności, tj. przyniesienia szklanki Ławrowowi, spełniały zawsze z wielkim namaszczeniem, niby jakiś sakrament. Ławrow był erudytą w całym znaczeniu tego słowa. I bodaj ta erudycja starła w nim zdolność silniejszego reagowania na jakiekolwiek nowe poglądy. Olbrzymiego wzrostu, choć chwalił się, iż nie sięga Bakuninowi do pół głowy, zawsze z kapeluszem o dużym rondzie, z tą nieodłączną cząstką ubioru studentów-nihilistów, był człowiekiem nad wyraz uprzejmym i usłużnym. Pod moim adresem tylko jedno miał w tym względzie zastrzeżenie: nie mogłem uzyskać wejścia do *Bibliothèque Nationale,* gdyż żądano poparcia ze strony ambasady rosyjskiej lub poważanych obywateli Paryża. Starałem się o to ja ze swej strony, Mendelson, Jankowska ze swej, lecz bez skutku. Wynagradzałem sobie tę niedostępność biblioteki uczęszczaniem do biblioteki przy ogrodzie Zoologicznym, gdzie kierownikiem był towarzysz Denikier. Charakter tego zbioru, zawierającego obfite materiały z zakresu archeologii i etnografii, wdrożył mnie w późniejsze moje zainteresowania tymi naukami. Zdaje się, że Mendelson wpadł na myśl, czyby ktoś z posiadających kartę wstępu do *Bibliothèque Nationale* mi jej nie użyczał. Bąknął o tym Ławrowowi. Ławrow odpowiedział, iż prócz innych niemiłych następstw obu uczestnikom zamknięto by dostęp do biblioteki. I z tego powodu raz po raz powtarzał przy częstowaniu herbatą: służę herbatą z całego serca, ale karty wejścia do biblioteki nie pożyczę.

Z Tichomirowem byłem na stopie prostszej: nie dzieliły nas dziesiątki lat wieku. Spotykaliśmy się często w parku *Montparnasse,* w którym czasami nie widziało się nikogo prócz siebie. Tichomirow bywał tam często, a ja także lubiłem spędzać tam godziny poobiednie. Nasze gawędy były pozbawione wszelkiego zabarwienia społecznego. Ot, obracały się w kółku codziennych spraw, kłopotów, zagadnień, ale wyrywały się Tichomirowowi narzekania, jakieś zwroty mowy, które mnie przejmowały zdziwieniem. Jakoś nie pasowały do człowieka będącego głównym publicystą nielegalnym w partii rewolucyjnej, której członkowie wiedzieli, że aż nazbyt często czeka ich szubienica.

Te wszystkie powiedzenia wydobywały na jaw wielką tęsknotę Tichomirowa do Rosji. Był to w całej pełni, do szpiku kości Rosjanin, zabłąkany w antypatycznym dla siebie środowisku. Tęsknił... Całą istotą swoją tęsknił do miejsc, do ludzi, gdzie „Rusią pachnie". Niedorzeczności życia rosyjskiego traciły swoje zabarwienie niedorzeczne i dlatego że były rosyjskie, i że z nimi łączyły się różne wspomnienia dzieciństwa, różne dreszcze młodości — ulegały w Paryżu wyidealizowaniu. Przypomina mi się socjal-demokrata Szalapin, który, mając śpiewać w jednym z teatrów petersburskich, ukląkł na środku sceny i gdy ujrzał cesarza w loży, wyciągnął ku niemu jak dziecko dłonie szczerze, żywiołowo. W głębi jaźni powstały odgłosy dreszczu wiernopoddańczego; jak rzeka podczas powodzi targa mosty, tak one na chwilę wniwecz obróciły nadbudowy późniejsze założeń socjal-demokratycznych. Szalapin potem gorzko żałował swego kroku, ale nie mógł się oprzeć wybuchowi emocyj, które tliły się w głębi jego jaźni. Mam wrażenie, że coś podobnego, tylko powoli, a więc z większymi widokami na ostateczne zwycięstwo, odezwało się w jaźni Tichomirowa. Mimo woli zacząłem zestawiać go z jednym z bohaterów Dostojewskiego (w powieści *Biesy),* z Szatowem, który przebył całą drogę od nihilizmu z powrotem do dawnej, dziecinnej wiary. Pisałem o tym do mojej narzeczonej, która całkowicie będąc pod urokiem „Narodnej Woli", związana z nią nazwiskami działaczy powieszonych w Irkucku, odpowiedziała mi niemal z oburzeniem. Jednak moje przewidywania miały się sprawdzić. Jako wielki grzesznik Tichomirow wykazał wielką skruchę. Pozwolono mu wrócić do Rosji. Trzeba było żyć podówczas, ażeby zrozumieć, jaki to był cios dla rewolucjonizmu rosyjskiego, jaka wygrana wielka dla caratu. Ale trzeba oddać to, co się należy, Tichomirowi. Miał on bronić w przyszłości piórem swoim urządzeń „matuszki Rosji", ale nie wydał ani jednej osoby, a więc nikogo nie skompromitował. Wypadło mi spotkać się z nim oko w oko w Petersburgu już w kilka lat po jego powrocie, przynajmniej mam takie wrażenie. Ostro na siebie popatrzyliśmy i... przeszliśmy obok siebie. Zaznaczam, że Tichomirow mojego rzeczywistego nazwiska nie znał. Byłem dla niego Wolskim. Spotykałem się później w Rosji jeszcze z innymi narodowolcami, którzy mnie (podobnie jak ja ich) znali pod przybranym nazwiskiem. Między innymi takie było moje spotkanie z etnografem Jochelsonem, który świeżo powrócił z zesłania. W pierwszej chwili przedstawiliśmy się sobie swoimi nazwiskami, jak czynią zazwyczaj ludzie nieznajomi. Ale podczas rozmowy zaczęliśmy się sobie przyglądać i wybuchnę-

liśmy obaj śmiechem — rozstaliśmy się z maskami, w których w dotychczasowych stosunkach paradowaliśmy.

Warto wspomnieć jeszcze o jednym narodowcu — serdecznym, uczynnym „Dzierżymordzie". Pod takim przezwiskiem słynął Norow, *vulgo* Niejołow. Dzisiaj nie pamiętam, która z tych nazw była jego nazwiskiem, a która pseudonimem. Dwudziestoparoletni, z budowy swojej bodaj suchotnik, znalazł się za granicą wypuszczony za poręczeniem swego ojca, generała, z więzienia, gdzie siedział za sprawy polityczne. Ojciec miał mu wszędzie towarzyszyć, czyli spełniać wciąż tzw. dozór. W końcu pozwolono synowi wyjechać za granicę samemu, dla ratowania zdrowia. Był to wtedy jeden z prostych szeregowców, taki, jakim był Ignacy Hryniewiecki, którzy w potrzebie biorą na siebie najcięższe zobowiązania. Niejołow, naturalnie, wszedł w bliskie stosunki z wydziałem technicznym partii rosyjskiej i już po moim usadowieniu się we Lwowie podjął się zbadania możliwości dla transportu nowej książki „Wiestnika Narodnej Woli". Przynajmniej tego dorozumiewam się z paru słów, które rzucił w rozmowie — zasadą moją było nigdy nie dopytywać się o tego rodzaju zadania, które kogoś czekały. We Lwowie bawił u nas dzień lub dwa. Wyjeżdżając obiecał żonie mojej, która była bardzo o niego niespokojna, iż natychmiast wyśle wiadomość, gdy przejedzie szczęśliwie granicę. Był całkowicie pewny siebie. Żartował, że jedynie „baćko" będzie miał z nim kłopoty i będzie musiał mu w rodzaju niańki towarzyszyć w jego ekspedycjach. I tu wymknął się inny szczegół jego podróży — jakieś rozjazdy po Rosji. Odprowadziliśmy go na dworzec i odtąd ani go nie widzieliśmy, ani o nim nie słyszeli. W ciągu paru lat dopytywałem się, zasięgałem języka przez Rosjan w miejscowości, gdzie przebywał ojciec — nadaremnie. Jak tonący kamień po chwili nie pozostawia żadnych śladów na powierzchni, tak gdzieś zatonął Niejołow, i to zatonął natychmiast na granicy. Tam w Paryżu działy się rzeczy niesamowite — wyjeżdża taki Łopatin i ma tak samo jak Niejołow odwiedzić różne miejscowości w Rosji, żeby powiązać rozstrzelone aresztowaniami szczątki „Narodnej Woli". Już od granicy towarzyszy mu oko żandarmerii. Śledzą go w każdej miejscowości, a potem zabiorą do więzienia. Bodaj to samo powtórzyło się z Niejołowem, tylko że już nie zadano sobie pracy śledzenia, lecz na granicy uwięziono.

Śledzenie zaś w Paryżu odbywało się nie tylko za pomocą różnych konfidentów, którzy tkwili wśród otoczenia eserów. Niekiedy szpiclowano w sposób bezczelny, tak jak to robiono w Rosji. Razu jednego,

gdy wychodziliśmy z Dębskim od Połonskiej, a więc bardzo późnym wieczorem, podbiegł ku nam specjalista od wywiadu, a ponieważ mieliśmy kapelusze nasunięte mocno na czoło, nachylił się, ażeby przyjrzeć się dobrze naszym twarzom. Czy prześledził nas do mieszkania naszego, nie zdołaliśmy się zorientować. Bulwary paryskie i o tej godzinie liczą sporo przechodniów, wieczorem zaś trudno było odróżnić naszego wywiadowcę od innych osób, tym bardziej że jeżeli widział nasze twarze, to my nie zdołaliśmy dojrzeć jego rysów.

W ogóle jednak czułem się źle w Paryżu. Zabijała mnie niemożność wytknięcia sobie jakiejkolwiek przyszłości. To, co oglądałem dokoła siebie wśród emigracji polskiej, nie usposabiało mnie życzliwie do pójścia ich drogą. Było to życie apatyczne, bez żywszych podniet i często w niedostatku, którego nie okupywało jakieś żywsze tętno czynu czy myśli społecznej. U jednych apatia przechodziła w kompletną bezwolę (Złotnicki), u innych w drobne troski o utrzymanie się, i to utrzymanie poniżej poziomu miernego, i brak znowu jakiejś podniety, z którą zżył się człowiek w ciągu lat działalności w kraju (Biesiadowski — Uziębło). Przewóski wiązał dzień z dniem, czasami łudził się, iż rewolucja wywalczy swobody polityczne w Rosji, a więc i w Polsce, zresztą robił wrażenie ptaka przeskakującego z gałązki na gałązkę, bez myśli o czymkolwiek innym prócz napisania dzisiaj lub jutro nowego artykułu do któregoś z wielu pism, do których pisywał. Mam wrażenie, iż Jankowska czuła dużą pustkę duchową, którą przeganiał jej stosunek uczuciowy do Mendelsona, ale przeganiał na chwilę. Mendelson upajał się życiem politycznym francuskim, w które wsiąkał coraz bardziej. W ogóle bardziej niż my wszyscy godził się z obcym otoczeniem. Dębski sypiał do godziny nie wiem której, gdyż wychodziłem rano do *Jardin des Plantes,* i urozmaicał wczasy swoje porozumiewaniem się z technikami rosyjskimi, ale czuć było, że trawi go bezczynność — już w miesiącach letnich zerwał się, żeby wyruszyć do Kraju i tam organizować resztki „Proletariatu". Jedynie Sosnowski oddał się całkowicie swoim wynalazkom i umiał zżyć się z Francją. A w kolonii rosyjskiej było jeszcze gorzej. Zdaje się, że nędza była większa. Przypominam sobie pogrzeb żony jednego z takich wychodźców. Przypominam sobie pogrzeb na *Montmartre,* a stamtąd za trumną na jakiś podrzędny cmentarz. Było nas około dziesięciu — piętnastu. Znaleźliśmy się na cmentarzu wobec wykopanego dołu, długiego na kilkanaście metrów, wciąż powiększanego na końcu swoim, a szerokiego na długość trumny, a właściwie skrzyni. Trumnę tę opuszczono

obok innej trumny, nieco zasypanej; mam wrażenie, że nad nią leżała jeszcze inna. Podczas naszej bytności na miejscu pochowania przybyła jedna i druga trumna. Nad zasypanym dołem żadnych znaków, które by wskazywały, gdzie kto leży. Człowiek bliski po śmierci jak gdyby tonął bez śladu w gromadzie mnóstwa podobnych, bezimiennych trumien. W parę dni wypadło nam być u emigranta, który chował żonę. Malutki, ubożuchny pokoik, gdzie zamiast krzesełek były pudła. Ciężkie były losy we dwójkę przy skromnym zarobku, ale nie lżejszy był ciężar samotności w pojedynkę. Wielu rozpijało się... I właśnie poczucie, że ludzi oderwanych od ziemi, ludzi o dużej wartości jak gdyby zasypuje jakaś apatyczna szarzyzna, że giną pożerani apatią, samotnością, niekiedy rozpijają się i nie mniej często przyzwyczajają się do wyłudzania w rozmaity sposób pieniędzy od innych — wszystko to obmierzło mi bardzo. Wprawdzie dzięki tej pustce, siedząc w bibliotece wyspecjalizowanej, żywiołowo pokumałem się z tymi działami wiedzy, którym odtąd nie sprzeniewierzyłem się — dociekaniom nad dziejami ludzkości w okresach wcześniejszych. To był mój najważniejszy dorobek paryski. Naturalnie, zaznajamianie się z Paryżem dawało mi chwile satysfakcji. Niekiedy takie zdarzenie jak pogrzeb Wiktora Hugo urozmaica monotonię życia codziennego. Pogrzeb zaś komunarda Vallèsa był wielkim świętem uczuciowym. Ale to wszystko nie mogło zagłuszyć poczucia, iż jestem oderwany od żywego tętna życia społecznego. Zrozumiałem, iż lepiej odwiedzić Syberię, niż w obawie przed nią gnić na emigracji. Postanowiłem wrócić do kraju.

LWÓW (1885)

Do Lwowa w r. 1885 trafiłem nieoczekiwanie. Wyjechałem z Zurychu z zamiarem powrotu do Kongresówki. Przyjechałem do Krakowa wczesnym rankiem, żeby wyjechać stamtąd nocnym pociągiem. Zaszedłem do cukierni na herbatę i wziąłem do ręki gazety warszawskie, których od kilku miesięcy nie widziałem. Między innymi i Nową Reformę krakowską, a w niej przykra nowina: w Warszawie odbyły się liczne rewizje i areszty, a w liczbie aresztowanych był Leonard Frenkel i kilku znajomych z czasów 1883 r. Do Frenkla pisałem przed kilku tygodniami, wprawdzie jeszcze do Lipska, ale znając jego naturę nie wątpiłem, że list mój znalazł się w Warszawie i mógł być wzięty podczas rewizji. Dopiero w lat blisko czterdzieści później dowiedziałem się, iż jednym z punktów oskarżenia przeciwko Frenklowi była znajomość ze mną, u którego miano znaleźć różne kompromitujące rzeczy podczas rewizji w Lipsku. Postanowienie moje niejechania do Warszawy było rozsądne.

Udałem się do Lwowa. Udałem się między innymi, żeby szukać jakiegoś zarobku, co było dla mnie koniecznością wobec zamierzonego małżeństwa. Znajomych prawie nie miałem: Przewóski został wysłany z granic państwa austriackiego, gdzie zaś znajdował się Feliks Daszyński, na razie nie miałem pojęcia. Osaczony ze wszech stron przez policję austriacką, liczyłem na Kurier Lwowski, kupiony przez B. Wysłoucha. Nadzieje zupełnie zwodnicze, gdyż za całe dziesięć miesięcy zdołałem tam zarobić akurat dziesięć guldenów, czyli na miesiąc jednego guldena. Ostatecznie pisanie do Przeglądu Tygodniowego w Warszawie okazało się głównym źródłem mojego utrzymania.

Przybywszy do Lwowa odszukałem Wysłoucha, który wraz z żoną był całkowicie pochłonięty projektami wydawania miesięcznika Przegląd Społeczny i sprawą Kuriera Lwowskiego,

w przyszłości zamiarami stworzenia taniego a masowego wydawnictwa książek popularnych dla ludu.

Wysłouchowie odegrali dużą rolę w obudzeniu poczucia narodowego i politycznego ludu wiejskiego w Małopolsce. Warto zatrzymać się nieco nad tą parą małżeńską działaczy ludowych. Bolesław Wysłouch, ukończony technolog z Petersburga, był mi znany od dawna ze słyszenia, i to nie tyle ze swojej działalności, ile z pewnego zjadliwego powiedzenia. Wielokrotnie odzywał się w kółku młodzieży radykalnej polskiej w Petersburgu, iż radykaliści rosyjscy marzą o rzeczypospolitej — „respublice", lecz lud rosyjski pojmie to jako „rjeż publiku" (rżnij publikę) i w tym kierunku zwróci swoje czyny. Był aresztowany w r. 1880 na zebraniu kółka robotniczego w Warszawie. Karę odsiadywał w Modlinie. Widzenia z nim dostawała panna Bouffałówna, właśnie późniejsza jego żona. Wysłouch był ludowcem mocno w stylu rosyjskich narodników i w stosunku do ruchu socjalistycznego, takiego, jakim był „Proletariat", usposobiony niechętnie. Raziło go hasło międzynarodowości, zasady walki klasowej — był to dla niego ruch czerstwy, zimny, powiedziałby, bez serca, a przede wszystkim niedemokratyczny. Demokracja polega na tym, ażeby bronić najliczniejszych warstw ludowych. Są nimi w Polsce włościanie, robotnicy są przecież drobnym odsetkiem ludności. Wysłouch, wychowany bądź co bądź na wzorach „narodniczestwa" rosyjskiego, nie pojmował dynamiki społecznej, a więc prężności dziejowej proletariatu. Socjalizm dla niego był płodem tego samego prądu, którego innym wyrazicielem był liberalizm. Te poglądy Wysłoucha doczekać się miały niebawem systematycznego sformułowania na łamach P r z e g l ą d u S p o ł e c z n e g o w artykułach Zygmunta Balickiego. Wysłouch był szczerym demokratą i w ogóle szczerym człowiekiem, oddanym swojej idei. Obok niego stała żona jego, ślepo zapatrzona w męża. On był urodzonym fanatykiem, ona po kobiecemu fanatyczką — fanatyczką dlatego, iż mąż był taki. Lecz również pełna animuszu i skora do wyjścia poza ciasne ramki domu, ażeby znaleźć ujście dla swojej energii w działalności wśród ludu wiejskiego. A z fanatyzmem u obojga łączyło się nieco machiawelizmu, którym miała wyróżnić się przyszła narodowa demokracja. W początkowej fazie jej istnienia Wysłouch całkowicie z nią się solidaryzował, lecz odszedł z chwilą, gdy w tym machiawelizmie wszechklasowym zatracała coraz bardziej swój demokratyzm. Prawdopodobnie to pójście do rozwodu odbywało się zwolna, a możliwe, że do ostatniej chwili istniały jakieś wątłe pajęczynki, które nie uległy zerwaniu. W r. 1906 doktoryzowałem się we Lwowie i za-

szedłem do Wysłoucha do redakcji Kuriera Lwowskiego. Rozstaliśmy się kiedyś przed laty jako nieprzejednani przeciwnicy i zerwaliśmy wszelkie ze sobą stosunki. Zaszedłem właśnie z powodu rozejścia się Wysłoucha z narodową demokracją. Byłem przyjęty nadspodziewanie serdecznie. I przyczyną, która kazała Wysłouchowi zapomnieć o wszelkich dawnych urazach, była moja rozprawa o Kurpiach, a właściwie o wydobyciu z powodu Kurpiów ich stosunku do panów starostów, o ich organizacji bartniczej, a przede wszystkim o ich merkach, czyli, jak się wyraził Wysłouch, herbach.

Wybiegłem nieco w przyszłość, cofam się więc ku przeszłości.

Zaznaczyłem machiawelizm Wysłouchów. Przyjmowali każdego z otwartymi ramionami, gotowi do wszelkich usług i starań. Pod tym względem różnili się dodatnio od obłudników, którzy gotowi przymilać się, lecz palcem nie ruszą, żeby pomóc. Usiłowali swoją życzliwością zobowiązać gościa, przyciągnąć go do jakiegoś czynu realnego, który by nie przeczył jego zapatrywaniom, licząc, że zwolna wessą go całkowicie z kośćmi i bebechami i zrobią go towarzyszem swego znaku pancernego. Zaproponowali mi współpracownictwo w Przeglądzie Społecznym, chociaż wiedzieli, iż w całej, że tak powiem, filozofii ruchu społecznego hołduję zgoła odmiennym poglądom. Również wystąpili z życzeniem, żebym do Przeglądu ściągnął Krusińskiego. Kaptowali mnie czapką i papką. W ich domu znalazłem wskazówki, gdzie szukać mieszkania i stołować się, a właściwie spotkałem u nich Jana Dłuskiego, który mi to wszystko ułatwił. Spotkałem tu także Filemonowicza, Feliksa Daszyńskiego, a przede wszystkim Wincentego Janowicza — ludzi, z którymi miał mnie związać w przyszłości bliższy stosunek. Henryka Biegeleisena i Adolfa Inglendera, a także Alfreda Nossiga, których tu również poznałem, wymieniam tylko mimochodem, ażeby wskazać zasięg znajomości Wysłouchowych — ani ze mną, ani z Wysłouchami nie weszli oni w bliższe stosunki. Natomiast tamci tworzyli moje najbliższe grono: Wincenty Janowicz urządził koło wykładowe w Dublanach, Daszyński spowadził do nas swego brata, zwanego Żegotą, późniejszego Ignacego, oraz zaznajomił mnie nie tyle z Iwanem Franko, którego znałem z dawnych czasów, ile z Pawlikiem. Filemonowicz, który skończył melancholią i samobójstwem i któremu poświęciłem przyczynek z powodu jego śmierci, przedrukowany potem w mojej *Otchłani,* zbliżył mnie z kołami politechników, spośród których Baraniecki ściągnął swoją rodzinę, rezydującą w Warszawie, do ruchu społecznego. Kółka te i przeszły ich zatarg z Wysłouchem,

w jeszcze większej mierze z jego szwagrem Aleksandrem Zawadzkim, uchwycił Nossig w swoim utworze *Jan Prorok* — rzeczy będącej raczej karykaturą niż obrazem rzeczywistości, przynajmniej rzeczywistości co do wprowadzonych osób.

Wszędzie działałem w duchu poglądów socjalistycznych. Naturalnie, to nie mogło się spodobać Wysłouchom: liczyli na Feliksa Daszyńskiego, który już z tego powodu był im bliski, iż uprowadził z lwowskiego więzienia Sidorowicza, a właściwie Zygmunta Balickiego. Nie podobały im się także ani Dublany, ani usadowienie się moje wśród młodzieży politechnicznej. Serdeczność spadała z miesiąca na miesiąc w swojej temperaturze, początkowo zastępowana grzecznością, a później lekkimi wybuchami. Wybuchy te spotęgował spór z powodu artykułu Krusińskiego. Wysłouch, ustępliwy w rozmowie, w drukowanych w Przeglądzie Społecznym artykułach czepiał się każdego wyrazu. Ołówek jego czy pióro redaktorskie chadzało bez ceremonii po cudzych myślach i trzebiło z nich nie tylko herezje, ale coś odmiennego od prawowiernego kościoła ludowcowego, jak go kształtował Wysłouch. A właściwie robiła to jego małżonka, gdyż Wysłouch niedomagał na oczy, ale robiła z tym większą bezwzględnością, kierowana nie tyle logiką, ile uczuciem. Aż tych sporów z powodu artykułów, tych uniesień „gwalbertowych" — Daszyński odzywał się o Wysłouchu nie inaczej jak „święty Gwalbert" — tych etykietalnych grzeczności i spojrzeń mniej grzecznych nazbierało się za wiele. Stosunki jakoś same się zerwały bez żadnych słów energicznych, bez jakiegokolwiek zajścia. Wysłouch zrozumiał, że nie przekabaci mnie na swoją wiarę, ja zaś, gdy chodziło o założenia działalności społecznej, pojąłem, iż jest to atmosfera niewątpliwie uczciwa, która może dużo zrobić dla ludu wiejskiego, ale zupełnie mi obca. Może by nie doszło do tak całkowitego przeciwstawienia się, gdyby nie obecność Aleksandra Zawadzkiego, który przybył tutaj jakoś w jesieni wprost z Genewy i bawił — nie wiem, czy jako człowiek legalny, czy nielegalny. Możliwe, iż Wysłouchowie, ludzie bardzo pod tym względem praktyczni i mający podówczas już duże stosunki, umieli ulegalizować jego położenie. O tej zręczności i stosunkach świadczy pozyskanie przez Wysłoucha obywatelstwa austriackiego — była to wtedy w Galicji rzecz niełatwa, zwłaszcza dla człowieka, który, jak Wysłouch, odsiadywał więzienie za udział swój w ruchu społecznym. Co więcej, otrzymał obywatelstwo w stosunkowo niedługim czasie: coś kupił, coś założył i to było podstawą dla dalszych jego starań. Niewątpliwie pomagała mu w zyskiwaniu ludzi zarówno

cała jego postawa jak i obejście. Olbrzymia broda, twarz poczciwego hreczkosieja gdzieś z kresów, głos słodkawo-energiczny, umiejętność odwołania się do wyrazów brzmiących mile dla ucha polskiego, a będących nie czczym frazesem, lecz wypowiadanych z głęboką wiarą i szczerym uczuciem. Słowem, wykapany święty Gwalbert, przy którym Daszyński lubił bawić się w fortele Ślaza, co irytowało Wysłoucha, ale swoją drogą nadawało większą wartość możliwemu dostaniu się Daszyńskiego do grona osób ogniskujących się koło Przeglądu Społecznego. Ostatecznie nastąpiło zerwanie wzajemnych stosunków pomiędzy mną a Wysłouchem, a w dalszej konsekwencji i z Janem Dłuskim. Z drugiej strony oziębieniu uległy stosunki Wysłoucha z Daszyńskim, z Filemonowiczem i kołem politechników, z dublańczykami.

Warto rozejrzeć się w tych moich znajomościach. Ze starych znajomych istniał Ludwik Inlender, najbardziej wyrobiony i najinteligentniejszy spośród socjałów lwowskich, ale który, żonaty i dzietny, przy tym utrzymujący się z własnej pracy, zdaje się jako bankowiec, wziął rozbrat z burzliwą swoją młodością, stał się widzem, może sympatyzującym, ale całkowicie biernym. Z innych świeżych moich znajomych jeden Henryk Biegeleisen nie imponował ani talentem pisarskim, ani mocą charakteru. Pracowity, cierpliwy nawet na impertynencje, usłużny i pokorny — gdy chodziło o zarobki, zresztą bardzo skromne, z pióra literackiego, z trudnością wystarczające na utrzymanie rodziny, pociągał jedynie swoją poczciwością i gotowością do okazywania różnych usług. Był wtedy pod pręgierzem opinii galicyjskiej i krytyki warszawskiej. We Lwowie miał zajście z hrabią Borkowskim, który w prywatnej rozmowie w cztery oczy zmusił go do jakichś wynurzeń czy przeprosin z powodu jego artykułów, a wtedy wyszli ukryci z kotarą świadkowie. W Warszawie zaś Sygietyński, krytyk zdolny, ale jeszcze ostrzejsze i wprost złośliwe pióro, używał na całego, korzystając z pracy Henryka Biegeleisena o *Panu Tadeuszu*. Dowodził, że Biegeleisen wziął mało znaną pracę w niemieckim języku o *Hermanie i Dorotei* Goethego, korzystał z niej jako ze wzoru tak dalece, iż w niektórych miejscach zamiast Hermana stawiał Tadeusza, a zamiast Dorotei — Zosię. Ile było w tym prawdy, ile złośliwego kawału, nie wiem. Ale że Sygietyński mógł nie minąć się z prawdą, temu przypuszczeniu sprzyja cała moja znajomość Biegeleisena — erudyty, zbieracza faktów, ale nie umysłu poszukującego nowych dróg. I Biegeleisen miał swoje własne niektóre fortele — kiedym narzekał na małe zarobki z pióra, doradzał

mi, żebym postarał się pisać gdzieś w wydawnictwach Lewentala i zrobił to, co on zrobił: oto napisał list do owego pana wydawcy, przedstawił swoje ciężkie położenie, prosił o obfitszy zarobek itd., itd. Słowem, brak mu było kośćca. Później wygrzebał się nieco, otrzymawszy miejsce nauczyciela w szkolnictwie lwowskim, ale bojąc się skompromitowania pisywał w Prawdzie jako Prościcki — sądzę, że moje nazwisko troszkę przyczyniło się do owego pseudonimu. Swoją drogą, oddał mi nieocenione przysługi udzielając wiadomości o różnych osobach, o stosunkach. Przez niego wszedłem w stosunki z Alfredem Nossigem, ale prócz wizyty i rewizyty nie posunęliśmy się nawzajem dalej — była to umysłowość zupełnie obca mojej umysłowości. I nastawienie emocjonalno-społeczne było odmienne. Poznałem tam także młodego Diamanda, w którym jeszcze nie wyczułem przyszłego socjalisty. Najciekawszą spośród tych różnych znajomości był Władysław Kozłowski, bodaj emigrant z r. 1863, zajmujący się bardzo poważnie historią filozofii. Z powodu wolnomyślności swojej — pisywał do Prawdy, która uchodziła wówczas w Galicji za organ heretycki — nie mógł otrzymać habilitacji. Nie zrzędził z tego powodu ani nikomu nie wymyślał — uważał to za rzecz zgoła naturalną, że dla wolnomyślicieli takich jak on nie ma miejsca w zachowawczym uniwersytecie. Tylko nieco z lekka dokuczał Ochorowiczowi, iż zmarnował okazję dostania się do uniwersytetu. Ochorowicz nie miał zwyczaju przygotowywać się do wykładów, jak gdyby samo natchnienie wystarczało. Przed wykładem wpadał do Kozłowskiego, tu z biblioteki jego brał potrzebną książkę i, stojąc, w ciągu kilku minut przygotowywał się do swego wykładu. Z konieczności wykłady jego były powierzchowne. Odczuła to młodzież, w ogóle wrażliwa na takie grzechy wykładających, a koła profesorskie poszukiwały argumentów przeciwko Ochorowiczowi jako niepoważnemu kandydatowi do docentury, a następnie do profesury.

Ale były to znajomości luźne. Najbliższymi osobami, z którymi najczęściej przestawałem, byli Daszyńscy. A właściwie należałoby powiedzieć — Daszyński Feliks. Ignacy był wtedy jeszcze dodatkiem do Feliksa, zresztą bardzo miłym. Obaj żyli w nędzy, a herbata z chlebem, od święta z bułką, tworzyła główną składową część obiadu. Ukazanie się wędliny, sera — to były dnie już świąteczne. Wprawdzie istnieli jacyś bracia i siostry, ale także bardzo niezamożni, więc niezdolni do udzielenia jakichkolwiek zasiłków. Któryś z nich był

drobnym urzędnikiem i bodaj obawiał się utrzymywać stosunki ze starszym bratem, żeby nie skompromitować się. Zwłaszcza Feliks od lat nie dojadał. Gdy go poznałem, miał początki gruźlicy, która po latach kilku powaliła go zupełnie. Obaj nie skończyli gimnazjum. Feliks został wydalony z powodu artystycznego pomalowania pomnika Franciszka Józefa łajnem bydlęcym. Kręcił się koło uniwersytetu, ale czy był wolnym słuchaczem, czy może zdał egzamin jako ekstern, o tym nic powiedzieć nie umiem. Z jakich powodów Ignacy siedział we Lwowie bez matury szkolnej, dzisiaj nie pamiętam. Przygotowywał się jako ekstern do egzaminów, które bodaj zdał w latach późniejszych, bo jako student kierował w r. 1889 protestem przeciwko ówczesnemu rektorowi prof. Korczyńskiemu i rzuceniem jego popiersia o bruk. Miał jeszcze w sobie dużo dziecinnego. Przywiozłem z Paryża czapkę w postaci biretu, noszoną w południowych częściach Francji. Otrzymałem ją kiedyś w upominku od Jankowskiej, gdy wróciła z wycieczki na południe. Nie nosiłem jej wcale. Zobaczył ją gdzieś powieszoną Ignacy i z lubością w nią się wpatrywał. Żona moja, spostrzegłszy te jego sympatie do czapki, zaproponowała, żeby ją sobie wziął. Odtąd jedynie w niej paradował po Lwowie: wysoki, przystojny, z twarzą inteligentną, w nieznanym ubiorze głowy, ściągał na siebie uwagę. Uważaliśmy go za dużego, bardzo inteligentnego dzieciaka. I rysy niektóre dziecinne długo w nim pozostały. Kiedy w r. 1907 czy 1908 bawiłem z żoną w Zakopanem, a przebywał tam także Daszyński, któregoś dnia przychodzi zapraszając specjalnie moją żonę na jakiś swój referat przed młodzieżą. „Zobaczycie — odezwał się do niej — jak pięknie umiem mówić". Zresztą o Ignacym będę jeszcze mówił. A teraz wrócę do Feliksa — był to urodzony artysta. Artysta pióra, pełen intuicji. Pisywał do Przeglądu Tygodniowego i to stanowiło o możliwości jego istnienia. W Galicji był źle widziany, a właściwie we Lwowie, gdzie stale przebywał. Przed paru laty ułatwiał ucieczkę Zygmuntowi Balickiemu z więzienia, które ten odsiadywał, zagrożony, że po odsiedzeniu będzie wydany Rosji. Postanowiono ułatwić mu ucieczkę. Rola najbardziej odpowiedzialna przypadła Feliksowi. Miał czekać w pobliżu więzienia w oznaczonym miejscu z dwoma wierzchowcami — jednym dla Balickiego, drugim dla siebie. Balicki, dobry gimnastyk, skorzystał (bodaj z nieprzypadkowej) nieuwagi dozorcy, wdrapał się na mur, przeskoczył przezeń, dosiadł konia i ruszył z dużą szybkością. Za nim podążył Daszyński. Niestety, umiał pisywać ładne rzeczy, ale nie umiał jeździć konno. Niebawem koń go zrzucił.

Zresztą, wszystko skończyło się dobrze. Balicki przedostał się na Węgry, które nie miały zwyczaju wydawać Rosji przestępców politycznych, a stamtąd ruszył dalej w świat. Feliks marzył o przykładaniu się do nauk w Zurychu i wyjechał do Szwajcarii w lat parę po moim powrocie do Warszawy. Podczas pobytu we Lwowie marzył o swojej Zosi, nauczycielce w wiosce małopolskiej, osóbce cichej, serdecznej i uczuciowej. Z myślą o niej wyjeżdżał za granicę, ale na swoje nieszczęście zetknął się tam z inną, nie chcę powiedzieć — Zosią, lecz panią Zofią, a właściwie z panną Zofią Poznańską. Była narzeczoną Puchewicza. Można by mniemać, iż ten zaraził ją swoją suchością, ale w żadnym razie nie zaraził jej swoim polotem myśli i poczuciem sprawy społecznej. Wielki kapitał narzeczonego został rozdrobniony na groszaki w umyśle panny Zofii. Może pod jego wpływem zwróciła się ku zagadnieniom ekonomicznym i w chwili opuszczania przeze mnie Warszawy w r. 1883 słyszałem, iż zamierza, naturalnie w drodze nielegalnej, w jakimś z salonów warszawskich wygłosić odczyt o zupie rumfordzkiej jako o środku rozwiązania kwestii społecznej. Nie wiem, czy to był żart tylko, czy opowieść prawdziwa, gdyż można było się spodziewać po pannie Poznańskiej nawet takiego podejścia. Wyjechała na uniwersytet do Zurychu i znowu słyszałem tam, iż żartowano, jakoby pisała jakąś rozprawę natury statystycznej, poświęconą przeliczeniu kamieni w brukach Zurychu. Żarty te były nielitościwe, zanadto lekceważące zdolności panny Zofii, ale dobrze oddawały, że tak powiem, suchość jej umysłu. Panna Poznańska o suchym umyśle, ale o gorącym temperamencie, poznała Daszyńskiego, który był hojnie uposażony, że tak powiem, w soczystość myśli swojej, śmiałość polotu. Skończyło się na małżeństwie. Żona doglądała męża, u którego suchoty rozwijały się coraz ostrzej. Patrzyła weń, jak się patrzy na istotę jakąś wyższą, ale nie pojmowała, iż w tych polotach jest dla męża treść życia. Niemal chuchała nań, ale przerabiała go na swoją modłę. Na uczonego, który by mógł zająć katedrę, a więc w ówczesnych warunkach rozstać się z tą soczystością swojej natury, z tą siłą swoich protestów. Imał się więc rzeczy, które go zbytnio nie pociągały; rosła w nim jedynie ambicja, rozżarzana przez żonę, a później przez Mendelsona, który ludzi w różny sposób niewolił. Między innymi wygrywaniem ich ambicji. Kiedy w r. 1889 spotkaliśmy się w Paryżu, okazało się, że z naszego stosunku serdecznego nic nie pozostało. Był to człowiek, który zazdrościł mi imienia, jakie już wtedy posiadałem, niezależności sądu, jaką wykazywałem w stosunku do Mendelsona...

Przez te lata marnowania się w Zurychu, tej gorączki suchotniczej, która pożerała go i rozpalała do jakiegoś czynu, ale jednocześnie odbierała zdolność doń, napisał tylko jedną rzecz — *Szopkę na Boże Narodzenie,* wymierzoną przeciwko Limanowskiemu, a zwłaszcza przeciw Zygmuntowi Balickiemu. Pod względem artystycznym pamflet to wspaniały, ale gdy chodzi o stronę społeczną, o to, że zmiażdżył przeciwników — rzecz okazała się chybiona, a co gorsza — dochodziło właśnie do porozumienia pomiędzy przedstawicielami „Proletariatu" za granicą a kierunkiem tzw. patriotyzmu, i pamflet ów zniweczył te próby. Daszyński doznał zawodu, a może jeszcze większego zawodu doznał Aleksander Dębski, który spodziewał się doniosłych następstw po tym pamflecie...

Za pośrednictwem Daszyńskiego zbliżyłem się z Ukraińcami, a właściwie z socjalistami-Ukraińcami. Był to Iwan Franko i Michajło Pawlik. Stosunek pomiędzy Polakami i Ukraińcami był wtedy na ogół dość przyjazny, daleki od tego zaostrzenia, jakiego nabrał w kilkanaście lat później. Zresztą, gdy chodzi o socjalistów, te stosunki przyjacielskie nigdy nie ulegały zerwaniu. Iwan Franko w owych czasach bodaj więcej drukował po polsku niż w języku ukraińskim i bywał na konferencjach, gdzie roztrząsano sprawy polskie. Syn Ukrainki i podobno starozakonnego, od dzieciństwa wżywał się w nędzę proletariatu ukraińskiego. Dla niego socjalizm był hasłem o znaczeniu konkretnym. Zwrot nastąpił po nieszczęsnym artykule o *Konradzie Wallenrodzie.* Franko poddał rozbiorowi hasło, iż wszystkie środki są dobre, gdy prowadzą do celu, na przykładzie *Konrada Wallenroda.* Opinia polska, dzięki warunkom politycznym niezmiernie przeczulona, żachnęła się na te wywody ogłaszając Iwana Frankę wrogiem polszczyzny. Franko może popełnił nietakt, a może nie umiał wyczuć pewnych stron wrażliwości polskiej, ale niewątpliwie nie był wrogiem narodu polskiego. Ale odtrącony jako istota zapowietrzona, z głęboką urazą usunął się, a wzrastająca naganka endeków na Ukraińców ostatecznie zniechęciła go, a nawet uniemożliwiła jakiekolwiek stosunki z Polakami. Kiedy w r. 1905 będąc we Lwowie odwiedziłem go, był zdziwiony moją wizytą. Powoli jednak rozkrochmalił się, rozmowa potoczyła się żywsza, obdarzył mnie paru wydawnictwami etnograficznymi Towarzystwa im. Szewczenki, ale ani zatrzymywał, ani nie zaprosił do rozmowy dawnej mojej znajomej, a swojej małżonki. Pawlik był typem całkowicie odmiennym. Franko był to umysł rozległy, z żywymi a różnorodnymi zainteresowaniami, Pawlik zaś skostniały fanatyk, chciałem powiedzieć: idei socjali-

stycznej, ale lepiej rzeknę: paru skostniałych formułek. Wyróżniał się ciasnotą swoich myśli, ale jednocześnie wielką ich mocą. Należał do tych wyznawców idei, którzy bywają gotowi do wszelkich poświęceń i nigdy w imię oportunizmu życiowego nie zaprą się ani jednego wyrazu ze swego wyznania wiary. Powiadam: ani jednego wyrazu, bo Pawlik miał gotowy wzór programowy, który wciąż ten sam, sztywny i niezmienny, wtykał do rozmowy, niekiedy bez żadnego związku z jej treścią, włączał do najmniejszej rzeczy przez siebie pisanej. Feliks Daszyński, który miał pociąg do chwytania ludzkich śmiesznostek, gdy mowa była o Pawliku, wstawał, robił twarz natchnioną a gotową na wszelkie męczeństwa i recytował ten zwrot: socjalizm w ustroju społecznym, pozytywizm w filozofii, ateizm jako wyznanie wiary, wolna miłość jako zasada stosunków małżeńskich itd., itd. Czuję, że pamięć mnie zawiodła. Z ustępu ciągnącego się w druku na dziesiątek wierszy zrobiłem zaledwie parę i odjąłem jeszcze styl Pawlikowski... Przy swojej sztywności był naiwny jak dziecko. Gdy był przed sądem przysięgłych oskarżony o należenie do organizacji socjalistycznej, zapytano się go, jak przedstawia sobie wolną miłość? Bez namysłu odparł: — Jak wróble! — Franko miewał zarobki, mógł marzyć o stworzeniu własnego ogniska domowego, a kiedy odwiedziłem go we Lwowie, mieszkał w nowozabudowanej dzielnicy małych domków, bodaj we własnej willi, Pawlik głodował. Bywało, że zgłodniały nie miał niekiedy sił podnieść się z łóżka. Głodowała jego siostra, zasuszona panna z tępym, zawziętym wyrazem twarzy, takim samym jak u brata; ale ta tępa zawziętość była tylko maską, którą wtłoczyły im na twarz prześladowania ze strony policji, głód, poniewierka. Znikały, gdy Pawlikowie znaleźli się w towarzystwie przyjacielskim. Byliśmy parę razy na wycieczkach poza miastem — Pawlikowie, Daszyński, żona moja, Filemonowicz. Maska spadła, twarze przybierały inny wyraz, a zwłaszcza Pawlikówna była jak dziecko. Śmiała się, opowiadała różne szczegóły, zachwycała się przyrodą. Pewnego razu nie mogła podążyć za nami — żona moja pośpieszyła ku niej, okazało się, że była bardzo głodna, a przyznając się do tego beczała i śmiała się...

Zupełnie inny świat był w Dublanach, w tamtejszej szkole rolniczej. Wincenty Janowicz, rzadkiej umiejętności organizator, umiał tam spośród tzw. obywateluków, tj. po większej części przyszłych obszarników, stworzyć kółko rolnicze liczące około 10 osób. Był tam Antoni Mikszewicz, z zamożnej rodziny kalwińskiej szlachty w okolicach Kelm; Salmonowicz, przyszły właściciel majątku w Oszmiań-

skiem; Garszyński, bogaty młodzieniec, bodaj z Kaliskiego; Leon Rogoziński, jeszcze zamożniejszy dziedzic z Podola czy Ukrainy; Pławski, jeden z ubogich studentów. Innych nazwisk na razie nie pamiętam. Wincenty trzymał tę gromadkę żelazną ręką: oduczył od przegrywania w karty, obłożył podatkiem na rzecz bodaj „Proletariatu", zobowiązał do pomocy moralnej i oświatowej włościanom, wygnał opowiadanie tłustych anegdot. Tutaj ukrywał się Aleksander Dębski, kiedy po wycieczce do Warszawy w r. 1885 po drodze zajechał do Lwowa. Oczekiwaliśmy, ja i Feliks Daszyński, z furmanką przed dworcem, po czym Daszyński odwiózł go do Dublan. W kółku tym w ciągu kilku miesięcy prowadziłem raz na tydzień wykłady, piechotą puszczałem się ze Lwowa do Dublan. Odsyłano mnie z powrotem furmanką. Naturalnie, trzeba się było ukrywać. Pewnego razu dojrzał mnie młody Budny z Lubelskiego i podniósł wrzawę na całe Dublany: „Co Krzywicki w Dublanach może robić i do kogo chodzi?" Ale nie dowiedział się nawet tego, u kogo byłem i po co. Zamykano okiennice podczas mojego pobytu i w ten sposób odgradzano się od wszelakiego wzroku ciekawego. Z wyjazdem Janowicza kółko rozpadło się. Janowicz wyjechał na parę miesięcy przed moim wyjazdem. Zdawał egzaminy ostateczne. Na egzaminie z ekonomii politycznej doszło do ostrej wymiany słów pomiędzy nim a profesorem Au. Zapytany o teorię wartości, streścił poglądy pana Au, ale jednocześnie zaznaczył, iż odtwarza je tylko z obowiązku egzaminacyjnego, bo nie może na nie się zgodzić. Naturalnie Au zapytał się, jakiej teorii Janowicz jest wyznawcą. Janowicz nie ukrywał się ze swymi poglądami, Au napadł nań jako na nieuka, człowieka złej woli itd. Na tym egzaminie skończyła się kariera Janowicza w Dublanach. Wyjechał do Paryża, skąd udał się do Warszawy z misją odszukania członków „Proletariatu" i odbudowania partii. O tych jego wysiłkach będę mówił w innym miejscu jak również o dalszych jego losach. Najzamożniejsi spośród członków: Garszyński i Rogoziński, niebawem odeszli zupełnie od radykalizmu. Do Garszyńskiego docierał jeszcze Wincenty Janowicz, gdy gromadził fundusze na wydawanie legalnego pisma robotniczego w Warszawie — T y g o d n i k a P o w s z e c h n e g o, ale niewielka ofiara, którą Garszyński złożył, była ostatnim jego czynem w imię dawnych ideałów. Rogoziński odmówił wręcz. O głębokości zmiany, która się w nim odbyła, zaświadczyć może następująca okoliczność: ofiarowywał mi we Lwowie na cel, jaki uznam za stosowny, 60 000 rubli. Nie przyjąłem tej propozycji, a raczej, nie chcąc korzystać ze słomianego ognia, o jaki

go podejrzewałem, odparłem, że jeżeli za jakieś lat pięć zwróci się do mnie w tym samym celu, wtedy nie dostanie odkosza. Rogozińskiego później nie spotkałem, choć mógłby niejednokrotnie odnowić znajomość. Salmonowicz ożenił się z siostrą Wincentowej Janowiczowej, lecz pozbywał się pokostu czerwonego, różowiał z każdym rokiem coraz bardziej, a po upadku rewolucji prawdopodobnie dał spokój i temu zabarwieniu, całkowicie pochłonięty gospodarstwem. Jedynie Mikszewicz, a jeszcze bardziej Pławski, choć zmienili się nieco, nie przestali pielęgnować dawnych sympatii.

Jeszcze nieco o Witoldzie Jodko-Narkiewiczu.

Witolda znałem jeszcze z Warszawy. Był to czysty pod każdym względem młodzieniec, daleki od typu hulaki i człowieka bez jakichkolwiek zasad moralnych, jakim stał się po wielu latach. Przygotowywał się wtedy do zdawania matury w charakterze eksterna. Gdy się ukrywałem we wrześniu 1886 r. w Warszawie, nocowałem u Jodki, który miał swój pokój gdzieś na dole w kamienicy na rogu Marszałkowskiej i Próżnej. Z jego mieszkania puściłem się w podróż do Lipska, polecając jego opiece moją bibliotekę. Biblioteka ta przez ręce jego i Bronka Sławińskiego gdzieś rozpłynęła się po świecie radykalnym. Gdy wróciłem do Warszawy, nic a nic z niej nie odnalazłem. Pewnego dnia zjawił się u mnie we Lwowie. Było to jesienią 1885 r. Przyjechał zapisać się do uniwersytetu. Po paru dniach zajrzał już z powziętymi różnymi zamiarami. Przede wszystkim z zamiarem wzięcia w swoje ręce organu robotniczego P r a c a, wydawanego przez Daniluka. Było to pismo jednoarkuszowe, treści bardzo niewinnej i mało wyrobionej, a jednak prześladowane. Daniluk, zecer z zawodu, sam je składał, dzięki temu wegetował bez zysków i strat. Zachowywano się względem niego dość powściągliwie, jako względem człowieka dość nierozważnego. Pewnego dnia wpadł do mnie w związku z zatargiem w jednym z zakładów lwowskich i w rozmowie rzucił zapytanie: „A czy nie warto byłoby w jakieś 2—5 minut wysadzić zakład w powietrze?“ W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co chodzi. Te minuty zdezorientowały mnie. Okazało się, że był to tylko zręczny sposób powiedzenia czegoś. „Przecież — wyjaśniał mi w dalszej rozmowie — jeśli będziemy wysadzali w powietrze, to po dwóch — pięciu minutach wszystko już skończone“. Wsiadłem nań oświadczając mu, że tego rodzaju czyny mogą przynieść uciechę jedynie policji, która będzie miała nowy argument przeciw socjalistom oraz umocnione poparcie opinii publicznej. Opowiedziałem tę przygodę Witoldowi, ale ten bodaj ucieszył się z junactwa Da-

niluka. „Będzie chleb z tej mąki“ — rzekł. Nie bardzo wierzyłem w ów chleb. Daszyński, Ludwik Inlender i inni opowiadali, że z Danilukiem trudna sprawa. Jak pies nie dopuści nikogo do kości, tak on do Pracy. Jednak Jodko dotarł. Objąłem redakcję wstępnych artykułów, które brał Jodko i nie mówiąc o ich pochodzeniu drukował w Pracy. Miał nadzieję, że z biegiem czasu zagospodaruje się całkowicie w redakcji. Zapomniał o istnieniu we Lwowie instancji, która czujnym okiem obserwowała nawet mizerną Pracę, zwłaszcza bacznie zaczęła się przyglądać pismu po wydrukowaniu jednego z moich artykułów, w którym jako najważniejszą sprawę dla warstwy robotniczej stawiałem rozszerzenie prawa wyborczego. Pewnego dnia dostałem zawiadomienie, że Jodko jest aresztowany. W tydzień później Daszyński, który jako obywatel państwa austriackiego nie potrzebował obawiać się, iż może być wyrzucony poza granice państwa jako *lästiger Ausländer* (uciążliwy obcokrajowiec) i komunikował się z uwięzionym Witoldem, zawiadomił mnie, iż do Lwowa sprowadzono telegraficznie doktora Narkiewicza. Doktor Narkiewicz był poważany nie tylko dla swoich zasług, ale i dla wyjątkowej pozycji u dworu petersburskiego. Wezwano go tam kiedyś w przeszłości, a kiedy zapytano, czym życzyłby sobie być wynagrodzony, odrzekł, iż pozwoleniem na małżeństwo z Rosjanką, a właściwie na to, ażeby przyszła jego żona przeszła z prawosławia na katolicyzm. Prośbie jego uczyniono zadość. Była to w owych czasach łaska wyjątkowa. Policja lwowska umiała ocenić to wyróżnienie. Oddała syna ojcu, naturalnie pod warunkiem, iż wywiezie go natychmiast z granic państwa austriackiego. Mieli wyjechać nocnym pociągiem, lecz Witold chciał się jeszcze ze mną widzieć. Przekradliśmy się z Daszyńskim do hotelu i tam pożegnałem Jodkę. Kiedy ujrzałem go w r. 1889, znalazłem zgoła inną postać. Człowieka, w którym już kiełkowały wszystkie jego przyszłe, tak niesympatyczne narowy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

P R Z Y P I S Y*

CZĘŚĆ PIERWSZA: DZIECIŃSTWO

[1] Duchiński Franciszek (1817—1893), od 1846 r. emigrant zamieszkały w Paryżu. Przez całe życie propagował w dziełach i broszurach w języku polskim i francuskim osławioną swą teorię o turańskim pochodzeniu Wielkorosjan. Obalił tę teorię Wacław Nałkowski w rozprawie „O geograficznych błędach, na których opierają się historiozoficzne poglądy Duchińskiego“ (W-a 1881).

[2] „Farmazon“ (zepsute z francuskiego *franc-maçon* wolny mularz) tak nazywano pospolicie ludzi, których podejrzewano o należenie do tajnego stowarzyszenia wolnomularzy, czyli masonów.

[3] Bardowski sędzia, Rosjanin, za stosunki z rewolucyjną partią „Proletariat“, oraz członek tej partii Kunicki powieszeni zostali w Warszawie 28. I. 1886 r. Płoski w tymże procesie skazany został na 13 lat katorgi.

[4] Kowalewska Zofia, znana matematyczka rosyjska (1850—1891), zostawiła głośne swego czasu pamiętniki.

[5] Jankowska-Mendelsonowa Maria (1850—1909), działaczka socjalistyczna, niejednokrotnie będzie wymieniana na stronicach tych wspomnień.

[6] Vallès Juliusz (1832—1885), rewolucjonista francuski, autor kilku powieści.

[7] Wrogocin, majątek donacyjny w Płockiem. Około 1889 wzięli go w dzierżawę wydaleni za rozruchy z Instytutu Puławskiego studenci-ludowcy: Michał Bojanowski, Antoni Hempel i Władysław Płoski (brat proletariatczyka Edmunda, zesłanego na katorgę). Uczestnicy „komuny wrogocińskiej“ osobiście pracowali w polu, udzielając w sposób poglądowy włościanom zasad racjonalnego gospodarowania, oraz prowadzili pracę uświadamiającą wśród ludu. Po kilku latach żandarmeria przykróciła tę oświatową robotę.

CZĘŚĆ DRUGA: LATA SZKOLNE

[1] Drukowane częściowo w „Księdze Pamiątkowej Koła Płocczan“ W-a 1931, str. 171—187.

[2] Są to ułożone w porządku chronologicznym pierwsze litery nazw miejscowości, w których odbyły się sobory powszechne, a więc: Ni-cejski sobór, Co-nstantynopolitański, E-feski, Ch-alcedoński itd.

* Przypisy oznaczone literą (K) pochodzą od Autora.

[3] Język polski a międzynarodowość. Poglądy o braterstwie ludów i łączności międzynarodowej proletariatu przybierały niekiedy odchylenia znamienne, nie świadczące o zdrowiu. Młodzież gimnazjalna z drugiego gimnazjum rządowego w Warszawie na Nowolipkach, która w pierwszej chwili skłaniała się ku „Proletariatowi", znajdowała wymówki dla swojego lenistwa i nieuczęszczania na wykłady języka polskiego, które istniały w gimnazjach, ale nie były obowiązkowe, iż zapisywanie się na nie byłoby zdradą międzynarodowości i oznaką wstecznego patriotyzmu. I nie był to wypadek poszczególny. Takim był niejak Dyski, z którym kolegowałem w Płocku w ostatnich klasach gimnazjum. Nieco odmiennego typu był Hanusowski z gimnazjum łomżyńskiego, który rzucił się w ideowość panslawistyczną, a właściwie rosyjską. Między innymi jeden z takich typów, niejaki Chronowski, wypłynął na Sachalinie, zesłany. Uważał za rzecz bardzo niewłaściwą, za niemal wsteczną, że Polki z „Proletariatu", zesłane na Sachalin, uczyły dzieciaków zesłanych robotników po polsku (K).

[4] Lamennais (1782—1854) myśliciel i świetny pisarz francuski, dzieło jego „Paroles d'un croyant" (Słowa wierzącego) (1834) głoszące apoteozę rewolucji i zerwanie z Kościołem, którego uprzednio był gorliwym obrońcą, cieszyło się wielkim rozgłosem i było tłumaczone na wszystkie prawie języki europejskie.

[5] Tym napisem zaintrygowany był Tadeusz Wróblewski, a Michał Brensztejn zachwycony, gdym mu odpis ofiarował (K).

[6] Prasa endecka dużo pisała o masonach, jako straszaku na łatwowiernych ludzi. Według niej masoni i Żydzi przyczynili się do zapanowania bezwyznaniowości, do krzewienia się socjalizmu, do klęski powstania 1863 r. itd. A kiedy powstało państwo Polskie i różne osoby zaczęły szybko robić karierę urzędniczą, podejrzewano znowu, iż zawdzięczają to masonom. Gwoli zasadzie „swój swego popiera" jeden mason ciągnął za sobą drugiego, drugi trzeciego itd. Dopatrywano się ich wszędzie i w każdym dygnitarzu, który nie z endecji się począł: Pomorski-Mikułowski, Patek, Posner, Strug byli na języku wszystkich, ale zła wola z jednej strony, a imaginacja z drugiej robiły z muchy słonia. Prawdopodobnie w całej Warszawie nazbierałoby się zaledwie około kilkudziesięciu masonów, z których bardzo wielu było ludźmi pozbawionymi pazurów lub chęci robienia kariery urzędniczej, jak Stanisław Stempowski, Andrzej Strug. Już to jedno, że należeli do lóż masońskich, wykazywało, że zmysł robienia kariery był słabo u nich rozwinięty. Karierę robiono u nas za pośrednictwem partyj, w których niekiedy powstawały rzetelne mafie, oparte na wzajemnej adoracji i wzajemnym popieraniu siebie. Takie było stowarzyszenie czy tajny związek założony przez doktora Józefa Zawadzkiego, endeka, działacza na terenie Pogotowia Ratunkowego, który tworzył tę łączność najpierw bodaj pomiędzy urzędnikami magistratu, a później i poza jego obrębem, z jasnym zamiarem popierania siebie nawzajem przy awansach, konkursach, dostawach itd. Jak dalece masoni byli nie z tego świata, mogę odwołać się do swego własnego doświadczenia. Oto ani razu nie wypadło mi rozmawiać o masonerii z żadnym z istotnych masonów warszawskich. Pomiędzy nimi byli tak bliscy mi ludzie jak Stanisław Stempowski. Po raz pierwszy zetknąłem się z nimi w r. 1934. Pewnego dnia złożył mi wizytę stary mój znajomy Aleksander Pawłowski, ongi członek „Ujeżdżalni" petersburskiej, zamieszkały od lat kilku w Warszawie. Zaprosił mnie na niewielkie zebranie celem wymiany myśli. Miałem przeczucie, iż należy zapewnić sobie odwrót — mniejsza, czy z obawy nudów i jałowości, czy z innych powodów. Oświadczyłem więc, że o 10 godzinie muszę być już w łóżku — tak polecił mi robić lekarz. Udałem się na zebranie. Prócz gospodarza i również zaproszonego w tym samym charakterze profesora Samuela Dicksteina

inni byli mi nie znani. Jeden z nich był publicystą, ktoś był lekarzem, jeszcze ktoś przemysłowcem — słowem ludzie różnych sytuacji, a wszyscy spośród inteligencji. Pawłowski zagaja zebranie zaznaczając, że jest to posiedzenie Niezależnego Zakonu Niesamowitych Towarzyszów (Independent Order of the Odd Fellows), i wita w imieniu wszystkich dwóch gości. Potem inni przemawiali z urzędu. A więc opowiedziano dzieje Zakonu podkreślając, że nie ma nic wspólnego z masonerią, że ma swoje własne cele — podniesienie poziomu moralnego ludzi, zwalczanie wszystkich nienawiści narodowościowych, wszelkich gwałtów człowieka nad człowiekiem. Przemowy trwały z jakąś godzinę, a może dłużej, przy czym dano do zrozumienia, iż chętnie gości dzisiejszych przyjęto by na stałych braci. Musiałem coś odpowiedzieć. Odrzekłem, że również dążyłem i dążę do tego samego co oni, ale przywykłem to robić w inny sposób i wejście do Zakonu raczej skrępowałoby mnie w mojej działalności, niż przysporzyło korzyści, zakończyłem życzeniem im powodzenia i przeprosiłem, że jest już 10 godzina i muszę opuścić zebranie, choć z przyjemnością pozostałbym do końca. Po mnie w tym samym tonie zabrał głos Dickstein. Wyszedłem. Dickstein pozostał i w parę dni potem opowiedział mi, iż przemówienia trwały jeszcze dalej i zakończyły się korowodem, w którym i on uczestniczył. Uczestnicy podali sobie ręce tworząc koło i, zwolna obracając się, śpiewali pieśni obrzędowe o braterstwie ludów, o poszanowaniu godności każdego człowieka itd.

Było to pierwsze i ostatnie moje zetknięcie się z obrządkami masońskimi. Uczestnicy zrobili na mnie wrażenie także niesamowite — wielkich dzieci pomimo dojrzałości męskiej i nawet nadchodzącej starości. Zresztą, do masonów kazał w Paryżu podczas rokowań pokojowych zapisywać się Piłsudski. Widział wpływ masonów czeskich na Francuzów i to, jak pod ich wpływem obdarowywano Czechów ze szkodą Polski (Orawa, Spisz, Zaolzie). Chodziło o przeciwdziałanie Czechom w masońskich kołach francuskich (K).

[7] Bohater powieści Turgeniewa „Ojcowie i dzieci“ (K).

[8] Majorkiewicz Jan (1820—1847) należał do grona „entuzjastów“ skupiających się dokoła Narcyzy Żmichowskiej i Hipolita Skimborowicza. „Pisma“ jego w 5 tomach wyszły już po śmierci (1850—52).

[9] Bielińskij Wisarion (1811—1848), ojciec krytyki literackiej, obrońca Gogola, — Dobrolubow Mikołaj (1836—1861), twórca krytyki publicystycznej. — Pisarew Dymitr (1841—1868), krytyk o kierunku nihilistycznym. Wszyscy trzej wywarli wielki wpływ na życie umysłowe społeczeństwa rosyjskiego. — Złatowratskij i Gleb Uspienskij (1843—1902), pisarze o kierunku ludowcowym, czytani zwłaszcza przez radykalną młodzież.

[10] Pogłoska o polskim pochodzeniu Juliusza Verne'a, popularnego powieściopisarza francuskiego, okazała się mylna. Verne urodził się w Nantes w r. 1828, zmarł w 1903.

[11] Szafarzyk Paweł (1795—1861), znakomity badacz języków i starożytności słowiańskich. Jego dzieła „Starożitnosti Slovanske“ i „Slovansky narodopis“ (tłum. na jęz. polski) stanowią epokę w rozwoju słowianoznawstwa.

[12] Levittoux Henryk (1822), lekarz i filozof, napisał „Filozofię natury“ (1872).

[13] Littrow Józef (1781—1840), astronom wiedeński, napisał popularną astronomię „Die Wunder des Himmels“.

[14] Turowski Kazimierz wydawał we Lwowie (?) od 1855 do 1862 „Bibliotekę Polską“ obejmującą szereg ważnych, a dziś rzadkich dawnych pomników literatury. „Biblioteka“ wychodziła w niedrogich zeszytach.

[15] Pierwsze trzy tomy „Monumenta Poloniae Historica“, wydane we Lwowie przez dyrektora Ossolineum, historyka Augusta Bielowskiego, a zawierające wszystkie kroniki dotyczące Polski, ukazały się kolejno w 1864, 1872 i 1876.

[16] Hellerówna, głośna w swoim czasie śpiewaczka.

[17] Olszewska Maria od 1887 do 1905 zarządzała w „Kurierze Warszawskim“ wydziałem ofiar, przez jej ręce przepływały znaczne sumy składane do dyspozycji redakcji. Obracała je na udzielanie pomocy rodzinom więźniów politycznych, przeważnie biedoty robotniczej, i dzięki temu stała się swego rodzaju instytucją, pogotowiem ratunkowym nie tylko dla rodzin, ale i dla samych uwięzionych, wyszukując im obrońców (Patek, Berenson i i.), a często w sprawach mniejszej wagi interweniując osobiście u władzy jako przedstawicielka takiej potęgi jak „Kurier Warszawski“, z którym się nawet ta władza liczyła. Od 1905 do wojny światowej prowadziła już jawnie i bezpłatnie biuro pomocy dla więźniów politycznych. Ponieważ M.O. zapisywała skrupulatnie każdą sprawę więźnia przechodzącą przez jej ręce, z biegiem lat zebrał się ogromny materiał obejmujący — jak mi mówiła — około 10000 nazwisk. Poznałem M.O. w 1930 roku już jako siedemdziesięciokilkoletnią kobietę (ur. 1856 r.), pełną jeszcze życia i interesującą się wszystkim, co się na świecie dzieje; zamieściła nawet ze swoim podpisem w „Robotniku“ artykuł w sprawie Brześcia. Od 1916 przy poparciu wydziału opieki społecznej Magistratu Warszawy organizowała świetlice dla niezamożnych dzieci, z których dwie dla dzieci robotniczych prowadziła osobiście do końca życia w domu swoim (Żurawia 25). Do ostatnich dni życia porządkowała z sekretarką i przygotowywała do druku zgromadzony materiał o więźniach, który byłby cennym, jedynym w swoim rodzaju przyczynkiem do dziejów walki klasy robotniczej z przemocą. Jak dowiaduję się od jej siostrzeńca, mec. Olchowicza, materiały te spaliły się. Zmarła Olszewska 22 maja 1942 r.

[18] Hertz Karol, nauczyciel II gimnazjum w Warszawie, autor podręcznika „Kosmografii“ i wielu rospraw naukowych.

[19] Jędrzejewicz Jan, lekarz i astronom, autor „Kosmografii“ (W-a 1889, str. 400)

[20] Huzarski Maurycy, student weterynarii, zdrajca z 1878 r., później agent policyjny.

[21] Tichomirow Lew, członek Komitetu Wykonawczego „Narodnej Woli“ w chwili zabójstwa cara Aleksandra II, naczelny publicysta i redaktor „Wiestnika Narodnej Woli“, na emigracji zmienił radykalnie swe przekonania i po napisaniu książek „Jak przestałem być rewolucjonistą“ oraz „Początki i końce“ uzyskał przebaczenie, powrócił do Rosji i nawet został redaktorem ultramonarchicznej gazety „Moskowskija Wiedomosti“.

CZĘŚĆ TRZECIA: UNIWERSYTET

[1] Balicki Zygmunt, późniejszy członek „Ligi Narodowej“, teoretyk narodowej demokracji, autor rozprawy „O egoizmie narodowym“.

[2] Korotyński Władysław (1866—1924) późniejszy redaktor „Kuricra Warszawskiego“ (1899—1903), historyk starej Warszawy.

[3] Koroway-Metelicki Michał (1855—1891), poeta, przełożył „Demona“ Lermontowa.

[4] Kariejew Mikołaj, historyk, był profesorem w Uniwersytecie Warszawskim od 1879 do 1884 r. Napisał m. in. cały szereg dzieł dotyczących historii Polski, prawie wszystkie zostały przełożone na jęz. polski: „Dzieje reformacji i katolickiej reakcji w Polsce“, „Zarys

historii sejmu polskiego", „Upadek Polski w literaturze historycznej", „Polskie reformy w XVIII w.", „Przyczyny upadku Polski".

[5] Godin Jan (1817—1888) z robotnika został właścicielem wielkiej fabryki w Guize (dep. Aisne). Zwolennik socjalisty Karola Fourier założył przy fabryce tzw. familister, rodzaj spółdzielni, która miała w ciągu 20 lat spłacić wartość fabryki, robotnicy staliby się jej właścicielami. W chwili śmierci Godina familister obejmował 1452 robotników, wartość fabryki wynosiła 3 mil. fr.

[6] Sławiński Bronisław (1862—1936), proletariatczyk, brał udział w zbrojnym oporze w mleczarni Henneberga, wyjechał za granicę. Aresztowany w Poznaniu i odsiedziawszy 3 lata więzienia zostaje wydany władzom rosyjskim (1890), skazany na dożywotnią katorgę przez sąd wojenny. Ucieka z Syberii przez Chiny i Amerykę do Szwajcarii. W 1905 r. wraca nielegalnie i bierze udział w akcji rewolucyjnej jako członek CKR PPS.

[7] O Hirszfeldzie Bolesławie pisze Grabiec („Czerwona Warszawa"): „Ostatnim czynem obywatelskim jego był testament, którym 32 tys. rubli zapisał na prace oświatowe — pod prawną formą legatu dla rzeczników różnych gałęzi tych prac: M. Brzezińskiego, d-rostwa Męczkowskich, St. Michalskiego i St. Sempołowskiej. Z pieniędzy tych urosły nowe doniosłe prace. Założone zostało przez Brzezińskiego pismo popularne, ufundowano podwaliny Biblioteki Publicznej, założono biblioteki dla seminariów nauczycielskich w Łęczycy, Jędrzejewie, Siennicy, puszczono w ruch zainicjowane przez Jadwigę Dziubińską szkoły rolnicze: w Kruszynku, Pszczelinie i Sokołówku".

[8] Juzow, pseudonim publicysty rosyjskiego Józefa Kablitza, który apoteozował lud rosyjski jako stojący moralnie wyżej od „zgniłego" Zachodu, oskarżał inteligencję jako wroga ludu i sławił ustrój gminny (Obszczina). Teorie swoje wyłożył w bałamutnej książce „Osnowy narodniczestwa" (1882), która wywarła wpływ na polskich „ludowców" z „Głosu" (Jan Popławski).

[9] Miłguj-Malinowski Maksymilian, redaktor „Zorzy", członek partii „Wyzwolenie", późniejszy poseł na Sejm.

[10] Degajew, wybitny członek partii rewolucyjnej „Narodnej Woli", po aresztowaniu został narzędziem w ręku ambitnego szefa żandarmeri, gen. Sudiejkina, który za jego pośrednictwem wiedział o wszystkim, co się w partii dzieje, i w jej szeregach umieszczał prowokatorów. Przyciśnięty do muru przez towarzyszy Degajew przyznał się do swej podwójnej roli i darowano mu życie pod warunkiem, że dopomoże do zabicia Sudiejkina. Po zabójstwie (1883) Degajew uciekł za granicę i słuch o nim zaginął.

[11] Szymański Adam (1852—1916), autor „Szkiców" syberyjskich, razem z Janem Popławskim za stworzenie tajnej organizacji narodowej podczas wojny rosyjsko-tureckiej 1877 r. zesłany został na Sybir, skąd powrócił do kraju w 1895 r.

[12] Miklaszewski Bolesław, pepeesowiec, w niepodległej Polsce minister oświaty, wreszcie twórca i rektor Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie, zmarł w 1942 r.

[13] Płaskowicka Filipina (1847—1880), nauczycielka w rodzinie Waryńskich w Kijowszczyźnie. Do Warszawy przybywa w 1876 r. jako socjalistka. Jako nauczycielka w szkole wiejskiej pod Skierniewicami prowadzi pracę oświatową, wraca do Warszawy, gdzie zakłada koło kobiet dla opieki nad więźniami politycznymi. Aresztowana w 1878 r. w Cytadeli wydaje „Głos Więźnia", skazana na 5 lat Wschodniej Syberii umiera w drodze na etapie.

[14] Dulęba Henryk (1848—1913), proletariatczyk, nieodstępny towarzysz Ludwika Waryńskiego, skazany w 1886 r. na 13 lat katorgi, powrócił do kraju w 1908 r.

CZĘŚĆ CZWARTA: ZA GRANICĄ

[1] Stary Bażyński, bezdzietny wdowiec, uroczyście spożywał dary Boże parokrotnie dziennie i wychodził na spacer, aby zyskać apetyt i znowu jeść. Jadło i spacery to treść jego żywota na stare lata. Nawet sam nie czytał gazet, a tym bardziej książek — czytał mu stary Kodis, który pozostawał przy Bażyńskim, jako zaufany, że tak powiem, marszałek dworu — rodzina zaś jego przebywała w odległej o kilkanaście wiorst wiosce Daukany (Dowkany), gdzie Bażyński wydzierżawił im kilkuwłókową osadę. Ale dwór był gościnny. Bawił tu literat Wład. Jabłonowski, kołtun endecki — ukrywał się Al. Dębski z „Proletariatu". Szczęście, iż ci goście nie bawili współcześnie. (K.)

[2] Jok (dżok), po angielsku — kawał, dowcip.

[3] Kościelski Józef (1845—1911), zamożny ziemianin, właściciel Miłosławia w Poznańskiem, pisywał poezje i dramaty, był posłem do parlamentu i członkiem pruskiej Izby Panów.

[4] *PIEŚŃ DYMURA LIZOGUBA*

Żegnaj mi, ludu! Ostatnie już słowo
Dziś wam posyłam, drodzy towarzysze,
Kat mię już czeka. Ponad moją głową
Już się śmiertelna pętlica kołysze...
Nie drżę przed stryczkiem, umieram spokojnie,
Bo w moim sercu tkwi wiara gorąca,
Że po tych trudach, po tej krwawej wojnie
Zobaczą ludy blask złotego słońca.
Przebacz mi ludu, jeśli moje czyny
Nierówną korzyść niosły ci w ofierze,
Przebacz i nie chciej szukać we mnie winy;
Ja cię kochałem gorąco i szczerze.
Przebacz! Już gardło pętlica mi ciśnie,
W oczach już ciemno, krew już krzepnie młoda —
Hurra... niedługo nowy świt zabłyśnie —
Niech żyje rozum, miłość i swoboda!...

NAŚLADOWANIE Z SHELLEYA

Długoż wy jeszcze będziecie tak
Ciemiężcom pszenny uprawiać szlak
I prząść purpury błyszczący szmat,
By nią się zdobił wasz własny kat?

Długoż to jeszcze szerszeni ród
Będzie swój żywot bezczelny wiódł
I krew pił waszą i chleb wasz jadł
I wam na barki swe jarzmo kładł?

Robocze pszczoły! o długoż wy
Będziecie kuli ku hańbie swej
I podawali w szerszeni dłoń
Żelazny łańcuch, żelazną broń?

Czyż wy bez chleba, czyż wy bez strzech,
Znaliście kiedy miłości śmiech?
O mówcie, mówcie, za jaką z cen
Dajecie krew i pot swój ten?

Siejecie ziarno, by inny żył,
Innym szukacie złocistych brył,
Innym przędziecie kosztowny strój,
A miecz wasz dzierży wasz własny zbój.

Nie miło dziś wam zasiewać łan
I zbierać złoto, by gnuśniał pan.
Sobie to, sobie prząść, zbierać, siać
I kule dla swej obrony lać!

Wy spoczywacie wśród sklepów, jam,
Innym wspaniały budując chram!
Precz wyrzucicie przekleństwa głaz?
Wszak to stal wasza dziś godzi w was.

Kądzielą, zydlem i pługiem, och!
Grzebiecie sobie grobowy loch,
Przędziecie sobie śmiertelny błam,
Ta własna ziemia cmentarzem wam!

Oba te utwory były podpisane literą J. i drukowane w numerze listopadowym „Przedświtu“ z roku 1884. Pożegnanie Lizoguba było niezależnie od tego raz jeszcze drukowane w „Walce Klas“, w Nr 6, październikowym. O ile się nie mylę, są to pierwsze utwory Kasprowicza drukiem ogłoszone. Zdaje się, iż nie weszły do późniejszych wydań zbiorowych Kasprowicza. A bodaj sam nawet o nich zapomniał. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie, kiedy jeszcze raz wypadło mi go widzieć w moim mieszkaniu w Warszawie, w okresie pierwszej rewolucji rosyjskiej, którą był w stopniu najwyższym zainteresowany.

Gdy wróciłem do Warszawy, przesłał mi jeden utwór do umieszczenia. Zaniosłem go do „Prawdy“ — nie został zamieszczony, ponieważ „nie był poezją“!... (K.)

[5] Tymczasem już po śmierci Marxa wyszło nowe wydanie i Engels poradził trzymać się jego tekstu. Przekład cały trzeba było w Lipsku przerabiać — jedne części pozostały w zgodzie z tekstem francuskim, później zostały one częściowo zmienione.

[6] Pawlik Michał i Franko Iwan, socjaliści ukraińscy w Galicji w latach siedemdziesiątych. Później założyciele ukraińskiej radykalnej partii.

[7] Daniluk Józef, zecer, wydawał w latach dziewięćdziesiątych, we Lwowie pisemko socjalistyczne „Pracę“, które, jak twierdził Daszyński, „było jego wyłączną własnością, a tylko redaktorowie — oczywiście tacy, którzy do pisma mogli dołożyć — zmieniali się wedle tego, kto właśnie miał ochotę i wolny czas do pisania“.

[8] Hieronimko, pseudonim Heronima Kona. Publicysta socjalistyczny, za niepodległej Polski mieszkał w Paryżu, skąd pisywał korespondencje do „Robotnika“.

[9] Most Johann (1846—1906), świetny mówca i namiętny agitator socjalistyczny, wydalony z Niemiec, wydaje w Londynie pismo „Die Freiheit“, za nawoływanie w nim, po zamordowaniu cara w r. 1881, do czynów terorystycznych, skazany na 16 miesięcy

więzienia. Przenosi się ze swym pismem do Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn. i staje się wybitnym anarchistą.

[10] Bernstein Edward, wybitny pisarz socjalistyczny, w latach dziewięćdziesiątych wystąpił z krytyką teorii ekonomicznych i socjalistycznych Marxa-Engelsa w szeregu artykułów w „Neue Zeit“ pt. „Probleme des Sozialismus“.

[11] Reclus Elizeusz (ur. 1830), komunard, znakomity geograf, zamieszkały w Szwajcarii, uważany był wespół z braćmi swymi i Piotrem Kropotkinem za organizatora międzynarodowego anarchizmu.

[12] Połońska (właściwie Oszanina-Ołowiennikowa), rewolucjonistka, członek komitetu wykonawczego partii „Narodnej Woli“.

[13] Ławrow Piotr (pseudonim Mirtow) (1823—1900), filozof i socjolog, w 1860 uciekł z zesłania, osiadł do końca życia w Paryżu. Redagował pismo rewolucyjne „Wpieriod“, socjalistyczny teoretyk partii „Narodnej Woli“. Po polsku wyszły Mirtowa „Listy historyczne“ w osiemdziesiątych latach pilnie czytane przez młodzież.

[14] Plechanow Jerzy, teoretyk socjalizmu w duchu marxismu, przeciwnik terorystycznej „Narodnej Woli“, określił swoje stanowisko teoretyczne w książce „Naszi raznogłasja“, która odegrała znaczną rolę w rozwoju rosyjskiego socjalizmu.

[15] Rusanow (pseud. Tarasow), narodowolec, pisywał w radykalnych czasopismach artykuły poświęcone zagadnieniom ekonomicznym.

S P I S R Z E C Z Y

CZĘŚĆ PIERWSZA: DZIECIŃSTWO (1859—1870)

1. Pierwsze lata 13
2. Dziadek 29
3. Płock 40
4. Początki szkolne 60

CZĘŚĆ DRUGA: LATA SZKOLNE (1871—1877)

1. W Płockim gimnazjum 75
2. Życie koleżeńskie 100
3. Niewinne flirty 108
4. Sylwetki kolegów 114
5. Czytanie książek 123
6. Zwierzęta 136
7. Uwłaszczenie włościan 143

CZĘŚĆ TRZECIA: UNIWERSYTET (1878—1884)

1. Studencka mgławica 159
2. „Schodka“ apuchtinowska 187
3. Zmiana nastrojów 208

CZĘŚĆ CZWARTA: ZA GRANICĄ (1884—1885)

1. Lipsk (1884) 219
2. O Janie Kasprowiczu 230
3. Jak wydano „Kapitał“? 237
4. Paryż (1885) 241
5. Lwów (1885) 257

PRZYPISY

(str. 271 — 278)

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej
317/2 t.1
12-000317-001-0